

MARY BALOGH

Uwieść anioła

Przekład
Agnieszka Dębska



Redakcja stylistyczna
Anna Tłuchowska

Korekta
Jolanta Kucharska
Katarzyna Staniewska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Zdjęcia na okładce ©
Zbigniew Foniok

Skład
Wydawnictwo AMBER
Jacek Grzechulski

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału
Seducing an Angel

By arrangement with *Maria Carvainis Agency, Inc.* and *Prava i Prevodi*.
Translated from the English *Seducing an Angel*.
Copyright © 2009 by Mary Balogh.
First published in the United States by Bantam Dell,
a division of Random House, Inc., New York.

For the Polish edition
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3678-0

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 02-
952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel. 620
40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

1

Zamierzam znaleźć sobie mężczyznę - powiedziała Cassandra Belmont, wdowa po lordzie Paget, stojąc przy oknie w bawialni domu, który wynajęła przy Portman Street w Londynie. Był kompletnie urządzony, choć meble, podobnie jak zasłony i dywany, miały już lepsze czasy za sobą od dobrych dziesięciu lat. Niegdyś wytworne, dziś były już wyraźnie podniszczone, co zresztą odpowiadało sytuacji, w jakiej znalazła się lady Paget.

- Żeby wyjść za mąż? - spytała zaskoczona Alice Haytor, dama do towarzystwa.

Cassandra przyglądała się kobiecie szybko idącej ulicą. Ciągnęła za rękę małego chłopca, co dziecku najwyraźniej się nie podobało. Jej postawa świadczyła o irytacji i zniecierpliwieniu. Czy była matką chłopca, czy tylko jego piastunką? Nieważne. Po co się troszczyć o jakieś strofowane i nieposłuszne dziecko? Cassandra miała dość własnych zmartwień.

- Ależ skąd. Zresztą musiałby to być kompletny głupiec.

- Głupiec?

Cassandra uśmiechnęła się niewesoło, ale nie odwróciła głowy ku Alice. Kobieta z dzieckiem zniknęła za rogiem. Teraz w polu widzenia pojawił się jakiś mężczyzna. Szedł spiesznie w przeciwnym kierunku, ze zmarszczonymi brwiami i spuszczoneym

wzrokiem. Spóźnił się zapewne na spotkanie, i myślał o tym, jak wiele w jego życiu zależy od tego, czy na nie zdąży. Może miał rację. A może nie.

- Tylko głupiec chciałby się ze mną ożenić. Nie, nie chodzi mi o małżeństwo, Alice.

- Cassie - szepnęła z niepokojem jej towarzyszką - chyba nie myślisz o... - nie dokończyła zdania. Cassandra mogła mieć tylko jedną rzecz na myśli.

- A właśnie, że tak. - Cassandra odwróciła się i spojrzała na nią z ironią. Alice kurzowo zacisnęła dłonie na poręczach fotela. Jakby zamierzała wstać, ale tego jednak nie zrobiła. - Czy cię to zgorszyło?

- Kiedy postanowiliśmy przyjechać do Londynu, miałas zamiar tu znaleźć jakieś zajęcie. Obydwie miałyśmy je sobie znaleźć i Mary również.

- Tylko że się nam nie udało, prawda? - zauważyła zgryźliwie Cassandra. - Nikt nie chciał zatrudnić pomywaczki, która stała się kucharką, w dodatku matki małej córeczki, ale nie mężatki. Nawet gdybym dała jej referencje, niewiele by pomogły biednej Mary. No i, wybac mi Alice, nikt nie potrzebuje przeszło czterdziestoletniej guwernantki, skoro można przebierać wśród dużo młodszych. Przykro mi, to mówić, ale wszyscy teraz ubóstwiają młodość. Byłaś znakomitą wychowawczynią, kiedy byłam dzieckiem, a doskonałą towarzyszką i przyjaciółką, gdy dorosłam. Wiek jednak działa na twoją niekorzyść, o czym dobrze wiesz. Co do mnie, gdyby nawet udało mi się jakimś cudem ukryć tożsamość, i tak wyszłaby ona na jaw przy okazaniu listów polecających. Nie, jestem z góry skazana na przegraną. I to w każdej dziedzinie. Przecież nikt nie zechce dać pracy morderczyni, która zabiła męża siekierą.

- Cassie! - Guwernantka zakryła twarz dłońmi. - Nie wolno ci tak mówić o sobie! Nawet żartem.

Cassandra nie uważała tego za żart, a jednak roześmiała się.

- Ludzie lubią przesadzać, a nawet zmyślać. Połowa z nich uważa mnie za morderczynię, bo bawi ich wymyślanie podobnych bzdur. Za każdym razem, kiedy wychodzę z domu, zdaje mi się, że za chwilę zaczną przede mną uciekać z wrzaskiem. Muszę więc sobie znaleźć jakiegoś dzielnego obrońcę.

- Cassie - w oczach Alice błysnęły łzy - tak bym chciała, żebyś nie...

- Próbowałam zdobyć pieniądze, grając w karty - odparła Cassandra i zagięła palec, jakby miała zamiar dalej wyliczać. - Jeszcze bym przez to zbiedniała, gdyby w końcu nie udało mi się wygrać skromnej sumki. Wzięłam więc wygraną i uciekłam, bo zrozumiałam, że nie mam w sobie za grosz karcianej żyłki, nie mówiąc już o wprawie. Zrobiło mi się strasznie gorąco pod wdowim welonem, a niektórzy z graczy zaczęli się interesować, kim właściwie jestem.

Zagięła drugi palec, ale na tym zakończyła wyliczanie. Nie spróbowała niczego innego, bo po prostu nie miała więcej możliwości. Prócz jednej.

- Jeśli nie zapłacę czynszu w przyszłym tygodniu, znajdzie my się na ulicy. Nie mogę o tym spokojnie myśleć.

Znowu się roześmiała.

- Może jeszcze raz napiszesz do brata, Cassie? Przecież z pewnością...

- Już pisałam do Wesleya. - Ton Cassandry stał się oschły. - Prosiłam go, żeby choć na krótko zapewnił mi schronienie, póki nie znajdę sposobu, by stanąć na własnych nogach. I co? Odpisał, że mu przykro i że chętnie by mi pomógł, ale właśnie wybiera się w długą podróż po Szkocji z kilkorgiem przyjaciół, a byłoby czymś bardzo niestosownym, gdyby sprawił im zawód w ostatniej chwili. Gdzież go znajdę w tej Szkocji, Alice, i jak pokornie

mam prosić, żeby pomógł mnie, tobie, Mary i Belindzie? No i Rogerowi. Myślałeś pewnie, że o tobie zapomniałam?

Duży kosmaty kundel podniósł się ze swego miejsca i pokuśtykał ku niej. Podrapała go za jedynym uchem, jakie mu pozostało. Pies utykał, brak mu było również końca jednej łapy, aż do pierwszego stawu. Spojrzał na nią jednym okiem (drugie pokrywało bielmo) i sapnął z zadowoleniem. Sierść miał jak zawsze w nieładzie, choć czystą i codziennie szczotkowaną. Cassandra zmierzwiła ją obydwiema rękami.

- Nie napiszę więcej do Wesleya, nawet gdyby był w Londynie. - Pies warował u jej nóg i wtulił pysk między łapy z pomrukiem zadowolenia. Odwróciła się znów ku oknu. - Nie, muszę sobie znaleźć mężczyznę. Bogatego. Bardzo bogatego. Kogoś, kto by nas wszystkie utrzymywał po królewsku. Nie z litości, tylko w zamian za moje usługi, solidnie opłacane, bo warte wielkich pieniędzy.

W jej głosie zabrzmiała pogarda - trudno powiedzieć, czy do nieznanego jeszcze mężczyzny, czy też do siebie samej. Przez dziewięć lat była mężatką, ale nigdy niczyją kochanką.

A teraz miała nią zostać.

- Czy musi dojść aż do tego? Trzeba znaleźć jakieś inne wyjście. Nie pozwolę na to, tym bardziej że jednym z powodów jest konieczność utrzymywania mnie! - powiedziała z rozpaczą Alice.

Cassandra patrzyła teraz w ślad za starym powozem jadącym ulicą tuż pod oknem. Stangret wydawał się równie wiekowy, jak kareta.

- Nie pozwolisz mi? - spytała. - Nie uda ci się mnie powstrzymać, Alice. Czasy, kiedy byłam małą Cassie, a ty panną Haytor, dawno minęły. Nic innego mi nie pozostało. Nie mam pieniędzy, moja reputacja i tak jest fatalna, brak mi przyjaciół i krewnych, którzy pospieszyliby mi z pomocą. Został mi tylko

jeden atut, a on może nam zapewnić wygodę i bezpieczeństwo. Tak, jestem piękna i godna pożądania.

W innych okolicznościach jej słowa zabrzmiałyby zarozumiale, lecz Cassandra wypowiedziała je z jawnym szyderstwem. Choć była to szczerza prawda, nie mogła być powodem do dumy; prędzej mogłaby ją uważać za przekleństwo. Uroda sprawiła, że w wieku osiemnastu lat poślubiła arystokratę, a także zapewniła jej adoratorów w czasach małżeństwa. A jednak po dziesięciu latach przyniosła Cassandrze tylko nędzę, jakiej nigdy by się nie spodziewała. Nadzedł czas, by ów atut wykorzystać i zapłacić za nędzny dom, strawę i odzienie, a także odłożyć trochę pieniędzy na gorsze czasy.

Nie, nie trochę, lecz sporo! Za drogo będzie ją to kosztowało, by myśleć tylko o utrzymaniu i zabezpieczeniu przyszłości. Ona i bliskie jej osoby powinny żyć w luksusie - i będą w nim żyły. Mężczyzna, który chce zyskać jej względy, zapłaci za nie słońce albo będzie musiał patrzeć, jak cieszy się nimi ktoś inny.

To nieważne, że ma już dwadzieścia osiem lat. Wygląda teraz lepiej niż wówczas, gdy liczyła ich sobie osiemnaście. Ciało stało się pełniejsze, rysy nabrały klasycznej piękności. Włosy o żywej barwie miedzi nie ściemniały z wiekiem ani nie straciły blasku. Była też mniej naiwna - o wiele mniej niż kiedyś. Wiedziała, jak się podobać mężczyznom. Gdzieś w Londynie żyje ktoś, kto wkrótce gotów będzie wydać fortunę, żeby kupić sobie do niej wyłączne prawo. Oczywiście, znalazłoby się wielu, lecz ona wybierze tylko jednego. Tego, który ze wszystkich sił zapragnie ją posiadać, choć jeszcze sam o tym nie wie.

I będzie jej pragnął bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Nienawidziła mężczyzn.

- Cassie - zaczęła Alice, a Cassandra spojrzała na nią badawczo
- nikogo tutaj nie znamy! Gdzie chcesz spotkać tego mężczyznę?

Powiedziała to z triumfem, jakby pragnęła, żeby nigdy do tego nie doszło. Cassandra uśmiechnęła się.

- Ale nadal jestem lady Paget, wdową po baronie, i wciąż jeszcze mam piękne stroje, które Nigel mi kupował, nawet jeśli teraz trochę już wyszły z mody. W Londynie trwa sezon, Alice. Każdy, kto tylko ma jakieś znaczenie, jest teraz w stolicy, codziennie odbywają się bale, koncerty, wieczorki i mnóstwo innych zabaw. Nietrudno będzie się dowiedzieć gdzie, i bez trudu też znajdziemy sposób, żeby wziąć udział w najhuczniejszych z nich.

- Bez zaproszenia?

- Zapomniałaś, że każda z pań wydających bal pragnie, by panował tam tłok. Nie spodziewam się, żeby mnie skądkolwiek wyproszono. Dziś po południu pójdziemy do Hyde Parku o właściwej porze. Pogoda jest piękna, każdy więc się tam pokaże, żeby samemu patrzeć i być widzianym. Włożę czarny, wdowi strój i kapelusz z gęstym welonem. Wszyscy znają mnie tu raczej z reputacji niż z widzenia, ostatnio byłam w Londynie wiele lat temu, ale wolę nie ryzykować. Nie chcę, żeby mnie teraz rozpoznano.

Alice westchnęła i opadła na swój fotel, bezradnie kręcąc głową.

- Lepiej napisz jeszcze jeden pojednawczy list do lorda Page ta. Nie miał prawa wypędzać cię z Carmel House, kiedy w końcu postanowił tam osiaść w rok po śmierci ojca. Twoja intercyza mówi jasno, że jako wdowie należy ci się dom do własnej dyspozycji, gdyby mąż zmarł przed tobą, a także znaczna suma pieniędzy, no i hojna pensja z dochodów przynoszonych przez majątek. Nic ci z tego nie dał w ciągu ostatniego roku, choć wiele razy do niego pisałaś, pytając, kiedy możesz się tego spodziewać. Pewnie cię dobrze nie zrozumiał.

- Nie warto się do niego zwracać. Bruce wyraźnie dał mi do zrozumienia, że powinnam się cieszyć, bo nie poszłam do więzienia. Nie wniesiono przeciw mnie oskarżenia. Nie było żadne-

go dowodu, że to ja zabiłam jego ojca, sędzia i ława przysięgłych mogliby mnie jednak uznać za winną i zawisłabym na szubienicy, Alice, gdyby tak się stało. Bruce postawił sprawę jasno: nie oskarży mnie, jeśli opuszczę Carmel House, nigdy tam nie wrócę i zostawię całą biżuterię, a także zrzeknę się wszelkich finansowych roszczeń co do majątku.

Alice milczała, wiedziała o tym. Wiedziała też, że walka wiązałyby się z ryzykiem. Cassie wybrała rezygnację. Zbyt wiele przemocy doznała przez ostatnie lata. Wołała po prostu odejść, razem z kilkoma bliskimi jej osobami. Wybrała wolność.

- Nie umrę z głodu, Alice - mówiła dalej Cassandra. - Ani ty, ani Mary i Belinda. Zapewnię wam wszystkim utrzymanie. Tobie również, Rogerze - dodała, drapiąc psa w brzuch czubkiem pantofelka. Roger leniwie uderzał ogonem w podłogę, za dzierając swoje trzy i pół łapy do góry.

Gorzki uśmiech Cassandry złagodniał.

- Nie płacz, Alice - odezwała się i przyklękła przy fotelu guwernantki. - Proszę cię, nie płacz. Nie zniosę tego.

- Nigdy nie przypuszczałam - wyjąkała Alice wśród łkań - że będziesz musiała zostać kurtyzaną. A tym się właśnie staniesz. Luksusową pro... prosty... - nie dokończyła.

Cassandra pogładziła ją po ramieniu.

- To tysiąc razy lepsze od małżeństwa. Nie widzisz tego, Alice? Tym razem to ja będę górą. Mogę udzielić komuś swoich łask albo też nie. Mogę odmówić mężczyźnie, który mi się nie spodoba lub zrazi mnie do siebie. Wolno mi będzie od niego odejść, jeśli zechcę, i robić wszystko, czego tylko zapragnę, wyjąwszy te chwile, gdy będę... hm... pracować. Naprawdę, to tysiąc razy lepsze niż małżeństwo!

- Zależało mi tylko na tym, żeby ujrzeć cię szczęśliwą. - Alice wysiąkała nos i otarła oczy. - Tego przecież zawsze pragnę

guwernantki i wychowawczynie. Życie przechodzi obok nich i przyzwyczajają się do tego, że istnieją tylko dla swoich podopiecznych. Chciałam, żebyś była kochana i sama kochała.

- Wiem - Cassandra przykucnęła u jej stóp - bo mnie ko chasz, Alice, a także Belinda, Mary, a nawet Roger. - Pies trą cił jedną z jej dłoni wilgotnym nosem, domagając się kolejnych pieszczot. -Ja też was wszystkich kocham.

Po policzku guwernantki znów spłynęło kilka łez.

- Wiem, Cassie, ale przecież dobrze wiesz, co mam na myśli. Nie udawaj, że tego nie rozumiesz. Chcę, żebyś kochała kogoś zanego, kto odwzajemni twoją miłość. Nie patrz na mnie w ten sposób, bo tak często to widzę ostatnio, że można by tę twoją minę wziąć za wyraz prawdziwego charakteru. Dobrze znam ten krzywy uśmiezek i rozbawione spojrzenie, które wcale nie jest wesołe. Są jeszcze na świecie przywoici mężczyźni. Mój ojciec był jednym z nich i z pewnością nie jedynym, jakiego Bóg stworzył.

- No cóż - Cassandra pogładziła ją po ramieniu - może przypadkiem trafię na porządnego mężczyznę, a on się we mnie zakocha na zabój. Nie, nie na zabój, tylko naprawdę. A ja w nim. Potem się pobierzemy, będziemy żyli długo i szczęśliwie, ja mu urodzę tuzin dzieci, a ty będziesz je mogła rozpieszczać i uczyć, ile tylko zapragniesz. I nie odmówię ci zatrudnienia tylko dlatego, że masz już ponad czterdzieści lat. Czy cię to uszczęśliwi, Alice?

Alice na wpół się śmiała, na wpół płakała.

- No, może nie tuzin, biedna Cassie, mogłabyś tego nie wy trzymać.

Zaśmiały się obie i Cassandra wstała.

- Alice, nie ma żadnego powodu, żebyś żyła tylko dla mojego szczęścia. Chyba powinnaś zacząć żyć na własny rachunek. Może i ty spotkasz kogoś, kto zrozumie, jaki klejnot znalazł, i oboje za kochacie się w sobie. A potem będziecie żyli długo i szczęśliwie.

- Ale nie z tuzinem dzieci, mam nadzieję - odparła Alice, udając zgrozę, i znowu się roześmiały.

Niewiele miały ku temu sposobności w ciągu ostatnich kilku dni. Cassandrze zdawało się, że mogłaby policzyć na palcach, ile razy czuła prawdziwą wesołość w ciągu ubiegłych dziesięciu lat.

- Lepiej odkurzę mój czarny kapelusz - oznajmiła.

Stephen Huxtable, hrabia Merton, wybrał się po południu na konną przejażdżkę do Hyde Parku z Constantine'em Huxtable'em, swoim kuzynem. Była odpowiednia po temu pora, główną aleję zajmowały różne pojazdy, przeważnie otwarte, tak by ich pasażerowie mogli zażywać świeżego powietrza, rozglądając się wokoło i gawędząc ze znajomymi w innych powozach oraz ze spacerowiczami. Ci ostatni, podobnie jak jeźdźcy, wypełniali ścieżki dla pieszych i alejki. Stephen i Constantine torowali sobie zręcznie drogę pomiędzy powozami.

W tym miłym dniu początku lata jedynie kilka małych białych obłoczków przesłaniało od czasu do czasu piekące mocno słońce.

Stephenowi ciżba nie przeszkadzała. Nikt nie udaje się przecież do Hyde Parku po to, by pędzić gdzieś w pośpiechu, lecz po to, by prowadzić życie towarzyskie, co zawsze lubił. Był to towarzyski, pogodny młody człowiek.

- Czy wybierasz się na jutrzejszy bal u Meg? - spytał Constantine'a.

Meg, a właściwie Margaret Pennethorne, hrabina Sheringford, była jego najstarszą siostrą. Razem z mężem przyjechała tej wiosny do Londynu, choć opuściła dwa poprzednie sezony. Przywieźli ze sobą urodzonego w tym roku Alexandra, a także starszą o dwa lata Sarah i siedmioletniego Toby'ego. Postanowili w końcu raz na zawsze pogrzebać stary skandal datujący się od czasu, kiedy Sherry wprowadził zamężną damę i żył z nią aż do jej śmierci.

Niektórzy wciąż jeszcze myśleli, że Toby był synem Laury Turner, a i Sherry, i Meg woleli nie wywoływać wilka z lasu.

Meg miała silny charakter, co Stephen zawsze podziwiał. Nigdy nie wybrałaby względnego bezpieczeństwa na wsi, woląc raczej stawić czoło wyzwaniu, a Sherry też nie chciał się poddawać bez walki. Teraz zaś cały elegancki świat, który trzy lata temu nie oparł się ciekawości i przybył gromadnie na ich ślub, czuł się w obowiązku pójść na jutrzejszy bal.

Niewielu by się zresztą oparło ciekawości dużo silniejszej niż oburzenie. Całe towarzystwo chciało się dowiedzieć, jak prosperuje to małżeństwo - czy też może wcale nie prosperuje - po trzech latach.

- Ależ oczywiście. Za nic bym go nie opuścił - odparł Constantine, dotykając szpicrutą róna kapelusza, gdy przejeżdżali obok powozu z opuszczoną budką, gdzie siedziały cztery damy.

Stephen zrobił to samo, a wszystkie cztery panie uśmiechnęły się i pozdrowiły ich.

- Tym razem nie uda ci się go opuścić, tak jak to zrobiłeś w ubiegłym tygodniu, nie przychodząc na bal Nessie.

Nessie - Vanessa Wallace, księżna Moreland - była środkową z trzech sióstr Stephena, księżę zaś, jej mąż, bliskim kuzynem Constantine'a. Matki obydwu były siostrami i przekazały synom smagłą grecką urodę. Wyglądali bardziej na braci niż na kuzynów, a nawet wręcz na bliźniaków.

Constantine nie pojawił się na balu u Vanessy i Elliotta, chociaż był w Londynie.

- Nie dostałem zaproszenia - odparł, spoglądając na Stephena z lekkim rozbawieniem. - Ale nie poszedłbym tam nawet wtedy, gdybym je otrzymał.

Stephen rzucił mu takie spojrzenie, jakby chciał go przeprosić, właśnie był tam na wycieczce na ryby, ale Con zdawał się to

rozumieć. Stephen wiedział, że Elliott i Constantine rzadko się do siebie odzywają, choć mieszkali w sąsiedztwie i za młodu bardzo się przyjaźnili. A skoro Elliott nie rozmawiał z kuzynem, tak samo postępowała Vanessa. Stephena zawsze to dziwiło, lecz nigdy o nic nie pytał. Może teraz należało to zrobić? Niesnaski rodzinne prawie zawsze były głupie i wlokły się w nieskończoność. Lepiej byłoby się pogodzić i zapomnieć o pretensjach.

- Dlaczego właściwie... - zaczął, lecz właśnie wtedy Cecil Avery zatrzymał tuż przy nich swoją kariolkę, a lady Christobel Foley, którą wiozł ze sobą, ryzykowała wręcz życie i zdrowie, wychylając się z pojazdu tylko po to, żeby olśnić ich swoim uśmiechem, kręcąc nad głową koronkową parasolką.

- Panie Huxtable, lordzie Merton - powiedziała, ledwie zauważając Cona, lecz nie spuszczała oczu ze Stephena - czyż nie prześliczny dzisiaj dzień?

Kilka następných minut zeszło im na przytakiwaniu, że istotnie dzień jest śliczny, oraz na rezerwowaniu sobie tańców na dzisiejszym balu, gdyż jej mama uznała, że raczej pójdą tam niż na obiad u Dexterów, jak początkowo zamierzały. A ona już wcześniej powiedziała wszystkim, że na bal nie pójdą, no i w rezultacie boi się okropnie, że nie będzie miała z kim tańczyć prócz, rzecz jasna, drogiego Cecila, jej sąsiada, który zawsze siedzi na wsi, nie ma więc biedak wielkiego wyboru i zatańczy z nią jedynie z uprzejmości, żeby nie podpierала ściany...

Lady Christobel rzadko układała swoje wypowiedzi w uporządkowane zdania i należało się jej uważnie przysłuchiwać, żeby nie stracić wątku rozmowy. Zwykle nie było to konieczne, wystarczyło wyłowić z potoku wymowy jedno czy dwa słowa, ale wyglądała uroczo i Stephen ją lubił.

Starał się jednak nie okazywać tego zbyt otwarcie. Christobel, najstarsza córka bogatego i wpływowego markiza Blythesdale,

miała osiemnaście lat i zadebiutowała w towarzystwie właśnie w tym roku. Była zatem doskonałą partią i szczerze pragnęła odnieść matrymonialny sukces podczas pierwszego sezonu, najchętniej przed rówieśnikami. Najwyraźniej miała na to wielkie szanse. Gdyby ktoś chciał ją odszukać na tłumnej zabawie, wystarczyłoby podejść do najliczniejszej grupy mężczyzn, bo z pewnością to właśnie ją otaczali.

Zarówno jednak ona, jak i jej matka zwróciły uwagę na Stephena, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że jest jednym z najlepszych kawalerów do wzięcia w całej Anglii, a wszystkie kobiety w jego otoczeniu zagięły na niego parol, uznając, iż nadszedł już czas, by się ustatkował, ożenił i zaczął płodzić potomstwo, a także zasiadł w Izbie Lordów. Miał dwadzieścia pięć lat i uznano, że przekroczył już niewidzialną granicę dzielącą rozhukaną młodość od poważnego wieku męskiego.

Lady Christobel nie była jedyną młodą damą, która się nim interesowała, a jej matka jedyną matroną, która chciałaby go złowić na zięcia.

Stephen lubił większość ze znanych mu pań. Chętnie z nimi rozmawiał, tańczył, chodził z nimi do teatru i zabierał je na przejażdżki lub przechadzki po parku. Nie unikał ich, jak robiło wielu jego rówieśników ze strachu, że dadzą się wciągnąć w matrymonialną pułapkę. Nie był jednak gotów do małżeństwa. Jeszcze nie teraz.

Wierzył w miłość - w miłość romantyczną i każdego innego rodzaju. Wątpił, czy mógłby się kiedykolwiek ożenić, nie żywiąc głębokiego uczucia względem przyszłej żony i nie mając pewności, że ona też go nim darzy. Tytuł i bogactwo nie pozwalały mu jednak nawet na tak skromne marzenia, podobnie jak jego powierzchowność. Wiedział, że kobiety uważają go za przystojnego i atrakcyjnego. Jak więc któraś z nich mogłaby go należycie poznać i zrozumieć, a cóż dopiero pokochać?

A jednak nawet bogaty hrabia mógł zaznać miłości. Wszystkie jego trzy siostry ją znalazły, choć musiał przyznać, że ich małżeństwa nie miały łatwych początków. Może kiedyś, za jakiś czas, stanie się to i jego udziałem?

Na razie cieszył się życiem i unikał licznych matrymonialnych pułapek, z którymi zresztą zdążył się oswoić.

- Mam wrażenie - powiedział Constantine, gdy odjechali nieco dalej - że ta dama gotowa była spaść z siedzenia, gdyby tyl ko miała pewność, że jesteś dość blisko, by ją złapać.

Stephen roześmiał się.

- Właśnie zacząłem pytać, co cię właściwie poróżniło z Elliottem i Nessie. Trwa to od czasu, kiedy się poznaliśmy. Co było przyczyną kłótni?

Znał Cona od ośmiu lat. To właśnie Elliott, jako wykonawca woli zmarłego hrabiego Merton, przybył i powiadomił Stephena, że tytuł hrabiowski, wraz ze wszystkim, co się z nim łączyło, przypadł w udziale jemu. Stephen mieszkał wówczas z siostrami w małym domku we wsi Throckbridge w hrabstwie Shrap. Elliott, wówczas wicehrabia Lyngate, a obecnie hrabia Moreland, był oficjalnym opiekunem przez cztery lata, póki Stephen nie osiągnął pełnoletności. Bywał też często w Warren Hall, głównej rezydencji Stephena w Hampshire. Con także tam mieszkał, a to dlatego, że chodziło o jego rodzinny dom. Był starszym bratem hrabiego, który właśnie zmarł w wieku szesnastu lat. Choć Constantine był najstarszym z synów poprzedniego hrabiego, nie odziedziczył po nim tytułu. Urodził się na dwa dni przed ślubem rodziców, co z prawnego punktu widzenia czyniło z niego dziecko z nieprawego łoża.

Od początku widać było, że Elliott i Con się nie lubią, a nawet są sobie wrodky. Coś musiało między nimi zajść.

- Zapytaj Morelanda - odparł Constantine. - Ma to wiele wspólnego z faktem, że Elliott jest pompatycznym osłem.

A przecież Elliott nie był ani pompatyczny, ani głupi. Twarz mu jednak tężała, gdy przypadkiem znalazł się w towarzystwie Constantine'a.

Stephen nie pytał więcej. Najwyraźniej przyjaciel nie chciał mu powiedzieć, co zaszło, a miał prawo do swoich sekretów.

Con był zresztą w ogóle zagadkowym człowiekiem. Choć zawsze zachowywał się wobec Stephena i jego siostr życzliwie, miał w sobie coś mrocznego, mimo osobistego uroku i tego, że chętnie się uśmiechał. Po śmierci brata kupił sobie dom gdzieś w hrabstwie Gloucester, lecz nikogo tam nie zapraszał - przynajmniej nikogo ze znanych Stephenowi osób. Nikt też nie wiedział, w jaki sposób było go stać na ten zakup. Ojciec niewątpliwie zostawił mu pokąźną sumę pieniędzy, ale chyba nie aż tak znaczną, by mógł nabyć na własność dom i posiadłość.

Rzecz jasna, nie powinno to obchodzić Stephena. Czasami jednak się dziwił, dlaczego Constantine zawsze traktuje ich tak życzliwie. Stephen i jego siostry byli przecież obcymi ludźmi, którzy nagle znaleźli się w jego domu i uznali go za swój. Stephen odziedziczył tytuł hrabiego Merton, który jeszcze kilka miesięcy temu nosił brat Cona, a przedtem jego i Cona ojciec. Tytuł ten przypadłby w udziale Conowi, gdyby urodził się trzy dni później lub gdyby rodzice wzięli ślub trzy dni wcześniej.

Czy nie powinien z tej przyczyny zgorzknieć lub zniechęcić ich? A może zawsze winien czuć gorycz?

Stephen zastanawiał się, co może się dziać w umyśle Cona. W każdym razie to coś nigdy nie znalazło wyrazu w słowach ani w czynach.

- Musi jej być gorąco niczym w Hadesie pod tym welonem - mruknął Constantine, gdy przystanęli, żeby pogawędzić wesoło z kilkoma znajomymi, i wskazał mu kogoś na ścieżce po lewej.

Przechadzało się tam wprawdzie mnóstwo ludzi, lecz nietrudno było zgadnąć, kogo miał na myśli. Grupka pięciu dam ubranych w modne suknie o żywych, letnich barwach rozprawiała o czymś zawzięcie. Tuż przed nimi szły dwie kobiety, jedna w skromnej sukni koloru rdzawego brązu, bardziej odpowiedniej na jesień niż na lato, druga w głębokiej żałobie, spowita w czerń od stóp do głów. Czarny welon był tak gęsty, że nie dało się przez niego dostrzec jej rysów, choć znajdowała się ledwie parę metrów od nich.

- Biedna kobieta - powiedział Stephen. - Musiała niedawno stracić męża.

- W dodatku wygląda na całkiem młodą - zauważył Constantine. - Ciekaw jestem, czy jej twarz dopełnia to, co obiecuje figura.

Stephenowi bardziej się podobały młode panienki o gibkich i smukłych sylwetkach. Kiedy rozmyślał o małżeństwie, zawsze szukał wzrokiem najmłodszych dziewcząt przybyłych na matrymonialne targowisko sezonu i usiłował wśród nich wypatrzeć piękność, którą mógłby zarówno lubić, jak i podziwiać, a potem zakochać się w niej. Damę zdolną brać pod uwagę nie jego tytuł i zamożność, lecz po prostu pokochać go dla niego samego.

Kobieta w żałobie nie przypominała tego ideału. Nie wyglądała na najmłodszą, a figurę miała nieco zbyt dojrzałą, choć skądinąd znakomitą. Wdowi strój nie służył zresztą ukazywaniu w pełni jej walorów.

Stephen poczuł jednak nieoczekiwany przyptyw fizycznego podniecenia, co go głęboko zażenowało. Byłoby mu tego wstyd, nawet gdyby nie nosiła żałoby. Nie miał zwyczaju gapić się pożądliwie na obce kobiety, jak czyniło wielu ze znanych mu młodych nicponiów.

- Mam nadzieję, że nie udusi się z gorąca - powiedział. - Och, idą tu Kate i Monty.

Katherine Finley, baronowa Montford, była najmłodszą z jego sióstr. Odkąd pięć lat temu wyszła za mąż, doskonaliła swoje umiejętności jeździeckie. Teraz także siedziała na końskim grzbiecie. Uśmiechnęła się do nich obydwu, Monty również.

- Chciałem, żeby mój koń mógł sobie solidnie pogalopować, ale to chyba niemożliwe - zauważył lord Montford na wstępie.

- Nie, Jasper - zaprotestowała Katherine - skądże znowu! Po prostu chciałeś wszystkim pokazać mój nowy kapelusz amazonki, który kupiłeś mi dziś rano. Czy nie jest zachwycający, Stephenie? Czyż nie zaćmiewam w nim każdej innej damy w parku, Constantine? - i roześmiała się.

- Pióro na nim mogłoby chyba być morderczą bronią - ocenił Constantine - gdyby nie to, że owija ci się wokół szyi, ale skądinąd jest bardzo twarzowe. A ty i tak zaćmisz każdą inną damę, nawet gdybyś miała na głowie garnek.

- Do licha, Con - mruknął Monty - garnek kosztowałby o wiele mniej niż ten kapelusz, ale na to już za późno!

- Jest doprawdy wspaniały, Kate. - Stephen uśmiechnął się szeroko.

- Ależ nie przyjechałem tu po to, żeby pokazać kapelusz - bronił się Monty - tylko damę, która go nosi.

- Świetnie mi się udało - rzuciła Katherine ze śmiechem. - Wymusiłam na każdym z was trzech komplement! Czy będziesz jutro na balu u Meg, Constantine? Jeśli tak, koniecznie musisz ze mną zatańczyć.

Stephen zapomniał zupełnie o wdowie i jej zmysłowo zaokrąglonej figurze.

2

Cassandra bez trudu dowiedziała się o balu u lady Sheringford: tak długo rozglądała się po najelegantszej części Hyde Parku, póki nie dostrzegła pięciu kobiet, które szły razem ścieżką i z ożywieniem o czymś rozprawiły.

Ruszyła ku nim i obie z Alice wyprzedziły je, tak by móc słuchać, o czym mówią.

W ten sposób dowiedziała się o wielu rzeczach, które wcale jej nie obchodziły, na przykład jakie kapelusiki są w tym roku najmodniejsze, której jest w nich do twarzy, a która wygląda tak okropnie, że należałoby jej o tym powiedzieć, gdyby tylko miało się śmiałość. Usłyszała też o uroczych figlach pociech, jednych lepszych od drugich. Cassandra przypuszczała, że ofiarami tych psot padały raczej nianie i guwernantki niż matki. Wyglądało na to, że każde z tych dzieci jest rozpuszczonym łobuzem.

W końcu jednak nudna rozmowa przydała się jej na coś. Trzy z dam wybierały się następnego wieczoru na bal lady Sheringford w domu markiza Claverbrook przy Grosvenor Square, co było dość zaskakujące, bo jak zauważyła jedna z nich, wiekowy markiz nie wychodził z domu od dawna, z wyjątkiem dnia, gdy trzy lata temu zjawił się na ślubie swojego wnuka. Od tego czasu już go nie widywano. A jednak to właśnie tam miał odbyć się bal.

Plotkowano, choć Cassandra rzecz jasna wcale się tym nie interesowała, że markiz spędzał wiele czasu na wsi z wnukiem i prawnuczętami. I że żona jego wnuka, hrabina, nauczyła się przewycięzać jego zły nastrój.

Cassandra powtórzyła w myślach: „bal w siedzibie markiza Claverbrook przy Grosvenor Square”, zapamiętując informacje istotne i usiłując zapomnieć o mnóstwie błahych.

Wspomniane trzy damy wybierały się tam, choć oczywiście żadna z nich w gruncie rzeczy tego nie chciała. Było czymś całkiem niepojętym, że ogólnie szanowana lady Sheringford zechciała wyjść za hrabiego. Kilka lat temu zrobił on bowiem coś tak niesłychanego, że nigdy już nie powinni go u siebie przyjmować ludzie przyzwoici.

Dobry Boże, przecież miał nawet dziecko z tą okropną kobietą, która porzuciła męża, żeby z nim uciec, w dodatku właśnie tego dnia, kiedy hrabia miał się żenić z siostrą jej męża! Był to naprawdę skandal nad skandale.

Trzy damy szły jednak na bal, bo szli na niego wszyscy! Każdy był ciekaw, jak wygląda to małżeństwo. Na pewno przeżywało przez te trzy lata trudne chwile. Bez wątpienia jednak i hrabia, i jego żona będą się starali okazywać sobie życzliwość podczas balu.

Dwie pozostałe damy postanowiły nie iść. Jedna z nich miała już inne zaproszenie, o czym oznajmiła z ulgą, druga zaś nie chciała przestąpić progu domu, gdzie przebywał hrabia Sheringford, choćby nawet inni mu wybaczyli i o wszystkim zapomnieli. Nie poszłaby tam, gdyby nawet ktoś jej ofiarowywał za to fortunę. Jej mąż odmówił zresztą wybrania się na jakikolwiek bal, choć wiedział, jak bardzo lubi tańczyć!

Coraz lepiej, pomyślała Cassandra. Hrabina Sheringford najwyraźniej żyła w cieniu złej opinii męża - hulaki i rozpustnika. Nie ma obawy, by ktoś wyprosił ją za drzwi, nawet jeśli przyjdzie bez zaproszenia, choć fatalna reputacja hrabiego z pewnością więcej gości przyciągnie, niż odstraszy. Ciekawość jest bowiem głównym grzechem dobrego towarzystwa, a może nawet całej ludzkości.

A zatem pójdzie na jutrzejszy bal. Czas naglił. Pieniądzy wystarczy jej jeszcze na czynsz w przyszłym tygodniu, bo tyle sobie

odłożyła, i na wyżywienie przez kilka następnych. Potem zaczęłyby się przerażający stan, gdy będzie potrzebowała pieniędzy, ale nie będzie miała ich skąd wziąć.

A przecież utrzymywała nie tylko siebie, ale też kilka innych, zależnych od niej osób, które musiały gdzieś mieszkać, w coś się ubierać i jeść. Same zaś, z różnych powodów, nie mogły zarobić na swoje utrzymanie.

Alice szła obok niej w milczeniu. Cassandra kazała jej nic nie mówić, gdy tylko zdołały się wysunąć przed rozgadanych pięć pań. Milczenie to było głuche i oskarżycielskie. Guwernantce wszystko bardzo się nie podobało, co nietrudno zrozumieć. Cassandra też nie chciała by patrzeć bezradnie, jak Alice lub Mary zamierzają się prostytuować, żeby ona miała co jeść.

Niestety, nie było innego wyjścia. A jeśli nawet istniało, Cassandra go nie dostrzegła, choć kilka bezsennych nocy spędziła na rozmyślaniach, jak je znaleźć.

Rozejrzała się wokoło. Jak na maskaradzie ukryła się pod maską i długim płaszczem. Maską okazał się czarny welon, płaszczem - wdowi strój. Sama mogła coś widzieć, choć niezbyt wyraźnie, ale nikt nie mógł rozpoznać, kim jest ona.

W czarnym stroju i pod welonem było jej nieznośnie gorąco. Miała nadzieję, że jakaś chmura przesłoni słońce, ale jak na złość było ich niewiele.

Chyba całe wytworne towarzystwo zebrało się w tym zakątku Hyde Parku! Cassandra zapomniała już, jak wyglądają przechadzki elegantów, a zresztą prawie nigdy w nich nie uczestniczyła. Wyszła za mąż młodo i podczas ślubem nie debiutowała podczas sezonu. Ukryta w tłumie przypatrywała się teraz damom w modnych i kosztownych, utrzymanych w żywych kolorach sukniach. Nie one jednak przyciągały jej uwagę, a nawet nie obchodziły jej wcale.

Skupiła zainteresowanie na mężczyznach. Było ich tu wielu, w każdym wieku i każdej społecznej kondycji. Kilku z nich obejrzało się za nią mimo jej nieatrakcyjnego stroju. Nie dostrzegła jednak żadnego, na którego spoglądałaby z przyjemnością, choć człowiek, który miał zapełnić jej pustą sakiewkę, nie musiał być kimś fascynującym.

Dostrzegła jednak dwóch panów, nie tylko dlatego, że obydwaj byli młodzi i przystojni, lecz tak do siebie niepodobni, że wydali się jej aniołem i diabłem.

Diabłem był starszy z nich. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści kilka lat, miał ciemną karnację i czarne włosy, przystojną, choć surową twarz, a oczy całkiem czarne. Uznała, że musi być niebezpieczny, i zadrżała mimo nieznośnego upału.

Anioł był młodszy, zapewne też od niej, złotowłosy, z regularnymi rysami i otwartą, pogodną twarzą. Jego oczy - z pewnością błękitne - i usta świadczyły o tym, że często się uśmiechał.

Przyjrzała mu się uważniej. Wyglądał na wysokiego i zgrabnie siedział w siodle, umięśnione nogi dobrze się prezentowały w obcisłych spodniach do konnej jazdy i czarnych, skórzanych butach. Był smukły, ale foremny. Ciemnozielony, mocno dopasowany surdut leżał na nim jak ulał. Cassandra pomyślała, że jego lokaj musiał się niezłe natrudzić, by wciągnąć na swojego pana tak obcisły strój.

Anioł i diabeł również ją zauważyli - diabeł śmiało, z uznaniem, anioł zaś z miną, która świadczyła, że współczuł jej, jako wdowie.

Potem jednak ich uwagę przyciągnęły jakieś dwie znane im już osoby - bardzo elegancka dama i jej towarzysz, zdumiewająco wręcz przystojny.

Anioł uśmiechnął się. Być może przypieczętował tym swój los.

Coś w nim zdawało się świadczyć o niewinności, zgodnej z jego anielskim wyglądem. Bez wątplenia był też bardzo zamożny. Cassandra zorientowała się nagle, że damy z tyłu za nią mówią właśnie o nim.

- To pan Huxtable - zaczęła jedna z nich z westchnieniem - a koło niego hrabia Merton. Czy widziałas kiedy przystojniejszego mężczyznę? A jego bogactwo dorównuje urodzie i tytułowi. Ma złote włosy, błękitne oczy, zdrowe zęby i czarujący uśmiech. To niesprawiedliwe, żeby jednemu mężczyźnie przy padło w udziale aż tyle zalet. Gdybym była dziesięć lat młodsza i niezamężna...

Wybuchnęły śmiechem.

- A ja wolałabym chyba pana Huxtable'a - powiedziała druga. - Cóż to za wspaniała, ciemna karnacja i grecka uroda! Nie miałabym nic przeciw temu, by znalazł się w moim łóżku, kiedy nie ma przy mnie Rufusa...

Towarzyszki roześmiały się, udając zgorszenie, a Cassandra spojrzała na Alice. Guwernantka mocno zacisnęła wargi, a na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy.

Anielska uroda, niewinność, bogactwo i wysokie urodzenie. Czyż może istnieć potężniejsza mieszanka?

- Jeśli nie padnę zaraz w jakąś kałużę, to chyba pęknę na kawałki - powiedziała. - A ani jedno, ani drugie wcale mi nie przypada do gustu. Może wyjdziemy wreszcie z tej ciżby i wrócimy do domu?

- Niektóre osoby - stwierdziła guwernantka, kiedy znalazły się niemal same na jakimś trawniku - powinny zamknąć usta, a potem wyszorować je mydłem. Nic dziwnego, że mają takie nieznośne dzieci, Cassie. Spodziewają się chyba, że guwernantki wychowują ich pociechy, oszczędzając im upomnień i klapsów.

- Strasznie cię to zirytowało - westchnęła Cassandra.

Przez chwilę obie szły w milczeniu.

- Pójdiesz na ten bal? - spytała Alice, kiedy wyszły na ulicę.
- Tak. Poradzę tam sobie, nie obawiaj się.
- Nie tego się boję - odparła cierpko Alice.

Cassandra znów zamilkła. Nie warto dłużej mówić na ten temat. Alice też pewnie doszła do takiego wniosku, bo więcej się nie odezwała.

Hrabia Merton. Pan Huxtable.

Anioł i diabeł.

Czy obaj pojawią się jutro na balu?

Nawet gdyby ich nie było, znajdzie się tam wielu innych.

Ze swoich topniejących niemal w oczach zasobów zapłaciła za dorożkę, by następnego wieczoru pojechać na Grosvenor Square. Nie mogła pójść tam nocą sama, zwłaszcza w wytwornej sukni i bez sługi, ale i tak nie przebyła całej drogi w powozie. Kazała dorożkarzowi zatrzymać się na sąsiedniej ulicy, a potem ruszyła do pałacu pieszo.

Postanowiła trochę się spóźnić, przed frontem stał już długi rząd karet. Okna błyszcząły światłem, schody pokrywał czerwony chodnik sięgający aż do samego bruku, tak by goście nie pobrudzili sobie pantofli.

Cassandra minęła skwer, wstąpiła na chodnik i weszła do środka w towarzystwie głośno rozmawiającej grupy nowo przybyłych. Podała płaszcz lokajowi, który skłonił się z szacunkiem, gdy po cichu podała swoje nazwisko. Nie zdradzał najmniejszego zamiaru wyrzucenia jej za drzwi. Wspięła się powoli po schodach wraz z innymi. Zapewne przy drzwiach sali balowej gospodarze witali gości, dlatego właśnie nie spieszyła się zbyt. Miała nadzieję, że ominie tę przeszkodę, jeśli nie zjawi się jako jedna z pierwszych.

Zapomniała tylko, że chcąc się spóźnić na wytworną zabawę, trzeba istotnie przyjść tam znacznie później od innych.

Goście w wybornych humorach witali się ze wszystkimi. Nikt nie odezwał się do samotnej kobiety, która nagle znalazła się pośród nich. Nikt też nie robił oburzonej miny ani nie wskazywał na nią oskarżycielsko, żądając usunięcia intruza. Nikt nawet na nią nie patrzył, choć nie miała co do tego zupełnej pewności.

Może już jej nie pamiętano? Dwa lub trzy razy przyjechała z Nigelem do Londynu. Pojawili się wówczas na kilku przyjęciach. Ale teraz pewnie nikt by jej nie rozpoznał.

Zresztą okazało się to nieistotne. Podała stojącemu przy drzwiach służce w eleganckiej liberii swoje nazwisko chłodnym tonem i choć nie znalazł go na trzymanej w ręce liście, zawahał się tylko przez moment. Cassandra uniosła brwi i postarała się spojrzeć na niego jak najbardziej wyniośle. Rzucił na nią okiem raz jeszcze i powtórzył nazwisko majordomowi wewnątrz sali, a on oznajmił je donośnie.

Wszyscy musieli go usłyszeć, nawet gdyby zatkali sobie uszy palcami.

- Lady Paget! - zaanonsował. A wtedy prysła jej nadzieja na zachowanie anonimowości.

Cassandra uścisnęła dłoń ciemnowłosej damy, domyślając się, że to hrabina Sheringford, i przystojnego mężczyzny koło niej. Musiał nim być ów osławiony hrabia. Nie miała jednak czasu, by się im dokładniej przyjrzeć. Skłoniła się też staremu dżentelmenowi siedzącemu tuż przy nich, przypuszczając, że to ów markiz o pustelnicznym usposobieniu.

- Lady Paget - odezwała się z uśmiechem hrabina - miło nam bardzo, że zechciała nas pani odwiedzić.

- Proszę łaskawie zatańczyć - dodał hrabia i też się uśmiechnął.

- Witam, lady Paget - mruknął stary markiz i skinął jej głową.

I już się znalazła na balu. Wszystko poszło gładko.

Tyle tylko, że wszyscy usłyszeli, jak się nazywa.

Serce tłukło się jej w piersi. Ujęła wachlarz i powoli go rozłożyła. Weszła do sali balowej, a potem zaczęła ją okrażać, co okazało się niełatwe, gdyż panował tu prawdziwy tłok. Pięć dam z parku miało rację, przewidując tłumne przybycie gości, pchanych choćby tylko nadzieją sprawdzenia, czy nie zanosi się na rozpad małżeństwa, którego zawieraniu asystowali trzy lata temu.

Cassandra poczuła instynktowną sympatię do hrabiowskiej pary, może dlatego, że także ciągnęła się za nimi sława, a ona wiedziała, ile bólu musieli z tej przyczyny znieść - i zapewne jeszcze teraz go czuli.

Poczucie osamotnienia nie jest rzeczą miłą. Każda z dam miała u swojego boku towarzysza lub przyzwoitkę, każdy mężczyzna zdawał się należeć do jakiejś grupy.

Nie tylko jednak samotność jej doskwierała, lecz także atmosfera panująca w sali. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy sobie uświadomiła, że jej nazwisko usłyszało dużo więcej osób niż hrabia i hrabina Sheringfordowie oraz markiz Claverbrook.

Ci zaś, którzy go nie dosłyszeli, poznają je zaraz dzięki potwarzanym szeptem plotkom obiegającym salę z szybkością naglego pożaru. Zatrzymała się więc, rozłożyła z wolna wachlarz jak najszerzej i spoza niego rozejrzała się wokoło, z uniesionym podbródkiem i nieznacznym uśmiechem.

Nikt nie patrzył na nią, a jednak wszyscy ją widzieli, i choć mogło się to wydawać sprzecznością samą w sobie, było jednak prawdą. Nikt nie wychodził jej naprzeciw, nikt też się przed nią nie cofał, kiedy stała nieruchomo, czuła się wyizolowana, jakby otaczała ją jakaś niewidzialna aura szeroka na pół metra.

Jak obnażona.

Mogła się jednak tego spodziewać. Postanowiła przecież, że nie posłuży się ani nazwiskiem fałszywym, ani panieńskim i przysłała bez maski. Nie osłaniał jej już czarny welon. Nieuchronnie więc musiał ją ktoś rozpoznać.

Nie przypuszczała, by ją wyrzucono.

Przeciwnie, rozpoznanie mogło jej przynieść tylko korzyść. Jeśli dobre towarzystwo zjawilo się tu tłumnie, by ujrzeć mężczyznę, który kiedyś uprowadził mężatkę, to perspektywa oglądania kobiety, która zabiła męża siekierą, wyda mu się czymś jeszcze bardziej pociągającym. A właśnie tak o niej plotkowano, nie starając się przedstawiać jej w sposób bardziej zbliżony do prawdy.

Spojrzała przed siebie, mając pewność, że nikt nie patrzy jej w oczy ani nie szuka jej spojrzenia. Nie znała tu nikogo. Skoncentrowała się na mężczyznach i dopiero teraz dotarło do niej, jak trudną metodę sobie obrała. Pełno tu ich było - młodych, starszych i w wieku średnim, wszyscy mieli na sobie nieskazitelne stroje. Nie mogła jednak z góry wiedzieć, kto z nich ma żonę, a kto nie, który ma dużo pieniędzy, a który jest biedny. Nie mogła także przewidzieć, kto ma skrupuły moralne, kto okaże się rozpustny czy też kto nie będzie skłonny do tak jaskrawych skrajności. A nie miała czasu, żeby się o tym dowiedzieć, nim dokona wyboru.

Nagle dostrzegła dwie pary znanych jej już oczu, w istocie zaś trzy. Wczorajszy diabeł dziś wyglądał równie satanicznie w czarnym wieczorowym stroju. Dama obok niego okazała się wczorajszą amazonką. Stała koło niego, trzymając go pod ramię, rozmawiała z nim i śmiała się. Mężczyzna, który wydał się jej wówczas wręcz komicznie przystojny, patrzył przed siebie z uśmiechem rozbawienia.

Diabeł rozejrzał się po sali spod nastroszonych brwi i jego wzrok spoczął na Cassandrze. Poruszyła powoli wachlarzem,

chłodząc policzki, i odwzajemniła mu spojrzenie. Diabeł unióś brwi, a potem nachylił głowę ku swojej towarzyszce i coś do niej powiedział, a ona znowu się zaśmiała. Nie mówili jednak o niej, jak się domyśliła.

Diabeł nazywał się Huxtable. Przez dłuższą chwilę nie odrywała od niego wzroku. Dostarczył jej okazji, która mogła się później przydać, gdyby nie trafiło się jej coś lepszego.

Mogłaby wówczas powiedzieć: „Widziałam, że pan na mnie spojrzał, i łamię sobie głowę, gdzie się też wcześniej spotkaliśmy. Proszę być tak uprzejmym i wyjaśnić mi to”.

Obydwoje by wiedzieli, że spotkania takiego wcale nie było, on zaś w dodatku doskonale by wiedział, że ona o tym wie. Początek zostałby jednak zrobiony i on z pewnością by z tego skorzystał.

Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że to człowiek niebezpieczny. Nie była doświadczoną kurtyzaną, tylko zdesperowaną kobietą, świadomą, że podoba się mężczyznom. Przez całe lata starała się wmówić sobie, że wcale tak nie jest. Dziś miało to być jej atutem.

Powiodła dokoła oczami, a wtedy naprzeciw siebie ujrzała anioła.

Wyglądał jeszcze przystojniej niż wczoraj w parku. Miał na sobie czarny wieczorowy żakiet, srebrzyste spodnie do kolan, haftowaną kamizelkę, wykrochmaloną białą koszulę i pończochy. Złote włosy, choć krótkie i dobrze ułożone, falowały swobodnie niczym naturalne kędziory, co stwarzało jakby jasną aureolę wokół jego głowy.

Stał obok jakiejś damy i mężczyzny tak bardzo podobnego do Huxtable'a, że Cassandra musiała szybko spojrzeć ku temu ostatniemu, żeby zyskać pewność, że nie przefrunął nagle na inne miejsce, gdy na niego nie patrzyła. Nie nosił jednak czarne-

go stroju, a twarz miał znacznie pogodniejszą. Widocznie musieli być braćmi. Może nawet bliźniakami.

Cassandra znów spojrzała na swojego anioła, hrabiego Mertona. Tylko o nim jednym ze wszystkich tu obecnych wiedziała coś niecoś. Jeśli wierzyć damom z parku - co do tłoku na balu wcale się nie pomyliły - był bogatym człowiekiem i w dodatku kawalerem.

No i ta jego niewinność! Czy świadczyła o nim dobrze, czy źle?

Nagle zrobił to samo, co przedtem Huxtable. Zatrzymał na Cassandrze wzrok, a ona odwzajemniła mu spojrzenie.

Nie uśmiechnął się ani nie uniośł ironicznie brwi, tylko spojrzał uważnie na nią, gdy się wachlowała. To ona popatrzyła na niego i uniosła brew. W odpowiedzi skinął jej lekko głową, lecz nagle ktoś stanął między nimi i przesłonił go.

Serce zabiło jej gwałtownie. Gra się rozpoczęła. Dokonała wyboru.

Wkrótce nastąpić miały tańce. Hrabina i hrabia Sheringford weszli już na posadzkę, a pozostali za nimi. Zobaczyła, że hrabia Merton stanął już w rzędzie mężczyzn, uśmiechając się do swojej partnerki, młodziutkiej i bardzo ładnej panny. Orkiestra na dany znak zagrała pierwsze takty, damy dygnęły przed dżentelmenami, a oni złożyli im ukłon. Rozpoczął się kontredans.

Cassandra bez pośpiechu zlustrowała wzrokiem wszystkich mężczyzn w sali, a puste pole wokół niej zaczęło się gwałtownie powiększać.

Stephen zjadł obiad w Claverbrook House w towarzystwie sióstr, szwagrów, markiza Claverbrook oraz sir Grahama i lady Carling, matki Sherry'ego, i jego ojczyma.

Meg denerwowała się wyraźnie przed balem, sądząc, że nikt nie przyjdzie, choć inni byli raczej zdania Monty'ego, iż

zabraknie wręcz miejsca dla chętnych, bo prawie wszyscy przyjęli zaproszenie.

Bal był przede wszystkim pomysłem Meg. Uważała, że nie ma po co wracać w tym roku do Londynu, gdyby wraz z Duncanem musiała się gdzieś kryć w nadziei, że nikt ich nie zauważy. Należało odważnie wydać wielki bal w pełni sezonu. Dziadek Sherry'ego, który wiele lat przed jej ślubem przesiedział w domu, a potem też się właściwie z niego nie ruszał, wyjąwszy dość częste i długie wizyty na wsi, zaskoczył wszystkich, oferując swój dom, nim jeszcze Elliott i Stephen zdążyli zaproponować swoje londyńskie siedziby.

Meg była więc teraz istnym kłębkim nerwów, przynajmniej do chwili gdy zaczęli napływać goście, tak licznie, że ci, co najwcześniej przybyli, zaczęli już wątpić, czy tańce w ogóle się zaczną.

Podczas tego długiego oczekiwania wszystkich ogromnie zafrapował nieproszony gość. Dama, która - niesłychane! - przyszła tu sama, nazywała się lady Paget. Była to osoba osławiona, co zresztą w tym wypadku było określeniem łagodnym. Jakiś rok temu zabiła bowiem męża. W każdym razie taka właśnie wersja dotarła do uszu Stephena.

A zrobiła to siekierą.

- Nie wierzę - powiedziała Vanessa, księżna Moreland, zarówno do Stephena, jak i Elliotta, stając między nimi i czekając, aż Meg i Sherry zaczną pierwszy taniec. - Skąd by wzięła siekierę? Ogrodnik zaraz by ją zapytał, po co jej siekiera, skoro służba wszystko za nią robi? Przecież by nie powiedziała, że ma zamiar posiekać lorda Pageta na kawałki i może zechcą łaskawie ją w tym wyręczyć. Poza tym musiałaby być wyjątkowo mocna, żeby się zamachnąć jak należy, i odciąć mu coś więcej niż tylko nadgarstki.

- Trafiłaś w sedno - odparł z rozbawieniem Elliott.

- A jeśli istotnie go zabiła - ciągnęła Vanessa - to znaczy, jeżeli ktoś ją widział wymachującą siekierą, czemu jej nie aresztowano?

- Gdyż w takim wypadku zostałaby skazana i wkrótce potem wymachiwałaby rękami i nogami z całkiem innej przyczyny, a mianowicie wisząc na szubienicy. Na pewno zaś nie zaszczyciłaby swoją obecnością sali balowej Claverbrooków, rozglądając się za partnerami do tańca.

Vanessa spojrzała na niego podejrzliwie.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Ani trochę, moja droga - i uniósł jej dłoń do warg, mrugając przy tym do Stephena.

- Zgadzam się z tobą, Nessie - powiedział Stephen. - Musimy wykluczyć siekierę. A może też całą resztę. Miejmy tylko nadzieję, że jej przybycie bez zaproszenia nie popsuje balu Meg.

- Będzie się o tym mówiło całymi tygodniami - dodał Elliott. - Któż gospodyni balu może sobie życzyć czegoś lepszego? Założę się, że wszyscy już zapomnieli o winie biednego Sherry'ego. Występki, jakie mu zarzucano, błedną w porównaniu z morderczynią, która zabiła kogoś siekierą. Myślę nawet, że należy jej osobiście podziękować.

Vanessa znów spojrzała na niego podejrzliwie, a Stephen rozejrzał się po sali za lady Paget. Dostrzegł pustą przestrzeń wokół niej. Zupełnie jakby się spodziewano, że zaraz wyciągnie siekierę spod sukni i zacznie nią wywijać.

Obejrzał ją sobie, kiedy po raz pierwszy o wszystkim usłyszał i gdy mu ją wskazano. Nie chciał, żeby czuła, że wszyscy się na nią gapią.

Czemuż była tak niemądra, żeby tu przychodzić? W dodatku samotnie i bez zaproszenia. Oczywiście, musiałaby przesiedzieć w domu resztę życia, gdyby się spodziewała je otrzymać.

Była wysoką kobietą o zmysłowych kształtach, a suknia bynajmniej ich nie ukrywała. Miała śmiały odcień szmaragdowej zieleni i spływała w miękkich fałdach, począwszy od biustu. Na kimś o szczuplejszej figurze fałdy te zwisałyby żałośnie, lecz u niej podkreślały jedynie talię, linię bioder i pozwalały się domyślać długich foremnych nóg. Rękawy były krótkie, a dekolt niewiele pola zostawiał domysłom. Nie miała na sobie żadnych ozdób. Strój uzupełniały białe, długie do łokcia rękawiczki, wachlarz i pantofelki do tańca. Nie nosiła klejnotów ani piór we włosach, zadziwiająco sprytny pomysł, bo właśnie włosy stanowiły koronę jej urody, co w tym wypadku nie było wcale konwencjonalnym komplementem. Jaskraworude, ujęte w pęk falujących, luźnych pasm na czubku głowy, podkreślały śmietankową biel skóry bez najmniejszej skazy. Twarz olśniewała urodą mimo znudzonej, wyniosłej i lekko wzgardliwej miny. Stephen nigdy nie widział spojrzenia, które bardziej zasługiwałoby na miano maski, i wątpił, by istotnie wyrażało ono jej odczucia. Nie mógł dojrzeć koloru oczu, które robiły wrażenie nieco skośnych.

Wszystko to zauważył już przedtem. Teraz dostrzegł od razu, że patrzy prosto na niego. Oparł się odruchowi, by pospiesznie przenieść wzrok gdzieś dalej. Zapewne robił to każdy, na kogo popatrzyła. Odwzajemnił jej spojrzenie. Nie odrywała od niego oczu, czego się zresztą spodziewał. Powoli złożyła wachlarz, uniosła arogancko brwi, a jej wargi wygięły się w czymś, co mogło uchodzić za uśmiech albo też nie.

Stephen skłonił się przed nią, gdy tylko sir Carling z żoną przyszli im powiedzieć, że zaraz zaczną się taniec.

Wcześniej poprosił do niego lady Christobel Foley. Minęła go wraz ze swoją matką, gdy tylko weszły do sali, i zatrzymała się na chwilę, żeby go pozdrowić. Zanim podeszły ponownie, okazało

się, że taniec, który zarezerwował sobie wczoraj w parku, będzie otwierał bal, potem może z nią jeszcze zatańczyć drugi raz.

Spojrzał znów na lady Paget, gdy razem z partnerką zajęli miejsca w obu rzędach tancerzy, czekając, aż orkiestra zacznie grać. Stała tam, gdzie przedtem, ale już nie spoglądała w jego stronę.

Nagle poczuł, że ją poznaje, choć nie miał co do tego zupełnej pewności. A jednak wyraźnie czuł, że to właśnie ona była damą w czerni, którą widzieli wczoraj z Conem podczas konnej przejażdżki.

Tak, z pewnością to ona, choć wyglądała teraz całkiem inaczej.

Poprzedniego dnia ukazała mu się okryta ciężkim odzieniem. Dziś stała przed nim na oczach zaskoczonego towarzystwa, a jedynym kamuflażem była chłodna obojętność czy nawet wzgarda okazywana wszystkim dookoła.

3

Cassandra postanowiła, że drugi taniec musi być jej pierwszym. Nie mogła stać przez cały wieczór, bo zacznie wyglądać śmiesznie i sprawi, że całe to przykre przedsięwzięcie okaże się bezcelowe.

Gdy jednak skończył się pierwszy z tańców, hrabia i hrabina Sheringfordowie podeszli, żeby zamienić z nią kilka słów. Widziała, że się do niej zbliżają, i znowu rozłożyła wachlarz, uśmiechnęła się nieznacznie, a potem uniosła nieco brwi. Jeśli zamierzali prosić ją o to, żeby stąd wyszła, nie da nikomu tej satysfakcji, by mógł ją ujrzeć zakłopotaną.

- Lady Paget - zaczął hrabia - w sali balowej zrobiło się gorąco, choć wszystkie okna są pootwierane. Czy mogę zaproponować pani coś do picia? Może wino, sherry, ratafię albo lemoniadę?

- Chętnie przyjąłabym kieliszek wina, dziękuję.

- A co dla ciebie, Maggie? - hrabia zwrócił się ku żonie.

- To samo, Duncanie - odparła i popatrzyła w ślad za nim, gdy odchodził.

- Na balu jest mnóstwo gości - odezwała się Cassandra. - Musi pani chyba być z tego rada.

- Tak, czuję wielką ulgę - przyznała gospodyni. - Choć urządziłam sporo przyjęć dla brata, nim wyszłam za mąż, za każdym razem trochę się niepokoiłam. Nigdy mi wtedy jednak nie przyszło do głowy, że jakieś okropne wydarzenie mogłoby wszystko zepsuć. Nie byłam w Londynie od czasu, gdy przed trzema laty wyszłam za mąż, i wszystko wydaje mi się teraz inne, zwłaszcza moja ówczesna pewność siebie. Może powinniśmy wrócić tu wcześniej, ale byliśmy tak szczęśliwi na wsi, mając dzieci przy sobie.

Oczywiście to ona była tym okropnym wydarzeniem, które groziło zepsuciem całego wieczoru. Cassandra zrozumiała, o co chodzi. Zacisnęła usta i nic nie powiedziała.

- Bałam się straszliwie - ciągnęła lady Sheringford - że nikt nie przyjdzie na bal prócz mego brata, siostr i teściowej, choć pocieszało mnie trochę, że przyprowadzą one ze sobą przynajmniej własnych mężów. Tylko mój brat nie przyprowadził nikogo, gdyż się dotąd nie ożenił.

- Niech się pani nie obawia - odparła Cassandra. - Ludzie ze złą opinią zawsze przyciągają uwagę. Ludzie są nieuleczalnie ciekawskimi istotami.

Hrabina zdziwiła się lekko i chciała coś odpowiedzieć, lecz wtedy właśnie powrócił hrabia z kieliszkami.

- Lady Paget, może będzie pani tak uprzejma, by zatańczyć teraz ze mną? - spytał, gdy powoli sączyła swoje wino.

Cassandra uśmiechnęła się do niego, potem do jego żony, a wreszcie kolejny raz do hrabiego.

- Czy na pewno pragnie pan ze mną zatańczyć, a nie prosić mnie o opuszczenie Claverbrook House?

- Na pewno - odparł z uśmiechem, ale wymienili z żoną spojrzenia.

- Jesteśmy dostatecznie obcy ze... złymi opiniami o nas, lady Paget - odezwała się hrabina - by nie zwracać uwagi na cudze. Zwłaszcza gdy chodzi o naszego gościa.

- Który przybył tu bez zaproszenia. - Cassandra upiła kolejny łyk wina.

- Nawet gdyby chodziło o kogoś takiego - zgodziła się hrabina i całkiem nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. - Poznałam mego męża podczas balu, na który go wcale nie zaproszono, i dotąd jeszcze się cieszę, że znaleźliśmy się tam obydwój. W przeciwnym razie mogłabym go nigdy nie spotkać. Proszę, niech się pani u nas dobrze bawi.

Ktoś dotknął ramienia lady Sheringford, odwróciła się więc, żeby na niego spojrzeć. Był to, jak Cassandra mogła zobaczyć, jej diabeł, pan Huxtable.

- Constantine - hrabina uśmiechnęła się serdecznie - to ty! A już się bałam, że zapomnisz o zatańczeniu drugiego tańca ze mną i będę zmuszona podpierać ścianę.

- Jakże mógłbym zapomnieć. - Huxtable położył rękę na sercu. - Przez cały dzień czekałem na tę chwilę, Margaret.

- Co za bzdury! - Meg parsknęła śmiechem. - Lady Paget, to mój kuzyn, Constantine Huxtable.

Kuzyn hrabiny zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i skłonił się.

- Bardzo mi miło.

Cassandra odpowiedziała mu skinieniem głowy i poruszyła wachlarzem.

- Witam pana.

Zauważyła, że Huxtable ją o coś podejrzewa, a bezwzględne spojrzenie ostrzegało, że jeśli odważy się zepsuć w jakikolwiek sposób bal jego kuzynce, nie ujdzie to jej na sucho. Dojrzała w tym coś więcej niż groźbę. Mógł uknuć przeciw niej jakąś intrygę, gdyby taki był jej zamiar, lecz przecież rzeczy miały się całkiem inaczej.

- Twój bal jest wielkim sukcesem, Margaret - stwierdził. - Przewidywałem to zresztą.

Mówiąc to, nie spuszczał oka z Cassandry.

Dopiła resztę wina.

- Myślę, że należy już zacząć taniec - powiedział lord Sheringford, odbierając od niej pusty kieliszek i stawiając go na jednej z konsolek. - Czy mogę panią prosić, madame? - spytał, podając jej ramię.

- Dziękuję. - Cassandra położyła mu dłoń na rękawie i pozwoliła wachlarzowi zawisnąć na drugiej ręce.

Nie wiedziała, czy hrabia i hrabina zamierzali zapanować nad konsternacją, jaką mogła spowodować jej obecność na balu, czy też po prostu chcieli być dla niej uprzejmi. Miała nadzieję, że to drugie, ale tak czy inaczej była im wdzięczna.

Spojrzała z zaciekawieniem na hrabiego, gdy zajęli już miejsca w swoich rzędach. Jakże mógł porzucić nieszczęsną narzeczoną w dniu ślubu? Pomyślała jednak z pewnym rozbawieniem, że był zapewne tak samo ciekaw, jak też ona mogła zabić swojego męża. I to siekierą!

Orkiestra zaczęła grać. Po chwili tańca Cassandra rozejrzała się wokoło i stwierdziła, że stali się ośrodkiem zainteresowania.

Dwoje wyrzutek! Po cóż jednak miała patrzeć na innych? Czego się spodziewali? Na co mieli nadzieję? Ze ona i lord Sheringford chwycą się nagle za ręce i wspólnie uciekną z sali balowej, dokonując kolejnego uprowadzenia?

Tak ją to rozbawiło, że uśmiechnęła się, nieco krzywo, i w tej samej chwili spojrzała na hrabiego Mertona. Tańczył z panną, z którą rozmawiał przed pierwszym tańcem, ale to jej, Cassandrze, odpowiedział uśmiechem.

Tak, wyraźnie uśmiechnął się do niej i nie patrzył na nikogo innego, póki nie zwrócił znów uwagi na swoją partnerkę. Nachylił się ku niej, chcąc usłyszeć, co mówi.

Stephen tańczył następny taniec z Vanessą. Chętnie by go tańczył z lady Paget, gdyby nie to, że już wcześniej zarezerwował go dla siostry. Rad był, że Meg i Sherry rozmawiali z Cassandrą i że Sherry poprosił ją do tańca. Było mu jej żal.

Bez wątpienia grzeszył nadmiarem współczucia. Nie ma przecież dymu bez ognia, nawet jeśli to tylko mała iskierka. Nie wierzył w historię z siekierą, choć były to raczej przypuszczenia bez konkretnych szczegółów. Nie miał nawet pewności, czy wierzy w samo morderstwo. Gdyby tak było, siedziałyby przecież w więzieniu. A skoro od śmierci męża minął rok, dawno by ją powieszono.

Skoro zaś całkiem żywa przyszła dzisiaj na bal u Meg, to albo wcale nie zabiła męża, albo nie było dowodów, że tak zrobiła, i dlatego jej nie uwięziono.

Wyglądała jednak na kogoś, kto mógłby popełnić morderstwo, a jaskraworude włosy świadczyły o porywczej naturze i silnym temperamencie. Nessie twierdziła, że kobieta nie potrafi udźwignąć siekiery, ale lady Paget wyglądała jego zdaniem na osobę dosyć mocną.

Mógł sobie zresztą darować te rozważania. Nic nie wiedział ani o niej, ani o okolicznościach śmierci jej męża i wszystko to nie powinno go obchodzić.

A jednak współczuł jej, wiedząc, że większość w tej sali żywi podobne przypuszczenia, lecz ani myśli powściągać swoich domysłów czy choćby litościwie wątpić w jej winę.

Postanowił z nią zatańczyć, ale następnym tańcem miał być walc, a jako partnerki do walca wolał wybierać młode panienki, bardziej przypominające jego ideał kobiecej piękności niż lady Paget. Chciał tak zrobić zwłaszcza tego wieczoru, bo po trzecim z tańców następowała kolacja, a wówczas mógłby usiąść obok panny, z którą tańczył. Miał już na uwadze kilka kandydatek, ale wszystkie były wręcz rozrywane i mogły już walca zarezerwować dla kogoś innego. A może wolałyby go wcale nie tańczyć, bo nie zyskałyby im to aprobaty jednej z patronek klubu Almacka. Walc nadal jeszcze uważany był za taniec zbyt śmiały dla młodych i niewinnych dziewcząt.

Zatańczy więc z lady Paget po kolacji. Może teraz któryś z dżentelmenów zdobędzie się na grzeczność i zrobi to zamiast niego albo przynajmniej z nią uprzejmie porozmawia. Może po kolacji już jej tu nie będzie? Może wymknie się cichaczem, rozumiejąc, że wieści o jej złej reputacji na długo przed nią dotarły do Londynu? Ulżyłoby mu, gdyby tak się właśnie stało. Przeszła mu ochota na taniec z lady Paget.

Panna Susanna Blaylock przyrzekła już jednak walca Freddiemu Davidsonowi i powiadomiła o tym Stephena, kiedy do niej podszedł. Wyglądała na rozczarowaną i powiedziała, że ma wolny następny taniec, Stephen więc zarezerwował go sobie. Oczywiście, po kolacji.

Potem zaś, gdy zamierzał nadal szukać sobie partnerki do walca, kilku znajomych wciągnęło go do swego kółka, żeby usłyszeć, co sądzi na temat kupna pary gniadoszy lub siwków do no-

wej kariolki. Które z nich wyglądałyby lepiej? Którą parą dałoby się łatwiej kierować? Którą wołałyby damy? Stephen przyłączył się do dyskusji i śmiał razem z innymi młodzieńcami.

Po kilku minutach poczuł jednak, że jeśli nie wycofa się jak najszybciej, nie znajdzie żadnej damy, a nie znosił marnować okazji do tańczenia walca.

- A może jeden siwek i jeden gniadosz? - podsunął z rozba wieniem. - To by na ciebie zwróciło uwagę wszystkich, Curtiss. Wybaczcie mi jednak...

Odwrócił się i nie dokończył zdania, bo o mało nie zderzył się z jakąś osobą tuż za nim. Instynktownie chwycił ją za ramię, by się nie przewróciła.

- Przepraszam... - zaczął i znalazł się oko w oko z lady Pa get. - Powinienem uważać na to, co robię.

Lady Paget nie spieszyła się z odejściem. Trzymała w ręce wachlarz - chyba z kości słoniowej, zdobiony ładnym wzorem z filigranu - i poruszała nim powoli, chcąc ochłodzić twarz.

O Boże, oczy miała niemal w tym samym odcieniu, co suknia. Nigdy u nikogo nie widział oczu równie zielonych i w dodatku lekko skośnych. Na tle rudych włosów wyglądały wręcz oszałamiająco. Rzęsy były ciemniejsze od włosów i gęste, bił od niej zapach jakichś nieokreślonych perfum, kwiatowy, ale ani zbyt mocny, ani zanadto słodki.

- Wybaczam panu - odezwała się niskim, aksamitnym głosem, a Stephen poczuł, że dreszcz przebiegł mu po plecach.

Już wcześniej zauważył, że w sali jest gorąco mimo otwartych okien, ale dopiero teraz poczuł, że robi się w niej także duszno.

Uśmiechnęła się dyskretnie, nadal wpatrzona w niego.

Spodziewał się, że pójdzie dalej swoją drogą, ale tak nie zrobiła. Być może dlatego, że wciąż trzymał ją za ramię. Puścił ją i po raz kolejny przeprosił.

- Widziałam, że pan na mnie patrzy - zaczęła - i ja też spoj
rzałam na pana. Czy nie spotkaliśmy się już przedtem?

Musiła wiedzieć, że nie. Chyba że...

- Tak, widziałem panią wczoraj po południu w Hyde Parku.
Może moja twarz wydała się pani znajoma, bo pani też mnie tam
widziała, tylko sobie tego nie przypomina. Była pani we wdowim
stroju.

- Jaki pan bystry. Sądziłam, że nie sposób mnie w nim roz-
poznać.

Dojrzał w jej wzroku rozbawienie, ale nie miał pewności, czy
spowodował je przyływ humoru, czy też jakaś niewytłumaczalna
wzgarda.

- Przypomniałam sobie o tym, kiedy tylko pana ujrzałam dziś
wieczór. Jakże mogłabym pana zapomnieć? Pomyślałam wtedy, że
wygląda pan jak anioł. Dziś zresztą też.

- Doprawdy... - Stephen zaśmiał się z zakłopotaniem i roz-
bawieniem jednocześnie. Jakoś nie potrafił się dzisiaj zręcznie
wysłowić. - Wygląd może mylić, madame.

- O, tak. Jak najbardziej. Może po bliższej znajomości zmienię
o panu zdanie, jeśli, oczywiście, do niej dojdzie.

Stephen zapragnął, żeby jej dekollet był nieco płytszy albo żeby
nie stała tak blisko niego. Poczulby się jednak głupio, odstępując w
tył akurat teraz, bo powinien to zrobić, gdy tylko puścił jej ramię.
Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy.

Wargi miała pełne i szerokie, chyba najbardziej zachęcające do
całowania usta, jakie widział. Nie, nie chyba, na pewno. Dopełniały
i tak już doskonałą urodę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, cofając się nareszcie tak,
by się przed nią lekko skłonić. - Merton, do pani usług, madame.

- Wiem. Gdy się spotka anioła, nietrudno się dowiedzieć, jak
on się nazywa. Ja też chyba nie muszę się panu przedstawiać.

- Lady Paget. Miło mi panią poznać, madame.
- Naprawdę? - spojrzała na niego spod wpróprzymkniętych powiek, wciąż z rozbawieniem.

Zobaczył ponad jej ramieniem, że pary zajmują swoje miejsca. Muzycy stroili instrumenty.

- Czy zechce pani zatańczyć walca, lady Paget?
- Z pewnością, ale nie mam partnera.

Uśmiechnęła się tak szeroko i z tak zadziwiającą siłą, że Stephen niemal cofnął się o kolejny krok.

- A czy zatańczy go pani ze mną?
- Chętnie, lordzie Merton. Jak pan sądzi, po co się z panem zderzyłam?

Dobry Boże.

Podał jej rękę.

Miała dłoń o wysmukłych palcach, obciążoną białą rękawiczką. Stephen pomyślał, że nigdy nie zdołałaby ująć w nią siekiery ani żadnej innej śmiertelnej broni. Była jednak mimo to bardzo niebezpieczna.

Naprawdę bardzo niebezpieczna.

Cały kłopot w tym, że nie wiedział, co o tym myśleć.

Musi zatańczyć walca z osławioną lady Paget, a potem siedzieć obok niej przy kolacji.

Przysięgłby, że w miejscu, gdzie oparła swoją dłoń na jego ręce, przeszły mu ciarki.

Poczuł się idiotycznie młody, niezręczny i naiwny, choć wcale taki nie był.

Okazał się wyższy, niż sądziła Cassandra. Przerastał ją o pół głowy albo nawet o więcej. Miał szerokie barki, a piersi i ramiona dobrze umięśnione. Nie potrzebował żadnych wyściółek poprawiających sylwetkę. Talia i biodra były szczupłe, nogi długie

i kształtne, a oczy, intensywnie błękitne, wydawały się uśmiechnięte nawet wtedy, gdy nie robiły tego usta - wyraziste i świadczące o pogodnym charakterze. Zawsze sądziła, że bruneci są atrakcyjniejsi, ten jednak miał jasne włosy i ciało bez żadnej skazy.

Z pewnością był od niej młodszy i - co jej wcale nie dziwiło - cieszył się powodzeniem u kobiet. Widziała, jak smętnie wodziły za nim wzrokiem w czasie poprzednich dwóch tańców te, które nie tańczyły wcale, a nawet te, z którymi zatańczył. Dostrzegła także, jak w niektórych rosło podniecenie i spoglądały ku niemu, kiedy nadszedł czas wybierania sobie partnerek do walca. Podejrzewała, że właśnie dlatego kilka z nich zwlekało do ostatniej chwili na przyjęciem oferty jakiegoś innego, mniej pożądanego tancerza.

Cechowała go jakoś otwartość, nawet wręcz niewinność.

Cassandra położyła mu jedną rękę na ramieniu, a drugą uchwyciła jego dłoń. On objął ją prawą ręką w talii. Zagrała muzyka.

Nie miała zamiaru uszanować jego niewinności. Będzie z nim całkiem szczerą. Powiedziała mu, że go pamięta, że świadomie dowiadywała się, kim jest, i równie świadomie zderzyła się z nim, żeby musiał z nią zatańczyć. To wystarczające ostrzeżenie. Jeśli jest na tyle niemądry, by po walcu kontynuować znajomość z lady Paget - kobietą, która zabiła męża siekierą - to sam musi ponieść tego konsekwencje.

Porwał ją wir tańca, przymknęła na moment oczy. Dała się ponieść marzeniom. Jak miło byłoby pozwolić sobie choćby na pół godziny zabawy! Już od bardzo dawna nie czuła takiej radości.

Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Spojrzała mu prosto w oczy. Uśmiechały się do niej.

- Umie pani tańczyć walca.

Czy naprawdę umiała? Tańczyła go raz w Londynie, wiele lat temu, i kilkakrotnie na wiejskich zabawach. Nie uważała się wcale za dobrą tancerkę.

- Oczywiście - odparła - jeśli tylko mam partnera, który tańczy go jeszcze lepiej.

- Moją najmłodszą siostrę bardzo ucieszą te słowa, bo sobie przypisze całą zasługę. Nauczyła mnie walca dawno temu, kiedy byłem jeszcze niezdarnym młodzieńcem, który sądził, że tańce są w sam raz dla dziewczyn, i wołał wspinać się na drzewa lub pływać w strumieniu.

- Pana siostra była mądra. Zdawała sobie sprawę, że z chłopców muszą kiedyś wyrosnąć mężczyźni, a ci wiedzą, że walc to konieczny wstęp do zalotów.

Stephen uniósł ze zdumieniem brwi.

- Albo do uwodzenia - dodała.

- Nie próbuję pani uwodzić, lady Paget. Przepraszam, jeśli...

- Widzę - przerwała mu - że jest pan dżentelmenem w każdym calu, lordzie Merton. Wiem, że wcale mnie pan nie uwodzi. Odwrotnie, to ja usiłuję pana uwieść. Dodam też, że postanowiłam dołożyć starań, by mi się to powiodło.

Tańczyli teraz w milczeniu. Wirowali oboje wokół sali wraz z innymi parami. Suknie kobiet mieniły się barwami, świece w kinkietach migotały. Prócz muzyki słychać było głośnie rozmowy i śmiechy.

Czuła ciepło bijące od jego ramion i dłoni, promieniujące z ciała.

- Dlaczego pani to robi? - spytał cicho po dłuższej przerwie.

Odchyliła głowę w tył i uśmiechnęła się do niego.

- Bo jest pan piękny, lordzie Merton, i nie mam zamiaru wciągać pana we flirt, jak robiło dziś wiele z młodych dam. Byłam już mężatką i wystarczy mi tego na całe życie.

Nie odwzajemnił jej uśmiechu, tylko patrzył na nią przenikliwie. A potem jego oczy złagodniały i znów stały się pogodne, a uśmiech pojawił się na twarzy.

- Zdaje mi się, lady Paget, że lubi pani bulwersować innych.

Wzruszyła ramionami, wiedząc, że gdy tak zrobi, jeszcze bardziej odśłania swój gros. Dotychczas Merton istotnie był dżentelmenem, nie zabłądził wzrokiem poniżej jej podbródka. Teraz jednak zrobił to i lekko się zarumienił.

- Czy chce się pan już żenić? - spytała. - Rozgląda się pan za żoną? Czy zamierza pan założyć rodzinę i płodzić potomstwo?

Muzyka przestała grać, a oni stali naprzeciw siebie, czekając na następną melodię.

- Nie, madame - odparł poważnie. - Odpowiedzią na wszystkie te trzy pytania będzie „nie”. Jeszcze nie teraz. Przykro mi, ale...

- A zatem jest tak, jak myślałam. Ile pan ma lat, lordzie Merton?

Znów rozległy się dźwięki muzyki, tym razem nieco szybsze. Stephen wyglądał na rozbawionego.

- Dwadzieścia pięć.

- A ja dwadzieścia osiem i po raz pierwszy w życiu jestem wolna. Cudownie jest być wdową, lordzie Merton, jakaż to swoboda! Nareszcie nie muszę być posłuszna żadnemu mężczyźnie, obojętne, ojcu czy mężowi. Nareszcie mogę zrobić z moim życiem, co tylko chcę, nieskrępowana żadnymi regułami wymyślonymi przez mężczyzn.

Być może jej słowa zabrzmiałyby bardziej przekonująco, gdyby nie znalazła się w skrajnej nędzy i gdyby trzy inne osoby bez żadnej winy nie były tak całkowicie od niej zależne. To były tylko przechwałki, ale słowa „wolność” i „niezależność” zawsze robią wrażenie.

- Nic panu nie grozi z mojej strony, lordzie Merton. Nie wyjdę za pana, choćby mnie pan codziennie o to prosił na klęczkach i każdego dnia przysyłał dwa tuziny róż.

- Ale chce mnie pani uwieść?

- Tylko jeśli okaże się to konieczne - odparła - czyli gdyby pan tego nie chciał lub się wahał. Jest pan bardzo przystojny, a jeśli już koniecznie mam rezygnować ze swojej wolności, wołałabym dzielić łożę z kimś doskonałym niż z kimś, kto takim nie jest.

- Tu jest pani skazana na porażkę. Żaden mężczyzna nie jest doskonały.

- Istotnie, byłby wtedy nie do zniesienia nudny. Bywają jednak mężczyźni doskonale przystojni i absolutnie pociągający. Przypuszczam, że istnieje co najmniej kilku takich, lecz teraz widzę tylko jednego. Może zresztą nie ma nikogo poza panem. Może jest pan jedyny.

Roześmiał się na cały głos, a Cassandra po raz pierwszy dostrzegła, że zwracają na siebie powszechną uwagę, podobnie jak jej taniec z lordem Sheringfordem.

Wczoraj hrabia Merton i pan Huxtable wydali się jej aniołem i diabłem. Zapewne zebrane tu dziś towarzystwo tak samo widzi ich oboje.

- Lubi pani szokować, lady Paget, i chyba się przy tym świetnie bawi. Uważam również, że przynajmniej przez jakiś czas powinniśmy raczej skoncentrować się na tańcu i jego figurach.

- Ach - Cassandra zniżyła głos - wyczuwam u pana obawę, że mówię to serio. Albo że właśnie wcale tego nie robię. A może po prostu przeląkł się pan, że pewnej nocy rozwałę panu głowę siekierą, gdy będzie pan spał spokojnie tuż przy mnie.

- Żadna z tych trzech możliwości nie wchodzi w grę, obawiam się jednak, że pomylę kroki, nadepnę pani na palce i zrobię

z siebie ostatniego osła, gdy nadal będziemy ciągnąć tę rozmowę. Siostra nauczyła mnie liczenia kroków podczas tańca, a ja nie umiem tego robić, jeśli w tym samym czasie prowadzę ryzykowną dyskusję z piękną kusicielką.

- Niech je więc pan liczy dalej, lordzie Merton.

Nie wie, czy mówię serio, czy żartuję, pomyślała, gdy tańczyli w milczeniu - tak jak tego chciała.

Był jednak pociągający- intrygujący i atrakcyjny. Tak, jak tego chciała.

Teraz już tylko musi namówić go, by zarezerwował dla niej ostatni taniec, a wówczas sam się przekona, czy mówiła serio, czy nie.

Szczęście jej sprzyjało i dostała coś lepszego niż konieczność czekania na koniec z boku. Tańczyli przez dłuższą chwilę bez słowa. Spojrzała na niego, gdy muzyka ucichła i już nabierała tchu, żeby się odezwać, gdy on przemówił pierwszy.

- To był ostatni taniec przed kolacją, lady Paget, co daje mi przywilej towarzyszenia pani w drodze do jadalni i siedzenia koło niej, jeśli, oczywiście, wolno mi będzie to zrobić.

- Ależ oczywiście - odparła, patrząc na niego spod rzęs. - Jakże mam w inny sposób zakończyć uwodzenie pana, co sobie wcześniej zaplanowałam.

Roześmiał się cicho.

4

Stephen czuł się jednocześnie oszołomiony i zażenowany, rozbawiony i skonsternowany.

W co, do diabła, dał się wciągnąć dziś wieczór?

Czy rzeczywiście dostrzegła go wczoraj spod gęstego welonu, kiedy to zauważyli ją razem z Conem, a potem wysłedziła go tutaj i specjalnie zderzyła się w nim, żeby musiał z nią zatańczyć walca?

Słowa te wciąż brzmiały mu w uszach, choć nie mógłby przyśiąć, czy mu się czasem nie przyśniły.

Kiedy muzycy przestali grać, wzięła go pod rękę, zamiast ułożyć mu dłoń na rękawie w bardziej formalny sposób. Sala balowa szybko opustoszała. Goście zmierzali ku jadalni i salonom po obu stronach. Każdy chciał coś zjeść i wypocząć po tańcach.

Wszyscy patrzyli na nich, wprawdzie nie całkiem otwarcie, ale byli świadomi tego, co się między nimi działo, i koncentrowali na nich uwagę. Stephen widział to, co było całkiem zrozumiałe, gdyż już samo przybycie lady Paget na bal bez zaproszenia narobiło sporo szumu.

Nie krępowało go bynajmniej, że idzie razem z nią. Był nawet z tego rad, bo jego obecność chroniła ją od jawnych zniewag czy ostentacyjnego lekceważenia, w czym celowało wielu dandysów. Nie znał dobrze szczegółów, lecz Meg i Sherry nie wyrzucili jej za drzwi, a nawet starali się przyjąć ją życzliwie, innym gościom wypadało więc robić to samo, a zatem okazywano jej przynajmniej uprzejmość.

Wypatrzył mały stół z krzesłami po obu stronach w salonie na lewo od jadalni i poprowadził ją tam.

- Może tu siądziemy?

Istotnie, powinno jej tu być lepiej niż przy którymś z długich stołów w jadalni, gdzie znalazłaby się na widoku.

- Sam na sam? - spytała. - Jak sprytnie pan to obmyślił, lordzie Merton.

Posadził ją przy stole i poszedł do jadalni, by napełnić talerze.

Czy rzeczywiście ofiarowywała mu się jako kochanka? A może chodzi o chwilowy kaprys? Czyżby niczego nie zrozumiał? Może

sobie po prostu z niego zażartowała? Nie, zrozumiał wszystko, jak należy. Wyraźnie powiedziała, że go uwiedzie. O Boże, spytała też, czy się nie boi, że zabije go siekierą!

Ktoś ścisnął go mocno za ramię. Meg patrzyła na niego rozpromieniona.

- Jestem z ciebie bardzo dumna. A także z siebie, bo zdołałam wychować mojego jedyne go brata na dżentelmena. Dziękuję ci.

- Za co? - zdumiał się.

- Za to, że zatańczyłaś z lady Paget. Wiem, co to znaczy być pariasem, choć nigdy nie doznałam prawdziwego ostracyzmu. Wszyscy winniśmy traktować uprzejmie innych ludzi, zwłaszcza gdy możemy kogoś osądzać jedynie na podstawie plotek. Czy przysiądziesz się do nas podczas kolacji?

- Lady Paget jest w sąsiednim pokoju i czeka, aż przyniosę jej jedzenie.

- Nie martw się, Nessie i Elliott się nią zaopiekują. Chcą ją do siebie zaprosić. Jestem dumna z was wszystkich, choć przypuszczam, że robicie to nie tylko ze względu na nią, ale i na mnie.

- Gdzie jest markiz Claverbrook?

- Poszedł już spać. Upierał się niemądrze, że będzie witać gości i przyjrzy się dwóm pierwszym tańcom, choć był przeraźliwie zmęczony i nie cierpi towarzyskich spotkań nawet wtedy, gdy jest w dobrej formie. A potem rozżłościł się na nas za to, że pozwałam tańczyć walca. Za jego czasów nikt by się nie ośmielił na coś równie niestosownego. - Oczy jej błysnęły. - Posłałam go więc do łóżka. Duncan przysięga, że tylko ja potrafię poradzić sobie z dziadkiem, ale każdy zdołałby to robić, gdyby się go tak bardzo nie bano. W gruncie rzeczy jest łagodny jak baranek mimo całej swojej srogości.

Stephen podszedł do bufetu i napełnił obydwie talerze smakołykami i słodyczami w nadziei, że lady Paget będą smakowały przynajmniej niektóre z nich.

Kiedy wrócił do saloniku, wachlowała sobie twarz i uśmiechała się nieco wyniośle i wzgardliwie. Wszystkie stoliki wokół niej były zajęte, ale nikt z nią nie rozmawiał ani nawet nie rozmawiano o niej - w każdym razie nie na głos. Stephen poczuł jednak namacalnie, że wszyscy są świadomi jej obecności. Domyślił się, że niektórzy specjalnie wybrali ten salonik właśnie dlatego, że ona się w nim znalazła. W przyszłym tygodniu będą rozprawiać o jej zachowaniu w salonach całego Londynu lub narzekać, że musieli jeść kolację koło morderczyni.

Taka już jest ludzka natura.

Postawił przed nią talerz i usiadł naprzeciwko nad swoim. Ktoś podał im już dwie filiżanki herbaty.

- Mam nadzieję, że przyniosłem coś, co pani odpowiada.

Spojrzała na swój talerz.

- Owszem. To pańska osoba.

Ciekaw był, czy zawsze mówi tak otwarcie.

Na pewno była najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek ujrzał. Gdy tańczyli walca, ciepło jej ciała zdawało się go ogarniać, choć zachowywała się nader poprawnie i ani razu nie próbowała zbliżyć się do niego.

- Bała się pani, że nie wrócę? Czy może tego, że siedzi pani sama na oczach wszystkich i jest skępowana?

- Czyżby oczekiwali, że wyciągnę spod sukni siekierę i zacznę nią wywijać nad głową z dzikim wrzaskiem? - spytała ironicznie. - Nie przywiązuję do tego wagi. To nonsens.

Była szczerą aż do bólu, albo może zrozumiała, że atak jest najlepszą obroną.

- Plotki zawsze są nonsensowne - zauważył.

Wciąż jeszcze uśmiechając się wzgardliwie, wybrała kawałek langusty i uniosła go do ust.

- Zazwyczaj tak właśnie jest - zgodziła się. - Ale czasami bywa odwrotnie, lordzie Merton. Musi się pan zastanowić.

Domyślił się, o co jej chodziło.

- Czy zabiła pani męża? Nic mnie to nie obchodzi, madame.

Wybuchnęła śmiechem. Kilka osób odwróciło się ku nim, nie kryjąc zaciekawienia.

- W takim razie jest pan szalony - stwierdziła. - Powinien się pan trochę obawiać, pozwalając mi się uwodzić. Nie lęka się pan tego, co mogłabym zrobić, kiedy znajdzie się pan bezbronny i nagi w moim łóżku?

Stawała się coraz bardziej wyzywająca. Miał nadzieję, że się nie zaczerwienił.

- A może się na to nie godzę, madame? Skądinąd nie sądzę, bym się kiedykolwiek pozwolił uwodzić. Jeżeli miałbym wybrać sobie stałą czy jednorazową kochankę, zrobiłbym to z własnego wyboru i tylko wtedy, gdybym tego chciał zarówno ja, jak i ona. Nigdy bym nie pragnął zostać bezmyślną ofiarą uwodzicielki.

Nie miał wcale apetytu. Przekonał się o tym, spojrzawszy na swój talerz. Po cóż nałożył sobie aż tyle jedzenia?

I po co ciągnie tę rozmowę? Czy naprawdę powiedział tej kobiecie na głos „gdybym miał wybrać sobie stałą kochankę”? Chyba już całkiem stracił poczucie przyzwoitości. Osławiona czy nie, była w końcu damą. A on dżentelmenem.

- Wcale się pani nie boję - dodał.

A może należało się jej lękać? Może to, co jej powiedział, było tylko czczą przechwałką? Nigdy nie miał stałej kochanki, choć znał smak miłości. Zazdrościł trochę Conowi, który zawsze potrafił uwieść jakąś godną szacunku wdówkę i dyskretnie z nią romansować podczas pobytów w Londynie. Parę lat temu była nią

niejaka pani Hunter, zeszłego roku - pani Johnson. Nie wiedział, czy w tym roku Con też już kogoś ma.

Gdyby zamierzał wziąć sobie kochankę lub utrzymankę - a brał taką możliwość pod uwagę - czy zrobiłby to akurat na jakimś balu, kuszony przez kobietę niekryjącą wcale swoich intencji?

Raz jeszcze pomyślał, że nie jest w jego typie. Nie była też typem kobiety, którą chciałby wziąć za żonę, choć nie brał jej pod uwagę jako żonę.

Mignął mu nagle w wyobraźni obraz jej nagiej w łóżku i poczuł niepokojący ucisk w okolicy pachwiny. Dostyc tego!

- Lady Paget - powiedział stanowczym tonem - najwyższy czas, żebyśmy zmienili temat. Proszę mi z łaski swojej opowiedzieć coś o sobie, na przykład o swoim dzieciństwie. Gdzie się pani wychowała?

Wybrała z talerza małe ciasteczko i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Głównie tutaj, w Londynie, a także w jednej z nadmorskich miejscowości. Mój ojciec nałogowo grał w karty i zawsze ciągnęło go tam, gdzie było wielu graczy i wysokie stawki. Żyliśmy w wynajmowanych mieszkaniach i hotelach. Ale żeby pan nie sądził, lordzie Merton, że mówię tak, bo użalam się nad sobą i chcę wzbudzić pańską litość, dodam, że kochał mnie i mego brata tak samo, jak karty. Sprzyjało mu też, wedle jego własnych słów, szczęście - to znaczy zawsze wygrywał trochę więcej, niż przegrywał. Nie pamiętam matki, od najmłodszych lat miałam guwernantkę, pannę Haytor, równie mi oddaną, jak rodzona matka. Napatrzyłyśmy się obie świata, zarówno w rzeczywistości, jak i w książkach. Pewnie spędził pan życie w lepszych ode mnie warunkach, ale chyba nie tak szczęśliwie i ciekawie, jak ja.

Po raz pierwszy wyczuł, że kłamie, choć nie wiedział, jakich szczegółów te kłamstwa dotyczą. Zanadto upiększyła swoją

opowieść, by mogła być prawdziwa. Podobne życie, jeśli podała mu prawdziwe fakty, musiałyby zrodzić w dziecku poczucie niepewności i zagrożenia. On zaś uważał, że każde dziecko potrzebuje stałego, bezpiecznego domu.

- W lepszych? Być może. Najpierw mieszkałem na wiejskiej plebanii w Shropshire - mój ojciec był tam pastorem - a potem, po jego śmierci, w małym domku w tej samej wiosce. Razem z siostrami. Meg, dziś hrabina Sheringford, jest najstarsza z nich i podobnie jak wspomniana przez panią panna Haytor zastępowała nam matkę. Nessie, teraz księżna Moreland, to druga z moich sióstr, a Kate, obecna baronowa Montford - trzecia, niewiele starsza ode mnie. Byłem najmłodszy i miałem szczęśliwe dzieciństwo, a potem w wieku siedemnastu lat odziedziczyłem tytuł. Zdumiało nas to niezmiernie, bo żadne z nas nie wiedziało, że zostanę dziedzicem rodu. Nie żałuję tej niewiedzy. Myślałem, że będę musiał zarabiać na utrzymanie swoje i sióstr, co kształtuje silny charakter - a przynajmniej sądzę, że ukształtowało mój własny. Cenię sobie przywilej tytułu, znam też jego wady i zalety lepiej może, niż gdybym wzrastał, spodziewając się jego otrzymania.

- Lady Sheringford jest pańską siostrą? - spytała z zaskoczeniem.

- Tak.

- I wyszła za hrabiego Sheringford, który nie tak dawno uciekł z cudzą żoną w dniu własnego ślubu, a także miał z nią dziecko?

Zawsze go męczyło, że nie mógł nikomu powiedzieć, jak wszystko wyglądało naprawdę, ale dal Sherry'emu słowo, że nigdy tego nie zrobi.

- Toby'ego? Wszyscy bardzo go kochamy, a Meg traktuje go tak samo, jak swoje własne dzieci. Sherry - to znaczy hrabia Sheringford - również. Mały jest ich synem i moim siostrzeńcem.

- Ach, dotknęłam czułego miejsca. - Lady Paget wsparła się łokciem o stół i podparła dłonią podbródek. - Dlaczego właściwie pańska siostra wyszła za hrabiego?

- Sądzę, że po prostu poprosił ją o rękę, a ona zgodziła się na to.

Lady Paget zacisnęła wargi, jej uśmiech znów wydawał się nieco pogardliwy.

- Zirytowałam pana, lordzie Merton? Czy jestem zbyt impertynencka i wścibska?

- Ależ nie. Przecież to ja skierowałam rozmowę na tematy osobiste. Czy bawi pani w Londynie od niedawna?

- Tak - przyznała.

- Mieszka pani u krewnych? Usłyszałem coś o bracie.

- Nie jestem osobą, którą krewni chętnie widzieliby u siebie. Mieszkam sama.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Najzupełniej sama - dodała, ale z dziwnym uśmiechem, jakby drwiła z własnych słów. Jakby w roztargnieniu powiodła palcem po dekolcie, wsuwając jego czubek pod szmaragdową tkaninę. Nadal wspierała się łokciem o stół. Zrobiła to świadomie. Nagle duszna atmosfera salonu zaczęła mu doskwierać jeszcze bardziej niż przedtem.

- Przyjechała tu pani powozem? Czy może...

- Nie mam powozu. Wzięłam dorożkę, lordzie Merton, ale poleciłam woźnicy, żeby zatrzymał się trochę dalej. Czułabym się upokorzona, wysiadając wprost przed pałacem z wynajętej dorożki, zwłaszcza że mnie tu nie zaproszono. Tak, dziękuję panu, będę bardzo wdzięczna.

- Za co? - Stephen spojrzał na nią oszołomiony.

- Za odwiezienie mnie do domu pańskim powozem - odparła, a w jej oczach ponownie błysnęło rozbawienie. - Właśnie

chciał mi pan to zaproponować, prawda? Proszę mi nie robić przykrego zawodu odmową.

- Odwiozę panią z największą chęcią, madame. Meg użyczy nam z pewnością którejs z swoich pokojówek.

Zaśmiała się miękkim, uwodzicielskim śmiechem.

- Strasznie by mi to było nie na rękę. Jak miałabym pana uwodzić w jej obecności, a potem zabrać pana do siebie, gdy już znajdziemy się przed domem? Czy pokojówkę wezmę do siebie?

Zrozumiał, że brnie w intrygę coraz głębiej. Ona naprawdę zamierzała zrobić z niego swojego kochanka.

Właściwie było to zrozumiałe. Niedawno przybyła do Londynu sama, a znano tu już jej reputację. Nawet brat -jeśli akurat przebywał w mieście - zostawił ją samej sobie. Jeśli miała szukać sobie towarzystwa czy chodzić na bale, musiała robić to bez zaproszenia, tak jak dzisiaj. Była doprawdy bardzo osamotniona.

Odnaczała się wybitną urodą, była wdową i miała tylko dwadzieścia osiem lat. W normalnych okolicznościach mogłaby się spodziewać pogodniejszej przyszłości po okresie żałoby. Opinia publiczna widziała w niej jednak morderczynię męża. Prawo jej nie oskarżało, pozostawała przecież na wolności, ale opinia to potężna siła.

Tak, musi być przeraźliwie osamotniona. Zdecydowała się więc złagodzić tę samotność, biorąc sobie kochanka.

I wybrała jego.

- Chyba nie jest pan znużony? Zresztą jest pan dżentelmenem i nie wysadzi mnie pan z powozu przed domem ani nie odprowadzi do drzwi, życząc mi dobrej nocy.

Spojrzał jej prosto w oczy. Jej urok i jego współczucie stanowiły śmiertelną truciznę.

- Nie. Nie zrobię tak, lady Paget.

Spojrzała na talerz, lecz nic z niego nie wzięła. Widział wyraźnie żyłkę pulsującą jej na szyi.

- Nie mam powodu pozostawać tu dłużej, lordzie Merton. Tańczyłam już, jadłam i spotkałam pana. Proszę mnie zabrać do domu.

Znów poczuł przyływ pożądania, ale przemógł to fizyczne doznanie.

- Niestety, nie mogę tego zrobić. Obiecałem dwóm młodym damom kolejne dwa tańce.

- Czy musi pan dotrzymać obietnicy?

- Muszę i chcę.

- A więc jest pan naprawdę dżentelmenem. Jakież to prowokujące!

Stephen zdał sobie sprawę, że w salonie jest coraz mniej ludzi. Słyszał, jak w sali balowej orkiestra stroi instrumenty. Wstał i podał dłoń lady Paget.

- Proszę mi pozwolić, żebym panią przedstawił... - zaczął.

Elliott szedł już ku nim i Stephen nagle zrozumiał, czemu to robi. Rodzina zwierzała szyki - nie wiedział tylko, czy chodziło im o Meg, czy o niego.

- ...księciu Moreland - powiedział, kończąc zdanie. - To mój szwagier, Elliott. Elliotcie, to lady Paget.

- Miło mi panią poznać, madame. - Elliott skłonił się przed nią wytwornie.

- Witam, wasza wysokość. - Lady Paget skinęła głową i wstała, ściskając w dłoni wachlarz. Wydała mu się nagle pełna rezerwy i wyniosła.

- Czy będzie pani tak uprzejma i zatańczy ze mną? - spytał Elliott.

- Z przyjemnością - odparła i przyjęła jego ramię, nie patrząc na Stephena.

Zimna herbata pozostawiła szarawy nalot na obu filiżankach. Nie zjadł niczego, a i ona ledwie spróbowała jedzenia. Kilka lat temu uznałby to za niewybaczalne marnotrawstwo.

Postanowił, że lepiej sobie pójdzie i odnajdzie swoją partnerkę. Jeszcze nie jest za późno.

Czy naprawdę dziś w nocy posiadzie lady Paget? A może nawiąże z nią dłuższy romans?

Może powinien dowiedzieć się o niej czegoś więcej? O śmierci jej męża, o faktach, o których krążą szkaradne pogłoski. Plotki dotarły do Londynu przed jej przyjazdem i zrobiły z niej wyrzutka.

Ale czy pozwoli się jej uwieść? Obawiał się, że tak.

Czy było już za późno, by zmienić zamiary? Obawiał się, że tak.

Czy naprawdę tego chce? Obawiał się, że nie.

Ruszył ku sali balowej.

Księżę Moreland był owym mężczyzną, który stał koło hrabiego Mertona, gdy Cassandra przybyła na bal. To on tak bardzo przypominał z wyglądu Huxtable'a, diabła dostrzeżonego przez nią wczoraj.

Choć księżę miał niebieskie oczy i wyglądał mniej srogo, również robił wrażenie kogoś, kto byłby groźnym przeciwnikiem.

Ona jednak nie miała nic na sumieniu. On sam zaprosił ją do tańca. Rzecz jasna, jako szwagier lady Sheringford robił, co mógł, by zapobiec skandalowi, jakim była obecność Cassandry na tym balu. Może nawet już rozmyślał, jak wyrwać lorda Mertona z jej szponów:

Nie przestawała wzgardliwie się uśmiechać.

Taniec był żywy i nie dawał sposobności do rozmowy. Wymienili tylko parę nieistotnych pochwał pięknej kwiatowej deko-

racji sali, znakomitej orkiestry i umiejętności kucharza markiza Claverbrooka.

- Czy mogę odprowadzić panią do jej towarzysza, madame? - spytał księżę, gdy taniec się skończył, choć z pewnością wiedział, że nikogo takiego nie ma.

- Przyszłam tu sama, lecz proszę się o mnie nie troszczyć, wasza wysokość.

Stali blisko otwartych na oścież francuskich okien. Być może zdołałaby się tędy wymknąć. Dojrzała obszerny balkon, gdzie nie było zbyt wielu osób. Nagle zapragnęła znaleźć się daleko stąd.

- Proszę mi więc pozwolić, bym przedstawił panią kilku osobom.

Nim zdążyła się wymówić, podeszła do nich pogodnie uśmiechnięta jejmość z mężczyzną o statecznym wyglądzie. Księżę przedstawił ich jako sir Grahama i lady Carling.

- Lady Paget - odezwała się lady Carling, gdy już wymienili ukłony - nieomal zzieleniałam z zazdrości, proszę mi wybaczyć ten żarcik, na widok pani sukni. Czemu ja nigdy nie mogę trafić na równie wspaniałe materiały? Choć zapewne nie byłoby mi do twarzy w tym odcieniu zieleni, on by mnie po prostu przesłonił. Mimo wszystko... O, widzę, że Graham już jest do cna znudzony, a Moreland tylko patrzy, jak by się stąd wymknąć!

Roześmiała się i ujęła Cassandrę pod ramię.

- Chodźmy, lady Paget, pospacerujemy sobie trochę i porozmawiamy o sukniach i fasonach kapeluszy, ile nam się tylko będzie podobało.

A potem, zgodnie z tym, co zapowiedziała, oprowadziła Cassandrę wokół całej sali, gdzie pary ustawiały się już do kolejnego tańca.

- Jestem matką lorda Sheringforda - wyjaśniła - i kocham go do szaleństwa, choć nigdy się do tego nie przyznam. Miałam

z nim utrapienie przez kilka lat, a ten łobuz nigdy się nie dowie, że przysporzył mi tylu kłopotów. Zdołał jednak zawrzeć udane małżeństwo z Margaret, nieporównanym skarbem. Uwielbiam ją, a także moich dwóch wnuków i wnuczkę, chociaż najstarszy urodził się jako dziecko nieślubne, co nie jest w końcu jego winą.

- Lady Carling - powiedziała półgłosem Cassandra -ja też przyszłam tu dziś, żeby komuś przysporzyć kłopotów.

- Ależ skąd, wcale pani tego nie zrobiła - lady Carling uśmiechnęła się do niej serdecznie - chociaż wzbudziła pani pewną sensację, prawda? W dodatku odważyła się pani włożyć tę jaskrawą suknię. Przy swoich wspaniałych rudych włosach nie miała pani, jak się domyślam, dużego wyboru, lecz suknia tego rodzaju wzbudza zawsze zainteresowanie. Podziwiam pani odwagę.

Cassandra nie była całkiem pewna, czy lady Carling mówi to szczerze, czy z ironią.

- Kilka lat temu zmyłam Duncanowi głowę - ciągnęła lady Carling - kiedy zaraz po powrocie do Londynu przyszedł na bal bez zaproszenia, z całym brzemieniem skandalu. No i niech pani zgadnie, lady Paget, co się wydarzyło?

Cassandra spojrzała na nią pytająco. Chyba znała odpowiedź.

- Zderzył się w drzwiach z Margaret - oznajmiła lady Carling - i poprosił ją do tańca. A potem zaraz się oświadczył, je śli można mu wierzyć. Ale ja mu wierzę, bo Margaret mówi to samo, nie jest zaś wcale skłonna do przesady. A przecież zupełnie się wtedy nie znali! Czasem warto rzucić wyzwanie dobremu towarzystwu, lady Paget. Mogę tylko mieć nadzieję, że będzie pani miała tyle szczęścia, co Duncan. Ani trochę nie daję wiary plotkom o siekierze. Gdyby tak było, nie chodziłaby pani na wolno ści, może nawet już by pani nie żyła. Rozumiem, że brak dowo-

dów, ale ja po prostu nie wierzę w całą tę historię i już, a pytać nie będę. Musi pani do mnie przyjść na jutrzejszy wieczorek. Moi goście pewnie się zgorszą, zdziwią i przez cały następny miesiąc nie będą mówić o niczym innym. Stanę się sławna! Do końca sezonu wszyscy będą przychodzić na moje następne wieczorki, nie chcąc przegapić czegoś równie sensacyjnego. Niech się pani zgodzi! Niech pani powie, że się na to zdobędzie!

Cassandra uznała, że lady Carling mówi to jednak chyba z życzliwości, i znów rozejrzała się po sali ze swoim wzgardliwym uśmiechem. Niektórzy z obecnych potraktowaliby ją uprzejmie, nawet jeśli jedyną przyczyną byłaby chęć uniknięcia kłopotu. Inni powitaliby ją przyjaźnie, nawet gdyby robili to tylko z ciekawości.

To dużo więcej niż oczekiwała.

Gdybyż nie ta jej rozpaczliwa nędza...

- Myślę, że przyjdę.

- Z pewnością pani przyjdzie. - Lady Carling wytłumaczyła Cassandrze, jak znaleźć jej dom przy Curzon Street, a potem dodała: - Cieszę się, że dzięki naszej rozmowie nie musiałam tańczyć. Nie lubię przyznawać się do swojego wieku, ale po dwóch kolejnych tańcach albo po godzinie zabawy z wnuczętami - choć dwoje z nich ledwie odrosło od ziemi - czuję, niestety, ile mam lat.

Hrabia Merton tańczył z bardzo młodą i bardzo ładną panią, która rumieniła się i patrzyła na niego z uwielbieniem. Uśmiechał się do niej, gawędził z nią, poświęcając jej całą uwagę.

To ona, Cassandra, położy się z nim dzisiaj do łóżka, potem zaś ubiją interes. Wierzyła, że wszystko się jej uda. Pociąga go i zdołała wzbudzić w nim dyskretne współczucie. Uznał ją za samotną, pozostawioną samej sobie. Nieważne, że to tylko część prawdy. Nie miała wyjścia.

Złowiła go, czy tego chciał, czy nie. Potrzebowała go. Nie, nie jego, jego pieniędzy.

Alice też ich potrzebowała, i Mary, i Belinda, nawet Roger.

Musiała sobie o nich przypomnieć, żeby znieść ciężar odrazy do siebie samej.

Był życzliwy, uprzejmy. Ale też był mężczyzną. A mężczyźni mają swoje potrzeby. Zajmie się więc jego potrzebami. Nie weźmie od niego pieniędzy za nic. Da mu w zamian uczciwy towar.

Nie czuła się winna.

- Mnie też bardzo się podobało, że nie musiałam tańczyć - powiedziała do lady Carling.

5

Lady Paget... - zaczęła księżna Moreland, kiedy bal się skończył. Wszyscy szukali żon, mężów, dzieci, szalów i wachlarzy, życząc przyjaciółom i znajomym dobrej nocy, a potem spieszyli ku schodom do westybulu, tak by znaleźć się na dole akurat wtedy, gdy ich karetka podjeżdżała pod drzwi. Księżna dopiero co jej się przedstawiła. - Czy przyjechała tu pani swoim powozem?

- Nie, ale lord Merton był tak uprzejmy i zaproponował, że mnie odwiezie.

- Znakomicie. - Księżna uśmiechnęła się. - Elliott i ja z chęcią byśmy to zrobili, ale pod opieką Stephena będzie pani bezpieczna.

Stephen. A więc tak miał na imię. W jakiś dziwny sposób pasowało do niego.

Księżna wsunęła jej dłoń pod ramię.

- A więc chodźmy go poszukać. Ścisk przy wyjściu to za wsze najgorsza chwila wszystkich balów, a jednak dziś jestem rada z tego tłoku. Meg tak się bała, że nikt nie przyjdzie.

Zanim zdołały przejść parę kroków, Cassandra ujrzała, że Merton zmierza ku nim.

- Nessie - powiedział, uśmiechając się do obydwu - odnalazłaś lady Paget?

- Nie sądzę, Stephenie, żeby się zgubiła. Czekaj, żebyś ją zawiózł do domu.

Cassandrze zdawało się, że całe wieki zajęła im droga przez schody i westybul do drzwi wejściowych, ale szybko pojęła, czemu idą tak powoli. Księżna i Merton byli rodzeństwem hrabiny Sheringford, bez wątpienia ich powozy zajadą przed dom ostatnie.

W końcu nie było już nikogo prócz księcia, księżnej, lorda i lady Montfordów - księżna przedstawiła im Cassandrę - oraz sir Grahama, lady Carling, Mertona i hrabiostwa Sheringfordów, którzy właśnie życzyli ostatnim z gości dobrej nocy.

No i oprócz niej.

Zabawne, a tak bardzo obawiała się przyjść tu bez zaproszenia. Ten niepokój nadal w niej tkwił, dołączyło też zakłopotanie, że jest wśród nich jedyną obcą osobą. Zwłaszcza w tych okolicznościach.

Zarówno lady Carling, jak i baron Montford wyrazili chęć odwiezienia jej. Zapewniła, że lord Merton był łaskawy uczynić to wcześniej.

- No cóż, Meg - odezwał się Montford - to świetnie, że niemal nikt nie przyszedł na twój bal. Jakże by tu nas potrącano i deptano nam po nogach, gdyby było inaczej!

Hrabina roześmiała się.

- O tak, bal nieźle mi się udał - odparła, a potem spytała z nagłym przestrawem: - No bo udał się, prawda?

- Był najbardziej jak dotąd tłoczonym zgromadzeniem w całym sezonie, Margaret - zapewniła ją lady Carling. - Każda go spodyni będzie ci teraz usiłowała dorównać i przegra z kretešem. Podśledzałam, co pani Bessmer powiedziała do lady Spearing: musi odkryć, kto dla ciebie gotuje, i zwabić do siebie tego kucharza obietnicą wyższego wynagrodzenia.

Hrabina zaprotestowała z okrzykiem fałszywej zgrozy.

- Nie masz się czego obawiać, Margaret - uspokoił ją książę. - Pani Bessmer słynie z przeraźliwego skąpstwa. Bez wątpienia zaofiaruje twemu kucharzowi jedną piątą tego, co mu płacisz.

- Wyzwę Ferdiego Bessmera na pojedynek, jeśli tylko sobie tego zażyczysz, Maggie - zaofiarował się hrabia Sheringford.

Hrabina pokręciła głową z rozbawieniem.

- W rzeczywistości byłaby to jedna piąta tego, co płaci mu dziadunio, a na miejscu pani Bessmer wołałabym się mu nie na rażać.

Spojrzała przepaszająco na Cassandrę.

- Lady Paget, opóźnimy pani powrót do domu. Proszę nam wybaczyć. Stephen zaraz panią odwiezie. Poproszę którąś z pokojówek, żeby z wami pojechała.

- To zupełnie zbędne. Nie wątpię, że lord Merton okaże się dżentelmenem.

Hrabina uśmiechnęła się ponownie.

- Tak się cieszę, że pani przyszła. Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro u mojej teściowej. Słyszałam, że panią zaprosiła.

- Myślę, że tam przyjdę.

I może istotnie tak zrobi? Dzisiaj jednak przyszła tu po to, żeby znaleźć sobie bogatego opiekuna, a nie wpychać się siłą w dobre towarzystwo. Przypuszczała, że to w ogóle niemożliwe, że już na zawsze pozostanie wyrzutkiem. A może jednak nie?

Skoro hrabiemu Sheringford udał się powrót, może powiedzie się i jej?

Od bardzo dawna nie miała wokół siebie żadnej przyjaznej duszy - rzecz jasna oprócz Alice. No i Mary.

Powóz Mertona przyjechał przed wejście i hrabia pomógł jej wsiąść, a potem sam znalazł się koło niej we wnętrzu pojazdu. Wychylił się jeszcze, gdy lokaj wciągnął już schodki, żeby poma-chać dłonią siostrom.

- Dżentelmen - mruknął do niej, gdy karetka minęła skwer. - Zawsze starałem się nim być. Niech mi pani pozwoli, żebym dzi siejszej nocy też się nim okazał, lady Paget. Proszę dać mi się od wieść do domu, tak bym mógł sam wrócić do swojego.

Poczuła bolesny skurcz strachu. Czyżby zmarnowała cały ten okropny wieczór? Czy jutro będzie musiała zacząć wszystko od nowa? Znienawidziła nagle tego „idealnego dżentelmena”.

- No cóż, moje starania zostały odrzucone - odparła cicho, starając się to powiedzieć żartobliwie. - Wzgardzono mną. Jestem niepociągająca, brzydka, niechciana. Powinnam wypłakać się w poduszkę, kiedy już dotrę do domu.

Wyciągnęła rękę i położyła ją mu na kolanie. Poczuła ciepło przez jedwab spodni. A także twardość napiętych mięśni.

Odwrócił się ku niej i nawet w mroku mogła dojrzeć, że się uśmiecha.

- Dobrze pani wie, że nie ma w tym ani źdźbła prawdy.

- Prócz chęci wypłakania się w poduszkę.

Przesunęła dłoń wyżej. Uśmiech Mertona zniknął. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widzia-łem.

- Piękność, lordzie Merton, może być niechcianym brze-mieniem.

- Jest też pani bez wątpienia niezwykle pociągająca.

- Pociągająca? - uśmiechnęła się słabo. -A pod jakim względem?

- Fizycznie pociągająca, jeśli mi pani wybaczy bezpośredniość.

- Kiedy już znajdzie się pan w moim łóżku, lordzie Merton, będzie pan mógł być bezpośrednio do woli. Czy zrobi pan to?

- Tak. - Uniósł jej dłoń, spoczywającą mu na udzie, i przytknął do ust. - Ale kiedy znajdziemy się już w pani sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Nie tu, w moim powozie.

Nachyliła się i pocałowała go, wykonując kolejny ruch w grze. Przytrzymał jej dłoń na ławeczce. Pojazd mknął przez ciemne już ulice Londynu.

- Czy mieszka pani sama? - zapytał.

- Mam gospodynię - odparła - która mi również gotuje.

- A kim jest dama, w której towarzystwie spacerowała pani wczoraj po parku?

- Alice Haytor? Tak, ona też ze mną mieszka jako moja dama do towarzystwa.

- Była guwernantka?

- Tak.

- Czy nie będzie zgorszona, kiedy wróci pani do domu z... z kochankiem?

- Uprzedziłam ją, lordzie Merton, żeby nie wychodziła ze swojego pokoju, i nie robi tego.

- A zatem wiedziała pani, że przywiezie ze sobą kochanka?

Był doprawdy męczący. Zupełnie nie wiedział, jak rozegrać partię. Czyżby sobie wyobrażał, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, kiedy go tylko ujrzała w sali balowej? Ze wszystko to nie było zaplanowane z góry? Musi mu o tym powiedzieć.

- Mam dwadzieścia osiem lat, lordzie Merton, a mój mąż nie żyje od ponad roku. Kobiety mają swoje cielesne potrzeby, podobnie jak mężczyźni. Nie szukam kolejnego męża, przynajmniej na razie. Ale czas, żebym wzięła sobie kochanka, i wiedziałam o tym, jadąc do Londynu. A kiedy ujrzałam pana w Hyde Parku, z tym pana anielskim wyglądem - choć był pan jednocześnie bardzo ludzki i bardzo męski - miałam już całkowitą pewność.

- Przyszła więc pani na bal Meg wyłącznie z mego powodu?

- I żeby pana uwieść.

- A skąd pani wiedziała, że na nim będę?

Wtulił się głębiej w wyściełane oparcie, lecz niemal w tej samej chwili powóz zahamował przed obskurnym domem. Zbliżył głowę do okienka i wyjrzał przez nie. Nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Proszę mnie upewnić, lordzie Merton - powiedziała nie małym szeptem - że znalazł się pan tutaj nie tylko z powodu moich planów. Proszę powiedzieć, że dziś wieczór w sali balowej za uważał mnie pan i zapragnął.

Odwrócił się, mogła dostrzec w mroku jego oczy, i popatrzył na nią uważnie.

- Tak. Pragnąłem pani, lady Paget - odparł równie cicho jak ona. - I nadal pragnę, a to już czas teraźniejszy. Mówiłem już, że jeśli idę do łóżka z jakąś kobietą, robię to z własnego wyboru, a nie dlatego, że nie mogłem się jej oprzeć.

Nie przyszłoby mu to jednak do głowy, gdyby się z nim celowo nie zderzyła - czy też niemal zderzyła - zanim zaczął się walc. Może nawet wcale by z nią nie rozmawiał ani nie tańczył, skoro zrobił to w końcu na prośbę siostry.

Nie, lordzie Merton, odpowiedziała mu w duchu, musiałam pana uwieść.

Stangret otworzył drzwi i spuścił schodki. Hrabia Merton wysiadł, pomógł jej zejść i odprawił powóz.

Stephen czuł się trochę nieswojo, mimo to cieszyła go perspektywa zaspokojenia pragnień. Nie mógł pojąć, czemu jest taki zażenowany - może przyczyną był fakt, że znalazł się w jej domu wtedy, gdy guwernantka i gospodyni już spały. To nie było całkiem w porządku.

Czasami miewał wyrzuty sumienia. Kiedy jako młody chłopak prowadził nieco awanturnicze życie, nigdy nie było ono hulaszcze, choć wszyscy - nawet on sam - spodziewali się tego.

Ku jego uldze nie natknęli się na nikogo. Tylko jedna świeca paliła się w ściennym lichtarzyku na dole i jedna na piętrze. W przyćmionym świetle mógł dostrzec, że dom wygląda przyzwoicie, choć jest podniszczony. Domyślił się, że go wynajęła, i to razem z umeblowaniem.

Wprowadziła go do małej sypialni u szczytu schodów i zapaliła świecę na ciężkiej gotowalni, przechylając lustro w taki sposób, że nagle w pokoju zrobiło się jasno, jakby płonęło ich kilka.

Zamknął za sobą drzwi.

Przy drzwiach wiodących zapewne do garderoby stała pękata komoda. Po każdej stronie łóżka ustawiono po jednym stoliku, każdy z nich miał trzy szufladki. Samo łóżko było obszerne, z ciężkimi, spiralnymi kolumnami i ozdobnym baldachimem ze spłowiałej, ciemnobłękitnej tkaniny. Z tego samego materiału zrobiono kapę.

Nie był to ani elegancki, ani ładny pokój. Unosił się w nim jednak ten sam znany mu już zapach kwiatowych perfum, jakich używała. Ten pokój go wabił. A on jej pragnął.

O tak, pragnął jej bardzo. Nie widział też żadnego rozsądnego powodu, by tego nie robić. Był nieżonaty i nie związał się

dotychczas z żadną kobietą. Ona zaś owdowiała, i to właśnie od niej wyszła inicjatywa. Nikogo nie skrzywdzą, zostając dziś kochankami, a może nawet będą nimi przez całą resztę sezonu. Po prostu zaspokoją się wzajemnie.

Nie widział w tym nic złego. To przecież całkiem uczciwe.

Niczego od siebie nie oczekiwali i nie ranili niczyich uczuć. Ona stanowczo twierdziła, że nie szuka męża i nie zamierza go szukać. Wierzył jej. A on nie szukał żony. W każdym razie jeszcze nie teraz i przynajmniej nie przez najbliższych pięć czy sześć lat.

A jednak czuł się nieswojo.

Czy to z powodu krążących o niej pogłosek? Czy rzeczywiście zabiła męża? Czy się jej bał, a może powinien się bać? Nie, to nie to. Nękał go tylko jakiś dziwny lęk.

Nie znał jej, ale nie to go niepokoiło. Nie znał też w końcu kobiet, z którymi sypiał wcześniej. Zawsze traktował je uprzejmie, z szacunkiem i był wobec nich szczodry, ale nie znał żadnej z nich ani też znać nie chciał.

Czy zatem chciał bliżej poznać lady Paget?

Stała koło toaletki i patrzyła na niego w blasku świecy z tym swoim dziwnym uśmiechem, zarówno zachęcającym, jak i wzgardliwym. Zorientował się, że zbyt długo stoi przy drzwiach i zapewne wygląda jak wystraszony uczeń, który dopiero co zdołał się wyrwać na swobodę.

Podszedł do niej i mocno objął jej zadziwiająco wąską talię. Nachylił ku niej głowę i dotknął wargami żyłki pulsującej u nasady szyi.

Jej ciało było ciepłe, miękkie, pachnące i jakby stworzone dla niego. Przywarła piersiami do jego torsu, poruszając lekko biodrami, tak żeby być jak najbliżej niego. Czuł, że krew szumi mu w uszach, a ciało pręży się i sztywnieje.

Uniósł głowę i pocałował jej rozchylone wargi, zagłębiając język w wilgotnych ustach. Odpowiedziała mu tym samym, przesuając dłońmi po jego plecach, po surducie, kamizelce i niżej, wciąż poruszając biodrami. Jego pobudzona męskość sztywniała coraz bardziej.

Zaczął pracowicie rozpinąć małe guziczki z tyłu jej sukni. Cofnął się nieco, kiedy się już z nimi uporał, i delikatnie obnażył jej ramiona, ręce i całe ciało. Potem zrobił to samo z koszulą, odsłaniając wspaniałe piersi, szczupłą talię, krągłe biodra i długie, kształtne nogi.

Ubiór opadł, formując mały, zielono-biały kopczyk u jej stóp. Została tylko w białych rękawiczkach, pończochach i srebrzystych pantofelkach do tańca.

Nie mógł od niej oderwać oczu, zdał sobie jednak sprawę, że jest w tym ciele coś bardziej nęcącego niż sama nagość. Zaczerpnął tchu powoli i głęboko.

Stała, patrząc na niego, ze w półprzymkniętymi powiekami i rękami zwisającymi wzdłuż ciała, aż wreszcie podała mu jedną, a on powoli ściągnął z niej rękawiczkę i rzucił na podłogę. Wyciągnęła drugą, wciąż z uśmiechem kusicielki.

Kiedy uporał się z rękawiczkami, przyklęknął na jedno kolano i ściągnął z jej nóg pończochy, usuwając wpierw podwiązki. Ona sama strząsnęła pantofle. Ucałował obie jej stopy, a potem kolana, nim wstał.

Była równie piękna, jak się spodziewał, a może nawet bardziej. Nie nazwałby jej filigranową, ale miała doskonałe proporcje i foremne kształty. Była wspaniała.

Co też dotychczas widział atrakcyjnego w szczupłych, młodziutkich panienkach?

Spodziewał się, że teraz ona rozbierze jego, lecz zamiast tego uniosła nagie ramiona, nie przestając na niego patrzeć, i zaczęła

wyciągać szpilki z włosów. Robiła to powoli, leniwie, jakby się jej wcale nie spieszyło i jakby nie dostrzegała, co dzieje się z jego ciałem, lecz uśmiech świadczył, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Przymknięte powieki zdawały się mówić, że i ona pragnie go z równą mocą.

Patrzył, jak jej włosy opadają kaskadą na twarz, ramiona i plecy. Z trudem przełknął ślinę. Jedno ciężkie, kręte pasmo ześliznęło się po piersiach, a potem spoczęło w rowku pomiędzy nimi.

Miała ciężkie, błyszczące, jaskraworude włosy. Były prawdziwą koroną wieńczącą jej urodę. Przynajmniej raz to wyświechtane powiedzonko mówiło prawdę.

Znów musiał przełknąć ślinę.

- Chodźmy do łóżka - powiedziała.

Już chwycił za surdut, tuż nad wyłogami, ale nakryła jego dłoń swoją.

- Nie. Proszę tylko zdjąć buty, lordzie Merton.

Dotknęła dłonią jego spodni. Palce zręcznie manewrowały przy guzikach, kiedy patrzyli sobie w oczy.

- A teraz - szepnęła, miękko dotykając wargami jego ust - jest pan gotowy. Obydwoje jesteśmy gotowi. Kładźmy się.

Przez chwilę sądził, że nie chce już dłużej czekać na to, by się rozebrał, ale zrozumiał, że nie o to chodzi, że jest sprytniejsza od niego. Krew w nim tętniła, czuł niemal ból, co miało jakiś związek z tym, że on został w wykwintnym ubraniu, podczas gdy ona była naga.

Poprowadziła go ku łóżku i odrzuciła kapę, a potem położyła na plecach i wyciągnęła ku niemu ręce. Legł na niej.

Objęła go, ocierając się o jego ciało piersiami i biodrami i szepcząc cicho jakieś niezrozumiałe słowa. Jedną ze stóp głaskała mu nogę przez ubranie i pończochę. A on wnikał w nią, pieszcząc ją, tuląc i ściskając.

Czuł, że jej palce uwalniają go od spodni i jeszcze bardziej pobudzają jego zmysły. Zaczerpnął raptownie tchu.

Zaśmiała się cicho i przyciągnęła go ku sobie. Nie, nie uwiodła go, nie był niedoświadczonym uczniakiem, z którym igra sobie wprawna kurtyzana. Wsunął pod jej rękę ramię, tak że musiała go puścić, i odwzajemnił się tak, że usłyszał jej urywany oddech.

Jeśli dotąd to ona była uwodzicielką, a on jej ulegał, teraz nadeszła jego kolej. Powinni obydwójce i dawać, i otrzymywać.

Chwycił ją mocno, poczekał, aż lekko uniesie się ku niemu, jakby w niemym zaproszeniu, i wszedł w nią jednym ostrym ruchem.

Usłyszał, jak cicho się zaśmiała i zacisnęła wewnętrzne mięśnie, unosząc jednocześnie nogi. Wsparł się na łokciach i spojrzał na nią. Blask świecy tańczył po jej twarzy i iskrzył we włosach rozrzuconych na poduszce.

- Stephenie - szepnęła, chwytając go za klapy surduta i przesuwając dłońmi po jego ramionach.

Drgnął na dźwięk swego imienia wypowiedzianego niskim, uwodzicielskim głosem.

- Lady...

- Cassandro.

- Cassandro...

Rozluźniła wewnętrzne mięśnie i poruszyła biodrami.

- Stephenie - ciągnęła - jesteś doprawdy imponującej postury.

Zaśmiał się.

- A także masz w sobie mnóstwo siły - mówiła dalej, z rozbawieniem w oczach - i męskości.

- A ty, milady, jesteś miękka, gorąca i ogromnie kobieca.

Uśmiechnął się, również z rozbawieniem, choć nadal jeszcze dyszał, a potem schylił głowę i zaczął wykonywać głębokie, ryt-

miczne ruchy, przedłużając akt, póki nie osiągnął spełnienia i nie opadł na nią całym ciężarem. Pulsowanie krwi w skroniach stopniowo ustawało. Nie wiedział tylko, czy zdołał ją doprowadzić aż do ostatecznego szczytu.

I wstydził się, że nie był tego pewien.

- Cassandro - szepnął i położył się obok niej, wciąż jeszcze z ramieniem pod jej głową.

Nie było jednak nic więcej do powiedzenia. Wyczerpany, zapadł w głęboki, szczęśliwy sen.

Nie wiedział, jak długo spał, lecz kiedy się zbudził, leżał sam, w wieczorowym stroju, okropnie teraz pogniecionym. Jego lokaj będzie przez cały miesiąc burczeć i grozić, że poszuka sobie miejsca u dżentelmena bardziej skłonnego cenić jego umiejętności.

Spodnie miał starannie zapięte, co zauważył z pewnym zakłopotaniem.

Świece już się nie paliły, ale w pokoju nie było całkiem ciemno. Przez okno wpadał słaby blask. Świtało. Zastony rozsunięto.

Spojrzał ku toaletce. Lady Paget siedziała przy niej i patrzyła na niego. Była ubrana, choć już nie w suknię balową, i uczesana. Włosy nie zasłaniały twarzy, ujęte wstążką na karku spływały w gęstych pasmach na plecy. Jedną stópką kołysała tam i z powrotem, pantofelek kiwał się na jej czubku.

- Cassandro... przepraszam, ale...

- Musimy porozmawiać, lordzie Merton.

Lordzie Merton? Już nie Stephenie?

- Naprawdę? - spytał. - Czy nie byłoby lepiej...

- O interesach. Musimy pomówić o interesach.

6

Cassandra dawno już wstała, a w gruncie rzeczy nie spała wcale, zdążyła się tylko lekko zdrzemnąć.

Długo patrzyła na brzydki baldachim nad głową. Uznała, że musi go zmienić albo przynajmniej znaleźć sposób, by pokryć go jakąś jaśniejszą i ładniejszą tkaniną. Musi przeobrazić tę siedzibę w dom - rzecz jasna, jeśli tu zostanie. No i jeżeli będzie ją stać na to, żeby tu pozostać.

A potem odwróciła głowę i przez chwilę przyglądała się Mertonowi w migotliwym świetle świecy. Co za rozrzutność pozwalać jej tak płonąć. Nie zgasiła też świecy na dole i na piętrze. Zupełnie jakby już mogła wyrzucać pieniądze przez okno.

Spał głębokim snem i najwyraźniej nic się mu nie śniło, a wyglądał równie pięknie, jak wieczorem. Krótkie włosy miał teraz zmierzwione; nie układał ich zresztą, co by je pozbawiło naturalnej swobody. Wyglądał młodo i niewinnie.

Bo przecież był niewinny - choć nie pod względem erotycznym. Nie poświęcił jej zbyt wiele czasu - ani przed pójściem do łóżka, ani potem, a całe ich współzycie trwało zaledwie kilka minut. Wiedział jednak, co robi. Był pełnym temperamentu i doświadczonego kochankiem, choć może poczynał sobie zbyt pośpiesznie jak na pierwszy raz.

Doszła do wniosku, że to zapewne bardzo porządny człowiek z porządnej rodziny. Przez chwilę pożałowała, że wybrała właśnie jego. Nie mogła już jednak dokonać innego wyboru. Nie miała czasu, by przebierać wśród kandydatów, szukając najodpowiedniejszego.

Gdy wreszcie wstał świt i blask świecy nie był już niezbędny, nie mogła dłużej uleżeć w łóżku. Odsunęła się od Stephena

ostrożnie, tak by go nie zbudzić, ale on nawet nie drgnął. Ramię nadal leżało przerzucone przez jej poduszkę, wieczorowy strój zachował jeszcze ślad tam, gdzie przedtem wsparła o nie głowę. Pochyliła się i starannie zapięła mu spodnie, patrząc uważnie, czy śpi.

Nago wyglądałby pewnie jeszcze piękniej. Zobaczy go następnym razem. Nieoczekiwanie zateęskniła za tą chwilą.

Wstała z łóżka, zgasiła świecę, stwierdzając z przygnębieniem, że prawie cała się wypaliła, i poszła bezszelestnie do małej, ciasnej gotowalni za sypialnią. Po ciemku wyszukała w szafie codzienną suknię i włożyła ją, oplukując przedtem twarz i dłonie zimną wodą z miednicy. Na górnej półce wymacała wstążkę do włosów i związała je na karku.

Czuła się trochę obolała wewnątrz, choć - dziwna rzecz - w jakiś sposób sprawiało jej to przyjemność.

Nie obudził się, kiedy wróciła do pokoju. Rozsunęła zasłony i przez kilka minut stała przy oknie, patrząc na ulicę, nadal wyludnioną, choć mrok szybko ustępował. Pojawił się jakiś robotnik ze zwieszoną głową.

Usiadła w fotelu przy toalecie, tak żeby widzieć Stephena, kiedy się obudzi.

Dziwiło ją, że nie zrobił tego wcześniej, żeby rozpamiętywać przeżyta satysfakcję, i skrzywiła się pogardliwie. Czy kiepsko zagrała swoją rolę, czy też może aż za dobrze?

Założyła nogę na nogę i kołysała machinalnie stopą, kiedy się wreszcie poruszył. Jeszcze nie był w pełni rozbudzony i dopiero po dłuższej chwili ją dostrzegł.

- Cassandro, przepraszam, ale...

Przerwała mu. Nie chciała wiedzieć, czemu ją przeprosza. Może za to, że zbyt długo spał? Było tak wcześnie, że handlarze nie wyszli jeszcze na ulicę, a ów jedyny robotnik wracał chyba do

domu po nocnej pracy. A może za to, że spał, zamiast kochać się z nią następnymi kilka razy, aż do rana?

Wymówił jej imię tak, że zabrzmiało pieszczotliwie.

Pamiętała, że wypowiedział je również, kiedy było już po wszystkim - jakby dla niego była nie tylko ciałem, ale osobą obdarzoną imieniem.

Trzeba uważać. To ona ma być uwodzicielką.

- Musimy porozmawiać, lordzie Merton.

- Naprawdę? - spytał, unosząc się na łokciu, z pogodnym spojrzeniem. - Czy nie byłoby lepiej...

Paść znowu na łóżko, a rozmowę zostawić na później?

- ...o interesach - przerwała mu, nim zdołał skończyć.

Od tego zależała cała jej przyszłość. Nadal kołysała stopą, uważając, żeby nie robić tego zbyt szybko ani w żaden inny sposób nie zdradzić zdenerwowania. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się lekko.

- O interesach? - Usiadł i spuścił nogi na ziemię, usiłując, raczej bez powodzenia, wygładzić surdut i poprawić rozluźniony halsztuk, ale wciąż wyglądał na kogoś, kto spał w ubraniu.

- Nie uwiodłam pana po to, by z nim spędzić jedną noc, lordzie Merton, choć i tak większą jej część przespał pan głęboko...

- Wybacz...

Uniosła dłoń, chcąc mu przerwać.

- ...pewnie dlatego, że zdołałam dać panu sporo zadowolenia. Ja też zresztą mocno spałam. Jest pan bardzo... dobrym kochankiem. - Uśmiechnęła się.

Nie odpowiedział.

- Pragnę spędzić z panem również następną noc, a także każdą inną w najbliższej przyszłości. Mam nadzieję, że pan też będzie mnie pragnął, i to równie mocno jak ja, lordzie Merton. Czy ciągle jeszcze mam pana uwodzić? Czy pan tego chce?

Odpowiedź trochę ją zaniepokoiła.

- Nie lubię słowa „uwodzenie”. Każe ono myśleć o słabości i wyrachowaniu, innymi słowy o nierówności pragnień i potrzeb. Całkiem jak w wypadku marionetki i tego, kto nią porusza. Nie szanuję uwodzicieli, bo wykorzystują kobiety, czyniąc z nich sobie igraszkę. Nigdy jednak nie spotkałem uwodzicielki, choć wiem sporo o kuszeniu.

- Nie spotkał jej pan zeszłego wieczoru, lordzie Merton?

Uśmiechnął się.

- Spotkałem damę, która tak o sobie mówi. Panią. Wolę sądzić, że z powodu samotności - nie, przepraszam, osamotnienia - rozgląda się pani za kimś pociągającym, co oznaczałoby pewną pociechę. Wybrała pani mnie. Nie uwiodła mnie pani, tylko jawnie i śmiało dała wyraz swemu zainteresowaniu moją osobą, co nie spotkało mnie dotąd ze strony żadnej znanej mi damy. Uciekały się do subtelniej szych sposobów. Cenię sobie tę otwartość, a moje zainteresowanie jest równie silne. Poprosiłbym panią do tańca nawet bez zderzenia przed walcem. Nie zdobyłbym się wprawdzie na propozycję spędzenia z panią nocy, gdybym nie usłyszał wyraźnie, że pani także tego pragnie, lecz nasze wspólne pragnienia i tak wkrótce by do tego doprowadziły.

Nie zrozumiał jej intencji, ale może to dobrze.

- Owszem - ciągnął - chcę to robić również w przyszłości, ale przedtem muszę o coś spytać.

Uniosła brwi, patrząc na niego wyniośle.

- Doprawdy? - Najwyraźniej traciła kontrolę nad tą rozmową. To ona powinna mówić, a on - słuchać.

- Proszę mi powiedzieć, jak zmarł pani mąż - zaczął. Pochylił się naprzód, wsparł łokcie na kolanach i patrzył na nią błękitnymi oczami.

- Po prostu zmarł i tyle - uśmiechnęła się lekko. - Co jeszcze można dodać? Chce pan usłyszeć, że rozłupałam mu siekierą czaszkę, lordzie Merton? Nie, strzeliłam do niego. Prosto w serce.

- Zabiła go pani?

Zacisnęła wargi.

- Tak.

Nie zauważyła, że wstrzymał oddech, i dopiero wtedy, gdy głośno westchnął, zdała sobie z tego sprawę.

- Nie umiałabym pewnie posłużyć się siekierą, ale całkiem dobrze potrafię radzić sobie z pistoletem. Właśnie dlatego wybrałam tę broń. Tak, strzeliłam mu prosto w serce i ani przez chwilę tego nie żałowałam.

Spuścił głowę tak nisko, że widziała tylko jej czubek. Oczy miał zamknięte, dłonie zaciśnięte w pięści. Długo się nie odzywał.

- Dlaczego? - spytał w końcu.

- Bo mi się tak podobało - odparła i uśmiechnęła się, choć wcale na nią nie patrzył. - I tyle.

Powinna na pierwsze pytanie odpowiedzieć „nie”. Jeśli chce go do siebie zrazić i popsuć swój starannie ułożony plan, to doprawdy wybrała najlepszy sposób!

- Czy on się nad panią znęcał?

- Tak.

Uniósł wreszcie głowę i spojrzał na nią uważnie, z lękiem. Czoło miał zmarszczone.

- Przepraszam.

- Za co? Ze pan temu nie potrafił zapobiec, lordzie Merton?

- Przepraszam za to, że mężczyźni są brutalami, bo są silniejsi od kobiet. Czy było tak źle, że nie miała pani żadnego wyboru i musiała go zastrzelić?

Odpowiedział sam sobie, nim ona zdążyła to zrobić.

- Pewnie tak. Czemu pani nie aresztowano?

- Zastrzeliłam go w bibliotece, późnym wieczorem, bez świadków, a że wkrótce zbiegło się tam mnóstwo ludzi, nie można było stwierdzić, kto jest winien. Nie ma też do tej pory żadnych dowodów, że to właśnie ja. Każdy mógł to zrobić. Absolutnie każdy. W domu przebywało sporo służby i innych stałych mieszkańców, a okno było otwarte na oścież. Nie dowiedziono więc niczego, prócz tego, że zginął od rany postrzałowej.

- Ależ pani mi się przyznała.

- No i nikomu oprócz pana. Odtąd będzie się pan bał, że zechcę pana uciszyć.

- Nie jestem gadułą, nie boję się. Pani też może się pozbyć wszelkich obaw.

- Nie boję się pana. Dżentelmen nigdy nie zdradzi sekretów damy, a sądzę, że pan nim jest. Nie boję się również tego, że i pan będzie się nade mną znęcał. W takim wypadku zamiast fatygować się zabijaniem, po prostu bym odeszła, a od męża odejść nie mogłam. Wdowa ma o wiele więcej swobody, lordzie Merton, bo jest wolna.

Tylko że ona wcale nie była wolna. Nie miała pieniędzy, co oznaczało niewolę, a rozmowa z Mertonem nie przebiegała tak, jak ją sobie zaplanowała. Powinna kontrolować i jego pytania, i własne odpowiedzi, a nie miała już pewności, czy to robi.

- Byłbym szczęśliwy, będąc pani kochankiem. Obiecuję, że traktowałbym panią łagodnie, a gdyby nasz związek się popsuł, wystarczy mi o tym powiedzieć, żebym odszedł.

- Cały kłopot w tym, lordzie Merton, że nie mogę sobie pozwolić jedynie na romans.

Nie zamierzała tego powiedzieć, ale było już za późno. Spojrzał na nią ostro.

- Jak to?

- Ktoś, kto dziedziczy po przodkach tytuł, dobra i bogactwo, zawsze uważa owdowiałą macochę za uciążliwe brzemie, choć większość dziedziców honoruje swoje zobowiązania. Obecny lord Paget tego nie uczynił.

- Czy mąż nic pani nie zapisał w testamencie? Ani w intercyzie ślubnej? - spytał, marszcząc czoło.

- Zapisał. Czy sądzi pan, że zabiłabym go, wiedząc, że potem znajdę się w nędzy? Należy mi się prawo mieszkania w Carmel na resztę życia i rezydencja w Londynie, odpowiednia pensja, a także cała moja biżuteria.

- Jak więc Paget mógł pozbawić panią tego wszystkiego całkiem legalnie?

- No cóż, ja też nie mogłam legalnie zabić jego ojca. Tę trudną sytuację mój pasierb rozwiązał po swojemu. Powiedział, że nie wniesie przeciw mnie oskarżenia, jeśli odejdę z pustymi rękami.

- A pani po prostu odeszła, mimo że nie było żadnych dowodów pani winy?

- Lordzie Merton, bardzo łatwo można sfabrykować dowody przeciw komuś, kogo się nie cierpi.

Patrzył na nią przez chwilę, zanim znów przymknął oczy i opuścił głowę.

Zaplanowała sobie, że go uwiedzie jako dama o podejrzanym reputacji, a potem zawrze z nim porozumienie. Miała być kurtyzanką - drogą i nieodparcie pożądaną, a on - bezwolną marionetką, bo obudziła w nim pragnienia, których w pełni nie zaspokoili. Marionetką w jej rękach.

Plan ten wydawał się całkiem rozumny i łatwy do urzeczywistnienia, a tymczasem spalił na panewce. Znów zaczęła powoli kołysać stopą. Spojrzała na jego zmierzwiłone, jasne włosy, z tru-

dem ukrywając pogardę. Spodziewała się, że wstanie i odejdzie. Miała ochotę powiedzieć, żeby prędzej sobie poszedł.

Nie dbała o to, co powie innym. Wierzyła, że jest dżentelmenem, a prócz tego nie chciałby chyba nikomu się przyznać, że spędził noc z morderczynią.

Znów uniósł głowę i wydało się jej, gdy tak na siebie patrzyli, że jest blebszy niż przedtem, a oczy ma bardziej niebieskie.

- Nic pani nie ma?

- Coś mam - skłamała - ale jeśli zostanie pan moim kochankiem, to również i opiekunem. Będzie mi pan płacił za względy, niczym najśłynniejszej kurtyzanie. Czyli bardzo dużo. A moje usługi okażą się lepsze od tego, co mogłaby panu zaoferować kurtyzana. Wczoraj poznał pan tylko słabą ich próbkę.

Zabrzmiało to jak bzdurna przechwałka. Niemal oczekiwała, że ją wyśmiej.

- A więc wcale się pani nie spodobałem? Przyszła pani bez zaproszenia na bal u Meg tylko po to, żeby znaleźć sobie opiekuna?

Uśmiechnęła się do niego. Pantofelek spadł w końcu ze stopy i wyśladował na podłodze z głuchym plaśnięciem.

- Dama, lordzie Merton - powiedziała cicho - czyni tak, kiedy musi.

Idź sobie wreszcie, prosiła w duchu, i już nigdy więcej nie wracaj.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Postanowiła, że nie odwróci wzroku ani nie odezwie się pierwsza. Nie mogła przecież uciec do gotowalni i zatrzaskać za sobą drzwi, póki on nie odejdzie.

- Będę pani płacił co tydzień, lady Paget - powiedział w końcu - i to z góry, poczynając od dzisiaj. Przyślę pieniądze, gdy tylko wrócę do domu albo najwcześniej, kiedy będę mógł.

Wymienił potem taką sumę tygodniowej pensji, aż jej serce gwałtownie zabiło z zaskoczenia. Czy kurtyzany naprawdę aż tyle zarabiają?

- To wystarczy - rzekła lodowato. Zauważyła, że przestał się do niej zwracać po imieniu. - Nie będzie pan żałował, lordzie Merton. Moje usługi okażą się tego warte.

- Nie chcę, by nazywała to pani usługami, madame - odparł i oczy mu błysnęły. - Nie jestem zwierzęciem kierującym się tylko ślepą żądzą. Wątpię zresztą, czy istnieją takie zwierzęta, prócz pewnych istot ludzkich. Zostanę pani opiekunem. Będzie pani moją kochanką, ale tylko wtedy, gdy oboje tego zapagniemy, a wstrzymamy się od kontaktów przy braku chęci z czyjejkolwiek strony. Albo będziemy kochającą się parą, albo niczym. Wysokość pani pensji nie zmieni się, niezależnie od tego, ile razy znajdziemy się wspólnie w tym lub w innym łóżku. Czy wyraziłem się jasno?

Spojrzała na niego z pewnym zdumieniem. Niemal ją przestraszył, nie w sensie czysto fizycznym: miała pewność, że nigdy nie wyrządzi jej krzywdy. Tylko że... Nie wiedziała jednak, co właściwie tak nagle ją zaniepokoiło.

Czy lęk, że nie zdoła nim manipulować, jak się wcześniej spodziewała? Był młody, łagodny, zachowywał się jak dżentelmen i miał w sobie jakąś zaskakującą czystość. Spodziewała się po nim raczej słabości i uległości, łatwej do opanowania dzięki potędze seksu.

Najwyraźniej pomyliła się w swojej ocenie. Było to przerażające przypuszczenie. Zgodził się jednak opiekować nią i to na nieokreślony czas. W końcu zamierzała żądać niewiele ponad połowę sumy, którą jej sam zaoferował.

- Bardzo jasno - odparła. Wstała, zrzuciła drugi pantofel, po deszła ku niemu i poprawiła mu przekrzywiony halsztuk.

- A zatem zawarliśmy umowę, lordzie Merton.
 - Owszem - odparł i ujął ją za nadgarstki.
- Uśmiechnęła się do niego. Nie odwzajemnił uśmiechu, zajrzał jej tylko po chwili w oczy.
- Nie musi jej pani przy mnie nosić.
 - Czego?
 - Tej maski zimnej pogardy wobec wszystkiego i wszystkich. Jest zbędna. Nie zrobię pani nic złego.
- Teraz poczuła prawdziwy strach. Odwróciłaby się i uciekła, gdyby nie trzymał jej za nadgarstki, co prawda niezbyt mocno. Zamiast tego uśmiechnęła się znowu.
- Kiedy kobieta uśmiecha się do swego kochanka i opiekuna, przykro jej słyszeć, że robi to z zimną pogardą. Może powinnam się na pana pogniewać?
- Pocałował ją. Był to pocałunek krótki, ale mocny.
- Przyjdzie pani dziś wieczorem do lady Carling?
 - Tak. Zaprosiła mnie i sądzę, że obserwowanie reakcji gości będzie zabawne.
 - Wszystkie moje trzy siostry się tam wybierają. Będą uprzejme, a lady Carling też przyjmie panią grzecznie. Przyjadę tam potem kariolką i zabiorę panią na przejażdżkę po parku.
 - Nie zrobi pan tego - odparła i cofnęła się do tyłu. - Nie musi pan wcale psuć sobie opinii, pokazując się ze mną publicznie.
 - Będę tu przychodził dyskretnie w nocy, dbając o pani reputację, ale nie jest pani kurtyzaną, lady Paget, tylko damą. I to taką, której reputację należy poprawić. Nie wiem, co właściwie stało się z pani mężem, choć opowiedziała mi pani o nagich faktach. Podejrzewam, że chodzi tu o coś zupełnie innego. Pomówimy o tym, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, ale nadszarpniętą reputację należy odzyskać. Właśnie do tego posłuży, choćby

częściowo, moje towarzystwo. A jeśli boi się pani, że moja opinia na tym ucierpi, to znaczy, że nie rozumie pani podwójnych standardów moralności, wedle których elegancki świat osądza mężczyzn i kobiety. Na przykład Sherry'emu stopniowo zaczyna się wybaczają, a uprowadzonej przez niego damie byłoby o wiele trudniej to uzyskać, gdyby żyła i zapragnęła wrócić do Londynu. Mojej reputacji niezbyt zaszkodzi pani towarzystwo, za to pani opinia na tym zyska.

- Nie potrzebuje mi pan wyświadczać tylu uprzejmości, lordzie Merton.

- Jeśli słowo „opiekun” oznacza tylko wyłączny i nieograniczony dostęp do pani ciała, to sobie tej funkcji nie życzę. Skoro mam nim być, postaram się zarówno panią chronić, jak i z nią sypiać.

Westchnęła głęboko.

- Chyba spotkałam wczoraj potwora, a spodziewałam się anioła - i to bogatego. Uprzejmość pańskich sióstr zblednie wobec faktu zabrania mnie na przejażdżkę.

- Moje siostry żyją własnym życiem, ja żyję swoim. Nie wtrącamy się do siebie, tylko po prostu kochamy.

- Pewnie budzę w nich przerażenie właśnie dlatego, że pana kochają?

- W takim razie będą przerażone. Przyjadę po panią wóół do piątej.

- Lepiej niech pan wróci do siebie teraz, nim Alice wstanie i zgorszy się pańską obecnością. Powoli do niej przywyknie, ale z początku będzie nadąsana. Po co ma się pan na to narażać? Pański surdut i spodnie pogniotły się niemiłosiernie, z halsztukiem już chyba nic nie da się zrobić, włosy całkiem się zmierzwiły.

Uśmiechnął się - po raz pierwszy po długim czasie.

- Zawsze sprawiają mi kłopot.

- Niech ich pan na siłę nie wygładza. Każda godna tego mia na kobieta chętnie by zanurzyła palce w ich gęstwinie.

Skłonił się przed nią i uniósł jej dłoń do warg.

- A więc zobaczymy się po południu. Pieniądze przyślę jutro rano.

Kiwnęła głową na znak zgody.

Wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Podeszła pospiesznie do okna i stała tam, póki nie pojawił się przed drzwiami frontowymi. Nie usłyszała jednak, jak je otwierał i zamykał. Patrzyła, jak stąpa długimi, swobodnymi krokami, póki nie zniknął za rogiem, ale nawet wtedy nie ruszyła się z miejsca.

Po chwili pojęła, że płacze. Wróciła do gotowalni i pochyliła się nad umywalką.

Nigdy dotąd nie płakała. Nigdy.

Nie może dopuścić, żeby Alice dojrzała na jej twarzy ślady łez.

7

Stephena zawsze cechowało spokojne usposobienie i pogodne podejście do życia. Nawet gdy jako chłopiec bardzo rzadko bił się z kolegami, nie był wobec nich okrutny i nie żywił długo urazy. Wiele lat temu tak mocno uderzył Clarence'a Forestera, że ten wolał uciec ze spuchniętym nosem i podbitymi oczami, niż walczyć, jak przystało mężczyźnie. Miał też wielką ochotę jeszcze gorzej postąpić z Randolphem Turnerem jakiś rok później, ale niestety okoliczności zmusiły go, żeby tego poniechać.

W obu jednak wypadkach miał powód do przemocy lub choćby potencjalnej możliwości jej użycia. W obu też coś groziło

jego siostram, a on mógłby zabić, gdyby cokolwiek groziło którejś z nich.

Zdarzały się okazje, kiedy gniew, a nawet przemoc były usprawiedliwione. Dzisiaj czuł gniew, wściekły gniew, lecz tym razem był zły tylko na siebie.

Pierwszą osobą, na której go wyładował, był lokaj, który zawsze dobrze pracował, lecz obyczajem służby lubił cierpko utyskiwać, kiedy czuł, że ujdzie mu to na sucho. Gdy Stephen zadzwonił po niego już o szóstej rano, ledwie rzucił okiem na zgniecione ubranie, a od razu zaczął burczeć, całkiem jakby jego pan był niegrzecznym chłopcem.

Stephen wytrzymał narzekania przez chwilę, a potem spojrzął na niego chłodno i powiedział lodowatym tonem:

- Wybacz mi, jeśli coś źle zrozumiałem, Philbin, ale czy nie przyjąłem cię do pracy po to, żebyś mi służył? Czyż nie wynająłem cię, między innymi, w tym celu, żebyś dbał o moje odzienie, czyścił je, prasował i trzymał w gotowości? Mam nadzieję, że wszystkie trzy jego części będą odświeżone jak należy, kiedy zechcę się w nie ubrać następnym razem. Przynieś wannę do kąpieli, przygotuj mi strój do konnej jazdy, gdy będę się mył, a potem ogól mnie i pomóż mi go włożyć. Jeśli zaś sobie wyobrażasz, że jednym z twoich obowiązków jest pouczanie mnie i wyrażanie opinii na temat mego postępowania oraz stanu, w jakim znalazł się mój strój, możesz natychmiast zostać przywołany do porządku i poszukać sobie pracy u kogoś, kto będzie na tyle głupi, żeby ci pozwalać na podobne zachowanie. Czy wszystko jasne?

Sam z pewnym zaskoczeniem wysłuchał tej swojej tyrady. Philbin służył u niego, odkąd Stephen skończył siedemnaście lat, i zawsze dotąd pozostawali w jak najlepszych stosunkach. Philbin burczał i łajał go, kiedy wiedział, że ma po temu powody, a on znosił te uwagi bez słowa sprzeciwu, puszczając je mimo uszu.

Teraz jednak nie miał zamiaru go przeproszać. Był zbyt rozgniewany, a Philbin okazał się zbyt łatwym celem. Może kiedy indziej się z nim pogodzi.

Lokaj popatrzył na niego z otwartymi ustami, a potem zamknął je gwałtownie i zajął się pogniecionym strojem wieczorowym. Stephen ze strachem pomyślał, że lokaj gotów się rozpłakać, i poczuł się rozpaczliwie winny, a także jeszcze bardziej zirytowany niż przedtem.

Nie zdołał jednak zamknąć Philbinowi ust.

- Tak, milordzie - odparł służący tonem urażonej godności. - Ale ja wcale nie chcę pracować u kogoś innego, o czym pan doskonale wie. To byłoby bardzo nie w porządku, milordzie. Czy chce pan czarny surdut jeździecki, czy brązowy? A bryczesy bufiaste czy może szare? A buty? Te nowe czy...

- Philbinie - mruknął gniewnie Stephen - przygotuj mi strój do konnej jazdy i to już!

- Tak, milordzie - odparł sługa, świadomy, że w jakiejś mierze zdołał się zemścić. Zazwyczaj nigdy nie zawracał mu głowy podobnymi drobiazgami.

Stephen, nadal w złym humorze, pogalopował w Hyde Parku wzdłuż Rotten Row, póki nie zaczęli się tam pojawiać inni jeźdźcy i dalszy galop stał się zbyt niebezpieczny.

Wkrótce spotkał kilku znajomych. Pogawędka na świeżym powietrzu złagodziła jego zły nastrój, do chwili gdy Morley Etheridge nie wspomniał o wczorajszym balu, a Clive Arnsworthy nie pochwalił się, że zdołał zatańczyć z czarującą lady Christobel Foley.

- A przecież wszyscy wiedzą, że ona za tobą świata nie widzi, Merton. Jeśli nie będziesz uważał, usidli cię, nim minie lato, ale i te brzydsze też mogą zagiąć na ciebie parol, a są ich całe tuziny. Może nawet setki!

- Czemu mówimy o setkach - spytał sucho Etheridge - a nie o tysiącach?

- Merton może stracić nie tylko wolność - dodał Colin Cathcart, całkiem nieświadomy nastroju Stephena - ale i zaryzykować, że dostanie mu się cios siekierą w głowę. Cóż za rozkoszny kres życia, gdy się leży wtedy między nogami pewnej damy! Bardzo kształtnymi, a jakże, jeśli sądzić z tego, co pozwalała ujrzyć jej zielona suknia. Niewiele pola pozostawiała wyobraźni, na Jowisza! Przyjrzałeś się jej dobrze, Arnsworthy? A ty, Etheridge?

Rozległ się chóralny rechot.

- Widziałem biodra - stwierdził Arnsworthy - ale zacząłem od głowy, a potem patrzyłem coraz niżej. Zrazu dostrzegłem tylko jej ogniste włosy, ale kiedy wyteżyłem wzrok, także i dekolt. Nie musiałem patrzeć niżej. Nigdy nie cieszyłem się bardziej, że mam lorgnon!

Kolejny rechot.

- Jeśli ta kobieta sobie myśli, że... - zaczął Etheridge.

- Ta dama - odezwał się Stephen tym samym oschłym i cierpkim tonem, jakim wcześniej przemawiał do lokaja - była gościem mojej siostry, a tym samym zasługuje na szacunek, uprzejmość i powściągliwość dżentelmena, tak samo jak każda obecna tam kobieta. Nie była i nie jest ladaczną, żeby się z niej kpić i pozbawiać ją godności. Nie będziesz przy mnie mówił o niej bez respektu, chyba że chcesz się ze mną spotkać gdzieś w ustronnym miejscu wczesnym rankiem.

Jak jeden mąż odwrócili się w siodłach i spojrzeli na niego z otwartymi ustami, zupełnie jak przedtem Philbin.

Stephen zacisnął mocno zęby i patrzył prosto przed siebie, na Rotten Row. Czuł się głupio i był wściekły. Chętnie wyzwałby każdego z nich na pojedynek. Niewiele do tego brakowało.

- Martwisz się reputacją lady Sheringford, co, Merton? - spytał Etheridge po chwili kłopotliwej ciszy. - Niepotrzebnie. Nikt nie wierzy, żeby ta baba... ta dama była tam zaproszona. Twoja siostra i Sherry doskonale sobie z tym poradziła. Meg z nią porozmawiała, Sherry zatańczył, potem wysłali w tym samym celu Morelanda, no i ciebie, a może chodziło o coś innego? Matka Sherry'ego po kolacji przespacerowała się z nią wokół sali balowej. Wszyscy dziś uznali, że bal okazał się sukcesem, tym bardziej że obecność lady Paget dodała mu pieprzyka. Nie musisz się niczego obawiać, przyjacielu. Wielu moich znajomych uważało, że Sherry jest albo diabłem wcielonym, albo aniołem, skoro parę lat temu zrobił to, o czym wielu tylko marzy. Nawet damy zaczynają mu wybaczać. Głównie ze względu na twoją siostrę, która jest najbardziej godną szacunku damą, jaką można spotkać.

Odpowiedział mu pomruk zgody, a potem wszyscy trzej przystanęli, by uprzejmie pogawędzić z inną grupą jeźdźców. Kłopotliwy moment minął.

Stephen jednak czuł w sobie gniew przez resztę poranka. W salonie pięściarskim Jacksona boksował się przez pół godziny, póki stary bokser nie przerwał walki, gdy partner Stephena poskarżył się na bezwzględność jego ataków.

Poszedł potem do klubu White'a i siedział tam nad poranną gazetą, którą zasłaniał się tak, by nikt nie odważył się przerwać mu lektury ani zabrać go ze sobą gdziekolwiek indziej.

Z natury był towarzyski i lubił przebywać wśród innych, lecz teraz tkwił z ponurą miną za swoją gazetą i niechętnie spoglądał na tych, którzy ośmielali się do niego uśmiechnąć czy skinąć mu przelotnie dłonią.

Nie przeczytał jednak ani słowa.

Znalazł się w pułapce i nie wiedział, jak wybrnąć z niej z honorem.

Poczuł zażenowanie już wtedy, gdy się zbudził. Kochał się z Cassandrą zbyt pospiesznie, w ubraniu, a potem zasnął i spał chyba przez kilka godzin. Musiał to być kamienny sen. Przecież nawet nie poczuł, jak go pozapinała i sama poszła się ubrać. Kiedy się ocknął, siedziała przy toalecie, kołysząc stopą, jakby od dawna czekała, aż oprzytomnieje.

Powinien wówczas zaciągnąć ją znowu do łóżka, zdjąć ubranie i z siebie, i z niej, a potem wziąć ją jeszcze raz, tym razem powoli i gruntownie.

A tymczasem ona zastawiła na niego sidła i złapała go. Nie mógł nic na to poradzić. Tkwił w nich na dobre.

Mąż musiał się nad nią okrutnie znęcać, skoro w końcu złapała za pistolet i wpakowała mu kulę prosto w serce. Czy było to morderstwo, czy zabójstwo w obronie własnej? Niewybaczalne czy usprawiedliwione?

Nie znał odpowiedzi, nie dbał zresztą o nią. Wzbudziła jego współczucie i rycerskość, co bez wątpienia było jej zamiarem.

Pozbawiono ją wszystkich korzyści należnych wdowie po majątnym człowieku. Pasierb wyrzucił ją z domu, grożąc więzieniem, gdyby ośmieliła się tam wrócić lub dochodzić swoich praw na drodze sądowej.

Znalazła się w biedzie, choć Stephen nie miał pojęcia, jak głębokiej. Stać ją było jednak na podróż do Londynu i wynajęcie tego ponurego, zaniedbanego domu. Domyślał się jednak, że grozi jej nędza i dlatego podjęła tak rozpaczliwy krok. Poszła wczoraj na bal Meg, ryzykując, że ją stamtąd wyrzucą na oczach połowy towarzystwa. Zrobiła to, chcąc sobie znaleźć zamożnego opiekuna, żeby jakoś żyć i uniknąć losu bezdomnej żebraczki.

Nie przesadzał w ocenie jej położenia.

I to on okazał się zbawcą, którego wybrała. A zarazem ofiarą.

Trafnie postąpiła. Bardzo trafnie.

Odwrócił stronę tak gwałtownie, że rozdarł ją z trzaskiem. Skrawek papieru opadł mu na kolana. Kilku mężczyzn spojrzało na niego z dezaprobatą.

- Proszę o ciszę! - mruknął lord Partheter, rzucając mu surowe spojrzenie sponad okularów.

Stephen, nie zważając na przykry szelest, uporządkował jakoś podartą gazetę i ponownie się nią zasłonił.

Miała rację, jej opowieść, choć tak krótka, wzbudziła w nim litość i troskę. Nie wyjdzie jako wolny człowiek z tego nędznego domostwa, chyba żeby ją powalił ciosem pięści, a potem pogruchotał jej żebra kopniakami.

Mógłby, co prawda, ofiarować jej jakąś pensję bez żadnych zobowiązań i ta myśl przez cały czas go nie opuszczała. Nikomu nie wolno być tak bogatym jak on. Nawet nie odczuje braku sumy pozwalającej jej żyć we względnym luksusie.

Nie mógł jednak tego zrobić. Podejrzewał, że za fasadą pogardliwie uśmiechniętej kusicielki tlą się resztki dumy, którą mąż usiłował z niej wybić. Z pewnością odmówiłaby przyjęcia takiego daru.

Nie mógł zresztą ofiarowywać hojnej pensji każdemu, kto by mu opowiedział jakąś wzruszającą historię.

A zatem jej ubóstwo zaciążyłoby na jego sumieniu.

Po prostu poczuł się zmuszony zaoferować jej wysoką sumę za miłosne usługi, których wcale nie pragnął. W głębi serca był tego pewien.

Płacił już dawniej za miłość, i to zawsze hojniej niż kobiety żądały. Nigdy jednak nie czuł, by były to brudne pieniądze, choć może tak się jednak rzeczy miały. Może powinien uważniej zbadać swoje sumienie? Może wszystkie te kobiety robiły to, by uniknąć głodowej śmierci? Bo przecież chyba nie dla przyjemności.

Niemile refleksje przygnębiły go i kazały przewrócić następną stronę gazety. Musiał pomyśleć o sobie.

Wczoraj o tej samej porze wcale nie miał zamiaru brać sobie kochanki. A teraz ją miał. Kiedy Philbin, zaskakująco jak na niego potulny, pomógł już Stephenowi wciągnąć buty jeździeckie, został wyprawiony na Portman Street z pękatym mieszkciem.

Nieźle jej zapłacił za ostatnią noc i za wyłączne prawa do większej liczby takich nocy, w każdym razie w przyszłym tygodniu.

Nie dbał o pieniądze, czuł się tylko rozczarowany. Sądził, że go pragnęła, że ją pociągał, że chodziło tu o wspólną satysfakcję. Prawda okazała się zarazem żenująca i upokarzająca. Dokuczały mu też sidła, w które dał się złapać. Równie dobrze mogłaby wymusić na nim małżeństwo.

Czemu, u licha, czuł się odpowiedzialny za to, by mówiono o niej z szacunkiem? Nie zasługiwała na to. Zabiła męża. Sprzedała się obcemu człowiekowi i podstępnie zrobiła z niego swojego opiekuna.

Nie zaznała bezpieczeństwa w koczowniczym dzieciństwie, potem zawarła małżeństwo, które okazało się koszmarem. A teraz starała się za wszelką cenę przeżyć, mieć co jeść i mieć dach nad głową. Nie znalazła innego zajęcia poza prostytutką.

Sprostytuowała się dla niego, a on na to pozwolił. Właściwie został do tego zmuszony, bo podejrzewał, że nie wzięłaby pieniędzy bez wyświadczenia mu tej usługi.

Nienawiść, a nawet niechęć, nie leżały w jego charakterze. Lubił ludzi i lubił być ludzki. A jednak tego ranka zżerały go nienawiść i gniew. Sam nie wiedział, kogo bardziej nienawidził i na kogo był bardziej zły - na lady Paget czy na samego siebie.

To zresztą nieważne, po prostu chciał sprawić, by okazała się osobą godną szacunku. Zamierzał też spać z nią tyle razy, by mogła zachować dumę i uznać, że te pieniądze zarobiła.

Oczywiście obchodziło go bardzo to, że zabiła męża. Tu tkwiło sedno wszystkiego. Zabiła go czy nie? Powiedziała, że tak. Po cóż miałyby to zrobić, gdyby było inaczej? Podejrzał jednak, że sporo z tego, co mu mówiła, nie było prawdą. A coś w sposobie, w jaki odpowiedziała na jego pytanie, nie brzmiało prawdziwie.

A może to tylko pobożne życzenia? Nie zachwyliło go, że kochanka, którą sobie wziął, przyznała się do morderstwa.

Musi też brać pod uwagę to, że zapewne była maltretowana. Ale żeby od razu chwycić za pistolet, który nie leżał chyba pod ręką nabyty, wycelować w mężowskie serce i pociągnąć za cyngiel...

Sama myśl o tym sprawiała, że na przemian robiło mu się zimno i gorąco. Jakież cierpienie sprawiło, że chwyciła się takiego sposobu. Chyba że była wcieleniem zła. Albo może wcale tego nie zrobiła.

Po cóż jednak miałyby mu kłamać? I po co dał się złapać w jej sieci - nawet jeśli sam dyktował warunki - skoro była morderczynią? A przynajmniej tak mówiła.

W głowie mu wirowało, jakby kręciła się tam dziecinna fryga. Złożył starannie gazetę i wyszedł z klubu, nie odzywając się do nikogo.

Alice, w rzadkim u niej przyływie buntu, odmówiła towarzyszenia Cassandrze podczas wizyty u lady Carling. Nie potępiła Cassie za przyjęcie zaproszenia, zwłaszcza że wyszło od samej lady Carling. Uważała nawet, że to najlepsza rzecz, która wynikała z całego tego ryzykownego przedsięwzięcia, jakim okazało się pójście na bal. Nie chciała jednak spotkać kochankę Cassie w okolicznościach, gdzie musiałyby traktować go uprzejmie.

- Chciałam cię wziąć ze sobą, Alice, żeby uniknąć przejażdżki z nim po parku - tłumaczyła Cassandra, patrząc, jak przyjaciółka

reperuje rozprutą poszewkę poduszki, co powinna zrobić razem z nią. - Wspomniał coś o kariolce. Siedzi się tam bardzo wysoko i na publicznym widoku, a w dodatku jest miejsce tylko dla dwóch osób. Mogłabym się od tego wymówić, żeby nie zostawiać cię samej.

Alice jednak uparcie nie chciała jej towarzyszyć i zawzięcie wkłuwała igłę w poszewkę.

- Wystawisz się na pośmiewisko, Cassie - powiedziała po chwili. - Wdowa w twoim wieku nie trzyma się kurczowo damy do towarzystwa, jeśli jakiś dżentelmen chce ją zabrać na przejażdżkę.

- Nie jesteś już moją damą do towarzystwa. Prawie od roku ci nie płaciłam, a kiedy wreszcie dziś mogę to zrobić, ty odmawiasz przyjęcia pieniędzy.

Alice owinęła bawełnianą nitkę wokół palca i urwała ją, zamiast odciąć nożyczkami, które leżały tuż koło niej na stole.

- Nie wezmę ani grosza z tych pieniędzy ani z żadnych innych, które w ten sposób zarobisz. Nie o tym myślałam, Cassie, kiedy się tobą zajmowałam. Przenigdy.

Przez chwilę wargi jej drżały, ale opanowała się i znów je zacisnęła.

- Myślę, Alice, że to miły człowiek. Sądzę też, że zapłacił mi za dużo, i jestem pewna, że on o tym wie. Prócz tego powiedział mi, że nigdy... no, uznał, że musi między nami panować wzajemność, a on... nie będzie mnie do niczego zmuszał.

Alice wywróciła poszewkę prawą stroną do góry, wygładziła gwałtownie jej fałdy i zrolowała, żeby ją potem wyprasować.

- Każda sztuka bielizny pościelowej w tym domu wkrótce się rozpadnie, więc i tak wszystko na darmo - mruknęła z irytacją.

- Po tygodniu czy dwóch będziemy mogli kupić nową.

Alice spojrzała na nią złowrogo.

- Nie przytknę głowy do poszewki kupionej za jego pieniądze.

Cassandra westchnęła i uniosła rękę, którą Roger trącał zimnym nosem. Położyła ją na kosmatym łbie, a pies wsparł pysk na jej kolanach. Spojrzał na nią żałośnie smutnymi oczami, a potem westchnął, niemal tak samo jak ona.

- Jego rodzina też jest miła. Wczoraj bardzo się starali zachować wobec mnie uprzejmie. Jasne, że w ten sposób zaoszczędzili sobie kłopotu, a może nawet towarzyskiej katastrofy, ale tak czy owak wydali mi się porządni.

- Chyba poraziłaby ich apopleksja, gdyby wiedzieli, że zaczął się do ciebie zalecać, a potem cię zrobił swoją kochanką.

- Owszem - przyznała Cassandra, gładząc jedwabiste ucho Rogera. - Ale on jest niesłychanie przystojny, Alice. Wygląda jak anioł.

- Ładny mi anioł! - Alice wbiła zaciekle igłę w poduszeczkę. - Wraca z tobą późną nocą, rano ci płaci, obiecując w przyszłości dać więcej za to samo. Ładny anioł!

Cassandra powiodła palcami po nędznych resztkach drugiego ucha Rogera i pociągnęła za oba, tak że wyglądał teraz na sennego i odchylił łeb do tyłu. Uśmiechnęła się do psa i puściła jego uszy.

- Pójdź tam ze mną po południu - poprosiła, lecz Alice okazała się nieugięta.

- Nie, Cassie - odparła stanowczo i wstała. - Jak słusznie uważałaś, nie otrzymuję zapłaty od ponad roku, i tak właśnie być powinno. Oznacza to, że jestem wolną osobą, a nie twoją służącą. Mogę zarobić na nas obie, a także na Mary, Belinę i tego psa, żebyś nie musiała... Wiem, uważasz, że jestem za stara na to, żeby ktoś mnie zatrudnił, ale mam tylko czterdzieści dwa lata. Jeszcze nie zdzieciniałam. Czuję się dość silna, by w razie czego szorować podłogę, szyć przez dwanaście godzin dziennie u szwaczki

albo robić cokolwiek innego. Znajdę jakieś zajęcie. Ktoś musi mnie potrzebować.

- Ja cię potrzebuję.

Alice jednak nie dała się udobruchać. Wyszła z pokoju, demonstracyjnie unosząc podbródek i zostawiając drzwi otwarte.

Wkrótce zajrzała przez nie małą, uśmiechnięta radośnie buzia, a w ślad za nią w szparę wsunęła się cała reszta dziecka.

- Piesek - powiedziała Belinda, podbiegając, żeby go złapać, nim zdąży uciec.

Jednak Roger, choć stary i raczej ospały, bywał czasem w nastroju do zabawy i chętnie pozwalał się głaskać. Podeszedł ku niej z wywieszonym językiem, machając ogonem, i zastrzygł uszami. Dziewczynka objęła go za szyję, a jej uśmiech przerodził się w chichot i pisk rozbawienia, gdy pies polizał ją po twarzy.

Choć wyrosła ze swoich ubranek już pół roku temu, wciąż je nosiła. Sukienka zblakła od częstego prania, była jednak nieskazitelnie czysta, a wszystkie dziury miała starannie załatane. Policzki dziewczynki poróżowiły od niedawnego mycia, które z pewnością nastąpiłoby powtórnie, gdyby Mary wiedziała, że Roger ją polizał. Miękkie, brązowe loki miała zaczesane do tyłu i związane spłowiałą, na wpół wystrzępioną wstążką. Była bosa, bo wyrosła też z butów i nosiła je tylko wtedy, gdy wychodziła z domu.

Miała trzy latka i była ukochaną córeczką, oczkiem w głowie Mary.

- Witaj, kochanie - pozdrowiła ją Cassandra.

Belinda obdarzyła ją promiennym uśmiechem i znów zachichotała, bo Roger przewrócił się na plecy i przebierał trzema łapami w powietrzu. Dziewczynka położyła się przy nim na podłodze i głaskała go po brzuchu, a potem objęła psa szczupłą rączką.

- Piesek mnie lubi! - oznajmiła.

- Bo ty go lubisz - odparła z uśmiechem Cassandra.

Mogła wreszcie dać pieniądze Mary, a nawet stopniowo spłacić wszystko, co była jej winna. Mary niechętnie to przyjmie, lecz Cassandra postanowiła nalegać, opór Mary nie potrwałby więc długo. Musi sprawić dziecku nowe ubranka.

Cassandra chciała też kupić małej jakieś ozdoby, zresztą dla Mary także. Tylko nie dla Alice. Alice nic od niej nie przyjmie w swoim obecnym nastroju.

Cassandra miała teraz opiekuna. Obracała to słowo w myśli. Została kochanką opłacaną za swoje usługi miłosne. Rzecz jasna, nie ma mowy o żadnej wzajemności w tym, co się będzie działo pomiędzy nią a hrabią Mertonem, mimo jego nalegań. Nigdy go nie zapragnie, niezależnie od jego urody i niezaprzeczalnej męskości. A nawet mimo tego, co - jak podejrzewała - było wrodzoną mu z natury życzliwością.

Dziewięć lat małżeństwa zabiło w niej wszelkie zainteresowanie tym, co zdaniem Mertona powinno ich łączyć. Jeśli tego się po niej spodziewa, może czekać bez końca, a ona tymczasem będzie inkasować pieniądze, których wcale nie zarobi.

Ale chciała je zarabiać. Każdy grosz. Miała w końcu dumę. Merton nigdy się nie dowie, że nie ma między nimi żadnej wzajemności.

Cassandra da mu dużo za jego pieniądze.

Wszystko to wydawało się jej niewarte zachodu, gdy patrzyła na dziecko bawiące się z psem. Obydwoje byli tacy szczęśliwi i tacy ufni. Dwie bezcenne, niewinne istoty.

A jednak wszystko było warte zachodu, jeśli choć na jeden dzień mogło zapobiec utracie tej niewinności.

8

Na wieczorek u lady Carling zaproszono tylko damy. Stephen zastanawiał się, gdy uniósł kołatkę i pozwolił jej stuknąć w drzwi, ile ich może być w salonie i czy o wpół do piątej większość już sobie nie poszła. Może i lady Paget tak zrobiła, chcąc uniknąć przejażdżki w jego towarzystwie.

A może w ogóle nie przyszła, choć byłoby to niemądre z jej strony, jeśli chciała być przyjmowana, przynajmniej przez niektóre osoby z tego towarzystwa. Z pewnością przybyła do Londynu z jakimś ułożonym wcześniej planem, nie tylko w nadziei zyskania sobie protektora, który płaciłby jej rachunki przez kilka miesięcy pozostałych do końca sezonu.

Kamerdyner Carlingów wziął jego bilet wizytowy i zaniósł go do salonu. Do Stephena doleciał szmer kobiecych rozmów, gdy drzwi na piętrze otworzyły się, a potem znów zamknęły. A zatem goście jeszcze nie wyszli.

- Lady Carling z przyjemnością pana przyjmie, milordzie - powiedział kamerdyner i Stephen poszedł za nim na górę.

Perspektywa pojawienia się w towarzystwie złożonym wyłącznie z dam mogłaby zniechęcić wielu mężczyzn, lecz Stephen się do nich nie zaliczał. Dobrze wiedział, że większość kobiet lubi żartować i śmiać się, kiedy tylko jeden mężczyzna znajdzie się na ich łasce, lecz zawsze był na tyle uprzejmy, żeby żartować i śmiać się razem z nimi. Co prawda tego dnia wciąż był w nie najlepszym nastroju, lecz jego gniew i rozdrażnienie zmalowały, gdy po wizycie w klubie poszedł na lunch. Nie potrafił się złościć długo, a przynajmniej nie chciał tego. Nie będzie się wściekał z czyjegoś powodu.

Pogodził się z Philbinem, a sługa skłonił się sztywno, przyjmując łaskawie przeprosiny. Strzepnął jednocześnie jakiś nie-

widoczny pyłek z butów Stephena, który pozwolił sobie wrócić w nich pieszo, było to bowiem obuwie przeznaczone wyłącznie do noszenia w domu lub powozie, o czym jego lordowska mość dobrze wiedział. Czy jego lordowska mość nie wie, jak bardzo kurz ulicy szkodzi skórze? Lepiej zaraz je zdjąć, póki nie zniszczyły się nieodwracalnie, bo wtedy Philbin do końca życia nie mógłby spojrzeć w oczy innym służącym!

Stephen posłusznie usiadł i pozwolił ściągnąć sobie buty z nóg, tym samym relacje ze służącym wróciły do normy.

Kamerdyner Carlingów szerokim gestem otworzył drzwi salonu i zaanonsował go donośnie, po czym najpierw zapadła cisza, a potem rozległ się gwałtowny szczebiot zebranych pań.

Lady Carling wstała i podeszła do niego.

- Lord Merton! Jakże mi miło!

Stephen ujął jej dłoń w swoje i powiedział z udaną zgrozą:

- Proszę mi nie mówić, że to wieczorek wyłącznie dla dam. Przez całą drogę układałem słowa przeprosin za zbyt późne przyjście.

- W każdym razie przyjmuję je. Wszystkie je przyjmujemy.

Rozległ się chóralny pomruk zgody.

- Sądziłem - zaczął - że zastanę tu wyłącznie znajome państwa Carlingów i przejechałem przez cały park w nadziei, że spędzę w nim miłe popołudnie, spotykając znajome mi damy, zanim tu przyjadę. Gdy jednak nie zastałem ich tam wcale, pojechałem na Bond Street, żeby się przekonać, czy nie bawią czasem w tamtejszych sklepach. Potem spróbowałem zajrzeć na Oxford Street, z tym samym rezultatem. A teraz widzę, że wszystkie panie, które najbardziej pragnąłem ujrzeć, przez cały czas były tutaj!

Zuchwały komplement spowodował ogólne rozbawienie. Stephen rozejrzał się po obecnych z szerokim uśmiechem. Były

tam trzy jego siostry. Lady Paget również. Siedziała koło Nessie, ubrana znów w elegancką zieleń, lecz w znacznie bardziej stonowanym odcieniu niż szmaragdowa suknia balowa. Widocznie stroje należały do tych nielicznych wartościowych rzeczy, które pozwolono jej zatrzymać, gdy została wdową. Nie miała jednak biżuterii, podobnie jak poprzedniego dnia.

Nie śmiała się wesoło i nie żartowała z innymi damami. Uśmiechnęła się jedynie tym swoim dyskretnym, lekko ironicznym uśmiechem, który nie schodził jej z ust i na balu, i w sypialni. Szybko zrozumiał, że to tylko maska, jaką nosi, chcąc się osłonić przed afrontami.

Słońce wchodzące przez okno oświetlało jedną stronę jej twarzy i włosy. W jego blasku wydawała się wręcz zdumiewająco piękna.

- Drogie panie - lady Carling ujęła go pod ramię - czy każemy mu sobie stąd pójść, czy też pozwolimy, żeby został?

- Niech zostanie! - odezwało się kilka dam ze śmiechem.

- Doprawdy, Ethel - rzuciła owdowiała lady Sinden, unosząc do oczu lorgnon i przyglądając się Stephenowi - szkoda byłoby skazywać biednego lorda Mertona na błąkanie się po ulicach i parku przez najbliższą godzinę w oczekiwaniu, aż jego ulubione damy opuszczą twój salon. Niech już lepiej tu zostanie, bo go to uszczęśliwi. Czy jeździł pan po Londynie tą swoją kariolką, lordzie Merton, czy jakimś rozsądniejszym?

- Moją kariolką, madame.

- W takim razie nie może mnie pan zabrać nią do parku, choć mam pewność, że właśnie to ja jestem pana najulubieńszą z zebranych tu dam. Przestałam jeździć kariolką, odkąd bardzo dawno temu stuknął mi siódmy krzyżyk. Mogę wprawdzie do niej wsiąść, ale nie potrafiłabym wysiąść, chyba że dwóch krzepkich lokajów zniosłoby mnie na ziemię.

- Musieliby to być jacyś wyjątkowi słabeusze - odparł, wciąż z uśmiechem - gdyż ja bym sobie poradził jedną ręką. Waży pani tyle, co piórko.

- Zuchwały smarkacz! - odparła, wybuchając śmiechem, od którego zatrzęsły się jej wszystkie trzy podbródki.

- Niestety, madame, nie mogę tego udowodnić dzisiaj, bo zdołałem już namówić na przejażdżkę inną tu obecną damę.

- Która ma zaszczyt być ową szczęściarą? - spytała lady Carling, która posadziła go przy sobie na sofie. - Czy to może ja obiecałam panu to wczoraj i zapomniałam? Ale jakaż dama mogłaby o tym zapomnieć?

Nachyliła się nad tacą z herbatą, żeby nalać mu filiżankę.

- Niestety, madame, towarzyszył pani sir Graham, nie ośmieliłem się więc o to prosić, bo mógłby mi jeszcze zrobić coś złego! Na przejażdżkę zgodziła się lady Paget.

Przez chwilę w salonie zapanowało milczenie.

- Stephen ma sportową kariolkę - wyjaśniła Kate, jego siostra - której można się przestraszyć, ale on doskonale nią kieruje, lady Paget. Będzie z nim pani całkiem bezpieczna.

- Nawet mi w głowie nie powstało - odparła lady Paget niskim aksamitnym głosem - że mogłoby być inaczej.

Spojrzała mu prosto w oczy, gdy unosił do ust filiżankę, i przez chwilę znów poczuł taki sam gniew, jak rankiem. Była piękna, pociągająca i oplątywała go swoją siecią jak pająk muchę. Wstrętne porównanie, ale trafne.

- A dziś taki piękny dzień, w sam raz na przejażdżkę - dodała Meg. - Myślałam, że rano będzie padać, ale teraz nie ma najmniejszej chmurki na niebie. Mam nadzieję, że zapowiada się piękne lato.

- Jest dużo bardziej prawdopodobne, lady Sheringford - ze smutkiem pokiwała głową pani Craven - że przez cały lipiec i sierpień będą nas nękać upały.

Rozmowa zesłała na bezpieczniejsze tematy, Stephen dokończył herbatę i wstał.

- Jestem wdzięczny, że mogłem być obecny na przyjęciu - zwrócił się do lady Carling - lecz ja i lady Paget pożegnamy się już z panią. Moje konie z pewnością niecierpliwie grzebią nogą.

Uklonił się wszystkim i pożegnał uśmiechem każdą z sióstr, a potem podał ramię lady Paget, która też wstała i także podziękowała lady Carling za gościnę. Wyszli razem z pokoju.

Drzwi się za nimi zamknęły, a Stephen zdał sobie sprawę, że w salonie nie rozległ się ożywiony gwar. W końcu były tam jego siostry. W innych salonach i przy wielu innych stołach będzie się jednak o tym rozprawiać bez końca.

Do domu lady Paget napłynie wkrótce co najmniej kilka zaproszeń. Kilka pań zda sobie sprawę z tego, że dobrze byłoby ją gościć u siebie, nim jeszcze spadnie z niej odium. A do tego czasu otrzyma już zaproszenia.

- Bardzo zgrabna kariolka - powiedziała, kiedy wyszli. Stangret, który czuwał nad pojazdem i końmi, podjechał pod same schody. - Chciałabym jednak, żeby odwiózł mnie pan nią prosto do domu, lordzie Merton.

- Pojedziemy do parku, tak jak się umówiliśmy. O tej porze będzie tam mnóstwo ludzi.

Ujął ją za rękę, ale ona bez niczyjej pomocy zdołała wspiąć się na wysokie siedzenie. Stephen obszedł kariolkę dookoła i zrobił to samo, a potem wziął od stangreta lejce.

- A zatem chce pan paradować z nową kochanką przed wszystkimi swoimi znajomymi, lordzie Merton?

- Postanowiła mnie pani dziś obrażać, jak widzę, i na przyszłość będę ostrożniejszy. Owszem, została pani moją kochanką, ale o tym wiemy tylko my dwoje. W oczach innych jest pani wy-

łącznie moją znajomą, może nawet dobrą znajomą, której postanowiłem od czasu do czasu towarzyszyć w spacerach po Londynie. Tego też określenia mam zamiar używać, obojętne, czy będzie pani wtedy ze mną, czy nie. Nawet wobec moich znajomych.

- Gniewa się pan.

- Owszem. A raczej gniewałem. Mam nadzieję, że nie chciała mnie pani obrazić. Czy możemy jechać?

- Myślę, że zrobilibyśmy z siebie pośmiewisko, gdybyśmy mieli tu siedzieć aż do zmroku, lordzie Merton. Jedźmy.

Zaciął konie.

Jeszcze dwa dni temu przechodziła tędy z Alice, niezauważona przez nikogo, ukryta pod ciężkim czarnym welonem. Rzadko się zdarzało, żeby nie zwracano na nią uwagi, nawet wówczas gdy była jeszcze niezgrabnym, piegowatym podlotkiem z czupryną koloru marchewki. Przyciągała oczy jako młoda dziewczyna, kiedy jej kształty stały się foremniejsze, piegi zaczęły blednąć, a włosy przestano porównywać do marchewki. I wtedy, kiedy już była dorosłą kobietą. Wiedziała, że jej figura i włosy odwrócą męskie spojrzenia, dokądkolwiek pójdzie.

Uroda jej - bo stała się urodziwa - nie zawsze okazywała się atutem, w gruncie rzeczy bywała nim rzadko. Niekiedy - właściwie prawie zawsze - wolałaby ją ukryć. Na wpół pogardliwy, na wpół arogancki uśmiech, wysoko uniesiony podbródek i tęskne, ale bystre spojrzenie nie były niczym nowym. Ta postawa miała trzymać innych na dystans, z dala od osoby, która się za nim skrywała.

Hrabia Merton nazwał ją dziś maską.

Poprzedniego dnia uroda była jednak jej atutem, gdyż pozwoliła Cassandrze zyskać bogatego protektora, którego rozpaczliwie

potrzebowała. Choć teraz wolałaby wybrać kogoś innego, kto zadowolony byłby się odwiedzaniem jej ukradkiem tylko w jednym celu i płacił jej regularnie.

- Czemu zabrał mnie pan od lady Carling? Przecież zmusiło to pana do publicznego oznajmienia o przejeździe po parku.

- Chciałem, że każdy sam dziś rozstrzygnął, czy przyszedłem z wizytą do lady Carling, czy też czekałem, aż pani stamtąd wyjdzie.

- A jednak gniewa się pan na mnie. Był pan zły rankiem i jest pan zły po południu. Chyba mnie pan wcale nie lubi?

Co za głupie pytanie! Czy chce, żeby ich związek zakończył się, zanim się jeszcze zaczął? Czy musi ją lubić? Nie wystarczy, że jej pragnie? Ze płaci, by te pragnienia zaspokoić?

- A czy pani mnie lubi, lady Paget?

Każdy musiał go lubić. Był na pewno prawdziwym beniaminkiem eleganckiego świata. Nie tylko z powodu niezwyklej, iście anielskiej powierzchowności, ale i osobistego uroku, swobodnych manier, pogodnego usposobienia i... i jeszcze czegoś, czego nie sposób było ująć w słowach. Cóż to takiego było? Charyzma? Witalność? Uprzejmość? Otwartość? Ale uroda i popularność nie przewróciły mu wcale w głowie.

Miłą powierzchownością zyskiwał sobie przyjaciół, wprawiał ich w pogodny nastrój i przywracał im dobre samopoczucie. Ona posłużyła się swoją, żeby zwabić najpierw męża, a teraz kochanka. On dawał. Ona brała.

Czy naprawdę?

- Nawet pana nie poznałam, chyba że w sensie czysto biblijnym. Skąd mogę wiedzieć, czy pana lubię, czy nie?

Odwrócił głowę, żeby móc popatrzeć na jej twarz. Nagle poczuł, jak blisko siebie się znaleźli na ciasnym siedzeniu kariolki. Musiała czuć zapach jego wody kolońskiej.

- Ja także nie mam pojęcia, czy panią lubię, czy nie, Casandro. Dziwne mi się jednak wydaje, że wczoraj usiłowała pani mnie uwieść, a dzisiaj najwyraźniej dąży do tego, żeby się mnie pozbyć. Czy właśnie tego pani chce?

Zapra gnęła, żeby miał oczy mniej niebieskie i nie wpatrywał się w nią tak intensywnie. Nie można było przed nimi uciec, zdawały się wręcz wnikać w nią i pozbawiać ją wszystkiego, co powinno pozostać nienaruszone - nie, nie ubrania, ale... Cóż za dziwne myśli ją nachodzą, nigdy jej takie nie nękały. Nawet nie wiedziała do tej pory, że nie lubi niebieskich oczu, wcześniej były jej obojętne. Tak, to wszystko przez te oczy...

- Pragnę pana - odparła z uśmiechem, zniżając głos. - W moim domu, w mojej sypialni, w moim łóżku. Cała ta reszta jest zbędna.

Wskazała szerokim gestem park, pełen powozów, koni i spacerowiczów, do których szybko się zbliżali.

- Zawsze uważałem, że to, co się dzieje między mężczyzną a kobietą - nawet między mężczyzną a jego kochanką - powinno być czymś więcej niż tylko tym, do czego dochodzi w łóżku. W przeciwnym razie nie można mówić o związku.

Serce zabiło jej mocniej, lecz natychmiast przywołała się do porządku.

- Skoro pańskim zdaniem miłość cielesna nie wystarczy, to widocznie spędził pan za mało czasu w moim łóżku. Czy przyjdzie pan dziś do mnie?

Nie była pewna, czy kiedykolwiek przedtem wypowiedziała głośno słowa „miłość cielesna” i teraz przyszło jej to z wielkim trudem.

- A czy pani chce, żebym przyszedł?

- Oczywiście. Jakżebym inaczej zarobiła na życie?

Znów na nią spojrział, a ona dostrzegła w jego wzroku niepożądanie mężczyzny, który chciałby jak najprędzej znaleźć się

w łóżku z kochanką, lecz coś bliższego bólu lub przynajmniej wyrzutu.

Nie wierzył, że mogą zostać po prostu kochankami. Czyżby był tak naiwny i pozbawiony poczucia rzeczywistości?

Było już za późno na dłuższą rozmowę, co częściowo sprawiło jej ulgę - żałowała coraz bardziej, że wczoraj na balu nie wybrała innego mężczyzny, mniej niedoświadczonego, mniej uczciwego, kogoś bardziej pospolitego, kto by się zgodził na ich układ po prostu dla miłości za pieniądze i nie oskarżał jej o noszenie maski.

Nawet w myśli niełatwo jej przychodziło użyć słów „miłość cielesna”.

Przelotne poczucie ulgi zniknęło, bo znalazła się w tłumie, na widoku, jak wczoraj, a nawet bardziej - jeśli było to możliwe. Jechała nad tłumem na wysokim siedzeniu, niczym na grzędzie, i nikt nie mógł jej nie zauważyć.

Doszła do wniosku, że lord Merton postąpił tak z rozmysłem. Z pewnością miał inne powozy, ale wybrał ten. Nie przywiózł jej tu jednak, żeby się nią popisywać przed znajomymi. Rozgniewał się, gdy o tym wspomniała.

Uśmiechał się serdecznie do wszystkich, pozdrawiał damy, zatrzymywał się, żeby zamienić kilka słów, jeśli tylko ktoś chciał z nim pogawędzić. Domyśliła się, że tych ludzi jest dziś dużo mniej niż zwykle. Gdy tylko ktoś go zatrzymywał, przedstawiał mu ją, ona zaś witała się skinieniem głowy, a czasem nawet rozmawiała.

Przekonała się, że podobnie jak w salonie lady Carling niektórzy chcieli zamienić z nią kilka słów, choćby mieli jedynie spytać, jak się miewa. Oczywiście, tam stała za nią lady Carling, tu miała u boku lorda Mertona, na balu zrobili to hrabiostwo Sheringford.

Może znajdzie się w końcu kilkoro życzliwych ludzi, może okazała się zbyt cyniczna w swoich sądach. Może też nie jest zupełnym wyrzutkiem, jak się spodziewała, tylko kuriozum, któremu niektórzy ludzie będą chcieli się przyjrzeć z bliska, wiedzeni ciekawością, a gdy ta się skończy, przyjmą ją życzliwiej?

Trudno jej było zrezygnować z cynizmu. W końcu pod wieloma względami wciąż pozostawała pariasem.

Jak można się było spodziewać, głównie mężczyźni zatrzymywali się, żeby pomówić z lordem Mertonem, a tym samym być jej przedstawionymi. Cassandra zastanawiała się, czy doprawdy nie mogła wczoraj wybrać mądrzej. Jak to jednak miała zrobić, skoro nic o nich nie wiedziała, nie znała ich nazwisk i mogła się tylko domyślać, że są zamożni? Nie da się zresztą domyślić, czy nie żyją ponad stan i nie toną w długach.

Myślała, że wybiera mądrze męża. Miała wtedy osiemnaście lat. Teraz ma dwadzieścia osiem. Przez te lata zdobyła jedynie pewność, że jeśli pragnie bezpieczeństwa w życiu, powinna mieć raczej opiekuna niż małżonka.

Wolność jest czymś najważniejszym w życiu, ale kobietom zwykle się ona wymyka.

Baron Montford powiedział jej kilka miłych słów, a potem porozmawiał przez chwilę ze swoim szwagrem. Towarzyszyło mu kilku znanych mężczyzn, w tym pan Huxtable, który nadal wydawał się jej sataniczny. Patrzył na nią czarnymi oczami, kiedy inni mówili i śmiali się. Spostrzegła, że ktoś kiedyś przetrącił mu nos, który nie zrósł się całkiem prosto. Cieszyła się, że to nie jego wybrała wczoraj. Miała wrażenie, że jego wzrok przenika ją na wskroś.

I właśnie wtedy, kiedy baron i jego towarzysze ruszyli w przeciwnym kierunku, Cassandra dojrzała znajomą twarz - przystojnego młodzieńca o kasztanowatych włosach. Siedział w otwartym

powoziku koło ślicznej młodej damy ubranej na różowo i śmiał się z czegoś, co mówiła do dwóch oficerów w czerwonych mundurach, jadących obok na koniach.

Kariolka Mertona właśnie go mijała. Oficerowie odjechali, dama uśmiechnęła się do młodzieńca i obydwójce zaczęli rozglądać się wokół.

W tej samej chwili ich wzrok padł na Cassandrę, obydwaj powozy niemal otarły się o siebie. Cassandra wychyliła się na zewnątrz z radosnym podnieceniem.

- Wesley!

Młoda dama przesłoniła dłońmi usta i gwałtownie odwróciła głowę, podobnie jak zrobiło to, choć nie tak ostentacyjnie, kilka innych dam podczas ostatnich piętnastu minut. Uśmiech młodzieńca zbladł, spojrzął na Cassandrę zaskoczony i choć skinął jej dłonią na powitanie, zaczął zaraz patrzeć gdzie indziej.

- Ruszaj! - rzekł niecierpliwie do stangreta, ale ten nie mógł nic zrobić, gdyż inne pojazdy przed nim blokowały mu drogę.

Lord Merton miał przed sobą trochę więcej miejsca, ale i tak obydwaj pojazdy zdołały się minąć dopiero po długiej chwili.

- Czy to jakiś znajomy? - spytał Stephen.

- Proszę mnie odwieźć do domu, bardzo proszę. Mam już dosyć.

Długo trwało, nim zdołał wyjechać z ciżby powozów, lecz w końcu znaleźli się na ścieżce, która nie była zatłoczona.

- To był Young, prawda? - zapytał. - Wesley Young. Prawie go nie znam.

- Nie wiem - powiedziała, splatając dłonie na podołku. - Nigdy go przedtem nie widziałam.

- W takim razie wyglądał tylko jak on. - Stephen spojrzął na nią z uśmiechem. - Proszę się nim nie martwić. Niektórzy ludzie z wyższych sfer uwielbiają takie ostentacyjne zaprzaństwo. Inni

tego nie zrobią. Sądzę, że po pewnym czasie spotka pani wielu innych, którzy potraktują panią uprzejmie.

- Może. - Poczula, że dłonie jej drżą. Zacisnęła jedną z nich w pięść, drugą uchwyciła poręcz i zacisnęła zęby, żeby nie szczękały.

- No tak - powiedział, gdy byli już blisko Marble Arch, gdzie znajdowało się wejście do parku. Dotknął jej ręką dłonią w rękawiczce. - A więc jednak go pani zna.

- To mój brat - odparła i znów zacisnęła zęby.

Kilkakrotnie odwiedził ją po jej ślubie. Przyszedł też rok temu na pogrzeb. A potem objął ją mocno i zapewnił, że ani przez chwilę nie uwierzył, by mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią męża. Powiedział też, że ją kocha i zawsze będzie kochał. Namawiał, żeby wróciła do Londynu i mieszkała z nim po okresie żałoby, póki nie poczuje się na tyle dobrze, by wrócić i zamieszkać w posiadłości.

Odmówiła mu, a on odjechał i napisał do niej. Dwa razy Później zaś już się nie odezwał, choć ona nadal do niego pisała. W końcu miesiąc temu, kiedy mu doniosła, że dłużej tak żyć nie może i że zdaje się na jego życzliwość, bo musi wyjechać z Carmel, odpisał, żeby za nic nie zjawiała się w Londynie, bo zła opinia dotarła tam przed nią. Poza tym w najbliższej przyszłości nie mógłby jej pomóc, bo obiecał przyjaciołom, że wybiorą się razem w podróż do Szkocji i wrócą najwcześniej za rok, mieszkania zaś dłużej wynajmować nie może.

W tym ostatnim liście zapewniał, że ją kocha, lecz nie jest już w stanie zmienić swoich planów, bo zbyt wielu osobom sprawiłby zawód. Za nic więc nie powinna - podkreślił te słowa dwukrotnie, tak mocno, że atrament rozprysnął się w serię drobnych kleksów - przyjeżdżać do Londynu, bo on nie chce, by doznała tu przykrości.

- Pani brat? Pochodzi pani z Youngów?

- Tak.

Wyprowadził pojazd na ulicę, zwalniając, żeby rzucić monetę stróżowi, który złapał ją w locie.

- Przepraszam - powiedział.

Za co? Za to, że nazywała się kiedyś Young? Czy za to, że jej brat nie chce jej znać? A może za jedno i za drugie?

Najgorsze nastąpiło po pogrzebie, kiedy pojawiły się jawne oskarżenia i coraz częściej mówiono o morderstwie, nie o wypadku.

Zaprzagnęła teraz znaleźć się już w domu, we własnym pokoju, zatrzaskać za sobą drzwi, nakryć kołdrą głowę. Chciała spać. Głęboko, bez snów.

- Nie musi pan przeproszać za coś, czego nie zrobił - odparła wyniośle, unosząc podbródek możliwie wysoko. - Zaskoczył mnie jego widok, to wszystko. Myślałam, że jest w Szkocji. Wi docznie coś mu przeszkodziło w wyjeździe.

Nikt nie jedzie do Szkocji wiosną, kiedy elegancki świat bawi się w Londynie. A niezbyt zamożni mężczyźni nie mogą sobie pozwolić na całoroczną eskapadę. Ci zaś, którzy wybierają się na nią całą grupą, bez trudu rozumieją, że jeden z nich, zmuszony rodzinnymi kłopotami, zmienił plany.

Nie uwierzyła temu, co Wesley napisał w liście - o tyle krótszym i zwięźlejszym niż zwykle. Wolała jednak udawać, że wierzy, bo alternatywa była zbyt bolesna. Teraz już nie mogła.

- Proszę mi o nim opowiedzieć - poprosił Stephen.

- Myślę, że zna go pan lepiej ode mnie - odparła rozbawiona. - Chyba to raczej pan mógłby mi coś o nim opowiedzieć.

Na ulicach panował niezwykły tłok i posuwali się powoli. A może tylko tak się jej zdawało, bo rozpaczliwie pragnęła znaleźć się wreszcie sama w domu.

- Moja matka zmarła, wydając go na świat - zaczęła - mat kowałam mu więc od piątego roku życia. Dałam mu coś, czego nie otrzymałby od nikogo: absolutne przywiązanie i troskę. Uści ski, pocałunki i niekończące się monologi. A on mnie kochał jak matkę. Uwielbialiśmy się wzajemnie, co między bratem i siostrą rzadko się chyba zdarza. Choć ja od najmłodszych lat miałam guwernantkę, a jego posłano do szkół, w młodości byliśmy sobie niestęchanie bliscy, aż do czasu mojego zamążpójścia. Miał wte dy trzynaście lat, ja - osiemnaście, ojciec zaś często nas opusz czał.

Był zapamiętałym, nałogowym karciarzem, a ich los zmieniał się z dnia na dzień. Nigdy nie mieli domu ani nie znali poczucia bezpieczeństwa nawet w najlepszych czasach. Już w najmłodszym wieku dobrze rozumieli, że wszystko zależy od tego, jak mu pójdzie karta.

- Przepraszam - powtórzył Stephen, a Cassandra zoriento wała się, że dojeżdżają do jej domu. Nawet nie zauważyła, że skręcili w Portman Street.

Stephen zatrzymał powóz, zeskoczył z siedzenia i obszedł wokoło kariołkę, żeby pomóc jej zejść.

- Nie ma za co - powtórzyła. - Nie istnieje bezwarunkowa miłość, lordzie Merton, ani wieczna. Jeśli może się pan czegoś ode mnie nauczyć, to właśnie tego. Oszczędzi to panu cierpień w przyszłości.

Uniósł jej dłoń do warg.

- Czy mogę się spodziewać w nocy pańskiej wizyty?

- Tak. Mam trochę umówionych wizyt dziś wieczór, ale póź- niej przyjdę, jeśli mogę.

- Jeśli pan może? - uśmiechnęła się ironicznie. - Jestem zawsze do dyspozycji, lordzie Merton. Dobrze mi pan zapłacił.

Dojrzała, że zacisnął usta, i zrozumiała, że sobie w ten sposób szkodzi. Ukazywała mu tylko mrok, a on był samą jasnością. Jeśli światło zwycięża nad ciemnością - choć wcale nie miała co do tego pewności - to wkrótce się z niej wydobędzie.

Uśmiechnęła się więc, choć zeszywniałymi wargami.

- Jeśli mogę odpowiedzieć panu jego własnymi słowami, jest pan mój - z mego własnego wyboru. Także dziś wieczorem. Cze kam na ten wieczór z największą przyjemnością, bo chcę ją dać również panu. Obiecuję. Nie mogę brać, jeśli w tej samej mierze nie daję.

Zastukał kołatką w drzwi.

- W takim razie zobaczymy się później. Proszę myśleć tylko o tych, którzy okazali dziś pani uprzejmość, a zapomnieć o innych.

- Byłabym wówczas zbyt zajęta - odparła, nadal z uśmiechem.
- Będę myśleć tylko o panu.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Mary. Belinda trzymała się jej spódnicy i wyglądała zza niej. Przykuśtykał do niej na trzech łapach Roger, otarł się o nią i wywiesił język, a potem spojrzął na Stephena i wydał z siebie głuchy pomruk, którym nie przestraszyłby nawet myszy.

Stephen przyjrzał się całemu towarzystwu i pogłaskał Rogera po łbie, dotknąwszy resztki jego ucha. Potem pożegnał się i wskoczył na siedzenie kariolki. Cassandra patrzyła w ślad za nim, gdy odjeżdżał.

- Czy to on, milady? - spytała Mary raczej oziębłym tonem.

Cassandra spojrzała na nią zaskoczona. Nie miała jednak zwyczaju czynić wymówek służbie, nawet wówczas, gdy miała jej jeszcze sporo.

- Hrabia Merton? Tak.

Mary nie powiedziała nic więcej i Cassandra minęła ją bez słowa, wchodząc do domu. Z ulgą stwierdziła, że Alice nie cze-

ka na nią. Szybko poszła do swojego pokoju. Roger pokuśtykał za nią.

9

Alice wróciła do domu wkrótce po niej.

Chodziła po Londynie przez cztery godziny upalnego popołudnia, od jednej agencji zatrudnienia do drugiej, ale bez skutku. Wiek działał przeciw niej w niemal każdym rodzaju pracy, jaką można było otrzymać. A to, że miała dotąd tylko jednego chlebodawcę i była wyłącznie guwernantką oraz damą do towarzystwa przez ostatnie dwadzieścia dwa lata, też jej nie pomagało, choć tak długi czas pracy świadczył o jej odpowiedzialności i zaufaniu, jakim była darzona. Nie mogła się też wziąć posady gospodyni, jednej z nielicznych profesji, gdzie jej wiek byłby zaletą, skoro nie miała tu żadnego doświadczenia. Nie zostałaaby również niczyją kucharką, skoro nie potrafiła ugotować nic poza jajkiem.

Zyskała tylko tyle, że pozwolono jej zostawić nazwisko, listy polecające i referencje w dwóch agencjach, które zechciały je przyjąć. Miała jednak niewielką nadzieję, że tym sposobem zdoła zmienić swoje położenia, bo czuła wyraźnie, że jest ono doprawdy złe.

Najlepsze ze wszystkiego okazało się spotkanie ze starym znajomym, gdy siadła na ławce w cieniu drzewa przed kościołem, chcąc ulżyć zbolałym nogom. Ogromnie się zdumiała, że ją rozpoznał i zatrzymał się, żeby z nią pogawędzić, a nawet siadł koło niej na parę minut. Czy Cassie pamięta jeszcze pana Goldinga?

- Preceptora Wesleya? - spytała po chwili Cassandra.
- A więc go pamiętasz! - zawołała uradowana Alice.

Tak, Cassandra pamiętała tego o głowę niższego od ojca, szczupłego, ciemnowłosego i poważnego młodzieńca, który nosił okulary w drucianej oprawce. Zatrudniono go, gdy Wesley miał osiem lat, a ojciec zdołał wygrać dość dużo, co rzadko mu się zdarzało. Niecały miesiąc później nadszedł jednak nieunikniony krach i pan Golding musiał odejść, bo ojciec nie miał mu czym zapłacić, choć Alice, jak zawsze, została razem z nią.

Cassandra zapamiętała go tylko dlatego, że jako trzynastolatka zaczęła wówczas zwracać uwagę na mężczyzn. Zakochała się w nim po kryjomu i bez pamięci, kiedy raz z uśmiechem nazwał ją „panną Young” i uklonił się jej z szacunkiem, całkiem jak dorosłej. Przez cały tydzień po jego odejściu rozpaczała przekonana, że nigdy go nie zapomni i w nikim się już więcej nie zakocha.

- Jakże się miewa?

- Całkiem dobrze. Został sekretarzem jakiegoś ministra, żyje dostatnio i elegancko się ubiera, tylko skronie mu posiwiały. Ma bardzo dystyngowany wygląd.

Cassandra zrozumiała nagle, że nie ona jedna podkochiwała się w wychowawcy brata piętnaście lat temu. Był przecież rówieśnikiem Alice, a przez miesiąc pracowali w jednym i tym samym domu.

- Pytał o ciebie i zaskoczyło go, kiedy usłyszał, że wciąż ci towarzyszę. Nazwał cię „panną Young”. Chyba nie słyszał o tym, że wyszłaś za męża.

Czyżby Alice wyjaśniła mu, co się stało? Cassandra nie miałaby jej tego wcale za złe.

- Powiedziałam, że jesteś wdową i nazywasz się lady Paget. Przesyła ci wyrazy szacunku.

Ach, tak. Pewnie już więcej nie usłyszą o Allanie Goldingu. Cassandra uśmiechnęła się do zarumienionej Alice, lecz nagle zrobiło się jej żal towarzyszki. Czyjej guwernantka miała jakiegokolwiek bliskiego przyjaciela?

Zjadły obiad, a potem usiadły obie w małej bawialni. Cassandra kilka razy zerknęła smętnie na kominek, gdzie leżało gotowe do podpałki drewno i węgle. W koszu za kuchennymi drzwiami niewiele ich zostało, a choć miały teraz trochę pieniędzy, nie starczyłoby ich na tak ekstrawaganckie wydatki. Musiała oszczędzać każdy grosz. Zbliżało się lato, całe towarzystwo opuści Londyn, bez wątpienia lord Merton również. Nie śmiała myśleć, co będzie potem, lecz należało oszczędzać, ile się tylko dało. Wieczór nie był zresztą zimny, tylko nieco chłodny.

- Pewnie przyjdzie wieczorem - odezwała się zniecierpliwiona Alice z głową schyloną nad szyciem. Aż dotąd nie uczyniła najmniejszej aluzji do tego, co Cassandra robi w nocy.

- Tak. Przyjdzie.

Alice nadal szyła, jakby nie usłyszała jej odpowiedzi.

- Chyba powinnam obrabować dyliżans - oznajmiła po kilku minutach. - Z dymiącym pistoletem w ręku i w czarnej masce.

Cassandra nie odpowiedziała, lecz kiedy spojrzały na siebie, nie mogły się powstrzymać od parsknięcia głośnym śmiechem. Potem otarły oczy i jeszcze raz się roześmiały, choć nie był to wcale zbyt dowcipny żart.

A później znowu na siebie popatrzyły.

- Alice - powiedziała serdecznie Cassandra - to porządny człowiek. Nie wybrałam go z tego powodu ani dla jego urody, tylko dlatego, że jest bogaty jak Krezus, a ja mu się spodobałam. Czuwała jednak nade mną jakaś dobra wróżka albo może anioł, bo to człowiek miły i przyzwoity.

I właśnie dlatego nieswojo się z nim czuje. Ma także dwoje niebieskich oczu, w których mogłaby zatonać.

- Nie jest przyzwoity. - Alice zapomniała już, że chwilę wcześniej się śmiała. - Chce ci płacić za... Żaden mężczyzna nie może być przyzwoity, jeśli godzi się tak robić.

- Ale w końcu to mężczyzna, a ja potrafię zwabić mężczyznę, jeśli tylko zapragnę. Zeszłej nocy tego chciałam. Nie miał szansy, Alice. Nie możesz go obwiniać. Jeśli już musisz, obwiniaj raczej mnie.

Alice nie dała się ułagodzić mimo błagalnego spojrzenia Cassandry.

- Prócz tego - ciągnęła bez uśmiechu, wtulając się głębiej w fotel i patrząc na zimny kominek - moim zdaniem zgodził się nie tylko dlatego, że mnie pragnie, ale i z życzliwości. Nie jest głupcem, Alice, nie okłamuję cię. Wie, czemu się na to zdecydowałam. Rano byłam z nim całkiem szczerą. Nie miałam powodu, żeby robić inaczej. On rozumie, że chodzi mi tylko o pieniądze, a ja myślę, że przystał na moje warunki, bo mi współczuje.

Upokorzyły ją te słowa. Gdyby istotnie okazała się kurtyzana, której nie sposób się oprzeć, zgodziłby się na te warunki tylko po to, żeby móc ją posiadać, a to byłoby o wiele lepsze.

Alice spojrzała na nią zimno z igłą nad robótką.

- Za późno teraz na szycie - powiedziała Cassandra. - Już całkiem ciemno, ale nie mogę zapalać świecy, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

Zmarnowała wczoraj dwie świece. Nie może tak nadal robić.

- Jesteś zmęczona - dodała. - Masz za sobą ciężki dzień. Czemu nie pójdziesz do kuchni zrobić sobie herbaty i nie zabierzesz jej do łóżka?

- Nie chcesz, żebym tu była, kiedy on przyjdzie. - Alice wbiła igłę w tkaninę, odłożyła szycie i wstała. - Ja też. Nie umiała-

bym go uprzejmie potraktować. Dobranoc, Cassie. Mam nadzieję, że przynajmniej nie robisz tego ze względu na mnie.

- Nie płacę ci już prawie od roku - przypomniała jej znów Cassandra. - A ty zrobiłaś wiele ze względu na mnie. Za czasów mojego dzieciństwa też nie zawsze ci płacono, prawda? A jednak zostałam ze mną, choć mogłaś sobie bez trudu znaleźć inne miejsce.

- Lubiłam cię.

- Wiem o tym.

Cassandra poszła z nią do kuchni, gdzie Mary czyściła właśnie stary ruszt. Roger leżał koło paleniska. Pomachał na jej widok ogonem, nie podnosząc łba.

- Mary, czy musisz bez przerwy pracować? - spytała Cassandra. - Ten ruszt nigdy chyba tak nie błyszczał, jak teraz. Idź do łóżka!

- Zawsze będę pracować dla pani, madame - odparła Mary skwapliwie. - I nigdy nie przestanę, po tym co pani zrobiła, zmuszając jego lordowską mość, żeby mnie nie wyrzucił, kiedy Billy sobie poszedł, a ja zrozumiałam, że będę miała Belinę. A potem broniła mnie pani, kiedy jego lordowska mość...

- A więc zrób, co ci każę, i idź spać - przerwała jej Cassandra. - A jeśli usłyszysz, że ktoś puka, nie wychodź, bo sama mu otworzę.

- A potem zabrała mnie pani ze sobą, kiedy Billy znów sobie poszedł, a nowy lord Paget mnie wyrzucił - dodała Mary, nie dając się uciszyć. - To ja powinnam temu panu otworzyć i niech on robi to ze mną, a nie z panią! Tylko w ten sposób byłoby, jak należy. On by mi płacił, a ja bym dawała te pieniądze pani!

- Mary! - Cassandra podeszła i uściskała ją, nie zważając na brudny fartuch służącej. - To najwspanialsza propozycja, jaką mi

zrobiono! Nie martw się jednak. Hrabia Merton jest miłym, porządnym człowiekiem i ja go lubię. No i już od długiego czasu... Nieważne. Czasami praca bywa przyjemnością, wiesz przecież sama.

Czuła, że policzki ją pieką, i szczerze pragnęła, żeby się nie musiała tłumaczyć.

Alice, która właśnie zrobiła sobie herbaty, postawiła z trzaskiem imbryk na kuchni.

- Owszem, jest niczego sobie - przyznała Mary. - Wygląda jak anioł, milady, no nie?

- Może nawet nim jest. Aniołem wysłanym nam na pomoc. Idźcie już obie do łóżka, żebym była gotowa na jego wizytę. Jest po prostu cudowny. No cóż, wygadałam się. Cudowny. I został moim kochankiem, a ja się z tego cieszę. Nie z powodu pieniędzy. Lubię go i będzie mi z nim dobrze, zobaczycie. Po roku ponurej żałoby znajdę może szczęście u boku anioła. Nie martwcie się o mnie.

Nazwał ją ostatniej nocy zuchwałą i rzeczywiście nią była. Kiedy zaś znaleźli się w łóżku, owszem, traktowali się z czułością, ale żadne z nich dwojga nie było szczęśliwe.

A jednak nie całkiem skłamała, co uświadomiła sobie z zaskoczeniem lub nawet z konsternacją. Coś jej kazało tęsknić do tej nocy. Tak długo była osamotniona. Przynajmniej ta noc nie będzie samotna. Nie dziś. Ani - jeśli szczęście jej dopisze - w najbliższej przyszłości.

Czy wisząca nad nią ciemna chmura wreszcie się rozwieje? Z pewnością musi się tak stać. Więc może noc spędzona z hrabią Mertonem choć trochę zmniejszy jej osamotnienie, a on sprawi, że chmura zniknie.

Aby wreszcie zrobiło się wokół niej trochę jaśniej.

Stephen zjadł obiad na Cavendish Square z Vanessą, Elliottem i kilkorgiem gości. Jak zwykle była wśród nich młoda, niezamężna dama ze swoim ojcem.

Jego siostry nie swatały go natrętnie, bo jednogłośnie uznały, że nie powinien się żenić zbyt wcześnie, a jeśli już, to z miłości. Staraly się jednak zwracać mu uwagę na młode panny, które jeszcze nie miały męża, a mogły go zainteresować. Wiedziały też, które z nich są w jego typie.

Panna Soarnes była w jego typie - młoda, ładna i smukła. Cechowało ją miłe, żywe usposobienie i potrafiła wybuchnąć zaraźliwym śmiechem. Miała też doskonale maniery i umiała zrećnie prowadzić rozmowę. Była skromna, ale nie zanadto nieśmiała.

Stephen siedział podczas obiadu przy niej, podobnie jak później w powozie i w teatrze, w łoży Elliotta. Dobrze się bawił w jej towarzystwie i miał nadzieję, że ona także.

Był to wieczór podobny do wielu innych, ale też od wielu różny, bo niemal przez cały czas myślał o Cassandrze. I chociaż tego nie chciał, z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy ją ujrzy.

Nie powinien tak robić. Należało pozostać wśród panien Soarnes, Christobel Foley i im podobnych, w kręgu jego męskich znajomości, rodziny, obowiązków parlamentarnych oraz innych, związanych z tytułem i majątkiem ziemskim. Ze światem, do którego przywykł przez ostatnich osiem lat i który lubił.

Cassandra, lady Paget, żyła w innym świecie, pełnym mroku, choć niezaprzeczalnie kuszącym. I nie chodziło tu tylko o miłość fizyczną.

Z pewnością i ją coś innego w nim pociągało, choć niechciane i niepokojące - obojętne, o co tu chodziło.

Wesley Young też był w teatrze. Siedział w łoży z siedmioma innymi osobami. Jedną z nich była dama, którą obwoził

dzisiejszego popołudnia po parku. Przez cały wieczór dochodziły z ich łoży odgłosy świadczące o świetnej zabawie.

Obecność Younga nie pozwoliła Stephenowi skupić należycie uwagi na pannie Soames i innych gościach szwagra. Próbował wyobrazić sobie w sytuacji lady Paget którąś ze swoich siostr, na przykład Nessie. Czy byłby zdolny zignorować ją w parku, mając nadzieję, że nikt się w niej nie domyśli jego siostry? Czy potrafiłby tak dobrze się bawić wieczorem, wiedząc o tym?

Nie, to było nie do pomyślenia. Zawsze stanie po stronie siostry, bez względu na konsekwencje. Istnieje miłość bezwarunkowa i wieczna, mimo że Cassandra twierdzi inaczej.

Zamiast śledzić akcję sztuki, co było dotychczas jego ulubioną rozrywką, widział ją, jak czuwa nad młodszym o pięć lat bratem, tuli go i całuje, śpiewa mu, mówi do niego i kocha go, bo nikt nie kocha jej, prócz nieobecnego zazwyczaj ojca, i nikt by nie kochał chłopca, gdyby nie ona.

Przypomniawszy sobie też, co zobaczył u jej drzwi dziś po południu. Zwykłą domową scenę. Młoda, szczupła służąca o wielkich oczach w niczym nie przypominała energicznej jejmości, jakiej by się spodziewał, gdyby o tym wcześniej pomyślał. A koło niej nieśmiały, rozczochrane dziecko o różowych policzkach i stary pies, który najwyraźniej miał za sobą jakieś okropne przejścia, lecz pozostał wierny swojej pani.

Może Cassandra nie myślała tylko o swoim utrzymaniu, wybierając się na bal Meg w poszukiwaniu protektora. Przecież miała jakieś własne życie mimo mrocznych okoliczności. Tego popołudnia jej dom wyglądał jak... jak... no cóż, po prostu jak dom.

Opuszczał Merton House po wieczorze w teatrze z mieszanymi uczuciami. Chciał znowu zobaczyć Cassandrę. Jeszcze raz znaleźć się w jej sypialni, znów się z nią kochać, może nieco delikatniej i z większą dbałością o jej przyjemność.

A jednocześnie czuł się nieswojo, robiąc to w jej własnym domu. Może należałoby wynająć jakiś inny? Chyba tak. Pomyśli o tym jutro.

10

Cassandra siedziała w gęstniejącym mroku i czekała. Przebrała się w jedwabną, obszytą koronkami nocną koszulę, którą bardzo rzadko nosiła, i powłóczyły szlafrok. Jedno i drugie było białe. Wyszczotkowała włosy i związała je na karku białą wstążką.

Całkiem jak panna młoda w oczekiwaniu na męża. Co za ironia! Nie był to wygodny strój w zimnym pokoju.

Zjawił się późno, lecz nie spodziewała się go wcześniej. Czekwała na stukot kopyt, dzwonienie uprząży, łoskot kół. Zaskoczyło ją ciche stukanie do drzwi. A więc przyszedł pieszo.

Miał na sobie długi, czarny płaszcz, co dostrzegła, otwierając mu drzwi, i wysoki, kryty jedwabiem kapelusz, który zdjął, gdy ją tylko zobaczył. W świetle latarni dojrzała jego uśmiech. Płaszcz falował wokół niego, gdy ruszył bliżej.

Był wprost wcieleniem męskości. Zaczęła szybciej oddychać, na wpeł z lękiem, a na wpeł...

- Mam nadzieję, że nie przychodzę dużo później, niż się pani spodziewała.

Wszedł do sieni, zamknął drzwi za sobą i zaryglował je. Światło świecy w kinkiecie zadrgało, gdy owionął ją wieczorny powiew;

- Jest dopiero wpeł do dwunastej. Czy dobrze się pan bawił wieczorem?

Odwróciła się ku schodom, gasząc w przejściu świecę. Za tydzień czy dwa wszystko to stanie się już rutyną. Może jej nawet

spowszednieje. Teraz jednak czuła, że serce jej wali i brak jej tchu. Denerwowała się niczym panna młoda, choć mieli już przecież za sobą jedną noc. Wszystko powinno dzisiaj pójść łatwiej.

Tyle że teraz nie była już kochanką, lecz płatną z góry utrzymanką, wynajętą do tych usług.

- Tak, dziękuję. Jadłem obiad z Morelandem, moją siostrą i innymi gośćmi, a potem poszedłem z nimi do teatru.

Teraz zaś był w domu kochanki na zakończenie typowo męskiego wieczoru.

Cassandra była rada, że Alice śpi na piętrze, podobnie jak Mary i Belinda. Kiedy się tu wprowadzała, chciała ją ulokować obok siebie, lecz dochodził tam hałas z ulicy i Alice, po dziesięciu latach przyzwyczajona do wiejskiej ciszy, zaprotestowała. Na górze z pewnością miała więcej spokoju.

Cassandra zgasiła świecę przed swoim pokojem i weszła do środka. Podobnie jak zeszłej nocy ustawiła lustro pod kątem, żeby pojedynczy płomyk zyskał na sile.

- Czy mogę panu nalać wina? - spytała, podchodząc do tacy na stoliku przy łóżku. Był to luksus, lecz dziś mogła sobie na to pozwolić.

- Z chęcią - odparł.

Nalała wina do dwóch kieliszków i podała mu jeden z nich. Powiesił płaszcz na oparciu krzesła, a kapelusz postawił na jego siedzeniu. Miał na sobie czarny strój wieczorowy, haftowaną kamizelkę w odcieniu kości słoniowej, białą koszulę z wysokim, wykrochmalonym kołnierzykiem i halsztuk zawiązany wprawdzie doświadczoną ręką, lecz bez ekstrawagancji.

Hrabia Merton nie potrzebował ostentacji. Miał tyle urody i uroku, że czyniło to wszelką ozdobność zbędną.

Trąciła się z nim kieliszkiem.

- Za pańskie zdrowie.

- Za nasze wspólne zdrowie - dodał, patrząc na nią, gdy pili.
Nawet w półmroku i przy słabym świetle świecy jego oczy nadal były niebieskie.

Odebrał od niej kieliszek i postawił obok swojego na tacy, a potem odwrócił się i wyciągnął ku niej rękę.

- Chodźmy.

Stał teraz przy łóżku. Spodziewała się niemal, że od razu ją na nie rzuci. A tymczasem on objął ją w pół.

- A jak wyglądał pani wieczór?

- Siedziałam w saloniku, patrzyłam, jak Alice ceruje, i nie robiłam absolutnie nic. Byłam bezwstydnie leniwa.

W rzeczywistości była niesłuchanie podniecona, choć próbowała to ukrywać i nie chciała przyznać się do tego nawet przed sobą.

Aż do wczorajszej nocy nie spała z nikim prócz Nigela, co było uświęcone małżeństwem. Nie czuła się więc grzeszna.

Czy czuje się tak teraz? W końcu obydwójce są dorośli i czynią to za obopólną zgodą, nikogo nie krzywdząc.

- Czasami - powiedział - lenistwo jest miłym luksusem.

- Właśnie. - Objęła go dłońmi w pasie. Poczowała jego ciepło.

Ujął jej rękę w swoje, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Zaskoczył ją. Było w tym coś niepokojącego. Spodziewała się, że będzie panować nad nim, jak wczoraj. Miała zamiar rozebrać go powoli, wodząc po jego ciele rękami i ustami, doprowadzając go tym do szaleństwa, ale...

Ale on ją pocałował.

Najbardziej przelękała się tego, że nie był to pocałunek namiętny ani lubieżny, lecz ciepły, kojący i... czuły. Pozbawił ją możliwości obrony.

Pocałował ją lekko, nieznacznie rozwartymi wargami, przesuwając nimi niespiesznie po jej ustach, nim dotknął ich końcem

języka, a potem ucałował jej przymknięte powieki, skronie, wrażliwy płatek ucha i szyję.

Poczuła, że łyzy dławia ją w gardle. Czemu tak zrobił?

Spodziewała się - i pragnęła - namiętności czysto fizycznej. Planowała to sobie. Chciała miłości cielesnej i niczego więcej. Łatwiej jej teraz przychodziło wypowiedzieć te słowa w myśli.

Pragnęła czegoś bezmyślnego, wyłącznie cielesnego. Chciała poczuć się kimś, kto zarabia w ten sposób na życie.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej rozpostarte dłonie spoczywają na jego plecach bez ruchu. Ktoś ją całował, a ona nie brała w tym udziału. Brała, nie dawała.

Nie zarabiała.

Uniósł nieco twarz. Nie uśmiechał się, a jednak w jego oczach rozbłysło coś zbliżonego do śmiechu. Poczuła, że wspiera się na nim niemal w rozmarzeniu, że jest jej ciepło i czuje się odprężona.

- Cass - powiedział łagodnie. Nikt jej nigdy tak nie nazywał.

- Tak - odparła bezgłośnie.

I naraz pojęła, że to nie rozmarzenie, tylko pożądanie. Jak to się stało? Nie zrobił przecież nic, żeby je w niej wzbudzić. Ale czy naprawdę?

- Pragnę cię - powiedział. - Nie tylko twojego ciała, lecz ciebie jako osoby. Powiedz mi, że ty także.

Nienawidziła go. Jak teraz sobie z tym poradzi? Zrobiła jednak, co mogła. Przymknęła oczy i odparła cichym, niskim głosem:

- Oczywiście, że cię pragnę. Która kobieta mogłaby się oprzeć komuś, w kim mężczyzna i anioł łączą się w jedno?

Uśmiechnęła się do niego ostrożnie.

On jednak, choć powinien ponowić pocałunki, namiętne czy nie, wolał na nią patrzeć, szukając wzrokiem jej twarzy.

Trzeba było zgasić tę świecę!

- Nie jestem tu po to, żeby cię ranić, tylko...

- Żeby mnie kochać? - spytała i uniosła jedną z brwi. O co mu chodzi? Flirtuje z nią czy ją uwodzi?

- Można tak powiedzieć. Istnieją różne rodzaje miłości, Cass, i żadna z nich nie jest wyłącznie żądzą. Myślę zresztą, że samolubna żądza nie istnieje. Zwłaszcza między nami. Tak, przy szedłem tu po to, żeby cię kochać.

Przecież nic nie wiedział o miłości. A ona?

Przymknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Zdejmij ją, proszę.

- Co?

- Tę twoją maskę. Nie musisz jej nosić przy mnie.

Poczuła z nagłym strachem, że przeciwnie, bardzo jej potrzebuje, bardziej niż wobec kogokolwiek innego. Nieustępliwie zdzierał z niej starannie obmyślaną obronę.

Pocałował ją znowu i tym razem był to głębszy pocałunek. Jego język drążył linię warg, a potem wniknął do jej ust. Stephen zdjął z jej włosów wstążkę i rzucił na podłogę. Potem przyciągnął ją ku sobie, a po chwili obrócił ją wokoło i położył na łóżku, rozwiązując taśmy szlafroka, który opadł na ziemię.

Nie położył się koło niej. Rozebrał się, zrzucił z siebie żakiet, kamizelkę i koszulę na podłogę, tam gdzie leżały już jej szlafrok i wstążka. Sięgnął do guzików, a potem zdjął kolejno spodnie, pończochy i bieliznę. Nie spieszył się i nie osłaniał się przed jej baczny spojrzeniem.

Boże, jakież był piękny. Dla większości ludzi odzienie jest błogosławieństwem, bo kryją pod nim swoje niedoskonałości. Ale jego ubiór krył tylko doskonałość - dobrze umięśnione ramiona i porośniętą złotymi włosami pierś, smukłą talię i biodra, prężne pośladki, silne nogi.

Dawni greccy rzeźbiarze bez wątpienia idealizowali swoich modeli, rzeźbiąc bóstwa. Gdyby rzeźbili jego, nie musieliby niczego zmieniać.

Był antycznym bogiem i zarazem aniołem, złoty i błękitny niczym letnie niebo - błękitne oczy, złote włosy. A wszystko oślepiająco świetliste.

- Zgaś świecę - zażądała.

Nie mogła dłużej znieść jego widoku, wiedząc, że powinna ich łączyć tylko wzajemna zależność kochanki i protektora. Nic innego. Tak sobie zaplanowała i nadal tego chciała. Łatwiej jej byłoby to osiągnąć, gdyby nie widziała jego oczu. Mogła wyobrazić sobie Mary, Belinę, Alice, a nawet Rogera. Biednego Rogera, który kiedyś spróbował jej bronić.

Miała być kochanką lorda Mertona i niczym więcej.

Zgasił świecę i położył się przy niej, a ona odwróciła się ku niemu, chcąc wszystkim kierować, tak jak to sobie zamierzyła. On jednak chwycił rąbek jej koszuli, a ona posłusznie uniosła ręce. Ściągnął z niej koszulę i rzucił na podłogę przez ramię. A potem, nim zdążyła opuścić ręce, chwycił ją jedną dłonią za nadgarstki i przytrzymał je nad głową, kiedy kładł ją na plecach. Zaczął ją potem całować, najpierw w usta, a potem coraz niżej, w podbródek, szyję i piersi, aż dosięgnął brzucha i pępka, a w niej sprężyły się wówczas wszystkie mięśnie.

Druga z jego dłoni wśliznęła się wysoko pomiędzy jej uda, jeden z palców zagłębił się tam i zaczął poruszać w środku.

Mogła uwolnić dłonie, bo nie trzymał jej zbyt mocno, lecz nie zrobiła tego. Leżała bezwolnie pod jego naporem, choć nie było to właściwe słowo do opisanie tego, co robił. Uważała go za niedoświadczzonego. Myliła się. Okazał się bardzo zręczny. Wiedział, jak powoli i czule wzbudzić namiętność, która rośnie niczym pożar.

Nie przypuszczała, by jakikolwiek mężczyzna postępował tak z metresą. Spodziewała się brutalnej siły, sprowokowanej przez jej własne, uwodzicielskie sztuczki, a nie przez niego, skoro go już wybrała. Oczekiwała, że znajdzie się na jej łasce.

Całkiem jakby naprawdę była doświadczoną kurtyzaną. Jakże głupie okazały się jej oczekiwania.

Jego palce muskały jej piersi, dotykały nabrzmiątych sutków. Niemal krzyczała z bólu, który wcale nie był bólem.

Nakrył ją całym ciałem. Poczowała na sobie jego ciężar, kiedy puścił jej nadgarstki i wsunął pod nią ręce. Uniósł głowę, a ona wiedziała teraz, że patrzy na nią, choć ledwie mogła go dostrzec w mroku.

- Jest taki rodzaj miłości - powiedział bardzo cicho - który mężczyzna czuje do ukochanej, Cass. To coś więcej niż żądza.

A potem wszedł w nią, ona zaś po tych słowach nie zdołała się oprzeć.

Męskość miał silną, długą i twardą, co zapamiętała z poprzedniej nocy. Zwarła na niej mięśnie, jak to zrobiła tamtym razem, przesunęła stopami po łóżku i po jego muskularnych nogach.

Pachniał czystością. Subtelna, droga woda kolońska nie maskowała żadnych przykrych woni, wzmagała tylko jego własny, czysty zapach. Włosy miał miękkie i również pachnące. Wsunęła w nie palce, gdy wsparł głowę na poduszce obok jej głowy, z twarzą odwróconą od niej. Objęła go drugą ręką w pasie.

A potem zaczął się rytmicznie poruszać tam i z powrotem, co zawsze najtrudniej jej było wytrzymać w małżeńskich uściskach.

Tej nocy starał się bardziej panować nad sobą, jak szybko się zorientowała. Nie skończył wszystkiego po kilku minutach, ruchy miał pewne i miarowe. W górę i w dół, w górę i w dół.

Czuła w sobie wilgotną śliskość, twardość przeciwstawioną miękkości, gorąco - gorącu. Słyszała odgłos tego, co robili, dziwnie pociągający.

A potem, kiedy walczył o swe zaspokojenie, pojawiło się w niej jakieś osobliwe pragnienie i objęło cały jej brzuch, piersi, gardło. Pragnienie, które było bólem i zarazem nim nie było. Chciała zapłakać, spleść nogi z jego nogami, unieść je aż do wysokości jego pasa, objąć go mocno, przycisnąć twarz do jego ramienia i wypłakać tę dziwną tęsknotę nie wiadomo za czym.

Chciała cała się w niej zatracić, zagubić i choć przez jedną błogosławioną chwilę w życiu ulec.

Z trudem pojęła, że właśnie powinna to zrobić. Była jego kochanką. Płacił jej za rozkosz i za to, by mu schlebiała, dając ją.

Gdyby ją jednak udawała, wpadłaby we własne sidła. Poczuała się dezorientowana i przerażona.

Cierpiała z tęsknoty.

Znowu wsunął pod nią dłonie, jego twarz znalazła się ponad jej własną.

- Cass - szepnął. - Cass.

A że rytm poruszeń skończył się, przytrzymał ją mocno, póki nie poczuła jego gorącej, płynnej ulgi. Wiedziała już, że była to najgorsza rzecz, jaką mógł powiedzieć. Chciała być dla niego kochanką, lecz także pozostać sobą. Sądziła, żeby obydwaj jej życia - prywatne i tamto drugie - będą ściśle odizolowane. On jednak spojrział na nią w ciemności i nazwał ją Cass, jak nie nazywał jej jeszcze nikt. W ten sposób dał jej do zrozumienia, że wie, kim ona jest naprawdę i że stała się dla niego kimś droгим.

Dwie łzy spłynęły jej po policzkach i poprzez włosy spadły na poduszkę. Gorąco zapragnęła, by jego oczy nie nawykły do ciemności, bo wtedy by to zauważył.

Zamiast bólu i tęsknoty pojawił się żal, choć sama nie wiedziała za czym.

Wycofał się z niej i położył obok. Odwrócił ją plecami do siebie i ułożył się za nią, z ramieniem pod jej głową, obok jej ramienia, które objął palcami.

Mogła usłyszeć, jak mocno bije jego serce.

Pogłodził jej włosy wolną dłonią i ucałował jej czoło, tuż koło skroni.

Nagle znów przypomniała sobie jego słowa: „Jest taki rodzaj miłości, który mężczyzna czuje do swej ukochanej”.

Nie chciała jego miłości. Nie chciała żadnej miłości, tylko pieniędzy w zamian za to, co mu dawała.

Powtarzała to w kółko, żeby nie zapomnieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Powiedz mi, co to za dziecko - szepnął jej prosto w ucho.

- Jakie dziecko? - spytała zaskoczona.

- To, które po południu stało w drzwiach. Czy jest twoje?

- Ależ, nie. To Belinda, córeczka Mary.

- Czy Mary jest służącą?

- Tak. Zabrałam je ze sobą do Londynu. Nie mogłam ich zostawić, bo nie miały się gdzie podziąć. Mary straciła posadę, kiedy Bruce - nowy lord Paget - osiadł w Carmel House. Poza tym to moja przyjaciółka, a ja kocham Belinę. Wszyscy potrzebujemy odrobiny niewinności w życiu, lordzie... Stephenie.

- Czy Mary nie ma męża?

- Nie ma. Ale mnie to nie obchodzi.

- A ty nie masz dzieci?

- Nie. - Zamknęła oczy. - Miałam córkę, ale umarła przy urodzeniu. Była prawdziwym cudem, lecz przysła na świat dwa miesiące za wcześnie i nie potrafiła oddychać.

- Cass...

- Tylko nie mów, że ci przykro. Wcale cię to nie dotyczy. Wcześniej dwukrotnie poroniłam.

A także jeszcze jeden raz potem, choć wówczas był to jedynie silny krwotok w miesiąc po tym, jak ustała menstruacja. Nigdy zresztą nie miała pewności, czy istotnie zaszła w ciążę, choć uznała, że musiało tak być. Jej ciało wiedziało o tym. Serce również.

- Nie zaprzeczaj moim słowom. Jest mi przykro. Utrata dziecka jest chyba czymś najgorszym, co może przeżyć kobieta. Nawet nienarodzonego dziecka. Naprawdę jest mi przykro, Cass.

- Zawsze się cieszyłam z tego, że nie zdołały wyżyć - odparła szorstko.

Wmawiała to sobie, ale teraz, kiedy powiedziała to na głos do kogoś innego, zrozumiała, że w rzeczywistości nigdy jej nie cieszyła utrata czterech malutkich duszyczek, tak mocno związanych z jej własną duszą.

Jakie głupio postąpiła, mówiąc to głośno.

- To, co mówisz, dorównuje noszonej przez ciebie masce. Czuję prawdziwą ulgę, że powiedziałaś mi o tym dopiero teraz, inaczej bym ci uwierzył, a tego bym nie zniósł.

Zmarszczyła brwi i przygryzła wargę.

- Lordzie Merton, póki leżymy razem w tym łóżku, jesteśmy tylko protektorem i metresą lub, jeśli woli pan bardziej elegancką wersję, parą kochanków. W ściśle fizycznym sensie dostarczamy sobie wzajemnie fizycznej satysfakcji jako mężczyzna i kobieta. Nie jesteśmy dla siebie osobami, lecz ciałami. Może pan używać mego ciała do woli, bo dzięki Bogu płaci mi pan za to solidnie. Nie kupi mnie pan jednak jako osoby, nawet za całe pieniądze świata. Należę do siebie. Jestem pańską płatną służką, ale niewolnicą nie zostanę i nigdy nią nie będę. Proszę mnie więcej nie py-

tać o moje sprawy i nie wtrącać się w moje życie. Jeśli nie chce się pan godzić z tym, że jesteśmy tylko dwojgiem kochanków, zwróć tę komicznie wręcz wysoką sumę, którą dostałam dziś rano, i pokażę panu drzwi.

Słuchała własnych słów z przerażeniem. Co ona właściwie wygaduje? Wydała już przecież sporo z tych pieniędzy. Było też dla niej równie pewne jak to, że leży w jego ramionach, iż nigdy więcej nie zdobędzie się na odwagę, żeby zacząć wszystko od nowa z innym mężczyzną. Jeśli weźmie jej słowa na serio, znajdą się w nędzy: ona, Mary, Belinda i Alice. No i Roger.

Wysunął ramię spod jej głowy i cofnął się tak raptownie, że upadła na wznak. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, wstał i obszedł ją wokół. Schylił się po ubranie, rzucił je w nogi łóżka i zaczął się ubierać.

Mimo ciemności wiedziała, że jest wściekły.

Powinna coś powiedzieć, nim będzie za późno. A jednak było już za późno. Pójdzie sobie i więcej nie wróci. Utraciła go tylko z jednego powodu: nie potrafiła znieść myśli, iż lepiej by jej było bez zmarłych dzieci. A to mu się właśnie nie spodobało.

Nie chciała ani nie potrafiła nic powiedzieć. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby go uwieść, odgrywając wobec niego kusicielkę. Był to od początku rozpaczliwy i głupi pomysł.

Wciąż się jej jednak zdawało, że nie miała innego wyjścia.

Czekała w milczeniu, żeby sobie poszedł. Gdy wreszcie usłyszy, że trzasnęły drzwi wejściowe, podniesie swoją koszulę i szlafrok, a potem zejdzie na dół, żeby je zamknąć i zaryglować. I to będzie koniec.

Zrobi sobie potem w kuchni herbaty i obmyśli kolejny plan. Musi coś zrobić. Może lady Carling dałaby jej list polecający? Może znajdzie sobie jakiegoś chlebodawcę, który nigdy o niej nie słyszał?

Skończył się ubierać. Pozostało mu tylko zdjąć z krzesła płaszcz i kapelusz. Zamiast tego jednak pochylił się nad toaletką i nagle błysnęło w pokoju krzesiwo, gdy zapalał świecę.

Cassandra zamrugnęła, oślepiona niespodziewanym blaskiem, i pożałowała, że nie przykryła łóżka kapą, kiedy było jeszcze ciemno. Nie chciała tego zrobić teraz, bo to by jej uwłaczało. Patrzyła na niego z pogardą i wrogością. On zaś przysunął sobie krzesło przed toaletki, odwrócił je nieznacznie i usiadł na nim.

Zrozumiała, że powtórzył wcześniejszą sytuację z rana poprzedniego dnia. Siedział teraz i patrzył na nią, leżącą w łóżku.

Niech sobie triumfuje. Nic mu więcej nie pozostało.

- Ubierz się, Cassandro. Nie w to, co leży na podłodze, tylko w normalną suknię. Musimy porozmawiać.

Nie było gniewu ani w wyrazie jego twarzy, ani w tonie głosu. Wpatrywał się w nią intensywnie.

Nie przyszło jej nawet na myśl, żeby się mu przeciwstawić czy nie usłuchać go.

Miał w sobie łagodną moc aniołów. Zrozumiała to, gdy przeszła nago przez pokój i zaczęła zbierać z podłogi to, co miała na sobie wieczorem. Budził w niej strach. Nie bała się wprawdzie, że zrobi jej coś złego, ale...

Sama nie wiedziała, co to takiego. Czasem nie sposób czegoś ująć w słowa.

Bała się go jednak. W jakiś dziwny sposób zdołał dotrzeć do najskrytszego zakątka w niej samej, gdzie nie chciała dopuścić ani jego, ani nikogo innego. Nawet Alice.

A on zdołał utorować sobie do niego drogę.

11

Stephen mógł po prostu odejść, kiedy się ubrał. Nie zrobił tego jednak, bo nie potrafił.

Nie wiedział niczego o relacjach między mężczyznami a ich kochankami. Nie mógł jednak myśleć o Cassandrze jako o swojej kochance, mimo tych przeklętych pieniędzy, które skutkiem pewnych okoliczności musiał jej dać.

Nie chciał jej wcale kupować. Pragnął po prostu poznać tę kobietę, skoro zapłacił za drogę do jej łóżka. Czy było w tym coś złego?

Ona zaś sobie tego nie życzyła.

Oczywiście, ona też niczego nie wiedziała o stosunkach między mężczyzną a jego kochanką. Wątpił, by aż do wczoraj sypiała z kimś innym poza własnym mężem. Choć tak uparcie starała się grać rolę kusicielki, nie była kurtyzaną, lecz doprowadzoną do rozpaczki kobietą, która usiłowała zarobić na życie swoje i kilku innych, kurczowo jej uczepionych osób, choć to określenie wydało mu się nieładne. Była guwernantka, z którą spacerowała po parku dwa dni temu, nie mogła się chyba spodziewać żadnej posady z powodu swego wieku. Służąca miała nieślubne dziecko i zapewne nikt by jej nie zatrudnił, chyba że zrezygnuje z zatrzymania dziecka przy sobie.

Wstał i podszedł do okna, czekając, aż Cassandra się ubierze. Rozsunął zasłony i spojrzął na pustą ulicę. Nie był to mądry pomysł. Po co właściwie stanął w oknie, mając w dodatku świecę za plecami? Sąsiedzi z naprzeciwka na pewno wiedzą, że w tym domu mieszkają wyłącznie kobiety.

Zasunął zasłony i wsparł się o parapet, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Cassandra wyszła z gotowalni. Spojrzała na niego, a potem siadła na krześle, niespiesznie wygładzając fałdy jasnobłękitnej sukni. Słaby, ironiczny uśmiezek błąkał się po jej wargach. Związała włosy, ale ich nie ułożyła. Wreszcie, kiedy nadal nic nie mówił, spojrzała na niego i uniosła brwi.

- Przepraszam za to, że wtargnąłem w pani życie i przyczyniłem jej bólu.

- Nie przyczynił mi pan wcale bólu, lordzie Merton - odparła. - Przeciwnie, doznałam wielkiej satysfakcji. Mam nadzieję, że pan również.

- Gdzie śpią pani służące? - spytał. - A dziecko?

- Piętro wyżej. Nie musi się pan martwić, że coś słyszały, nasze jęki i inne odgłosy nie przedostaną się przez ściany. Poza tym nie są to moje służące, tylko przyjaciółki.

Wcale nie wyglądała miło z kpiącą maską na twarzy, którą tak często wkładała. Najlepiej by zrobił, wychodząc stąd. Pieniądze, które jej wczoraj posłał, wystarczą im na krótko. A potem... No cóż, w końcu to nie jego sprawa. Rzecz jednak w tym, że kobieta w masce w ogóle nie istniała, a on wcale nie znał tej, która się pod nią kryła. Nie wiedział zresztą, czy spodobałaby mu się, czy nie.

A ona nie chce, żeby tę inną kobietę poznano. Zresztą zabiła przecież swojego męża. Dobry Boże, co on tu jeszcze robi?

Przywiozła jednak ze sobą do Londynu podstarzałą guwernantkę, dziewczynę, która straciła pracę, jej małe dziecko i okaleczonego psa. Świadomie wybrała sobie Stephena na opiekuna, żeby wszyscy razem nie umarli z głodu.

- A więc to ich dom. Skaziłem go, przychodząc tu jako pani opiekun. Zbrukałem niewinność dziecka.

Nękało go to, odkąd wczoraj ujrzał dziewczynkę z różową buzią, rozwichrzonymi włosami i szeroko rozwartymi oczkami.

Niewinne maleństwo. Pomyślał wtedy, że to córka Cassandry. Nieważne, że jest inaczej. Cała ta sytuacja była... żenująca.

Cassandra założyła nogę na nogę i powoli kołysała stopą. Spoglądała na niego przez chwilę bez słowa.

- Jest pan mężczyzną obdarzonym sumieniem - powiedziała w końcu. - Cóż za paradoks! Musi się pan z tym źle czuć, lordzie Merton.

- Czasem tak, ale sumienie pozostaje sumieniem, póki nam nie zobojętnieje. Próbuję się nim kierować w życiu i w decyzjach, które podejmuję.

- Czy to ono kazało tu panu zostać? Czy też żałuje pan tego, co tu zostawia? Jeśli o to chodzi, nie musi się pan martwić. Nigdy nie braknie panu partnerek do łóżka, nawet bez pańskiego tytułu i fortuny. Nie, pewnie chodzi o pieniądze, żal panu i mnie, i mego żalotnego otoczenia. Proszę się nie kłopotać, wyżyjemy jakoś bez pana. Niech pan się o nas nie troszczy, dobrze?

Odpowiedział jej, choć pytanie było czysto retoryczne.

- Nie zrobię tego - odparł, ale nie ruszył się z miejsca.

- W takim razie o co? - spytała. - Czy chce pan, bym zamieszkała gdzie indziej? Tak robią inni mężczyźni, zwłaszcza żonaci. Byłoby to bardzo wygodne i mógłby mnie pan tam odwiedzać bez obawy, że zbruka czyjąś niewinność. Zrobiłabym tak, jak inne. Miałabym w jednym miejscu dom, a w innym - pracę.

Stopa jej kołysała się coraz szybciej, głos był niski i drwiący.

- Tak nie będzie, Cassandro.

Westchnęła głośno.

- A więc to koniec? Mam nadzieję, że nie będzie miał mi za złe, jeśli nie zwrócę pełnej sumy. Widzi pan, część z tych pieniędzy już wydałam. Jestem bardzo rozrzutna. Usłużyłam jednak panu dwukrotnie, coś mi się więc należy.

Jakby dopiero teraz zauważyła, że kołysze stopą, nagle przestała nią poruszać.

Miał wielką ochotę przyznać, że to istotnie koniec. Mógłby wrócić do Merton House, odespać tę noc i rano zapomnieć o wszystkim. Byłby wówczas wolny od intrygi, której właściwie od początku nie chciał.

Ale nie potrafił.

- Cassandro - powiedział, nachylając się ku niej - musimy zacząć wszystko na nowo. Czy możemy?

- Ależ oczywiście, lordzie Merton! - zaśmiała się. - Czy mam się rozebrać? A może pan mnie rozbierze? Albo też... weźmie mnie tak, jak stoję?

Wcale go źle nie rozumiała, lecz z jakichś znanych sobie tylko powodów wołała mu dokuczać. Być może, jak pomyślał w nagłym błysku zrozumienia, znenawidziła siebie samą za to, co postanowiła z nim robić. A może nienawidziła siebie także z powodu morderstwa, za które zdołała uniknąć kary?

- Nie, dosyć już na dziś, Cassandro, a w przyszłości też tak nie będzie. Może nawet nigdy.

Skrzywiła się.

- I dlatego, mówiąc, że musimy znów wszystko zacząć, za prosza mnie pan, bym znów zaczęła go uwodzić, lordzie Merton? Zrobię to z całą przyjemnością. Nigdy nie trzeba się zarzekać. Jestem ponad to.

Podszedł do niej energicznie, przykląkł przed krzesłem i ujął ją za ręce. Spojrzała na niego zaskoczona. Maskę z niej opadła.

- Dość tego. Dość już tego, Cassandro. Gra się skończyła, a była jedynie grą, niczym innym. Obydwoje udawaliśmy coś przed sobą. Przepraszam cię za to, co zrobiłem, bardzo przepraszam.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zamknęła je bez słowa. Próbowała jeszcze spojrzeć na niego ze wzgardą, ale daremnie. Schwycił ją za rękę jeszcze mocniej.

- Cassandro, jeśli mamy zacząć od nowa, musimy zostać przyjaciółmi. Nie żartuję. Będę ci nadal pomagał, bo potrzebujesz pomocy. Może nie jest to najlepszy początek przyjaźni, ale musi nam wystarczyć. Będę cię wspierał tak długo, jak się to okaże konieczne, a ty mi w zamian dasz zaufanie i swoje towarzystwo. Nie ciało. Nie mogę za nie płacić.

- Musi pan być w rozpacz, lordzie Merton, skoro chce pan płacić za przyjaźń. Czy anioły bywają aż tak samotne? Czyżby nikt się nie chciał z panem przyjaźnić?

- Mów mi po imieniu, Cass.

Po co sobie zadaje tyle trudu?

Szyderczy uśmiešek pojawił się znów na chwilę, lecz potem zniknął.

- Stephenie - powiedziała prawie szeptem.

- Bądźmy przyjaciółmi. Pozwól mi się odwiedzać całkiem jawnie. Niech twoja była guwernantka zostanie przyzwoitką. Pozwól mi przyprowadzić tu z wizytą moje siostry i obwozić cię po Londynie, jak wczoraj. Poznajmy się wzajemnie.

- Tak bardzo pragnie pan poznać moje sekrety, lordzie Merton? Chce się pan dowiedzieć ze szczegółami, jak zabiłam Nigela?

Puścił jej rękę i wstał. Odwrócił się od niej, przejechał palcami po włosach. Spojrzał na zmiętoszoną pościel na łóżku, gdzie tak niedawno się kochali.

- A zabiłaś go?

Czemu jej nie uwierzył, kiedy spytał o to po raz pierwszy? Dlaczego nie cofnął się ze zgrozą i nie uciekł jak najdalej?

- Owszem - odparła bez wahania. - Nie zaprzeczę temu, lordzie Merton... Stephenie, ani nie wymyślę sobie jakiegoś

włóczęgi, który bez żadnego powodu wdarł się przez okno do biblioteki, strzelił memu mężowi prosto w serce, a potem uciekł stamtąd, nie kradnąc niczego wartościowego. Zrobiłam to, bo go nienawidziłam, bo życzyłam mu śmierci i chciałam się od niego uwolnić. Czy nadal chce pan zostać moim przyjacielem?

Czemu nie mógł w to uwierzyć? Bo było to wręcz niewyobrażalne? Lord Paget zginął jednak od kuli, która trafiła go w serce. Próbował sobie wyobrazić Cassandrę z pistoletem w dłoni i z przerażeniem zamknął oczy.

Czy zwariował? Czy też ona go opętała? Z pewnością nie. Nie. Chyba po prostu sam oszalał.

- Tak - odparł z westchnieniem. - Chcę tego.

- Całe towarzystwo uzna, że się pan do mnie zaleca. Zabrudzę panu te anielskie skrzydła, lordzie Merton. Szybko zrobi się wokół pana pusto albo stanie się pan pośmiewiskiem. Każdy sobie pomyśli, że zdołałam pana oszukać. Ludzie dojdą do wniosku, że jest pan niewiarygodnie głupi, nie widząc niczego poza moją urodą. Bo ja jestem piękna, co mówię bez żadnej próżności. Wiem, jak inni na mnie patrzą - kobiety z zawiścią, mężczyźni z admiracją i pożądaniem. Kobiety odwrócą się od pana z rozczarowaniem i lekceważeniem. Mężczyźni będą na pana spoglądać z zazdrością i z pogardą.

- Nie chcę żyć zgodnie z tym, czego inni ode mnie oczekują, tylko tak, jak mnie samemu się podoba. Chyba to był jakiś znak, że dostrzegłem cię wtedy w Hyde Parku, a ty mnie. Nie tylko dlatego, że rozglądałaś się za opiekunem, a ja cenię sobie urodę, zwłaszcza że widziałem cię tylko w grubym welonie. Mogłaś zwrócić uwagę na tuzin innych mężczyzn, a ja na tuzin innych kobiet. A jednak spostrzeżliśmy się. Nasze drugie spotkanie, następnego dnia na balu u Meg, też nie było przypadkowe. I chy-

ba nie chodzi o moją chęć, żeby spędzić z tobą noc, a potem ze smutkiem się wycofać. Wierzę w skutki i przyczyny.

- A więc sążone nam się było spotkać? Może też zakochać się, pobrać i żyć długo i szczęśliwie?

- Jesteśmy kowalami własnego losu, ale pewne rzeczy wymykają się rozumowi. Spotkaliśmy się nie bez przyczyny, Cassandro. Możemy się doszukiwać jakiegoś powodu albo i nie. Żaden skutek nie jest wyrokiem losu.

- Tylko przyczyna?

- Tak. Właśnie tak myślę. Nie jestem filozofem. Dajmy sobie przynajmniej szansę zostania przyjaciółmi. Pozwól mi cię poznać. Pozwól sobie poznać mnie. Warto mnie poznać.

- A może nie?

- No cóż, może i nie.

Westchnęła, a kiedy znów na nią spojrzął, pojął, że zrezygnowała ze wszystkich poprzednich sztuczek. Wyglądała po prostu jak ktoś podatny na cios - i była wprost niewiarygodnie piękna.

Morderczyni? Z pewnością nie. Jak jednak wygląda morderczyni?

- Powinnam wiedzieć, że przysporzy mi pan trosk, już wtedy, kiedy pana po raz pierwszy ujrzałam. A tymczasem to pańskiego przyjaciela spisałam na straty jako potencjalne zagrożenie. Pomyślałam, że nie zdołam nad nim zapanować. Wyglądał wręcz jak diabeł. Nazywa się Huxtable.

- Con? To przecież mój kuzyn i wcale nie jest złym człowiekiem.

- Uznałam, że anioł okaże się bezpieczniejszy, i wybrałam pana.

- Nie jestem aniołem, Cassandro.

- Proszę mi wierzyć, jest pan nim. Stąd właśnie cały kłopot.

Uśmiechnął się do niej nagle, a w jej oczach coś zamigotało, jakby mu chciała odwzajemnić uśmiech. Nie zrobiła tego jednak.

- Chciałbym odwiedzić cię jutro po południu. Albo raczej dzisiaj. Chciałbym, żeby to była całkiem formalna wizyta, złożona tylko tobie i twojej guwernantce. Proszę mi wybaczyć, ale zapomniałem, jak się nazywa.

- Alice Haytor.

- A więc niech mi będzie wolno odwiedzić ciebie i pannę Haytor.

Znów zaczęła kołysać stopą.

- Ona wie.

- I bez wątplenia uważa, że jestem diabłem wcielonym. Może uda mi się ją ułagodzić na tyle, żeby jej niechęć osłabła?

- Wie również, że wszystko stało się z mojej winy. Że pana uwiodłam.

- Nie może tego wiedzieć, bo to nieprawda, Cassandro. Ty się mną po prostu wyraźnie zainteresowałeś. Nie uwiodłeś mnie wcale, bo odwzajemniłem twoje zainteresowanie. Jesteś piękna i atrakcyjna. Zasłużyłem sobie na niechęć panny Haytor, bo podjąłem złe decyzje co do ciebie. Pozwól mi zdobyć jej szacunek.

Westchnęła.

- Ale nie odejdzie pan?

Spojrzeli oboje na siebie.

- Zrobię to, jeśli mi powiesz, żebym odszedł i trzymał się od ciebie z daleka. Ale tylko wtedy, gdy powie tak prawdziwa lady Paget. Czy chcesz, żebym odszedł, Cassandro? Żebym zniknął z twojego życia na zawsze?

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem przymknęła oczy.

- Chcę - odparła po jakimś czasie - ale nie potrafię tego po wiedzieć, kiedy pana widzę. Dlaczego musiałam spotkać akurat pana?

- Nie wiem, może wspólnie znajdziemy odpowiedź na to pytanie?

- Będzie pan tego żałował.

- Być może.

- Ja już żałuję.

- A więc jutro po południu?

- Dobrze. - Otworzyła oczy i znów spojrzała na niego. -Niech pan przyjdzie, skoro tak musi być.

Uniósł pytająco brwi.

- Proszę przyjść - powtórzyła - a ja uprzedzę Mary, żeby nie wrzuciła panu pająka do filiżanki.

Roześmiał się.

- A teraz niech pan idzie. Muszę choć trochę się przespać, nawet jeśli panu tego nie trzeba.

Wziął swój płaszcz i kapelusz, a potem odwrócił się do niej. Wstała z fotela.

- Dobranoc, Cassandro.

- Dobranoc... Stephenie.

Wrócił do siebie, łamiąc sobie głowę, po co właściwie pcha się w tę kabałę. Przez ostatnie dwa dni całe jego życie wywróciło się do góry nogami.

Czy rzeczywiście spotkał ją z wyroku losu? I po co? Chyba tylko po to, żeby uratować ją i jej przyjaciółki od śmierci głodowej.

Mogli jednak wspólnie odkryć przyczynę. Pewne zdarzenia, pewne chwile mogą - jak wierzył - świadomie wpłynąć na czyjeś życie, całkiem jakby kierowała nimi niewidzialna ręka, ale tylko od niego samego zależało teraz, co zrobi z tymi zdarzeniami i chwilami.

Albo i nie.

Przez cały ranek padało, lecz wczesnym popołudniem deszcz ustał, chmury się rozwiały, zaświeciło słońce, a ścieżki i bruki wyschły.

- Idealne popołudnie na spacer - upierała się Alice, podchodząc do okna bawialni, chcąc samej sobie dowieść, że ma rację. - Umówiliśmy się, Cassie, że pójdziemy do Green Parku. Nie ma tam takich tłumów, jak w Hyde Parku.

- Kiedy wróciłaś na lunch - przypomniała jej Cassandra - oświadczyłaś, że nogi ci odpadną, jeśli zrobisz dziś choć jeden krok więcej.

Alice przez całe rano usiłowała odszukać pominięte przez nią wczoraj agencje i odwiedzić te, gdzie zostawia swoje nazwisko, w złudnej nadziei, że sytuacja zmieniła się w ciągu doby.

Powiedziała o swoim zmęczeniu, nim jeszcze Cassandra zdobyła się na odwagę, żeby niby to przypadkiem napomknąć o wizycie lorda Mertona. Przyjdzie tylko na herbatę, a nie na rozmowę o... interesach.

- Zdumiewające, jak lunch, filiżanka herbaty i półgodzinna pogawędka mogą człowiekowi przywrócić energię - odparła żywo Alice. - Zaraz będę mogła znowu wyjść, a dziś po południu nawet nie zmoknę.

- Zgodziłam się, że tu będę, kiedy on przyjdzie - powiedziała Cassandra. - Okazałybyśmy złe maniery, wychodząc akurat wtedy. Przecież mnie uczyłaś, żebym nigdy nie była nieuprzejma. Poza tym...

- Co poza tym? - spytała z irytacją Alice, odwracając się od okna z cierpką miną.

Cassandra nie pracowała nad robótką. Nie potrafiła się w tych dniach na niczym skupić, nie miała więc pretekstu, żeby nie spojrzeć w oczy guwernantce.

- Myślę, że... w pewnym sensie nasza znajomość się skończyła, Alice. Uznał ją za naganną, chyba dlatego, że mieszka z nami Belinda. Mówił coś o zbrukaniu niewinności, choć nie tylko o to mu chodziło. Prawdziwy z niego anioł. Chciałam, żeby sobie poszedł, a on poczuł się winny i zaczął się usprawiedliwiać. Mówi, że chciałby wszystko zacząć od nowa. I żebyśmy zostali przyjaciółmi. Słyszałaś coś równie głupiego? Chce jednak płacić mi nadal, a ja sama nie wiem, co mu powiedzieć, choć oczywiście coś powiedzieć powinnam. Nie mogę się przecież godzić na branie od niego niebagatelnych sum wyłącznie z tytułu przyjaźni.

- Chodźmy na spacer - powiedziała Alice stanowczym tonem. - Wystarczy, że włożysz kapelusz. Nie musisz wcale zmieniać sukni.

Cassandra pokręciła głową i utkwiała wzrok w dłoniach na podłoku. Obejrzała uważnie paznokcie. Wymagały skrócenia. Miała na sobie muślinową suknię w kwiatki, włożoną specjalnie z tej okazji. Ładne suknie były jedynym dobrem, które jej zostało. Nigel zawsze nalegał, żeby się dobrze ubierała.

- Nie chcę na niego patrzeć! - sarknęła Alice. - Ani pić razem z nim herbaty! Nie lubię go, Cassie, i nie chcę go tu widzieć, bo i tak wiem swoje. On cię skrzywdził.

- Nie. - Cassandra patrzyła gdzieś przed siebie, jakby z niepokojem. - Jeśli ktoś tu kogoś skrzywdził, to nie on. A w każdym razie nie mnie. On jest... cudowny, Alice.

Cudowny i zarazem strasznie kłopotliwy.

Przez cały ranek, a także resztę nocy po jego odejściu rozmyślała o tym, jak się z nią kochał, i o bolesnych pragnieniach, które w niej rozbudził. O bólu, który nie był bólem, lecz pożądaniem. Musiała to w końcu przyznać. Nawet nie wiedziała, że kobiety też mogą je odczuwać.

Przez cały ranek rozmyślała też o ich ostatniej rozmowie. „Chyba to był jakiś znak, że dostrzegłem panią wtedy w Hyde Parku...” Jeśli tak, to dlaczego ona spotkała kiedyś akurat Nigela? Merton znalazł sposób, żeby pogodzić fatum i wolną wolę. Jakież to sprytne z jego strony.

„Pozwól sobie poznać mnie. Pozwól mi cię poznać”. Czyż nie czuje, że wie już o niej dosyć? Dwa razy powiedziała mu, że zabiła Nigela. Cóż jeszcze trzeba wiedzieć o kimś, kto się przyznał do podobnego czynu?

„Warto mnie poznać”.

- Może i warto? - powiedziała do Alice.

- Po tym, co z tobą wyprawiał? - Alice usiadła ciężko w fotelu.
- Nie wmawiaj mi, że ty go uwiodłaś, Cassie. Miałaś powód, żeby tak zrobić, choć Bóg jeden wie, że sprzeciwiałam się temu od samego początku. A nic już nie usprawiedliwia tego, że jest mężczyzną. Skoro tak mu potrzeba kobiety, czemu się nie ożeni? Żony właśnie do tego służą!

Cassandra po raz pierwszy tego dnia poczuła szczerze rozbawienie.

- No cóż. - Policzki Alice poróżwiałały. - Między innymi i do tego! Kobiety nadają się też do innych celów, i od dzieciństwa wbijałam ci to do głowy. Nadal myślę, że powinnyśmy te raz wyjść do Green Parku, bo jutro może padać. I że to ja muszę znaleźć jakieś źródło dochodów. Kupiłam rano gazetę. Wiem, że to rozrzutność, ale były tam ogłoszenia o kilku posiadach. Może którąś z nich dostanę. Nie do wszystkiego się nadaję, ale umiem sporo. Nie uwierzę, by kobieta, która ma zaledwie czterdzieści dwa lata, była bezużyteczna.

Cassandra dostrzegła, że w oczach Alice błyszczą łzy.

- Cassie - ciągnęła Alice - to ja muszę o nas wszystkie za dbać. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Zawsze o mnie dbałaś. Zawsze.

Alice otarła oczy chusteczką.

- Bardzo ci zależy na tym, żebyśmy przyjęły hrabiego?

- Tak. A poza tym wyraźnie chciał, żebyś mi towarzyszyła.

No wiesz, jako przyzwoitka.

Alice prychnęła, wydając dość brzydki jak na damę dźwięk.

- Chyba ci jeszcze w dzieciństwie mówiłam, że nie warto zamykać stajni, kiedy konie ukradziono?

Było już za późno na spacer, nawet gdyby postanowiły, że wyjdą. Przed drzwiami zatrzymał się powóz. Cassandra usłyszała to wyraźnie ze swojego miejsca.

Przyjechał ich gość.

12

Stephen odwiedził Katherine, lady Montford, późnym rankiem, po opuszczeniu Izby Lordów. Chciał poprosić siostrę, żeby mu towarzyszyła podczas wizyty u Cassandry. Zastał u niej jednak Meg. Przyproceedziła ze sobą Toby'ego i Sally, żeby pobawili się z Halem w pokoju dzieciennym. Poprosił więc o przysługę obydwie.

- Powinnam spytać o tę wczorajszą popołudniową przejażdżkę, kiedy cię tylko zobaczyłam - powiedziała Meg. - Wbiłeś sobie do głowy, że wprowadzisz lady Paget w wielki świat, prawda? Bardzo to uprzejme z twojej strony, bo ona nie wygląda na osobę, którą łatwo polubić. Zwykle tak patrzy na ludzi, jakby nimi gardziła i uważała siebie za coś lepszego od nich. Czuję, że próbuje się pewnie w ten sposób bronić, bo jest w niełatwej sytuacji, lecz mimo to jej sposób bycia nie zachęca do poufałości.

- Obiecałem, że ją odwiedzę dziś po południu, ale nie wypada mi chyba iść tam samemu?

- Owszem, nie potrzeba jej żadnych nowych skandali - zgodziła się Kate. - Oczywiście masz rację, Meg, co do jej sposobu bycia, lecz gdybym znalazła się sama w Londynie, a wszyscy uważaliby, że zabiłam męża - i to siekierą! - zapewne robiłabym tak samo. Jeśli, rzecz jasna, zdobyłabym się na odwagę pokazywania się publicznie. Należy ją za to podziwiać. Chętnie z tobą pojedę, bo Hal powinien wypocząć po pełnym wrażeń poranku, a Jasper wybrał się na wyścigi.

- Duncan również - dodała Meg. - Wybrali się na nie razem. Ja też chętnie będę ci towarzyszyła.

Poszło mu łatwiej, niż myślał. Nie było żadnych kłopotliwych pytań. Siostry nie orientowały się chyba, że ma nieczyste sumienie.

Kiedy zajechał pod drzwi Cassandry na Portman Street, nic mu nie można było zarzucić. Przybywał tam otwarcie i mogli go sobie obejrzeć wszyscy sąsiedzi, a przywoził ze sobą dwie ogólnie szanowane damy, którym pomógł wysiąść. Lokaj, towarzyszący stangretowi, zastukał w drzwi kołatką.

Kilka minut później siedzieli już w bawialni, prowadząc uprzejmą rozmowę z Cassandrą, która nalewała herbatę, i z panną Haytor. Stephen pamiętał ją z Hyde Parku. Siedziała w fotelu sztywno wyprostowana i z niejaką afektacją, ale okazała się dość przystojną kobietą.

Afektacja ta była całkiem zrozumiała, on zaś chciał tylko nie przegrać w podjętej przez siebie grze. Miał nadzieję, że nie zdradzi przed jego siostrami prawdziwego charakteru jego znajomości z Cassandrą. Wątpił zresztą, czy chciałyby to zrobić. Najwyraźniej była damą.

On zaś pragnął ją sobie zjednać i koncentrował się przede wszystkim na rozmowie z nią, podczas gdy pozostałe trzy panie gawędziły ze sobą.

Cały czas jednak czujnie obserwował Cassandrę, która z naturalnością odgrywała rolę gospodyni, choć nadal z owym lekko wzgardliwym wyrazem twarzy, o którym wspominała Meg. Chciał, żeby się odprężyła i zachowywała naturalniej. Pragnął też, żeby siostry ją polubiły, tak jakby naprawdę miał się do niej zalecać. Miała na sobie suknię z brązowego muślinu, w której większość kobiet wyglądałaby nieatrakcyjnie. Na niej robiła olśniewające wrażenie. Podkreślała jej figurę i kierowała uwagę na połyskliwe włosy. Cassandra wyglądała wręcz elegancko, jak dama. Jak ktoś, komu nigdy nie mogłoby się zdarzyć nic odrażającego.

A potem stało się coś, co gwałtownie zmniejszyło napięcie, choć początkowo wywołało konsternację Cassandry. Drzwi bawialni, które pozornie wyglądały na zamknięte, otworzyły się z głośnym skrzyknięciem i wsunął się do środka, utykając, stary, kosmaty kundel o dość nieporządnym wyglądzie i z wywieszonym językiem.

- Boże! - Cassandra stanęła jak wryta. - Zamek u drzwi znów się zepsuł! Bardzo przepraszam. Zaraz zabiorę psa.

- Ja to zrobię, Cassie. - Panna Haytor zerwała się na nogi.

- Ależ on jest uroczy! - powiedziała Kate. - Proszę go zostawić, oczywiście, jeśli wolno mu wchodzić do bawialni.

- Roger chodzi krok w krok za Cassandrą - stwierdziła panna Haytor, siadając w fotelu. - Uważa, że cały dom należy do niego, a on jest jego panem i władcą. No i zazwyczaj nim bywa!

Po raz pierwszy się uśmiechnęła, a nawet zaśmiała, gdy Kate odwzajemniła jej uśmiech.

Cassandra też usiadła i uśmiechnęła się nieznacznie. Stephen dojrzał jednak na jej twarzy wyraz szczerzego przywiązania i poczuł wzruszenie, choć było ono tak przelotne, że z trudem zdał sobie z niego sprawę.

- Roger! - powiedział, a gdy pies przykuśtykał do niego, wyciągnął dłoń, żeby go poskrobać za jedynym całym uchem. - Ma pan wytworne imię.

Pies położył mu łeb na kolanach i spojrzał na niego tęsknie jedynym zdrowym okiem. Drugie zakrywało bielmo.

- Jesteś albo wyjątkowo pechowym psem, który ledwie uszedł z życiem z jakiejś fatalnej przygody, albo też masz szczęście, że ją w ogóle przeżyłeś.

- Raczej to drugie - mruknęła Cassandra.

- To musiało być coś okropnego, lady Paget - powiedziała Meg. - Dopiero w ostatnich latach zdecydowałam się trzymać w domu zwierzęta; kiedyś mój najstarszy syn przyniósł do domu cały miot szczeniąt - bo nie mógł już dłużej wytrzymać tego, że musi chodzić do stajni za każdym razem, kiedy je chce zobaczyć - no i oczywiście sukę razem z nimi, choć wcale nie nauczono jej czystości! Wiem jednak, że ci nasi ulubieńcy szybko stają się częścią rodziny, i to równie nam drogą, jak należący do niej ludzie.

Cassandra nie odrywała wzroku od Rogera.

- Myślałam, że coś mi się stanie, jeśli nie zdoła przeżyć, ale wydobrzeł. Nie pozwoliłam go uśmiercić.

Przeniosła przez moment spojrzenie z psa na Stephena, nim zaczęła patrzeć gdzie indziej.

Nikt nie spytał, co się właściwie stało Rogerowi, a ona najwyraźniej nie chciała o tym mówić.

- Będzie pan miał na sobie mnóstwo psiej sierści, lordzie Merton - ostrzegła go panna Haytor.

Uśmiechnął się.

- Mój lokaj też mi to bez wątpienia wypomni, madame, ale nie zostawi na moim odzieniu ani jednego włoska. Lokaj musi od czasu do czasu na coś ponarzekać, bo wtedy czuje, że jest ceniony, i bardziej lubi swoją pracę.

O mało nie odpowiedziała mu uśmiechem, ale wciąż jeszcze nie chciała mu wybaczyć. Może zresztą nigdy tego nie zrobi.

Nikt nie zamknął drzwi bawialni jak należy i wkrótce wyjrzała zza nich mała, kędzierzawa główka dziecka o rumianej buzi, całkiem jak dzień wcześniej spoza matczynej spódnicy. Dziewczynka zobaczyła psa i weszła do środka. Miała na sobie różową sukienkę, spłowiawą, ale nieskazitelnie czystą i starannie wyprasowaną.

- O, piesek - powiedziała i zaśmiała się.

Roger jednak czuł się najwyraźniej dobrze tam, gdzie siedział, głaskany i drapany za uchem, choć wydał z siebie leniwy pomruk i otworzył oko, gdy Belinda objęła go i ucałowała.

- Najmocniej przepraszam. - Cassandra była naprawdę za kłopotana. - Zaraz...

Belinda już zauważyła, że w pokoju prócz psa jest też kilka innych osób, a jedna z nich ma na głowie słomiany kapelusik przybrany kwiatami. Odsunęła się od Rogera i wskazała kapeluszałuszką.

- Jaki ładny!

- Dziękuję - odparła Meg - twoje loki też są ładne. Może nam jeden odstąpisz? Odetnę go nożyczkami, które mam w torebce, zabiorę go do domu i przypnę do własnych. Jak sądzisz, czy będzie mi z nim do twarzy?

Belinda zaniósła się radosnym śmiechem.

- Nie-e! - zawołała. - Głupio by wyglądał!

- Chyba masz rację - westchnęła Meg. - Zostawię go więc na twojej główce, gdzie wygląda ślicznie.

Belinda uniosła nóżkę i wskazała na nią.

- Mam nowe buciki!

- Bardzo ładne! - uznała Meg.

- Moje były za małe, bo już jestem duża.

- Widzę, widzę. Pewnie te stare były za ciasne. Chciałabyś, żebym cię wzięła na kolana?

Cassandra znów usiadła w fotelu i wymieniła spojrzenia z panną Haytor. Niepotrzebnie się jednak martwiły. Może nie bardzo zgadzało się z etykietą, by kosmatemu psu i dziecku służącej wolno było plątać się po bawialni, gdzie siedzą wytworni goście, lecz oni byli tym zachwyceni. Stephen wiedział, że i Meg, i Kate wyjątkowo się to podoba. Jemu zresztą też. Najwyraźniej w tym domu dzieciom i zwierzętom wolno było bardzo dużo. Właśnie dlatego, że był domem. Już wczoraj tak mu się zdawało. Dziś zyskał całkowitą pewność.

Cassandra wcale nie trwała w ponurym nastroju. Nawet teraz spoglądała serdecznie na dziecko.

- Mam synka - powiedziała Meg, sadzając sobie małą na kolanach - trochę starszego od ciebie. A także córeczkę, młodszą od niego. I jeszcze jednego chłopca, ale to dzidziuś.

- Jak się nazywają?

- Tobias, choć nazywamy go Toby, Sarah, czyli Sally, i Alexander, czyli Alex. A tobie jak na imię?

- Belinda. Nikt mnie inaczej nie nazywa.

- Hm, pomyślmy przez chwilę. - Meg udała, że się zastanawia.
- Może Belle? Mam siostrzenicę o takim imieniu, to zdrobnienie od Isabelle. A może Lindy, Linda albo Lin? Tylko że najładniej ze wszystkiego brzmi Belinda. Chyba twoje pełne imię będzie najlepsze.

Roger przywarował na podłodze przy butach Stephena. Kate rozmawiała z panną Haytor. Stephen uśmiechnął się do Cassandry, a ona przygryzła wargę i popatrzyła na niego.

Cieszył się, że tu przyszedł i przywiózł ze sobą Meg i Kate. Jak to dobrze, że zepsuł się zamek u drzwi. Wszystko było o wiele lepsze niż zeszła noc, mimo zaspokojenia zmysłów, jakie mu przyniosła. To początek czegoś nowego. Dobry początek. Cassandra poznała najlepszą część jego rodziny, podobnie jak on jej.

Czy naprawdę pragnął czegoś nowego?

I czego?

Nim zdążył podjąć na nowo rozmowę, ktoś zastukał do drzwi i wyjrzała zza nich przerażona twarz służącej.

- Przepraszam, milady - jęknęła. - Wieszałam akurat bieliznę, a Belinda i Roger gdzieś się zapodziali. Myślałam, że siedzą w kuchni, ale nie mogłam ich nigdzie znaleźć. Belindo! - syknęła przenikliwym szeptem. - Chodź tu zaraz i zabierz ze sobą psa! Stokrotnie przepraszam.

- Obydwoje nieźle bawią naszych gości, Mary - rzuciła Cassandra wesoło. - Belinda chciała się pochwalić nowymi bucikami.

- Zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą, Mary - wyjaśniła Meg. - Chyba nie skrzyczysz jej za to, że przyszła szukać psa? Jest doprawdy urocza. Miło mi było ją poznać.

- A Roger grzeje mnie w stopy - zawtórował siostrze Stephen.

- Musisz być bardzo dumna z córki - stwierdziła Kate.

Belinda ześliznęła się z kolan Meg i objęła Rogera za szyję.

Pies podniósł się i pobiegł, kulejąc, za nią. Mary zamknęła drzwi. Stephen usłyszał, że zrobiła to wyjątkowo energicznie, tak że aż szczęknęły.

- No cóż, przepraszamy za kłopot - stwierdziła panna Haytor. - Pewnie panie nie przywykły do tego, by poufalić się z potomstwem służących i psami.

- O, myli się pani - odparła z rozbawieniem Meg i zaczęła opowiadać o swoim życiu w Throckbridge. - Kiedy się mieszka na wsi, trzeba przestawać z ludźmi różnych stanów. Zresztą całkiem zdrowo jest wzrastać w podobnych warunkach.

- Czasami tęsknię za takim właśnie życiem - dodała Kate. - Kiedyś uczyłam małe dzieci w wiejskiej szkółce. Tańczyliśmy na wiejskich zabawach, które urządzano dla wszystkich, nie tylko dla dobrze urodzonych. Meg ma zupełną rację, to zdrowo. Nikt z nas nie skarży się jednak na to, że Stephen odziedziczył tytuł i fortunę.

- O, ja się na pewno nie skarzę - przyznał Stephen. - Z wysoką społeczną pozycją łączy się sporo przywilejów, ale też duża odpowiedzialność i wiele sposobności do czynienia dobra.

Przy tych słowach spojrzął na pannę Haytor. Może niezbyt mądrze zrobił, mówiąc tak, bo mogła sobie pomyśleć, że wysoka pozycja daje mu też niemało sposobności do czynienia zła, lecz uśmiechnął się do niej i odniósł wrażenie, że nie ma już tak afektowanej miny, jak pół godziny temu.

A poza tym trudnych celów nie osiąga się od razu.

Wizyta miała się ku końcowi. Mógł zauważyć, że Meg zbiera się do odejścia, nim jednak zdążyła wstać, znów zastukano do drzwi wejściowych. Wszyscy spojrzeli ku nim tak, jakby chcieli przez nie ujrzeć, kto przyszedł z kolejną wizytą. Po chwili Mary otworzyła je i zaanonsowała gościa:

- Pan Golding z wizytą do panny Haytor.

Panna Haytor zerwała się na równe nogi zarumieniona.

- Mary, doprawdy mogłaś mnie stąd wywołać.

Było już jednak za późno. Gość przeszedł obok Mary, lecz stanął zakłopotany, widząc, że w pokoju jest kilkoro ludzi. Zatrzymał się raptownie i ukłonił.

Cassandra podbiegła ku niemu rozradowana i z wyciągniętymi rękami.

- Jakże dawno pana nie widziałam! Ale chyba poznałabym pana wszędzie!

Pan Golding był niewysokim, szczupłym mężczyzną w średnim wieku. Wyłysiał nieco nad czołem i na czubku głowy, a skronie mu posiwiły. Okulary w drucianej oprawce zjechały do połowy nosa.

- Mała Cassie! - wykrzyknął, ściskając jej dłonie, równie uradowany, jak ona. - Poznałbym panią tylko po włosach. Nazywa się pani teraz lady Paget, prawda? Panna Haytor powiedziała mi o tym, kiedy się wczoraj spotkaliśmy. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu zgonu męża.

- Dziękuję - odparła szybko Cassandra i przedstawiła go pozostałym gościom, nadal uradowana i wręcz niewiarygodnie piękna.

- Przyszedłem złożyć uszanowanie pannie Haytor - powiedział Golding, gdy już się wszystkim ukłonił - ale nie przypuszczałem, że zastanę tu tak liczne grono, lady Paget.

- Niechże pan wypije z nami herbatę - zapraszała go Cassandra.

Nie chciał jednak tego zrobić, najwyraźniej onieśmielony zebranym towarzystwem.

- Chciałem jedynie spytać, czy panna Haytor nie wybrałaby się jutro ze mną do Richmond Park. Myślałem, że moglibyśmy tam urządzić piknik.

Spojrzał ku guwernantce niepewnie.

- Tylko we dwoje? - spytała i zarumieniła się jeszcze mocniej, a oczy jej rozbłysły. Stephen uznał, że kiedyś, w młodości, musiała być ładną dziewczyną.

- Czyżby to było nieodpowiednie? - spytał, obracając w rękach kapelusz. Wyglądał tak, jakby szczerze pragnął zapaść się pod ziemię, gdyby ta zechciała rozstąpić się nagle pod jego stopami. - Nie wiem, kogo by jeszcze zaprosić. Gdybym mógł...

Gdy się już raz zaczęło, trzeba jakoś skończyć, pomyślał Stephen o pączkującym romansie dwojga ludzi w średnim wieku. A jego przyjaźń z Cassandrą mogła ich chyba zaprowadzić gdziekolwiek, jak obydwójce wiedzieli. Pragnął się jednak przekonać, gdzie owo „gdziekolwiek” się kryje.

- Gdyby to panu nie przeszkadzało - zwrócił się do Goldinga - i gdyby lady Paget nie miała żadnych planów na jutrzejsze popołudnie, moglibyśmy się przyłączyć do pikniku. Obie panie byłyby dla siebie nawzajem przyzwoitkami.

- Wyglądałoby to bardzo godziwe, milordzie, ale nie chciałbym się narzucać.

- Nic podobnego. Dziwne, że sam wcześniej nie wpadłem na ten pomysł. Teraz potrzebujemy tylko zgody dam, żeby zechciały nam towarzyszyć - tu Stephen spojrzał pytająco na pannę Haytor i Cassandrę. - Powinienem zapytać najpierw pannę Haytor, czy nie ma nic przeciwko udziałowi w pikniku.

Po czym wręcz bezwstydnie posłał jej najbardziej czarujący z uśmiechów, widząc wyraźnie, że guwernantka aż się do tego pali.

- Ma pan zupełną rację, lordzie Merton; jeśli tylko Cassie wybierze się razem ze mną, zostanę jej przyzwoitką i będę pilnować, by nic się jej złego nie stało. Zgadzam się z chęcią.

Wszyscy spojrzeli na Cassandrę.

- Chyba jednak wybiorę się jutro na ten piknik - odparła, nie patrząc na Stephena.

- Wspaniale! - zawołał Golding i zatarł ręce, choć nadal wyglądał na strasznie zaambarasowanego. - Punktualnie o drugiej przyjadę wynajętym powozem pod same drzwi.

- Skoro zapewnia nam pan herbatę, to może mnie będzie wolno wynająć powóz? - spytał Stephen.

- To miła propozycja z pana strony - odparł Golding - ale nie trzeba. - I po złożeniu ukłonu spiesźnie wyszedł, nic więcej nie mówiąc.

- Czas już na nas - oznajmiła Meg, wstając. - Dziękuję pani za gościnę, lady Paget. Było mi bardzo przyjemnie poznać pannę Haytor.

- Mnie również - powiedziała Kate. - Chętnie bym wysłuchała kilku pedagogicznych anegdotek, ale jakoś nie było po temu okazji. Może następnym razem?

- A więc do jutra, madame. - Stephen ukłonił się i wyszedł. Cassandra zęgnęła się z jego siostrami.

Począł w sieni na Meg i Kate, ale gdy ruszyły ku powozowi, zatrzymał się na chwilę.

- Zawsze miałem słabość do pikników. Świeże powietrze, jadło i napoje, trawa, drzewa, kwiaty... Znakomite wręcz zestawienie. Razem tworzą imponującą kombinację.

- Towarzystwo może się okazać nie tak miłe - ostrzegła go Cassandra.

- Oczywiście - roześmiał się. - Ale jakoś bardzo polubiłem pana Goldinga.

Udawał, że nie zrozumiał złośliwości, co ją tylko rozbawiło.

- Miałam na myśli moją osobę. Dobrze pan wiedział, że nie chcę się wybrać na ten piknik i że ta nasza... przyjaźń, o której pan wspominał poprzednio, skazana jest na porażkę. Nie możemy

zostać przyjaciółmi, skoro wcześniej byliśmy dla siebie czymś innym.

- Czyż kochankowie nie mogą się ze sobą przyjaźnić?

Nie odpowiedziała.

- Czuję potrzebę usprawiedliwienia. Zamiast wnieść w pani życie trochę radości, zrobiłem coś przeciwnego, Cass. Niech mi pani pozwoli się przeprosić.

Spojrzała tylko świetlistymi zielonymi oczami.

- Niechże pani powie, że się cieszy na ten piknik.

- Jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, oświadczę, że nie będę mogła dziś usnąć z niecierpliwości, modląc się nieustannie o dobrą pogodę.

Nim wyszedł, musnął palcem jej podbródek. A potem usiadł w powozie naprzeciwko sióstr, tyłem do koni.

- Stephenie - powiedziała Kate, gdy karetka ruszyła - nie rozumiem, po co ci to wszystko. Albo raczej wolę tego nie rozumieć. Czy nikt z nas nie może zawrzeć szczęśliwego małżeństwa ot tak, po prostu?

- Nasza droga do szczęścia małżeńskiego też była bardzo wyboista, Kate - upomniała ją Meg. - Może nie byłoby ono tak wielkie, gdyby okazała się zbyt gładka? Może powinniśmy życzyć Stephenowi, żeby napotkał na niej jeszcze więcej przeszkód?

Powiedziała to jednak bez uśmiechu i nie wyglądała na specjalnie zadowoloną. Kate również. Stephen nie prosił o wyjaśnienia, bo wszystko było aż nazbyt oczywiste.

A jednak się myliły. On chciał tylko dać Cassandrze trochę radości, tak żeby przestało dręczyć ją sumienie.

I więcej o tym nie mówili.

13

Cassandra cały ranek spędziła na Oxford Street, nie robiła jednak zakupów dla siebie. Poprosiła Mary, żeby mogła wziąć ze sobą Belindę i kupić jej kapelusz od słońca zamiast dziwaczного nakrycia głowy, które należało kiedyś do stajennego. Nie zamierzała jednak sprawiać dziecku niczego więcej. Z Mary należało postępować ostrożnie, bo była bardzo dumna, a o uwielbianą córeczkę niezmiernie dbała.

Zakupu dokonano w pierwszym z brzegu sklepie i Belinda wyszła z niego w ładnym kapelusiku z niebieskiej bawełny, o lekko usztywnionym rondzie, które miało ją osłonić przed nadmiernym blaskiem słonecznym. Pod brodą był zawiązany na dwie jaskrawożółte wstążki, przymocowane pęczkami sztucznych jaskrów i bławatków.

Belinda nie mogła wręcz oderwać oczu od tych wspaniałości i przejrzała się natychmiast w najbliższej witrynie.

Potem powędrowały obie ulicą, póki nie zatrzymały się przed sklepem z zabawkami. Belinda z miejsca przycisnęła nosek do szyby, wpatrując się w nie bez słowa. Nie okazywała wprawdzie jawnego zachwyty ani nie oczekiwała, że którąś z nich może dostać, lecz wszystko inne przestało dla niej istnieć.

Cassandra patrzyła na nią ze wzruszeniem. Samo podziwianie wystawy było zapewne prawdziwym świętem dla dziewczynki. Nietrudno jej było sprawić radość.

Cassandra spostrzegła, że dziecko nie podziwia wszystkich zabawek, lecz upatrzyło sobie jedną lalkę. Nie za dużą i bez pięknego stroju. Wręcz przeciwnie, chodziło o małego naguska z porcelany, ubranego jedynie w bawełnianą koszulkę. Leżał na białej wełnianej kołderce. Belinda patrzyła na niego

bez przerwy, a potem podniosła rączkę i zaczęła pociągać ją za palce.

Cassandra poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Nie przypominała sobie, żeby mała miała kiedykolwiek jakieś zabawki.

- Myślę - zaczęła - że ten dzidzius potrzebuje mamy.

- Dzidzius. - Belinda przycisnęła rączkę do szyby.

- Czy chciałabyś go potrzymać? - spytała Cassandra. Dziecko spojrzało na nią wielkimi, pełnymi powagi oczami i powoli skinęło główką.

- No to chodźmy. - Cassandra znów ujęła ją za rączkę i wprowadziła do sklepu.

Co za ekstrawagancki wydatek! A przecież przestała być kochanką lorda Mertona i kupiła już małej kapelusz. Trzeba jednak mieć w życiu coś więcej niż utrzymanie i dach nad głową. Na przykład miłość. A jeśli musi się na nią wydać trochę grosza, to trudno!

Subiekt zdjął lalkę z wystawy i podał Belindzie.

Cassandra nie zdziwiła się, widząc, że małej oczy niemal wyszły z orbit. Patrzyła na porcelanowego naguska z otwartą buzią i ścisnęła go sztywno w objęciach, a potem zaczęła go łagodnie kołysać.

- Czy chcesz zabrać lalkę do domu i zostać jej mamą? - spytała ją Cassandra.

Belinda znów na nią spojrzała i przytaknęła bez słowa.

Z tyłu za nimi jakaś wystrojona dziewczynka kapryśnym tonem domagała się kupienia jej lalki z długimi, jasnymi puklami, a nie tamtej bzdurnej, w aksamitnym ubranku i płaszczku obszytym futerkiem. A także nowej skakanki, bo uchwyty tej, którą dostała w zeszłym tygodniu na urodziny, były we wstrętnym zielonym kolorze.

Nagusek, co zaskoczyło Cassandrę, nie miał ubranek. Kupiła mu więc koszulkę nocną, a potem - ponieważ Belinda pocało-

wała go w czołko i szeptem obiecała, że będzie mu ciepło - także kołderkę.

Nie miała pojęcia, że zabawki aż tyle kosztują.

Gdy jednak wyszły ze sklepu, nie żałowała wydatku. Belinda nic nie mówiła z wrażenia. Przypomniała sobie jednak o czymś, co jej uparcie wpajała Mary, i spojrzała na Cassandrę, nadal tuląc mocno naguska.

- Dziękuję, milady - wyszeptała, wcale nie zdawkowo. Było to podziękowanie płynące prosto z serca.

- No cóż, nie mogliśmy zostawić go bez mamy, prawda? - spytała ją Cassandra.

- To jest dziewczynka - wyjaśniła Belinda.

- Ach, tak? - Cassandra uśmiechnęła się, niemal wpadając na równie uśmiechnięte lady Carling i hrabinę Sheringford.

- Pomyślałam sobie, że to musi być pani - zaczęła lady Carling - i powiedziałam o tym Margaret, przeszliśmy więc przez ulicę, żeby się upewnić. Co za urocze dziecko! Czy to pani córeczka?

- Nie, mojej gospodyni, kucharki i... wszystkiego innego razem.

- Na imię jej Belinda - dodała hrabina - i widzę, że chodzi w swoich nowych, ślicznych bucikach. Jak się pani miewa, lady Paget? Zdaje się, Belindo, że masz nowego dzidziusia. Mogę mu się przyjrzeć? Czy to dziewczynka?

Belinda przytaknęła i zsunęła kołderkę z lalczynęj główki.

- Jaka śliczna - powiedziała hrabina. - Chyba jej ciepło, bo wygląda na zadowoloną. Czy ma już imię?

- Beth - oznajmiła Belinda.

- Bardzo ładne. To zdrobnienie od Elizabeth, ale samo Elizabeth jest za długie dla takiej małej lalczki. Dobrze zrobiłaś, nazywając ją Beth.

- Margaret i ja wybierałyśmy się do cukierni na herbatę - wyjaśniła lady Carling. - Może pani pójdzie z nami, lady Paget? Na pewno znajdzie się tam przynajmniej jedno ciasteczko dla Belindy. No i, oczywiście, lemoniada.

Cassandra początkowo chciała odmówić. Czyż jednak mogło jej zaszkodzić, że ludzie zobaczą ją z dwiema poważanymi damami? Jeśli zacznie być stopniowo akceptowana, to może zdoła sobie znaleźć jakąś starszą lub schorowaną kobietę potrzebującą towarzyszkę, na tyle ufną, by ją u siebie zatrudnić. Nie była to specjalnie pociągająca perspektywa, nie wiedziała też, co się wówczas stanie z Alice i Mary, ale jednak...

Nie zaszkodzi, jeśli przyjmie wyciągniętą ku niej gałązkę oliwną.

- Dziękuję. Belindo, masz ochotę na ciastko?

Belinda, wciąż z wytrzeszczonymi oczkami, zgodziła się, a potem znów przypomniawszy sobie o dobrych manierach.

- O tak, dziękuję, milady.

Panie gawędziły ze sobą niemal przez godzinę. Belinda siedziała cichutko przy stoliku. Najpierw zjadła starannie wybrane ciastko z różowym lukrem i napiła się lemoniady, trzymając szklaneczkę oburącz, a potem wytarła buzię i rączki serwetką, żeby znów kołysać lalkę. Mruczała coś do niej i całowała ją, kiedy panie rozmawiały ze sobą.

- Co za piękny dzień, w sam raz na ten piknik w Richmond - powiedziała Meg.

- Piknik? - lady Carling spojrzała na Cassandrę z zacięciem. - Znakomicie. Nie ma lepszego sposobu na spędzenie słonecznego popołudnia.

- Moja była guwernantka, która mieszka teraz ze mną, ma tylko czterdzieści dwa lata - powiedziała Cassandra. - A więc jest o wiele za młoda, żeby się wybierać na piknik do Richmond ra-

zem z dżentelmenem w tym samym wieku, a przynajmniej tak uważa. Kiedy pan Golding przyszedł wczoraj do nas, chcąc ją zaprosić, wahała się, choć najwyraźniej chciała powiedzieć „tak”. A wówczas lord Merton zaofiarował się, że im będziemy towarzyszyć. Jako przyzwoitki!

Roześmiały się w tym samym momencie, gdy hrabia Merton we własnej osobie oraz Huxtable - anioł i diabeł - przechodzili koło witryny cukierni. Serce, żołądek czy też w ogóle wszystkie wewnętrzne organy Cassandra ścisnęły się gwałtownie. U boku lorda Mertona szła młoda panna, jedna z tych, z którymi tańczył na balu swojej siostry, a on pochylał ku niej głowę, chcąc usłyszeć, co mówi, i uśmiechał się do niej.

Inna młoda kobieta, najwyraźniej jej służąca, podążała za nimi o kilka kroków dalej.

Cassandra nie czuła zazdrości, tylko... no cóż, wiedziała przecież, że była jego kochanką. Spędziła z nim dwie noce we własnym łóżku i przyniosło jej to dużo więcej radości, niż chciałyby przyznać. Widziała jego wspaniałe ciało koło siebie i czuła jego dotyk.

Lepiej porzucić takie myśli. Przecież chciał zostać jej przyjacielem.

Kobieta taka jak ta młoda panna byłaby dla niego dużo odpowiedniejsza. Dziewczyna roześmiała się, słysząc coś, co powiedział, on zaśmiał się również.

Tak, pasowała do niego. A Cassandra nie. On był młody, bez troski, czarujący i pogodny.

Nie powinna pozwolić, by próbował przeobrazić ich nieudany romans w przyjaźń.

Tylko, że... był taki uroczy.

- Och, idą Stephen i Constantine - powiedziała lady She-
rington. Huxtable dostrzegł je i powiedział coś do Mertona

i panny, a potem obaj spojrzeli w witrynę i uśmiechnęli się. Merton pomachał im ręką.

Powiedział coś do dziewczyny, lecz ona pokręciła głową i po chwili odeszła, a służąca za nią, nadal w pewnej odległości. Obydwaj mężczyźni weszli do cukierni.

- Czy damy w ten sposób dbają o figurę? - spytał Huxtable z lekką ironią.

- Jasne, że nie - odparła lady Carling. - To chodzenie po sklepach utrzymuje je w formie, drogi panie. Poza tym tylko Belinda je ciastko, a my ćwiczymy naszą silną wolę. Lady Paget, jak zauważyłam, nie słodzi nawet herbaty i dodaje do niej tylko kroplę mleka. Niech panowie przysuną sobie krzesła i dołączą do nas.

Cassandra czuła się nieswojo. Nie należała do tej rodzinnej grupy, poza tym powinna już odprowadzić Belindę do domu, żeby Mary nie zaczęła się niepokoić.

- Nasze dwa krzesła zaraz będą wolne. Belinda i ja musimy się już pożegnać.

Belinda potulnie wstała, zerkając przy tym na Stephena.

- Mam nową lalkę! - oznajmiła.

- Lalkę? - spytał zaskoczony i nachylił się nad nią. - Myślałem, że to prawdziwy dzidzius. Czy mogę ją zobaczyć?

- To dziewczynka. - Belinda uchyliła rąbka kołderki. - Nazywa się Beth, a naprawdę Elizabeth, ale takie imię jest za długie.

- Owszem, Beth bardziej do niej pasuje - zgodził się Stephen i dotknął palcem policzka lalki. - Chyba jej ciepło w tej kołderce, bo już zasnęła.

- O, na pewno - odparła Belinda radośnie.

Cassandra tak głośno przełknęła ślinę, że -jak sądziła - wszyscy musieli to usłyszeć. Serdeczność Stephena robiła wrażenie całkiem szczerzej, był jednak arystokratą, a Belinda - dzieckiem

służącej. W dodatku nieślubnym. Łatwo by się wzruszyła podobną życzliwością i zaczęła mu ufać, gdyby doświadczenie jej nie nauczyło, że nie można ufać mężczyznom, zwłaszcza tym łagodnym. Nigel też był przecież łagodny. Lord Merton wstał.

- Proszę mi pozwolić, bym odprowadził panią i dziecko do domu.

Jakże mogła się temu sprzeciwić, zwłaszcza przy zaciekawionym spojrzeniu lady Carling i jego krewnych?

- Nie jest to konieczne, ale dziękuję panu za troskę.

- Życzę dobrej zabawy na pikniku - powiedziała hrabina.

- Na pikniku? - spytał Huxtable, wpatrując się w nią czarnymi oczami. - Nic o tym nie słyszałem.

- Towarzyszka lady Paget wybiera się do Richmond na piknik ze swoim dobrym znajomym - wyjaśniła hrabina. - Stephen i lady Paget będą im towarzyszyć jako przyzwoitki.

- Nadzwyczajne. - Huxtable nie spuszczał wzroku z Cassandry, a brwi miał nadal uniesione. - Przyzwoitki?

Cassandra nachyliła się, żeby pomóc Belindzie mocniej otulić lalkę kołderką. Ucałowała małą w policzek i ujęła za rączkę. Gdy wyszli, Belinda zatrzymała się, po czym bez żadnego uprzedzenia wręczyła lalkę Stephenowi i ujęła go za drugą rękę, tak że szła między nimi prowadzona przez oboje.

Stephen niósł troskliwie lalkę, nie zważając na rozbawione spojrzenia przechodniów.

Wszystko to wydało się Cassandrze jakąś niesłychanie sielską sceną, całkiem jakby lalka była prawdziwym dzieckiem, a obie - razem z Belindą - ich wspólnym potomstwem.

Czy zrobił to rozmyślnie? Nie rozumiała go. Czyżby anioły istniały naprawdę?

A jeśli tak, to co ona robi w towarzystwie jednego z nich?

Alice przez cały dzień była podniecona, choć nie przyznałaby się do tego za żadne skarby. Zawsze matkowała Cassandrze i była dla niej czymś więcej niż tylko guwernantką, a później damą do towarzystwa, a poza tym - opoką i gwarantem stabilności. Przez ostatnich dziesięć lat uratowała ją zapewne przed postradaniem zmysłów. Teraz jednak Cassandra czuła się winna, bo nigdy nie myślała o Alice jako o kobiecie. Kiedy zaczęła u nich pracować, była bardzo młoda, nie miała nawet dwudziestu lat. Nawet po ślubie Cassandry ledwie przekroczyła trzydziestkę. A jednak przez cały czas nie miała żadnego adoratora, żadnej szansy na wyjście za mąż i szczęście osobiste.

Czy przez wszystkie te lata kochała skrycie Goldinga i robiła sobie jakieś nadzieje? Czy myślała o nim, czy jej się śnił? Czy całkiem przypadkowo spotkała go dwa dni temu? Czy wówczas odżyły jej nadzieje, może nawet bolesne?

Cassandra czuła się wręcz zawstydzona, nie umiając odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Chciała jednak dołożyć wszelkich starań, by znajomość tych dwojga ponownie się rozwinęła, jeśli naprawdę tego pragnęli, i postanowiła ułatwić im to, nie posuwając się do jawnego swatania.

Oczekiwała więc niecierpliwie pikniku ze względu na Alice.

Ze względu na siebie również, co przyznała z niechęcią w duchu, gdy Belinda chwaliła się Stephenowi, że ma nowy kapelusz, a on oświadczył, że ładniejszego od dawna nie widział. Nie powinna była ani wyczekiwać pikniku, ani pozwalać mu się ze sobą przyjaźnić. Powinien zabiegać o takie młode panny jak ta, z którą go widziała, nieobciążone żadnymi ciężkimi przeżyciami, jak ona.

Skoro jednak miała spędzić w jego towarzystwie popołudnie, chciała się przynajmniej dobrze bawić. Nie robiła tego od lat.

Czy zresztą w ogóle kiedyś dobrze się bawiła? On jej obiecał radość, co brzmiało jeszcze lepiej niż szczęście, tylko że było tak samo nieosiągalne.

Chciała się jednak dobrze bawić. Bardzo.

Kiedy znaleźli się już na Portman Street, Belinda zaczęła spokojnie przy wejściu, gdy Cassandra wyjmowała klucz z doniczki przy schodach, bo nie chciała posłużyć się kołatką. Otworzyła drzwi, dziewczynka odebrała ostrożnie lalkę od Stephena i pobiegła jak strzała do kuchni, mówiąc tak głośno i szybko, że trudno ją było zrozumieć. Cassandra wyłowiła jednak z podnieconego szczebiotu takie słowa, jak „różowy cukier”, „Beth”, „jaskry”, „kapelusze” i „dwie damy”, a także coś o panu, który niósł jej lalkę i wcale jej nie zbudził.

Biedna Mary, chyba od tego ogłuchnie, pomyślała Cassandra z rozbawieniem, wkładając z powrotem klucz do skrytki.

Nagle poczuła rozpaczliwy żal, który zawsze pojawiał się bez uprzedzenia.

Nie miała dzieci, tylko tamte cztery małe ciałka.

Nabrała głęboko tchu i odetchnęła z wysiłkiem.

- Dziękuję. Widzi pan, jaka jestem rozrzutna i na co wydaję pańskie pieniądze?

- Nie mogła z nich pani zrobić lepszego użytku, Cass. To wspaniale uszczęśliwić dziecko - odparł, unosząc jej dłoń do ust. - Zobaczmy się po południu.

- Tak - odparła i weszła do domu, a on odszedł, czarujący, przyjacielski, piękny i pociągający. Łatwo go było polubić, a także zapragnąć. I może był całkiem szczery. A może nie.

W każdym razie tego popołudnia zamierzała się bawić. Wydawała dziś pieniądze bez umiaru i tak samo nieumiarkowanie ma zamiar się radować. Długo tłumiła uczucia, tak długo, że nie była nawet pewna, czy jeszcze coś z nich pozostało.

Przekona się o tym po południu.

Stephen z rozbawieniem patrzył, jak panna Haytor, której pomagał wsiąść do powozu, sadowi się przy Cassandrze, zamiast skorzystać z wolnego miejsca naprzeciwko. Musiał tam usiąść sam obok Goldinga. Panna Haytor, co było widać w jej pełnym podniecenia zachowaniu, denerwowała się.

Być może dlatego, że do tej pory nikt się do niej nie zalecał. Była to smutna myśl, ale lepiej późno niż wcale.

Golding też wydawał się bardziej przejęty niż poprzedniego dnia, pilnie ładując do powozu wielki, nowy piknikowy kosz. Jeśli znajdowały się w nim wiktuały, wystarczyłoby ich dla całej armii.

Był wprawdzie ubrany elegancko i formalnie, ale milczał jak zakłęty. Panna Haytor, w schludnej granatowej sukni i obszytym futerkiem płaszczyku, także nic nie mówiła i siedziała sztywno wyprostowana.

Cassandra, olśniewająca w bladozielonej sukni i słomkowym kapeluszu, była tak rozbawiona, jak Stephen się spodziewał, a on czuł, że w uśmiechu, którym go powitała, nie było już ironii. Zresztą w jego uśmiechu także.

Zdecydował, że obowiązek konwersacji weźmie na siebie, jako że nigdy nie miał z tym trudności. Wystarczyło zacząć od paru właściwych pytań.

- Czy uczył pan kiedyś? - spytał, gdy powóz nabrał szybkości.
- Może tam, gdzie panna Haytor?

- Istotnie, panna Haytor była guwernantką panny Young, a ja preceptorem jej brata. Szybko jednak zrezygnowano z moich usług i musiałem odejść, czego żałowałem. Panna Haytor uczyła doskonale, podziwiałem oddanie, z jakim to robiła, jak też jej wykształcenie.

- Nie było lepsze niż pańskie. - Pannie Haytor wreszcie rozwiązał się język. - Widziałam kiedyś, jak ślęczy pan do północy w gabinecie sir Henry'ego Younga, chcąc znaleźć metodę, która

pozwoliłaby Wesleyowi opanować dzielenie. A edukację otrzymałam skromniejszą niż pan.

- Moją zapewniły mi studia na uniwersytecie, za to pani o wiele więcej czytała, panno Haytor. Poleciała mi pani kilka książek, które stały się potem moją ulubioną lekturą. Zawsze o pani myślałam, wracając do nich.

- Miło mi to słyszeć, ale myślę, że i tak by pan je poznał.

- Wątpię. Tyle ich było, że często nie wiedziałem, od której zacząć, i pewnie bym nie zaczął wcale. Chętnie się dowiem, co pani czytywała w ostatnich latach. Może poznałbym wówczas coś nowego, co dotyczyłoby nie tylko polityki.

Stephen spojrzął na Cassandrę. Nie mogli uśmiechnąć się do siebie otwarcie, by nie wywoływać konsternacji drugiej pary, lecz jakoś dali to sobie do zrozumienia. Cassandra umiała się uśmiechać mimo całkiem nieruchomych rysów, on potrafił się jej odwzajemnić tym samym.

A jeśli nawet niewłaściwie odczytał wyraz jej twarzy, przynajmniej nie miała już na niej zwykłej maski. Rano też się za nią nie kryła. Był wówczas tak nieostrożny i nierozsądny, by uznać, że mógłby się w niej zakochać. Kiedy Con zwrócił mu uwagę na witrynę cukierni, spostrzegł tam zrazu tylko Cassandrę... Dopiero po chwili zauważył również Meg i lady Carling. A gdy odprowadzał ją i Belindę do domu, czuł, że...

Dosyć. Co za głupie myśli.

Stephen wziął ze sobą tylko stangreta, Golding nie miał żadnych służących, a na Portman Street przyjechał wynajętym powozem. Kiedy po długiej jeździe dotarli do Richmond Park, musieli obaj nieść koszyk. Obie panie szły przodem, wypatrując odpowiedniego miejsca na piknik.

Znaleźli je nieco dalej, na porośniętym trawą zboczu, pod jednym ze starych dębów - Richmond słynie z tych drzew -

naprzeciw kępy rododendronów, za którymi rosły kolejne dęby. W oddali widać było Pen Ponds, stawy pełne ryb.

Po parku krążyło nieco ludzi, lecz nikt nie urządzał pikniku, nikt też nie pojawił się na wybranym przez nich stoku. Popołudnie, zgodnie z przewidywaniami Stephena, zapowiadało się miło i spokojnie.

Golding wyjął duży pled z koszyka. Stephen pojął teraz, dlaczego kosz nie był tak ciężki, jak się spodziewał. Panna Haytor pomogła im rozłożyć koc na trawie i wygładzić go starannie.

- Jest jeszcze za wcześnie na herbatę - uznał Golding. -Może się przejdziemy?

- Ktoś mógłby nam skraść i koszyk, i koc - westchnęła panna Haytor.

- A, rzeczywiście. Nie możemy więc tracić go z oczu i odchodzić za daleko.

- Całkiem mi tu dobrze - odezwała się Cassandra. - Mogę wygrzewać się na słońcu, odetchnąć świeżym powietrzem i pić herbatę, patrząc na tę piękną zieleń naokoło. Idź na spacer z panem Goldingiem, Alice. Lord Merton i ja zostaniemy tutaj.

Panna Haytor spojrzała podejrzliwie na Stephena. Uśmiechnął się do niej najserdeczniej, jak tylko potrafił.

- Uchronię lady Paget od wszelkich nieprzyjemności, mada me. Przecież to park publiczny i ciągle ktoś po nim chodzi. Nie braknie tu przyzwoitek ani dla niej, ani dla pani.

Widział, że wciąż jest nieufna, lecz pragnienie przechadzki sam na sam z Goldingiem przeważało.

- Po cóż jechać tak daleko tylko po to, by krążyć wokół koszyka - powiedziała Cassandra. - Równie dobrze mogliśmy zo stać w domu i urządzić sobie piknik w domowym ogródku, między sznurami z suszącym się praniem.

To ostatecznie przekonało pannę Haytor. Zeszła ze stoku razem z Goldingiem, a potem przyjęła jego ramię i obydwójce skierowali się ku stawom.

- Coś mi się zdaje, że okazałam się niewiarygodnie samolubna - stwierdziła Cassandra, siadając na kocu. Zdjęła rękawiczki i kapelusz i położyła obok siebie.

- Żebyśmy mogli zostać sami?

- Nie, trzymając Alice przez tyle lat przy sobie. Miała już szukać nowego miejsca, kiedy przyjąłam oświadczyzny Nigela, nawet odbyła jakąś wstępną rozmowę i bardzo się jej spodobali zarówno przyszli chlebobdawcy, jak i ich dzieci. Ubłagałam ją jednak, żeby przynajmniej przez rok pobyła ze mną na wsi. Nigdy jeszcze nie mieszkałam poza miastem i trochę się tego obawiałam. Zgodziła się, bo bardzo nalegałam, a potem została. Myślałam tylko o swoich potrzebach i niezliczoną ilość razy powtarzałam jej, że nie wiem, jak sobie bez niej poradzę.

- Być pomocnym to podstawowa ludzka potrzeba. Panna Haytor najwyraźniej cię kocha i dlatego chciała zostać.

Siedziała teraz skulona, obejmując kolana rękami.

- Zbyt życzliwie mnie oceniasz. Mogła przecież kogoś poślubić - wiele lat temu. Mogła być szczęśliwa.

- Albo nie. Niewiele guwernantek potrafi sobie znaleźć odpowiednich mężów. A nowi chlebobdawcy mogli oczekiwać tylko tego, że zapewni ich dzieciom wiedzę, a potem by ją zwolnili. Dzieci mogły jej nie polubić, zwolniono by ją wtedy jeszcze prędzej, kolejne miejsce pracy mogłoby się okazać gorsze. Innymi słowy, wszystko mogło się zdarzyć.

Roześmiała się.

- Masz rację. Może jednak w ten sposób zapewniłam Alice szczęśliwy związek z największą miłością jej życia? Bo myślę, że zawsze kochała pana Goldinga. A dzisiejszego dnia nie trzeba

marnować na smutne rozważania. Jesteśmy na pikniku! To słowo zawsze brzmiało dla mnie wesoło. Na wsi nie urządzaliśmy pikników. Dziwne, dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Przyjechałam tu po to, żeby się cieszyć, Stephenie.

Siedzieli w cieniu dębowych gałęzi, przez które jak przez siatkę przezierало światło słoneczne. Stephen położył kapelusz na kocu.

Zafascynowany patrzył, jak Cassandra uniosła ręce i wyjęła szpilki z włosów, pozwalając im spłynąć na ramiona i plecy. Wbiła szpilki w rondo kapelusza i przeczesła włosy palcami.

- Jeśli masz szczotkę w torebce, mógłbym cię uczesać.

- Naprawdę? Nie, wyjęłam szpilki po to, żeby się położyć na kocu i spojrzeć w niebo. Może rozczeszesz je później, kiedy znowu zechcę je upiąć.

Najdziwniejsze, że choć wcale z nim nie flirtowała, nie starała się go kusić, wyczuwał rosnące między nimi napięcie niemal fizycznie. Wątpił, czy ona również je czuje. Nigdy nie widział jej tak odprężonej i naturalnej. Ze zdumieniem stwierdził, że jest o wiele bardziej pociągająca teraz niż wtedy, gdy próbowała go ku sobie zwabić.

Wyciągnęła się na kocu, pilnując jednak, by suknia należycie osłaniała nogi aż do kostek, skrzyżowała ręce pod głową i spojrzała w górę z widocznym zadowoleniem.

- Gdybyśmy nie tracili kontaktu z przyrodą, żyłoby się nam dużo lepiej, prawda?

- Czasami przeświadczenie o byciu panami stworzenia po prostu nas zatruwa. Zapominamy wtedy, że sami jesteśmy częścią natury.

- Jak motyle, drozdy i koty?

- I lwy, i kruki.

- Dlaczego niebo jest błękitne?

- Nie mam pojęcia - uśmiechnął się - ale cieszę się, że takie jest. Gdyby słońce świeciło na czarnym niebie, świat byłby ponurym miejscem.

- Jak przed burzą?

- Gorzej.

- A może wyglądałoby to jak noc, tyle że z jaśniejszym księżycem? Pomyśl.

Świadomie udał, że ją źle zrozumiał, nachylił się nad nią i popatrzył jej prosto w zielone oczy. Uśmiechały się do niego.

- Tak, to mi się podoba - stwierdził i wcale nie skłamał.

- Mnie również. - Spojrzała na niego uważnie. - Kiedyś zrobią ci się zmarszczki w kącikach oczu, co ci tylko doda uroku.

- Kiedy tak się stanie, przypomnę sobie twoje ostrzeżenie.

- Naprawdę? - Uniosła dłoń i dotknęła lekko palcami miejsc, gdzie miały się uformować zmarszczki. - Będziesz o mnie pamiętał?

- Zawsze.

- A ja o tobie. Będę pamiętać o tym, że jeden raz w życiu spotkałam mężczyznę, który był pod każdym względem doskonały.

- Nie jestem doskonały.

- Pozwól mi trochę pomarzyć. Moim zdaniem dzisiaj jesteś. Nie będę cię znała tak długo ani tak dogłębnie, by wiedzieć o twoich słabościach czy grzechach, bez wątpienia bardzo licznych. W mojej pamięci pozostaniesz na zawsze doskonałym aniołem. Może powinnam zamówić medalion z twoim wizerunkiem i nosić go na szyi?

Zaśmiała się. On nie.

- A więc nasza znajomość nie potrwa długo? - spytał.

- Oczywiście, że nie, ale to nieważne. Liczy się tylko to, co trwa dzisiaj.

- Tak.

Nie dostrzegł w pobliżu żadnych ludzi, lecz gdyby się pojawili, niewątpliwie byłiby zgorszeni. Cóż to jednak znaczy, skoro...

Pocałował ją.

Oddała mu pocałunek, ujawszy jego twarz w dłonie, a potem przytuliła się do niego.

Był to gorący, niespieszny, czysty pocałunek, pozbawiony elementu zmysłowego. I najbardziej niebezpieczny z tych, jakich dotąd doświadczył. Zrozumiał to, gdy uniósł głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć jej w oczy.

Bo to był pocałunek świadczący o obopólnym uczuciu na pograniczu miłości. Nie żądzy, tylko miłości.

- A teraz - powiedziała - tak jak ci radziłam, połóż się i spójrz w górę na niebo.

Wyciągnął się obok niej. Zrozumiał teraz, co miała na myśli, mówiąc o więzi z ziemią. Czuł ją pod sobą, mocną i wieczną, mimo miękkości koca. A nad sobą widział błękitne, bezchmurne niebo i gałęzie dębu, który zespałał niebo z ziemią.

Był teraz częścią tego związku, tego wspaniałego wiru, tak jak Cassandra.

Ujął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi.

- Czy chciałbyś iść prosto do nieba i stać się zupełnie kim innym?

Zastanawiał się przez chwilę.

- I utracić ciebie, i wszystko, i wszystkich, którzy pomogli mi się ukształtować takim, jakim jestem? Nie. Ale tak, od czasu do czasu mam ochotę uwolnić się od wszystkiego. Jestem zachłanny i pragnę tego, co i tu, i tam jest najlepsze. A ty?

- Mogłabym tu leżeć i marzyć o tym, by wzlecieć w błękit i światłość. Chciałabym jednak zabrać moje ziemskie życie ze sobą, bo inaczej wszystko staje się bezcelowe. A jeśliby tak było,

nic nie uległoby zmianie, prawda? Gdybym musiała pozostawić moje życie za sobą... no cóż, równie dobrze mogłabym umrzeć. A ja chcę żyć.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie zrozumiałeś mnie. To dziwne. Długo nad tym myślałam. Gdyby dano mi taką szansę, bez możliwości zachowania mego dotychczasowego życia, wybrałabym raczej śmierć.

Przeszedł go nagły dreszcz.

- Ale już tak nie myślisz?

- Nie. - Zaśmiała się cicho. - Nie! Chcę żyć.

Ścisnął ją za rękę i leżeli w milczeniu, póki nie dotarł do niego sens tego, co powiedziała. Jakież musiało być to jej życie, skoro wolałaby od niego śmierć - i co tak bardzo weszło jej w krew, że zaskoczyło ją odkrycie, iż wolałaby żyć?

Czasami nie pamiętał - a może wolał nie pamiętać - jak straszne stało się jej życie, skoro zdecydowała się zabić.

Nie chciał jednak myśleć o tym dzisiaj.

Po chwili spojrzął na nią, a ona na niego. Uśmiechnęli się.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał.

- Hm...

Westchnął i przesłonił oczy ramieniem. Nie uleciał wprawdzie w przestrzeń, ale poznał coś nowego. Nie było to ani uwodzenie, ani nawet przyjaźń, tylko... sam nie wiedział co. Czuł jednak, że jego życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem.

Nie był też pewien, czy myśl ta niepokoi go, czy raduje.

A po jakimś czasie zapadł w miły stan zbliżony do snu, choć nie bez świadomości tego, co go otaczało.

14

Stephen spał. Nie chrapał, lecz oddychał głęboko w sposób, który bez wątpienia świadczył o tym, że zasnął.

Cassandra przymknęła oczy, uśmiechnęła się i poczuła dziwną czułość dla niego i dla ukradkowej, beztroskiej przyjemności czerpanej z tego popołudnia. Postanowiła, że będzie się nią radować, i właśnie to robiła. Wszelkie żale, niepokój i nieufność wobec wszystkich spoza wąskiego kręgu jej przyjaciół pozostały w domu, ale wróć, gdy tylko piknik dobiegnie końca.

A może jednak nie?

Zaczynała wierzyć, że jest jednak na świecie jeden dobry człowiek i że to właśnie on leży koło niej, splatając palce z jej palcami. Wiedziała, że nie jest ideałem. Tak jak mówił, nikt nim nie jest. Był jednak tak bliski doskonałości, jak nikt inny.

A jeśli miał jakieś słabości czy nawet wady, to nic o nich nie wiedziała. W końcu nie będzie go znała długo, najwyżej do końca sezonu. Jeśli szczęście jej dopisze, nigdy w przyszłości nie usłyszy o nim nic złego.

Wróci na wieś. Postanowiła o tym przed chwilą. Całkiem jakby ta drobna cząstka wsi, ziemia, na której leżała, niebo ponad nią, gałęzie drzewa oczyściły jej umysł z gęstej, ciemnej mgły, w której tonął od dawna. Wyszuka domek w małej angielskiej wiosce z dala od głównych dróg i zamieszka tam, hodując kwiaty, haftując obrusy i fartuchy, chodząc co niedzielę do kościoła i pomagając w podawaniu herbaty podczas parafialnych przyjęć, tańcząc na miejscowych zabawach i...

Ścisnęło ją boleśnie w gardle. Chyba za daleko się posunęła w swoich marzeniach. Nie były one jednak nierealne ani niemożliwe do urzeczywistnienia.

Zdała sobie bowiem niezwykle jasno sprawę z czegoś jeszcze.

Przez dziesięć długich lat była ofiarą. Nie mogła się przeciwstawić biciu. Nigel, mocniejszy od niej, był jej mężem i miał prawo karać ją tak, jak mu się podobało. A w niej poczęły narastać cechy ofiary, skłaniające do ciągłego ukrywania się, do wstrzymywania oddechu, byle tylko ktoś jej nie zauważył i nie rzucił się na nią z pięściami. Sposób myślenia ofiary pozwalał jej to znieść. Skoro zaś nie była panią swoich myśli, to doprawdy nie warto było żyć.

Tak, nie warto było żyć prawie przez dziesięć lat.

Dziś zaś, niespodziewanie, zapragnęła żyć. Odwróciła się ku Stephenowi, ze łzami w oczach, lecz on nadał spał. Na szczęście.

Był piękny i uroczy, wręcz boleśnie. Jakże mocno zapragnęła...

Nie był jednak częścią jej nowych marzeń. Jakże mogło być inaczej? Uwiodła go i sprawiła, że miał wobec niej zobowiązania. Wszystko to było po prostu nieuczciwe. Stanowczo powinien wrócić do swojego świata, pełnego młodych dziewcząt, takich jak ta, z którą spacerował dziś rano.

A jednak te nowe marzenia miały z nim coś wspólnego. Musiała mu być za nie wdzięczna. Był dla niej dobry, choć absolutnie bez powodu, i sprawił, że pomyślała na nowo o sobie. O tym, że może kierować własnym życiem.

Czy może mieć do niego jakieś dziwaczne pretensje, skoro znają się tak powierzchownie, a znajomość ta zaczęła się we wręcz obrzydliwy sposób - uwiedzeniem, a potem usidleniem?

Może naprawdę był aniołem?

Uśmiechnęła się przez łzy do tej myśli. Wkrótce zobaczy skrzydła i aureolę.

Nie będzie już bez grosza, nie znajdzie się na niczym utrzymaniu ani w nędzy, nie będzie się nikogo lękać ani przed nikim

płaszczyc. Zniknie wszystko to, co ją nękało, odkąd Bruce wyrzucił ją z domu.

Teraz jest w stanie walczyć.

Jutro znajdzie sobie adwokata, który się podejmie prowadzenia jej sprawy. Dzięki pieniądzom od Stephena może dać prawnikowi małą zaliczkę, obiecując zapłacić resztę należności, gdy wygra dla niej proces. Zgodnie z intercyzą małżeńską i testamentem Nigela miała prawo do sporej części jego majątku i miesięcznej pensji z dochodów od posiadłości ziemskiej. Zapewne będzie też mogła odzyskać biżuterię, jaką jej kupował od ślubu. To jej osobista własność. Miała również prawo do korzystania z domu wiejskiego i do rezydencji londyńskiej do końca życia, chyba że wyszłaby za mąż po raz drugi. Na domu wiejskim nie zależało jej wcale, ale londyńska rezydencja przydałaby się tej wiosny.

Bruce powiedział, że nie dostanie nic prócz wolności. Oznaczało to, że jeśli się nie zgodzi na jego ultimatum, straci wszystko, nawet wolność. Może nawet życie. A ona mu uwierzyła.

To absurd. Gdyby naprawdę sądził, że zabiła jego ojca, kazałby ją natychmiast aresztować. Nawet nie próbowałby wchodzić z nią w jakiegokolwiek układy.

Nie mógł zaś dowieść jej winy, bo nie było na nią dowodów.

Wiedziała już o tym wcześniej. Czemu więc dopiero dziś doznała olśnienia?

Będzie walczyć o swoje pieniądze, biżuterię, a nawet rezydencję londyńską. Każdy przyzwoity adwokat z pewnością bez większego trudu jej to zapewni. Zarówno intercyza, jak i testament miały moc prawną. Niewiele zaryzykuje, biorąc małą zaliczkę i czekając na resztę honorarium.

Zamknęła oczy i poczuła, że wszystko wokół niej zawirowało. Zaczęła znów żyć. W dłoni czuła ciepłą dłoń Stephena.

Gdyby można było przedłużyć tę chwilę. Gdyby chciał - wiedziała o tym - mogłaby się w nim zakochać. Głęboko. Po uszy. Na zawsze.

Ale tego nie zrobi. Będzie czerpać radość z tego jednego, jedynego popołudnia. Weźmie sobie trochę tej jasności, bo ma jej w sobie za mało. Gdyby jeszcze dziś rano ktoś ją o to spytał, powiedziała, że całkiem w niej zgasła. A jednak nie. Stephen rozniecił ją w niej na nowo, bo sam był światłością. A przynajmniej się nią wydawał.

Nie mogła mu się odwdziżyć niczym, nie chciała więc trzymać się go kurczowo. Pozwoli mu odejść możliwie jak najszybciej.

A jednak przed chwilą mówiła prawdę. Będzie o nim zawsze pamiętać, nie musi nosić medalionu z jego podobizną na szyi. Sądziła, że zawsze ilekroć zamknie oczy, tylekroć ujrzy go i usłyszy, poczuje ciepło jego ręki. Zapamięta nawet subtelny zapach wody kolońskiej.

A kiedy odzyska pieniądze i biżuterię, zwróci mu wszystko, co jej dał - z podziękowaniem. Więzy między nimi zostaną zerwane, długi spłacone, skończą się zależności i zobowiązania.

Ich znajomość - jeśli to odpowiednie słowo - w jakiś dziwny sposób ją uzdrowiła, ale nadszedł już jej kres.

Zapamięta ją - jeśli w ogóle będzie o niej myślał - z szacunkiem i może z pewną nostalgią.

Uniosła głowę i spojrzała w bok. W oddali dostrzegła dwie postacie i była niemal pewna, że to Alice i Golding. O Boże, Alice gotowa uderzyć Stephena w głowę torebką, kiedy zobaczy ich leżących koło siebie na kocu, ze splecionymi rękami, i dostrzeże jej rozpuszczone włosy.

Byłoby to bardzo wobec niego niegodne.

Rozbawiły ją te fantazje. Odwróciła się do Stephena i ścisnęła go za rękę.

- Myślę - powiedziała - że już czas usiąść i ponownie się przeobrazić w godnych szacunku ludzi. Ty nie wyglądasz wprawdzie podejrzanie, ale ja muszę zrobić porządek z włosami. Czy możesz mnie szybko uczesać?

Uśmiechnął się sennie.

- Chyba się zdrzemnąłem.

- Nie chyba. - Roześmiała się.

Wyszukała szczotkę w torebce i podała mu, a potem odwróciła się i pobierała szpilki.

Przeciągnął z rozmachem szczotką po całej długości włosów z lewej strony, a potem trochę dalej po prawej i powtórzył to jeszcze raz. Po chwili cała ich gęstwa wygładziła się, potrzaskując lekko, a skóra na głowie zaczęła ją mrowić.

- Wspaniale to robisz - powiedziała, zwiijając włosy w węzeł i wpinając weń szpilki, żeby nie opadł na dół. Potem włożyła ka pelusz.

- Cassandro - spytał - czy ojcem Belindy był twój mąż?

Ręce Cassandry, która związywała właśnie wstążki kapelusza, znieruchomiały.

- Nie.

- A może obecny lord Paget, jego syn?

- Nie - powtórzyła, zawiązując wstążki na kokardę pod brodą.

- Przepraszam. Chciałem tylko wiedzieć.

- To nie był gwałt. Myślę, że Mary... naprawdę kochała ojca dziecka.

Czekała na dalsze pytania, ale ich nie zadał. Westchnęła.

- Nigel miał trzech synów - zaczęła. - Bruce jest najstarszy, potem urodzili się jeszcze Oscar i William. Oscar przez

całe lata służył w wojsku. Spotkałam go tylko dwa czy trzy razy, dawno temu. Nie przyjechał na pogrzeb ojca. William zawsze bawił gdzieś w podróży. Przez jakiś czas mieszkał w Ameryce. Potem, cztery lata temu, przyjechał do domu na kilka miesięcy, nim znów wrócił do Kanady, żeby tam handlować futrami. Mary twierdzi, że nie wiedział o jej ciąży, kiedy odjeżdżał. Chciałabym w to wierzyć. Zawsze go lubiłam, choć z pewnością miał wady.

- Czy Paget jej nie wyrzucił?

- Nigel? Nie. Prowadzenie domu zostawiał na mojej głowie. Nie powiedziałam mu nigdy, że córka Mary jest jego wnuczką. Myślę nawet, że nie wiedział o jej istnieniu.

Aż do końca.

- To Bruce ją wyrzucił - ciągnęła - kiedy osiadł w Carmel House. Nie miała dokąd pójść ani żadnych krewnych, którzy chcieliby ją wziąć do siebie. Wpadła w rozpacz. Zabrałam ją z Be Lindą do Londynu, co nie było aktem wyjątkowej dobroci, przy najmniej miałyśmy siebie nawzajem. Alice też. No i wzięłam ze sobą Rogera.

Widać już było, że nadchodzą Alice i Golding. Cassandra pomachała do nich ręką.

- Czy William Belmont nadal przebywa w Kanadzie?

- Nie mam pojęcia. Nie powinnam ci zresztą mówić o tym wszystkim. W końcu to nie są moje sekrety. Muszę jednak powiedzieć, że Mary nie jest rozwiązła. Chyba naprawdę kochała Williama. Właściwie jestem pewna, że nadal go kocha. I że czeka na niego.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Nikogo nie osądzam, Cass, prócz siebie samego.

Cofnął rękę, odwrócił się i uśmiechnął do nadchodzącej pary.

Alice i Golding przeszli pieszo do stawów Pen Ponds i obeszlili je wokół. Potem wrócili na miejsce pikniku tym samym wolnym krokiem. Długo rozmawiali o książkach, a potem wspominali wspólnie czas, kiedy uczyli młodych Youngów, choć Golding był tam niezbyt długo. Zaskoczył Alice wyznaniem, że przez osiem lat był żonaty. Jego żona zmarła trzy lata temu. Trochę ją to zaskoczyło.

Najpierw ją zasmuciła, a potem nieco rozbawiła świadomość, że jednak nie kochał się w niej skrycie przez cały ten czas. Ona zresztą też nie. Znała go krótko, zakochała się w nim rozpaczliwie, bo była samotną dziewczyną pozbawioną szans na poznanie jakiegoś młodzieńca, bolała nad jego utratą przez jakiś rok, a potem zapomniała o nim, aż do spotkania przed dwoma dniami.

Był nadal dość przystojnym, jak na mola książkowego, i sympatycznym znajomym. Jakże miło jest spotkać kogoś, kto by z nią rozmawiał przez całą godzinę i spacerował, trzymając ją w dodatku pod rękę. Gotowa jeszcze raz się w nim zakochać -jakiż by to było niemądre w jej wieku!

Potem zaś spytał o Cassie, a ona zrozumiała, że o niczym nie wiedział.

- Lady Paget musi się chyba smucić, skoro została wdową w tak młodym wieku. Czy była bardzo przywiązana do męża?

Alice zawahała się. Trudno jej było odpowiedzieć na to pytanie. Gdyby jego przypuszczenia były trafne, zgodziłaby się z nim łatwo, nie czując, że zawodzi czyjeś zaufanie. Odpowiedziałaby wymijająco. Było jednak możliwe, a nawet prawdopodobne, że w ostatnich dniach usłyszała jakieś plotki. Mógłby sobie pomyśleć, że mu nie ufa.

- To był okrutnik najgorszego rodzaju - stwierdziła po chwili. - Wszelkie uczucie, jakim mogła go darzyć, wychodząc za niego za mąż, szybko zniknęło.

- Boże, jakież to okropne! Nikt bardziej nie zasługuje na pogardę niż mąż, który maltretuje żonę. To najgorszy rodzaj tyra.

- Zmarł śmiercią gwałtowną - ciągnęła. - Niektórzy mówią, że zrobiła to Cassie. W Londynie krążą pogłoski, że zabiła męża siekierą.

- Panno Haytor! - Golding zatrzymał się gwałtownie i puścił jej ramię, a potem spojrział na nią ze zgrozą. - To chyba niemożliwe!

- Ktoś go zastrzelił z jego własnego pistoletu.

- Czy... - spytał, a jego ciemne brwi gwałtownie się uniosły - ...czy to zrobiła lady Paget?

- Nie - odparła. A ponieważ wciąż się w nią wpatrywał i stał bez ruchu, dodała: - Mogłam to zrobić ja.

- Niemożliwe!

- Nienawidziłam go tak bardzo. Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym kogoś znienawidzić równie mocno, ale jednak tak się stało. Czasami chciałam odejść i poszukać sobie miejsca gdzie indziej, ale potem przypominałam sobie, że moja droga Cassie odejść stamtąd nie może i że tylko ja mogę ją pocieszyć. Zabiłabym go, panie Golding. Tyle razy bił ją straszliwie, tamtej nocy też. O tak, zrobiłabym to. Wziąłabym ten pistolet i... i zastrzeliłabym go własnoręcznie.

- Chyba pani tego nie uczyniła?

- Ale mogłam - powtórzyła z uporem. - A może naprawdę go zastrzeliłam? Zrobiłabym jednak głupio, przyznając się do tego, bo nie ma żadnych dowodów. Każdy byłby głupi, gdyby się przyznał. Zasługiwał na śmierć.

No i koniec mojego romansu, pomyślała, gdy Golding zdjął okulary, wyjął z kieszeni surduta chustkę i zaczął je przecierać, nie patrząc na nie wcale. Szkoda, że znaleźli się tak daleko od

miejsca pikniku. Teraz się biedak zastanawia, w co się właściwie wplątał! Chyba będzie się chciał jak najszybciej wycofać. Spojrzała mu prosto w oczy, gdy znów założył okulary. Popatrzył na nią, marszcząc brwi.

- Lady Paget mogła być zmuszona do znoszenia przemocy jeszcze przez wiele następnych lat - powiedział w końcu - gdyby ktoś nie zastrzelił lorda Pageta. Uważam zabójstwo za rzecz niewybaczalną, panno Haytor, ale przemoc wobec kobiety jest także niewybaczalna. Zwłaszcza wobec żony, którą oddaje się mężowi pod opiekę, tak by mógł ją kochać, dbać o nią i chronić ją. To jedna z tych sytuacji, gdzie reguły, zarówno prawne, jak i moralne, nie potrafią zapewnić należytego rozstrzygnięcia. Nie mogę pochwalać czynu zabójcy lorda Pageta, lecz też nie mogę jego... czy też jej... potępiać. Jeśli przyczyną było przywiązanie do lady Paget, w takim razie szanuję panią za to, panno Haytor. Myślę jednak, że pani wcale tego nie zrobiła.

Nic więcej nie powiedział, tylko znów podał jej ramię, a ona przyjęła je i obydwójce podjęli wędrówkę.

Gdzież się podziało tamtych dwoje? Alice nie mogła ich początkowo dostrzec. Dopiero gdy spojrzała uważniej, dojrzała, że obydwójce siedzą przy koszu piknikowym.

Zaskoczyło ją to, że jest głodna, czuła się dziwnie podniecona. Golding nie potępiłby jej, gdyby zabiła Pageta! Nie wierzył w to jednak.

A także uważał, że żony powinno się kochać, dbać o nie i chronić.

Przy herbacie Stephen z rozbawieniem rozmyślał nad tym, co też by pomyśleli jego przyjaciele, gdyby się dowiedzieli, że siedzi w Richmond Park i pije herbatę z osławioną lady Paget, jej damą do towarzystwa i sekretarzem pewnego polityka. Nikt by się cze-

goś podobnego nie spodziewał po lordzie Merton. Wielu ludzi wypatrywałoby raczej na ogrodowym przyjęciu u lady Castleford tego samego popołudnia.

A on bawił się doskonale. Herbata Goldinga była wyśmienita. Wiktuały zawsze smakują na pikniku jakoś lepiej niż gdzie indziej, tak przynajmniej uważał.

Uderzyło go też i rozbawiło, że gdyby nie odziedziczony niespodzianie tytuł, właśnie on mógłby teraz być czymś sekretarzem i w dodatku cieszyłby się z tego.

Wszyscy zdawali się podzielać jego pogodny nastrój. Rozmowa toczyła się wartko, śmiali się też często. Nawet pannie Haytor poróżwiały policzki, a oczy błyszczały. Wyglądała teraz stanowczo lepiej i wydawało się, że z każdą godziną ubywa jej lat.

Cassandra też chyba chciała sobie powetować stracony czas. Zazwyczaj wyglądała na swoje dwadzieścia osiem lat, teraz jednak sprawiała wrażenie młodszej.

Skończyli jeść i wciąż nie było jeszcze późno.

- Chyba nie musimy zbierać się do powrotu o tej porze - za uważył Golding. - Ciągle jeszcze jest dość ciepło. Szkoda byłoby kończyć piknik tak wcześnie.

Wszyscy czworo życzyli sobie chyba, by to popołudnie trwało jak najdłużej.

- Może Cassie i lord Merton pójdą teraz na przechadzkę, a my popilnujemy koca i koszyka?

- Znakomicie. - Cassandra zerwała się na nogi, nim jeszcze Stephen zdołał zaofiarować jej swoje towarzystwo lub choćby wyrazić zdanie. - Po takim jedzeniu stanowczo potrzeba mi trochę ruchu.

- Jest tu parę drzew, na które można by się wspiąć - powiedział Stephen, wstając. - Ale może spacer byłby bezpieczniejszy, madame?

Podał jej ramię, a Cassandra je przyjęła. Panna Haytor spojrzała w ślad za nimi z nieco surową miną. Chyba nie powinien przy niej wspominać o włożeniu na drzewa.

- Uważam, że piknik okazał się sukcesem - oznajmił, gdy odeszli tak daleko, by nie można już było usłyszeć.

- Alice wręcz promieniała, prawda? Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim nastroju. Stephenie, czy nie sądzisz...

Nie dokończyła jednak zdania.

- Owszem, sądzę, że bardzo przypadli sobie do gustu. Zobaczymy, czy coś z tego wyniknie dla obojga.

- Czy to ostrzeżenie? - spytała z westchnieniem. - Mam nadzieję, że nie rozczaruje się boleśnie.

- Nie zawsze tak bywa. Czasem wynika z tego miłość, Cass. I harmonia.

- Naprawdę? Szczerze życzę Alice miłości i harmonii, częściowo z bardzo egoistycznego powodu. Mniej bym się winiła, że kurczowo się jej trzymałam przez wszystkie te lata.

Zamiast zejść po stoku i spacerować wzdłuż porośniętej trawą dolinki, jak zrobili pan Golding i Alice, Stephen poprowadził ją wzdłuż szczytu wzniesienia, pomiędzy stare dęby. Musieli pochylać głowy, żeby nie zawadzić o gałęzie. Lubił roztaczający się stamtąd widok, odosobnienie i cień, a także bliskość drzew.

Szli w milczeniu, a on liczył dni. Od pierwszego, w Hyde Parku, kiedy Con zwrócił jego uwagę na wdowę w żałobie i powiedział, że musi jej być gorąco jak w piekle pod czarnym strojem i welonem. Następnego dnia był bal u Meg i ich pierwsza wspólna noc. A później przejażdżka po parku i druga noc. Wczoraj wizyta Meg i Kate, które piły herbatę z Cassandrą i panną Haytor. No i dzisiaj. Obojętnie, jak liczył, suma tych dni zawsze wyglądała tak samo.

Cztery dni. Jakże krótko znał Cassandrę. Nawet nie tydzień.

A tymczasem czuł się tak, jakby mu była bliska od miesiący, choć przecież nic o niej nie wiedział.

- Opowiedz mi o swoim małżeństwie.

Odwróciła gwałtownie głowę.

- O moim małżeństwie? Cóż tu jest do powiedzenia, o czym byś nie wiedział?

- Jak go poznałaś? Czemu za niego wyszłaś?

Zwolnili kroku i przystanęli. Puściła jego ramię i odeszła kilka kroków na bok, tak by móc się oprzeć o wielki pień. Ruszył za nią, ale nie stanął zbyt blisko. Wsparł ramię na grubej gałęzi. Już sam pień sprawiał, że nikt ich nie widział od strony doliny, a gdy spojrział na wierzchołki drzew, zrozumiał, że są całkiem niewidoczni. Odeszli dalej, niż sądził.

- Nigdy nie mieliśmy prawdziwego domu, a w mojej rodzinie brakowało spokoju i bezpieczeństwa. Nie chodziło przy tym o brak uczuć, lecz o beztroskę. Mój ojciec był bardzo towarzyski, często zapraszał gości tam, gdzie właśnie mieszkaliśmy. Zawsze mężczyzn, nigdy kobiety. Do piętnastego roku życia wcale się tym nie przejmowałam. Lubiłam towarzystwo i to, że ci dżentelmeni nieraz zwracali na mnie uwagę. Byłam bardzo rada, kiedy ojciec czasami sadzał mnie sobie na kolanach, gawędząc z nimi. Potem jednak zaczęłam dorastać, co mnie narażało na pożądlive spojrzenia i dwuznaczne uwagi, ukradkowe dotknięcia i uszczyplnięcia. Czasem też na całusy. Mój ojciec, rzecz jasna, nie pozwoliłby na nic, gdyby o tym wiedział. Łudził się, że kiedyś wprowadzi mnie na salony, żeby tam mogła spotkać właściwszych ludzi. Był w końcu baronetem. Nie wiedział jednak, co się dzieje tuż pod jego nosem, a ja mu o tym nie wspominałam. Nigdy nie rozgniewał się tak, by z tego powodu komuś zagrozić, ale im byłam starsza, tym gorzej wszystko wyglądało.

- Powinnaś mu o wszystkim powiedzieć.

- Być może. - Cassandra wzruszyła ramionami. - Nie wiedziałam jednak, jak zachowują się inni, i uważałam to za normalne. Alice zaś zawsze była ze mną i chroniła mnie. Pewnego dnia razem z ojcem przyszedł do nas baron Paget i zaczął bywać w naszym domu coraz częściej. Przyjaźnił się z moim ojcem, był zresztą jego rówieśnikiem. Paget różnił się od pozostałych. Był uprzejmy i nieodmiennie szarmancki, miał miłe maniery. Zaczął mi opowiadać o swoim domu na wsi, gdzie spędzał większość czasu, o parku wokół niego, o wiosce i sąsiadach. Nie zauważyłam też, by kiedykolwiek grał w karty. Pewnego razu, kiedy byliśmy w pokoju sami - mój ojciec wyszedł, nie pamiętam już, z jakiego powodu - Paget powiedział, że wszystko to mogłoby być moje, gdybym zechciała go poślubić. Wiedział, że nie wniosę mu żadnego posagu, i powiedział mi o tym. Nic to dla niego nie znaczyło. Chciał tylko mnie. Zostałabym hojnie wyposażona w umowie małżeńskiej, on zaś kochałby mnie i dbał o mnie przez całą resztę życia. Z początku się przestraszyłam, ale nie trwało to długo. Pewnie nie możesz zrozumieć, jak bardzo kusząca była dla mnie jego oferta. Obiecywała bezpieczne, stabilne życie w cudownym wiejskim otoczeniu. Wydawał mi się człowiekiem podobnym do ojca, ale bez jego wad. Chyba wyszłam za niego, widząc w nim bardziej ojca niż męża.

- Kiedy wszystko się popsło? - spytał po dłuższym milczeniu.
Objęła pień ramionami.

- Przez pierwsze pół roku nic złego się nie działo, choć nie mogę powiedzieć, żebym się czuła szczęśliwa. Był dojrzałym, starzejącym się mężczyzną, a ja wcale go nie kochałam. Wydawał mi się jednak człowiekiem dobrym, był dla mnie miły i czuły, a ja wprost uwielbiałam wieś i sąsiedztwo. Oczekiwałam dziecka i nie posiadałam się z tego powodu z radości. Byłam bardzo za-

dowolona. Pewnego dnia mąż pojechał z wizytą do sąsiada, który mieszkał daleko, i nie wracał przez całe trzy dni. Szalałam wręcz z niepokoju i popełniłam błąd: pojechałam go szukać. Był łagodny i uprzejmy, kiedy tam przybyłam, i kazał przyjaciołom podziwiać, jaką ma kochającą żonę. Śmiał się z całego serca razem z nimi i wróciliśmy do domu. W powozie był całkiem spokojny, nawet się parę razy do mnie uśmiechnął, ale ja zaczęłam się bać. Zrozumiałam, że pił i dziwnie jakoś na mnie patrzy. A kiedy już znaleźliśmy się w domu...

Urwała na chwilę, bo zaschło jej w gardle. Kiedy znów zaczęła mówić, niemal zabrakło jej tchu.

- ...zabrał mnie do biblioteki i powiedział mi bardzo cicho, że skompromitowałam go i on nie wie, czy będzie mógł jeszcze spojrzeć w oczy swoim przyjaciołom. Próbowałam go przeprosić, i to niejednym razem, ale wtedy zaczął mnie bić. Najpierw otwartą dłoń, potem pięściami, w końcu kopał mnie obutymi nogami. Nie mogę już dłużej o tym mówić. Dwa dni później poroniłam. Straciłam moje dziecko.

Przywarła głową do pnia, zamknęła oczy. Światło i cień tańczyły jej po twarzy, z której odpłynęła krew.

- I to się stało ten jeden raz? - spytał cicho.

- Nie, ani jeśli chodzi o bicie, ani o poronienia. Tkwiło w nim jakby dwóch ludzi, Stephenie. Gdy nie pił, nie było miłszego, łagodniejszego i hojniejszego człowieka, a potrafił być trzeźwy przez całe miesiące. A kiedy pił, mogłam to poznać jedynie po jego oczach i po biciu. Innych oznak pijaństwa nie było. Jedną z sąsiadek, która pewnego dnia zobaczyła mnie z podbitym okiem, powiedziała, że zawsze podejrzewała go o zamordowanie pierwszej żony. Zginęła jakoby wskutek upadku z konia, kiedy próbowała na nim przeskoczyć przez zbyt wysokie ogrodzenie.

Nie wiedział, co rzec, choć bardzo chciał jej powiedzieć, że zrobiła dobrze, zabijając Pageta, zanim on zdołał zatłuc ją. Dobry Boże, przecież ten człowiek uśmiercił troje jej dzieci!

- Myślałam wtedy, że to moja wina - ciągnęła - i że dlatego tak się rozjuszył. Błagałam go. Ze wszystkich sił starałam się nie robić niczego, co mogło mu się nie podobać. A kiedy domyślałam się, że pił, schodziłam mu z drogi, chowałam się. Ale to nic nie dawało.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie - powiedziała w końcu z bladym uśmiechem.

- Nikt ci nigdy nie pomógł?

- A kto miał to zrobić? Ojciec zmarł w pierwszym roku trwania mego małżeństwa. Zresztą prawo by mu nie pozwalało. Wesley odwiedzał mnie rzadko i nie poznał Nigela od tej złej strony. Nie powiedziałam mu nigdy o niczym. W końcu był tylko chłopcem. Gdy Alice próbowała się raz wtrącić, wyrzucił ją siłą z pokoju, a potem zamknął drzwi na klucz i pobił mnie w dwójnasób, bo nie byłam tak dobrą żoną, by uznać swoją winę, zasłużyłam więc na karę.

- A jego synowie?

- Rzadko się tam zjawiali, choć myślę, że wiedzieli o wszystkim od dawna. Pierwsza lady Paget miała chyba więcej fizycznej siły niż ja, skoro zdołała urodzić ich aż trzech. Albo może w tamtych latach jego okresy trzeźwości trwały dłużej.

Nie chciał pytać o śmierć Pageta. Już i tak zdołał aż za bardzo wytrącić ją z równowagi. Zapewne w ogóle nie powinien zaczynać rozmowy o tym. Popołudnie było tak bez troskie, póki nie zadał jej pytania.

Potrzeba poznać ją lepiej i pozyskania jej zaufania przeważała nad dbałością o pogodny nastrój.

- A skoro już mowa o wdrapywaniu się na drzewa - powie dział po chwili łagodnym tonem, jakby o niczym innym nie mówił, odkąd odeszli - czy robiłaś to kiedykolwiek?

Uniosła głowę i spojrzała na wielkie, rozłożyste gałęzie dębu.

- Kiedyś, gdy byłam dziewczynką, i to często. Chyba się urodziłam z pragnieniem, żeby ulecieć w błękitne niebo. Drzewo jest rajem dla kogoś, kto się po nim wspina.

Rozwiązała wstążki kapelusza i rzuciła go na ziemię. Przyjrzała się najniższej gałęzi, rozważając, jak najłatwiej można się na nią dostać. Stephen niemal bez wahania podtrzymał ją obydwoma rękami, jakby jej pomagał przy wsiadaniu na konia, a gdy już postawiła na niej stopę, podsadził ją w górę. Potem wdrapał się tam w ślad za nią.

Okazało się to dość łatwe. Gałęzie były szerokie, mocne i rosły mniej więcej równoległe do ziemi. Wspinali się bez słowa, dopóki Stephen nie spojrzał w dół i nie uznał, że znaleźli się tam, gdzie trzeba.

Usiadła bokiem na jednej gałęzi, wsparta plecami o masywny pień, a potem podciągnęła w górę nogi i objęła je rękami. Stephen stanął o jedną gałąź niżej i chwycił za tę wyższą, obejmując Cassandrę drugim ramieniem w pasie.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się, a potem zaśmiała.

- Gdyby można było stać się znów dzieckiem! - zawołała.

- Zawsze można nim być, to zależy tylko od ciebie. Szkoda, że nie mogłem cię poznać, kiedy byłaś młodsza, zanim opancerzyłaś się cynizmem i pogardą, pragnąc ukryć ból i gniew. Chciałbym, żebyś nie musiała tego wszystkiego przeżyć, Cass, ale to niemożliwe. Mogę cię tylko zapewnić, że skrzywdzisz wyłącznie siebie, jeśli nie przyjmiesz tego dobrego, które świat i życie mogą ci ofiarować.

- A czy na pewno życie nie podbije mi znów oka?

- Niestety, tego nie da się przewidzieć, ale wierzę, że w życiu jest więcej dobra niż zła. I choć pewnie wyda ci się to dość naiwne, pozwól mi się skierować na inną drogę. Wierzę, że dobroć i miłość są mocniejsze niż zło i nienawiść.

- Czy anioły są mocniejsze od diabłów?

- O tak. Zawsze.

- Dziękuję - powiedziała i pocałowała go lekko w usta.

- Poza tym - ciągnął - wiesz więcej o miłości, niż sobie wyobrażasz. Zostałaś moją kochanką nie tylko z powodu biedy, choć może głównie dlatego. Masz towarzyszkę, która jest już chyba zbyt wiekowa, by znaleźć dobre zajęcie, i służącą, której nikt nie zatrudni, jeśli będzie usiłowała zatrzymać przy sobie nieślubne dziecko. No i psa. On też jest członkiem twojej rodziny. Zrobiłaś to dla nich, Cass. Poświęciłaś się z miłości.

- Trudno mówić o poświęceniu w przypadku tak pięknego mężczyzny - odparła aksamitnym głosem.

- Owszem, to było poświęcenie.

Objęła dłońmi gałąź.

- Dziwne, ale trochę mi lżej, gdy powiedziałam na głos to, co, jak sądziłam, nie nadawało się do powiedzenia. Czuję się... szczęśliwa. Czy dlatego to zrobiłeś? Dlatego pytałeś?

Uniósł głowę, żeby dotknąć ustami jej ciepłych włosów.

- A czy ty też jesteś szczęśliwy?

- Tak.

- To niewłaściwe słowo. Obiecałeś mi dziś radość i rzeczywiście jej zaznałam. Chyba szczęście i radość nie są tym samym?

- Szczęście jest bardziej ulotne, a radość trwalsza.

Pozostali tak przez chwilę bez ruchu. Pragnął, żeby czas się na tę chwilę zatrzymał. Pociągała go w Cassandrze nie tylko uroda, a już z pewnością nie jej uwodzicielskie zapędy. To było... nie, nie potrafił tego ująć w słowa. Nigdy się jeszcze nie zakochał, nie wiedział

więc, czy to właśnie miłość. Ludzkie uczucia bywają czasem bardzo zagadkowe. Nie zwracał na to uwagi przed spotkaniem Cassandry. Westchnęła i uniosła głowę.

- Czasem zdarza się coś okropnego - stwierdziła. - Ktoś znika, żeby pić przez trzy dni, i... Czy radość nie znika, gdy nadchodzi szczęście? Jak to możliwe?

- Pewnego dnia zrozumiesz, że miłość nie zawsze nas rozczarowuje.

Pocałowała go lekko w usta i zeskoczyła na jego gałąź.

- W pewnej chwili człowiek sobie zdaje sprawę - powiedziała - że wchodzenie na drzewa to niezbyt mądry pomysł, bo trzeba potem zejść, co jest o wiele trudniejsze.

Roześmiała się, gdy zaofiarował jej pomoc, i ześliznęła się w dół tak swobodnie, jakby nie traciła tej umiejętności od dzieciństwa. Uśmiechnęła się, kiedy zeskoczył z gałęzi i stanął przy niej, a on pomyślał sobie, że nigdy w życiu nie spotkał nikogo piękniejszego.

Cass była szczęśliwa, widział to. Zachowa ten obraz w pamięci na zawsze, blisko serca. Niebezpiecznie blisko.

Bo mimo wszystko zabiła męża i musi dźwigać to ponure, ciężkie brzemie przez całe życie.

Byłoby to bardzo ciężkie brzemie także dla niego, gdyby kiedyś zdecydował się w niej zakochać.

Ale czy nie jest już za późno?

Co człowiek, u licha, czuje, kiedy się zakocha?

15

Stephen spędził następny rano w Izbie Lordów, uczestnicząc w debacie na interesujący go temat. Potem zaś, jak to często robił,

poszedł z kilkoma przyjaciółmi na późne śniadanie do klubu White'a i zapewne następnie udałby się z nimi na wyścigi, gdyby nie zwróciło jego uwagi coś - a raczej ktoś - kogo ujrzał z daleka przed samym wejściem do klubu.

Był to Wesley Young.

O tak, Stephen myślał nieustannie o Cassandrze od wczoraj. Pojawiła się nawet w jego snach. Znow stał na gałęzi, znow ją całował i obydwójce ulatywali w niebo szczęśliwi, póki nie spróbowali odnaleźć drogi powrotnej, a ona nie zaczęła się martwić, że trzeba nakarmić psa. On zaś usiłował zrozumieć, gdzie właściwie są, patrząc przez jej rozwiane rude włosy.

Co za głupi sen.

Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek śnił o kobiecie.

- Czy ktoś wie, gdzie mieszka Wesley Young? - spytał, nie kierując tego pytania do żadnej konkretnej osoby

Pokręcili przecząco głowami, ale Talbot przypomniał sobie, że Young ma kawalerskie mieszkanie przy St. James Street, niedaleko klubu. Taki domek z przeraźliwie żółtymi drzwiami.

- Pamiętam, że stałem przed tymi drzwiami, a Young szukał po kieszeniach klucza i nie zrobił nic, żeby pomóc się uspokoić mojemu żołądkowi po paru kieliszkach. Powiadam ci, Merton, raczej mnie to zniechęciło do wypicia pół tuzina kolejnych, kiedy się już znalazłem w środku.

Skoro Stephen widział Younga niedaleko, oznaczało to, że szedł on do domu na śniadanie albo stamtąd wychodził, żeby zjeść je gdzie indziej.

Rozczarował więc przyjaciół, postanawiając, że na wyścigi nie pójdzie. Wyruszył na poszukiwanie przeraźliwie żółtych drzwi. Okazały się zresztą nie tak znow strasznie żółte, gdy się na nie patrzyło w blasku słońca i bez alkoholu w żołądku.

Zapukał do nich, zupełnie bez celu, jak sobie zaraz uświadomił, wręcz odruchowo. Nie był nawet pewien, czemu to robi. Najwidoczniej tak już sobie wbił do głowy Cassandrę, że nie mógł się oprzeć karygodnej, lecz nieodpartej potrzebie ingerowania w jej życie.

Nie powinien tego robić. Wcale go o to nie prosiła.

Nawet się z nią nie umówił po pikniku. Musiał ochłonać. W ciągu czterech dni wplątał się w szaleńczą historię, co było całkiem do niego niepodobne. Wiódł przedtem normalne, spokojne, przewidywalne życie i lubił je.

Sen nie przyczynił się wcale do rozumnej decyzji, podobnie jak marzenia na jawie, gdyż, mówiąc uczciwie, leżał w łóżku, pragnąc jej ponad wszelką miarę.

Nie, to nie miało nic wspólnego z jego postanowieniem, że zrobi coś dla niej, a potem wróci do swojego normalnego trybu życia, który służył mu znakomicie.

Lokaj Younga otworzył mu drzwi, odebrał od niego bilet wizytowy i poprosił, by zechciał poczekać w saloniku dla gości na parterze, jak wszystkie ciemnym i ponurym, póki on nie przekona się, czy pan Wesley jest w domu - co oznaczało, że jest w nim z całą pewnością. Gdyby go nie było, Stephena wyproszone by za drzwi.

Sam Young przyszedł po kilku minutach, zaskoczony i zaintrygowany, ubrany jak do wyjścia.

- Pańska wizyta to nieoczekiwany zaszczyt, Merton.
- Witam, Young. - Stephen skłonił się przed nim.

Brat Cassandry był przystojny i rudawy, a choć jego kasztanowate włosy nie dorównywały jej splotom, podobieństwo rodzinne okazało się uderzające. Miał sympatyczną, dobroduszną twarz, co szczególnie zirytowało Stephena.

Zapadła kłopotliwa cisza. Young przerwał ją pytaniem:

- Może zechce pan wejść na górę?

- Nie, dziękuję. - Stephen wcale nie chciał wdawać się z nim w pogawędkę. - Myślałem długo nad tą kwestią przez ostatnich kilka dni i doszedłem do wniosku, że w żadnych okolicznościach nie uchylilibym się od rozpoznania którejs z moich sióstr, gdybym przejeżdżał obok niej w Hyde Parku.

Young usadowił się w starym skórzanym fotelu, nie zapraszając jednak gościa, by również usiadł. Stephen usiadł w końcu w dość obskurnym fotelu naprzeciwko.

- Zwłaszcza - dodał - gdyby opuścili ją przyjaciele, a ona znalazła się w nędzy.

Young poczerwieniał i wyglądał na rozdrażnionego - chyba nie bez powodu.

- Musi pan zrozumieć, Merton, że nie jestem człowiekiem zamożnym. A może pan tego zrozumieć nie potrafi? Staram się zawrzeć korzystne małżeństwo, na czym bardzo mi zależy. W tym roku jestem - a raczej byłem - bliski urzeczywistnienia tego planu. Cassie postąpiła bardzo samolubnie, przyjeżdżając akurat teraz, zwłaszcza że ją wyraźnie uprzedziłem, by tego nie robiła.

- Samolubnie - powtórzył Stephen, gdy Young wstał z fotela i zajrzał do pustego kominka. - A gdzie się miała udać?

- Mogła przynajmniej - powiedział z goryczą Young - żyć tu po cichu, tak by nikt jej nie zauważył. Słyszałem jednak, że pojawiła się na balu lady Sheringford i na prywatnym wieczorku lady Carling. A także w jakiś sposób zdołała pana namówić na przejażdżkę po Hyde Parku, i to w porze największego tłoku. Powinna zrozumieć, że po tym, co zrobiła, powinna się uważać za szczęśliwą, jeśli zachowała życie i wolność. Z pewnością nie może oczekiwać, by ją przyjmowali porządni ludzie, ani też spodziewać się, że bym ja... Ale po co mam to wszystko wyjaśniać?

Ledwie pana znam, Merton. Nie powinno pana obchodzić, jak traktuję moją siostrę.

Stephen zignorował tę uwagę, choć Young miał, rzecz jasna, rację.

- A więc pan wierzy w to, co o niej mówią? - spytał. - Do brze pan znał Pageta?

Young z gniewną miną wpatrywał się w palenisko kominka.

- Był najmilszym człowiekiem, jakiego mógłby pan spotkać, a także niesłychanie szczodrym. Wydał majątek na klejnoty dla niej. Powinien je pan zobaczyć! Kilka razy byłem w Carmel House z wizytą. Cassie rozczarowała mnie zupełnie. Straciła dawną serdeczność i pogodę, a przecież taka była, gdy dorastaliśmy. Prawie się nie odzywała. Wyraźnie żałowała, że wyszła za kogoś w wieku naszego ojca, a ja uważałem, że to nieładnie wobec Pageta, który świata za nią nie widział. Wiedziała, ile miał lat, kiedy brała z nim ślub. Czy go zabiła? Ano cóż, ktoś to zrobił, Merton, a ja nie sądzę, by ktoś inny prócz niej mógł mieć motyw. Chciała być wolna. Chciała tu wrócić i zachowywać się tak, jak właśnie robi teraz. Najwyraźniej zawróciła panu w głowie, a każdy wie, że jest pan bogaty jak Krezus.

- Czy siostra, taka, jaką pan pamięta, naprawdę mogłaby zabić kogoś tylko po to, żeby swobodnie cieszyć się życiem? - spytał Stephen.

Young wrócił do skórzanego fotela i usiadł w nim ciężko.

- Była dla mnie matką, siostrą i przyjaciółką, ale ludzie się zmieniają, Merton. A ona się zmieniła, widziałem na własne oczy.

- A może musiała się zmienić? Może jej małżeństwo wcale nie było takie, na jakie wyglądało? Bywał pan tam, jak sam mówi, rzadko i chyba niezbyt długo?

Young spojrział ponuro na swoje buty i nic nie powiedział.

Wiedział. Może nawet od zawsze albo wyraźnie podejrzewał. Czasami łatwiej jest udawać przed sobą, nie dopuszczać prawdy do świadomości.

- Byłem wtedy bardzo młody - mruknął Wesley, jakby szukając usprawiedliwienia.

- Ale teraz już nie. Teraz pan dorósł. Ona potrzebuje przyjaźniej duszy, Young. Kogoś bliskiego, kto by ją kochał bez zastrzeżeń.

- Panna Haytor... - zaczął Young. Miał na tyle przyzwoitości, że nie skończył.

- Tak. Panna Haytor to jednak tylko przyzwoitka, a nie ktoś z rodziny. No i nie jest mężczyzną.

Young poruszył się niespokojnie w fotelu, ale nie spojrzał na niego.

- Ta młoda dama, z którą widziałem pana w parku... nie wiem, niestety, jak się nazywa, bo jej nie znam...

- Panna Norwood.

- Nadal zamierza się pan z nią ożenić?

- Wczoraj po południu była niedysponowana, kiedy przyszedłem, żeby ją odwieźć na przyjęcie ogrodowe - odparł Young z kwaśnym uśmiechem - i zapewne potrwa to przez jakiś czas. Widziałem ją jednak wieczorem w Vauxhall. Wyglądała na osobę w doskonałym zdrowiu. Była tam z rodzicami i z wicehrabią Brigham.

- W takim razie powiedziałbym, że miał pan szczęście. Niektóre osoby z dobrego towarzystwa szanowałyby pana bardziej, gdyby trwał pan niewzruszenie przy siostrze, zamiast udawać, że jej nie zna. Oczywiście, są i takie, które uważałyby inaczej. Które z tych osób pan by wybrał? - Stephen wstał, szykując się do wyjścia.

- Czemu się pan tak interesuje Cassie? - spytał Young, wstając również. - Czy to pańska kochanka?

- Lady Paget bardzo potrzeba przyjaciela. Ja nim jestem. A chociaż dowiedziałem się od niej, że miała wystarczające po-

wody, by zabić nędznika, jakim był jej mąż, coś mi mówi, że tego nie zrobiła. Nie znam okoliczności jego śmierci, wiem tylko, że został zastrzelony z pistoletu, a nie zarąbany siekierą. Powiem panu więcej, Young, nawet jeśli się kiedyś dowiem bez żadnych wątpliwości, że to ona go zabiła, nadal pozostanę jej przyjacielem. Czy wie pan, że dwukrotnie poroniła i powiła jedno martwe dziecko, a wcale nie musiało do tego dojść?

Young spojrział na niego i poblądł. Stephen nie czekał na odpowiedź, wziął kapelusz, laskę i wyszedł z obskurnego saloniku, zostawiając mieszkanie Wesleya za sobą.

Po cóż się miesza w cudze życie, skoro nic go to nie obchodzi? Stephen dopiero teraz zorientował się, że nogi go niosą na Portman Street, do domu Cassandry, nie wiadomo zresztą dlaczego. Podejrzał, że byłaby na niego zła, w dodatku miałyby do tego prawo. Czy jednak żałował swojego postępowania? Ani trochę. Gdyby mógł, zrobiłby tak drugi raz.

Czy rzeczywiście uważał Cassandrę za niewinną, nawet gdyby miało to być zabójstwo w obronie własnej? Czy to z jego strony jedynie pobożne życzenia?

Nie było jej w domu, co przyjął niemal z ulgą.

- Wyszła razem z panną Haytor, milordzie - powiedziała mu Mary.

- A kiedy? Dawno temu?

- Nie, milordzie, ledwie przed chwilą.

Nie widział jej jednak nigdzie na ulicy. W takim razie nieprędko wróci.

- Mary, czy mogę z tobą pomówić?

Po cóż, u licha, znów się w coś miesza?

- Ze mną? - służąca wytrzeszczyła oczy i dotknęła dłonią piersi.

- Tylko przez chwilę, nie zabiorę ci dużo czasu.

Przepuściła go przed sobą w drzwiach. Wskazał gestem na kuchnię, a ona poszła pospiesznie za nim.

Zauważył, że w holu na stoliku wspiera się o wazon duża karta ze złożonymi brzegami i wypisanym na niej eleganckim charakterem pisma imieniem lady Paget. Było to zaproszenie na bal u lady Compton-Haig następnego wieczoru. Takie samo leżało na biurku w jego gabinecie.

Czy to początek zmiany? Widocznie towarzystwo zaczynało ją akceptować.

Belinda siedziała na podłodze pod stołem kuchennym. Pies leżał rozciągnięty u jej stóp. Spojrzał na Stephena i machnął leniwie ogonem, ale się nie poruszył. Dziecko śpiewało coś cichutko, kołysząc zawiniętą w białą kołderkę lalkę.

Mary stanęła przed nim. Wydała mu się niebrzydka na swój nieco anemiczny sposób. Miała ładne oczy, a rumieniec wywołany jego obecnością dodawał jej uroku.

- Mary - zaczął, lecz zdał sobie sprawę, że nie może jej pytać o to, czego najbardziej chciał się dowiedzieć. Może zresztą wcale tego nie wiedziała. Poczł się nagle głupio. - Co się stało temu psu?

Spuściła oczy i zaczęła miętosić rąbek fartucha.

- Ktoś... jakiś obcy... próbował zbić lady Paget koło stajni, a Roger chciał jej bronić. Ona... ona jeszcze nigdy nie została tak strasznie zbita, nie jak zwykle... to znaczy... ee... jak się można było spodziewać. A wtedy milord... to znaczy ten obcy... złapał za bicz i wysmagał Rogera z całej siły, tak że pies stracił wzrok w jednym ślepiu i koniec ucha, a łapę miał paskudnie złamaną i trzeba było ją uciąć.

- Jak to, złamał mu łapę biczem?

- Myślę, że... ee... szpadlem.

- A czy temu obcemu... czy też lordowi Pagetowi... też się coś wtedy stało?

Spojrzała na niego z ukosa i znów zaczęła miętosić fartuch.

- O tak, milordzie - odparła - w ręce, i w nogi, i po jednej stronie twarzy. Cały tydzień potem leżał, zanim mógł wstać i coś zrobić... to znaczy... ee... lord Paget. A oberwał dlatego, że jej po spieszył z pomocą. Nie wiem, gdzie się ten obcy podział. Pewnie uciekł.

Stephen wąpił, by chciała uzupełnić luki w tej relacji.

- Główny stajenny chciał Rogera uśmiercić - ciągnęła - i mówił, że to będzie dla niego najlepsze, ale lady Paget kazała mu tylko odciąć kawałek łapy, a potem wzięła psa do siebie i trzy mała tam, póki nie wydobrzał, nikt z nas nie myślał, że wyżyje. Lord Paget nie kazał go zabić, choć wszyscyśmy się tego spodziewali. Roger chyba nie poznał, że to jego pan, kiedy się na niego rzucił.

Stephen ścisnął ją za ramię.

- W porządku, Mary. Już o tym wiem. Lady Paget sama mi powiedziała. Nie o Rogerze, ale całą resztę. Nie mówiła tylko, jak zginął lord Paget, ale nie będę cię zmuszał do mówienia.

A przecież po to tu właśnie przyszedł.

- Przykro mi, że cię zdenerwowałem.

- Ona tego nie zrobiła - szepnęła Mary, z oczami wielkimi jak spodki i nagle poblądła twarzą.

Ścisnął ją za ramię jeszcze mocniej.

- Wiem.

- Ja lady Paget po prostu uwielbiam! - Mary zebrała się na odwagę. - A co, czy może źle zrobiłam, przychodząc tu za nią? Gotuję dla niej, piorę, robię, co tylko mogę, ale wiem, że ściągnęłam na nią hańbę. I że ciążę jej brzemieniem, bo musi żywić i mnie, i Belinę. Wiem, że powinna mi płacić, ale nie ma pieniędzy... to znaczy nie miała ich, póki... - Mary urwała nagle i przygryzła wargę.

- W porządku, Mary. Lady Paget potrzebuje kogoś, kto by o nią dbał, a mnie się zdaje, że ty robisz to bardzo dobrze. Musi mieć też przyjaciół i czyjaś miłość.

- Ja ją kocham, ale to wszystko przeze mnie. Z mojej winy!

Zasłoniła twarz fartuchem. Belinda przestała kołysać lalkę i spojrzała na matkę.

- Nie. Z mojej - odparł. - Nie powinienem tu przychodzić i nękać cię pytaniami. Jak się dziś ma Beth, Belindo? Czy śpi?

- Jest niegrzeczna, bo chce się bawić.

- Naprawdę? To pobaw się z nią trochę albo opowiedz jej bajkę. Bajki często usypiają małe dzieci.

- Opowiem jej, bo znam jedną. Dopiero co jadła i jak się teraz zaczęła z nią bawić, to może jej zaszkodzić.

- Widzę, że jesteś bardzo dobrą i mądrą mamą. Szczęściara z tej Beth.

Zwrócił się do Mary, która znów zaczęła wygładzać fartuch.

- Straciłaś przeze mnie sporo czasu. Przeszkodziłem ci w pracy czy też w odpoczynku. Przepraszam za moje pytania. Zazwyczaj nie jestem taki wścibski.

- Czy pan się o nią martwi?

- Chyba masz rację.

- W takim razie wybaczam panu - odparła i zaczerwieniła się po uszy.

- Czy się nie obrazisz, jeśli zostawię ci pieniądze, żebyś mogła zabrać Belindę do Guntera na lody, kiedy będziesz miała wolne? Żadne dziecko nie powinno być pozbawione tej przyjemności. Ani żaden dorosły.

- O, ja mam pieniądze.

- Wiem, ale chętnie bym poczęstował lodami Belindę i ciebie też.

- No, dobrze. Dziękuję, milordzie.

Stephen odszedł, zostawiając na stole dwie monety - sumę wystarczającą na dwie porcje lodów - i ruszył do domu, mimo że było jeszcze wcześnie. Nie miał ochoty pójść tam, gdzie bywał zwykle, nawet na wyścigi. Jakoś mu ich dziś nie brakowało.

Próbował rozmyślać o młodych pannach, z którymi zazwyczaj lubił tańczyć i rozmawiać, często dyskretnie flirtować, ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednej. Jeśli jednak pamięć go nie myliła, nie zarezerwował żadnego tańca na jutrzejszym balu.

Mary dopiero co wyznała mu, że to ją należy obwiniać za śmierć Pageta. Uparcie twierdziła, że nie zrobiła tego Cassandra.

Zaraz potem powiedziała jednak, że ją po prostu uwielbia. Kiedy się kogoś kocha, łatwo skłamać na jego korzyść.

Roger został okaleczony, bo go wysmagano biczem. Spadły na niego razy przeznaczone dla jego pani. Zdruzgotano mu łapę szpadlem. Czy Cassandra również miała nim dostać? Może to ona byłaby teraz martwa, a nie jej mąż, gdyby Roger nie rzucił się na ratunek? A potem pewnie by uznano, że kolejna żona lorda Pageta spadła z konia.

Po powrocie do domu stwierdził, że boli go głowa, co mu się nigdy przedtem nie zdarzało.

- Odejdź, Philbin - powiedział do lokaja, którego zastał przy składaniu świeżo wyprasowanych koszul. - Jeszcze ci nawymyślam, jeśli cokolwiek powiesz, a potem poczuję się okropnie i będę cię musiał przeprosić.

- Cisną pana nowe buty, milordzie? - spytał sługa. - A mówiłem, kiedy je pan wkładał, że...

- Philbin. - Stephen objął skronie rękami. - Idź sobie stąd. Zaraz.

Philbin usłuchał.

Cassandra przejrzała kupioną przez Alice kilka dni temu gazetę i zapisała sobie nazwiska oraz adresy trzech adwokatów, którzy mogli jej pomóc. Alice wiedziała o jej zamiarach i doradziła jej rozmowę z Goldingiem lub nawet z lordem Mertonem. Z pewnością obaj będą wiedzieć, którzy prawnicy byłiby w tym przypadku najlepsi.

Cassandra nie chciała się jednak dłużej zdawać na mężczyzn. Rzadko można na nich polegać. Był to zapewne niesprawiedliwy sąd wobec Goldinga, a już na pewno wobec Stephena, lecz ona chciała wreszcie wziąć swoje życie we własne ręce. Niecały tydzień temu spróbowała tego dokonać, zapewniając sobie zamożnego protektora. A tymczasem powinna była od początku działać samodzielnie.

Nie było to takie łatwe, jak się przekonała, składając kolejno wizytę wszystkim trzem prawnikom. Alice nalegała, by jej towarzyszyć. Nikt, jak wyjaśniała, nie weźmie na serio kobiety samotnej.

Ale i tak nikt nie wziął jej na serio.

Pierwszy prawnik nie brał spraw nowych klientów, bo był bardzo zajęty tymi, które już miał, chociaż zamieścił ogłoszenie w gazecie. Drugi przypomniał sobie od razu jej nazwisko i dość niegrzecznie dał jej do zrozumienia, zresztą za cudzym pośrednictwem, że nie jest specjalistą od spraw kryminalnych i nie reprezentowałby bezlitosnej morderczyni, nawet gdyby nim był.

Alice już chciała wrócić do domu. Była bardzo przygnębiona. Cassandra również, lecz jedynym efektem bezwzględności drugiego z adwokatów, który nie miał nawet na tyle odwagi, by powiedzieć jej wszystko osobiście, było to, że zadarła podbródek do góry i wyszła na zewnątrz niemal marszowym krokiem.

Trzeci adwokat przyjął je w gabinecie, złożył jej unizony ukłon, wysłuchał wszystkiego z uwagą i współczuciem, a potem

zapewnił, że jej sprawa jest jak najbardziej uzasadniona z prawnego punktu widzenia i że raz dwa pomoże jej odzyskać pieniądze, klejnoty, prawo do mieszkania w posiadłości oraz rezydencję londyńską. Zażądał honorarium, które Cassandrze wydało się niebotycznie wysokie, choć twierdził, że i tak nie żąda zbyt wiele za sprawę równie prostą oraz że ma dla niej wiele szacunku i współczucia. Zaliczka wyniesie jedynie połowę żądanej sumy i ani grosza więcej.

Cassandra zaoferowała mu to, co miała. Skoro zaś sprawa jest tak łatwa, a on bez zwłoki odzyska pieniądze, zapłaci mu całą resztę bardzo szybko. Ponieważ jednak pozbawiono ją pieniędzy, obecnie jej środki są ograniczone.

Najwyraźniej nie przypuszczał, że ktoś z tytułem lady Paget może być bez grosza, mimo że wszystko mu powiedziała. Jego manieri z miejsca się zmieniły. Stał się oschły, chłodny i poirytowany.

Doprawdy, nie może się podjąć sprawy za tak niską zapłatę. Ma żonę i sześcioro dzieci... Żałuje, że tracił swój cenny czas... Oczywiście, konsultacja również jest płatna... Wymagałoby to zbyt wiele zachodu... Lady Paget nie może oczekiwać, by on...

Cassandra nawet go nie słuchała. Wstała i jak najprędzej wyszła z biura. Alice pospieszyła za nią.

- Może hrabia Merton mógłby... - zaczęła, gdy już szły ulicą.

Cassandra spojrzała na nią gniewnie.

- Zaledwie parę dni temu hrabia Merton wydawał ci się diabłem wcielonym, bo zapłacił mi okrągłą sumkę za to, że skorzystał z moich usług. A teraz uważasz, że będzie właściwie, gdy go poproszę, żeby wydał na mnie istną fortunę? Przecież już ze mną nie sypia.

- Ciszej, Cassie - szepnęła Alice, rozglądając się dokoła z zakłopotaniem.

Szczęściem na ulicy nie było ludzi i nikt nie przechodził tak blisko, żeby je usłyszeć.

- Myślałam tylko o pożyczce - jęknęła Alice. - Jeśli ten człowiek mówił prawdę, szybko mogłabyś ją zwrócić.

- Nie zapłaciłabym mu ani grosza, nawet gdyby mi jutro wręczył moje pieniądze z klejnotami koronnymi na dodatek!

Nagle opuściła ramiona.

- Przepraszam cię, Alice. Nie mam prawa złościć się na ciebie. Przypuszczasz jednak, że mam rację. Wszyscy mężczyźni są podli do szpiku kości!

- Nie, nie wszyscy. - Alice poklepała ją po ręce. - Tylko ten jeden. Współczuję jego biednej żonie i sześciorcu dzieci. Pewnie myślał, że skoro jesteś kobietą, może wyciągnąć od ciebie mnóstwo pieniędzy. No i zrobiłby tak, bo się nie targowałaś o honorarium, choć okazało się skandalicznie wygórowane. Na swoje nieszczęście był zbyt chciwy, żeby na nie zaczekać.

Cassandra westchnęła głęboko, niewiele jej przyszło z próby samodzielnego kierowania swoim życiem, ze stanowczości, z wszelkich planów. Spróbuje jednak od początku. Nie zamierzała się poddawać.

Tyle tylko, że na dzisiaj miała dość i chciała wrócić do domu, żeby tam ochłonąć i wypocząć. Jakby wyczuwając jej nastrój, niebo pokryło się chmurami, a wiatr zaczął roznosić tumany kurzu z rynsztoka. Nagle zrobiło się chłodno.

- Zaraz będzie padać. - Alice spojrzała w górę.

Pierwsze wielkie krople deszczu spadły, gdy wchodziły do domu. Cassandra westchnęła głęboko, wzięła klucz spod doniczki i przekręciła go w zamku. Weszły do środka. Zaczęły się już tutaj czuć jak u siebie. Jak w bezpiecznym azylu.

Mary wyszła spiesznie z kuchni, wycierając ręce w fartuch.

- Jakiś dżentelmen czeka w bawialni, milady.

- Golding? - rozpromieniła się Alice.

Czyżby to był Stephen? Cassandra nie ośmieliła się powiedzieć tego na głos. Po pikniku nie wspomniał, że ją dziś odwiedzi. Ucieszyła się, bo choć często się ostatnio widywali, stwierdziła z niepokojem, że jakoś jej było smutno bez niego.

Otworzyła drzwi bawialni, gdzie jakiś młody człowiek krążył niespokojnie po pokoju.

- Cassie - powiedział. Wyglądał na przygnębionego.

- Wesley! - Cassandra weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Alice gdzieś zniknęła.

- Cassie, ja... - zaczął, a potem urwał. Usłyszała, że głośno przetyka ślinę. Przejechał dłonią po kasztanowatych włosach gestem, który znała od zawsze. - Chciałem powiedzieć tamtego dnia, że cię nie znam, ale to byłoby okropnie głupie, prawda?

- Tak - zgodziła się. - Bardzo głupie.

- Sam nie wiedziałem, co mówić.

W ostatnich latach rzadko go widywała, choć przedtem nie mogła się bez niego obyć. Był jej tak bliski, że stał się nieomal jej własnością.

- Może mi opowiesz, jak się udała ta podróż do górnej Szkocji?

- Kilku z moich kolegów nie mogło... Do diabła, Cassie, nie było żadnej podróży.

Zdjęła kapelusz i razem z torebką położyła go na krześle przy drzwiach, a potem usiadła na swoim zwykłym miejscu, przy kominku.

- Zrozum, papa nie zostawił wiele pieniędzy, właściwie prawie nic. Postanowiłem tego roku poważnie pomyśleć o żonie, która wniosłaby mi przyzwoity posag. Nie chciałem, żebyś tu przyjeżdżała i psuła mi wszystko. Nie w tym roku.

W gruncie rzeczy zrobił to samo co ona - szukał kogoś, kto mógłby zapewnić mu pieniądze.

- No tak, siostra, która zamordowała kogoś siekierą, nie zwiększa niczyich szans matrymonialnych. Przykro mi.

- Przecież nikt w to nie wierzy. W każdym razie nie w siekiere. Roześmiała się, a on znów zaczął krążyć po pokoju.

- Cassie, pamiętasz, jak przyjechałem do ciebie, kiedy skończyłem siedemnaście lat? Miałaś wtedy żółte sińce pod okiem.

Czy istotnie tak było? Nie przypominała sobie, żeby jego przyjazd przypadł na okres bicia.

- Wtedy, kiedy wpadłam na drzwi mojej sypialni? Chyba sobie przypominam.

- Na drzwi od stajni, Cassie. Czy... czy Paget cię bił?

- Mężczyzna ma prawo karcić żonę, jeśli nie jest mu posłuszna, Wesleyu.

Spojrzał na nią z niepokojem.

- Chciałbym, żebyś do mnie mówiła normalnie, Cassie, a nie tym... sarkastycznym tonem. Bił cię?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Rzadko pił - powiedziała w końcu - ale kiedy już to robił, pił przez dwa lub trzy dni bez przerwy. A potem... stawał się nieobliczalny.

- Czemu mi o tym nie mówiłaś? Przecież... - nie dokończył zdania.

- Byłam jego żoną, Wes. A ty młodym chłopcem. Nic byś na to nie poradził.

- Zabiłaś go? Na pewno nie siekierą, ale czy to zrobiłaś? Chciałaś się przed nim obronić, kiedy cię bił?

- Nieważne. Nie było świadków, którzy by coś zeznali, ani innych dowodów. Zasługiwał na śmierć i umarł. Nikt nie powinien ponieść kary za to, że go zabił. Daj temu spokój.

- To bardzo ważne. Dla mnie. Chcę znać prawdę, choć to już niczego nie zmieni. Wstyd mi za siebie. Mam nadzieję, że uwie-

rzysz w to i przebaczysz mi. Myślałem tylko o sobie, ale jesteś moją siostrą i kochani cię. Matkowałaś mi, kiedy byłem mały. Nigdy nie czułem się samotny ani niekochany, nawet gdy ojciec na całe dni zniknął, żeby grać. Pozwól mi... daj mi przynajmniej być tu z tobą, Cassie. Wiem, robię to późno, ale spodziewam się, że nie za późno. Wsparła głowę na oparciu fotela.

- Cóż tu jest do wybaczenia? Wszyscy czasem robimy coś samolubnego i złego, Wes, ale te czyny nie ciążyą na nas do końca, jeśli sumienie nam nie pozwoli stać się raz na zawsze samolubnymi i złymi. Nie zabiłam Nigela, ale nie powiem, kto to zrobił, ani tobie, ani nikomu innemu. Nigdy. W ten sposób pozostanę na zawsze główną podejrzaną, nawet gdyby jego śmierć nastąpiła wskutek przypadku. Większość ludzi i tak zawsze będzie myśleć, że to ja. Jakoś to zniosę.

Kiwnął głową.

- Wciąż się zalecasz do tej damy, z którą byłeś w parku?
- Okazała się nędznicą - odparł z przykrym grymasem.
- W takim razie miałeś szczęście, że nic z tego nie wyszło.
- Wiem.
- Usiądź, bo szyja mnie rozboli, jeśli będę musiała wciąż wodzić za tobą wzrokiem.

Siadł na krześle koło niej. Cassandra wyciągnęła ku niemu dłoń. Ujął ją i ścisnął mocno. Gwałtowny deszcz zabębnił o szybę, ale był to niemal przyjemny dźwięk.

- Wes, może znasz jakiegoś dobrego adwokata? - spytała.

16

Już drugą noc Stephena dręczyły męczące sny. Nie powinien wtrącać się w sprawy, które wcale go nie dotyczyły. Po co

właściwie poszedł do Wesleya Younga? A już na pewno nie należało wypytywać służącej tak szczegółowo, żeby musiała mu opowiedzieć nawet o tym, co się stało psu.

Wtrącanie się w cudze sprawy nie leżało w jego naturze.

Właściwie niemal sobie życzył, żeby już więcej nie zobaczyć Cassandry. Chciał wrócić do swojego dawnego pogodnego życia. Tylko czy rzeczywiście było takie pogodne?

A może w wieku dwudziestu pięciu lat zaczynał się starzeć?

Choć nie miał ochoty jej widzieć, z drugiej strony nie posiadał się z radości, kiedy tylko zdarzyło mu się ją spotkać.

Szedł właśnie przez Oxford Street z Vanessą. Kiedy wstąpił do niej, poskarżyła się, że dzieci śpią, a Elliott wyjechał z Londynu na kilka dni i zapewne po powrocie ledwie się zdąży przebrać przed wieczornym bale, tymczasem brak jej kawałka koronki, bo musi naprawić falbanę sukni, którą na ten bal ma zamiar włożyć.

Sprawunek udało się już załatwić, gdy Vanessa wydała nagle radosny okrzyk. Stephen podążył za jej wzrokiem i ujrzał Cassandrę. Zbliżała się do nich wsparta na ramieniu brata.

Serce zabiło mu żywiej. Wyglądała elegancko i pięknie w bladoporóżowej sukni i tym samym kapeluszu, który nosiła na pikniku. Była zarumieniona i najwyraźniej bardzo zadowolona.

Stephen uchylił kapelusza i ukłonił się jej.

- Jakie śliczne popołudnie, prawda, madame? Witam pana, Young.

Na jego widok Young zrobił zakłopotaną minę.

- Rzeczywiście, śliczne - odparła Cassandra. - Jak się pan miewa, milordzie? A pani, milady?

- Znakomicie - odparła Vanessa. - Chyba już się kiedyś spotkaliśmy, lordzie Wesley?

- Tak, wasza wysokość. Lady Paget jest moją siostrą.

- Wspaniale. - Vanessa uśmiechnęła się radośnie. - Nie wiedziałam, że ma pani krewnych w Londynie, lady Paget, ale bardzo mnie to cieszy. Czy wybiera się pani na bal lady Compton-Haig?

- Myślę, że tak. Dostałam zaproszenie.

A więc przyjęła je. Stephen sam nie wiedział, czy powinna tak zrobić, czy nie. Wiedział natomiast jedno - cieszył się, że tam będzie.

- Czy mogę zarezerwować pierwszy taniec?

Już miała mu odpowiedzieć, gdy Young wtrącił cierpko:

- Obawiam się, że to mój taniec.

- W takim razie następny.

Uśmiechnęła się nieznacznie. Może pomyślała w tej chwili, jak wiele osiągnęła w ciągu ostatniego tygodnia.

- Dziękuję, milordzie. Z przyjemnością.

Wesley Young najwyraźniej nie miał ochoty przedłużyć spotkania. Życzył im obojgu miłego popołudnia i odszedł, prowadząc Cassandrę pod rękę.

- Myślę - zaczęła Vanessa, gdy szli już w przeciwnym kierunku - że lady Paget nawet w worku wyglądałaby piękniej niż ktokolwiek w Londynie. To niesłychanie prowokujące, Stephenie.

- Ty też masz tyle uroku, by wszystkim zawrócić w głowach, Nessie.

Była najbrzydsza z jego siostr, za to była pełna życia. Stephenowi zawsze wydawała się piękna.

- Mój drogi, mówisz tak, jakbym dopraszała się komplementów, ale to bardzo uprzejme z twojej strony. Muszę już wracać, gdyż Elliott gotów mnie nie zastać w domu po przyjeździe!

- Czy byłby zdenerwowany?

Roześmiała się i zakręciła parasolką.

- Zapewne nie, ale ja bym była, gdybym stwierdziła, że spóźniłam się o dziesięć minut.

Stephen osłonił ją przed hałaśliwą grupą przechodniów, nadchodzących z przeciwnej strony, którzy najwyraźniej nie patrzyli, gdzie idą.

- Jak długo jesteście małżeństwem? Vanessa roześmiała się, zamiast odpowiedzieć.
- Stephenie - spytała po chwili - czy ty ją lubisz?
- Lady Paget? Owszem.
- Ale tak naprawdę.
- Naprawdę, Nessie.
- Ach - powiedziała tylko.

Nie pytał, co miała na myśli, ani nie zastanawiał się nad swoją odpowiedzią. Powiedział jedynie, że lubi Cassandrę, a raczej, że lubi ją naprawdę. Czy to jednak duża różnica?

Pokiwał głową z irytacją.

Dość tego! Dość!

Wesley Young miał szczerą chęć zbesztać siostrę, kiedy się dowiedział, że nic nie uczyniła, by zachować jakiegokolwiek wartościowe rzeczy lub bronić tego, co się jej z prawa należało, gdy obecny lord Paget wyrzucił ją z domu. Gdyby się choć trochę postarała, byłaby teraz zamożną kobietą, a nie nędzarką.

Nie zrobił tego jednak. Miał niemal dwadzieścia dwa lata, gdy Paget zmarł, a on przyjechał do Carmel na pogrzeb. Czuł, że coś nieprzyjemnego wisi w powietrzu, kiedy tam jeszcze był, lecz wyjechał, nim zaczęły krążyć jawne oskarżenia. Przed odjazdem zapewnił Cassie, że ją kocha i będzie kochał i że może się do niego zawsze zwrócić z prośbą o wsparcie i opiekę.

Potem jednak, gdy już w Londynie zaczęły do niego docierać pogłoski, przestraszył się, że zostanie wplątany w zbrodnię siostry. Przestał do niej pisywać.

Nie mógł się usprawiedliwiać, że był tylko chłopcem. Stał się przecież mężczyzną.

Później zaś, kiedy bezwzględność i tchórzostwo wzięły nad nim górę, co zresztą przez długi czas odbierało mu w nocy sen, a w dzień dręczyło, spróbował odwieść ją od przyjazdu do Londynu. Okłamał ją, wymyślając podróż po górnej Szkocji. A kiedy i tak przybyła do stolicy i zobaczył ją w parku, odwrócił głowę i kazał wynajętemu stangetowi odjechać.

O, zasłużył sobie na nocne koszmary.

Teraz, skoro przeszłości nie da się zmienić, mógł zrobić tylko tyle, by siostrę przeprosić i mieć nadzieję, iż w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat uda mu się przebaczyć samemu sobie. Wyszukał więc najlepszego prawnika, jakiego mógł znaleźć, umówił się z nim na wizytę i towarzyszył tam Cassie.

Wszystko wyglądało bardzo obiecująco. Adwokat był zdumiony, że lady Paget mogła uważać odzyskanie biżuterii za sprawę trudną. Była to przecież jej osobista własność, zagwarantowana umową przedślubną i testamentem męża. Chętnie przyjął skromną zaliczkę, którą Wesley koniecznie chciał mu wręczyć, i z przekonaniem zapewnił, że wszystko da się załatwić w parę tygodni lub najwyżej w ciągu miesiąca.

Wracali właśnie do domu przez Oxford Street, kiedy stanął twarzą w twarz z Mertonem, co wcale mu się nie spodobało. Merton poprzedniego dnia wzbudził w nim wyrzuty sumienia albo przynajmniej przyspieszył ich pojawienie się i Wesley nie był do niego zbyt życzliwie usposobiony. Jego sumienie wcale nie potrzebowało kogoś z zewnątrz.

Spotkanie nie trwało długo i wkrótce znaleźli się z siostrą w domu przy Portman Street, gdzie panna Haytor z entuzjazmem opowiedziała im o wizycie w jakimś muzeum. Poszła tam

ze swoim starym przyjacielem, Goldingiem, jedynym guwernerem, jakiego Wesley kiedykolwiek miał, choć i to tak krótko, że ledwie go sobie przypominał.

Potem wrócił do siebie, żeby odpocząć przed obiadem i przygotować się do wieczornego balu. Lokaj powiedział mu jednak, że znów ktoś czeka na niego w saloniku dla gości, pragnąc z nim zamienić kilka słów.

Wesley nie poznał gościa, gdy ten wstał i podszedł do niego z wyciągniętą dłonią. Był to silny mężczyzna atletycznej budowy, szatyn z ogorzałą twarzą.

- Czy pan Young? - spytał. - Jestem William Belmont.

Ach tak, oczywiście. To brat obecnego lorda Pageta, jeden z pasierbów Cassie. Wesley poznał go na jej ślubie, a potem spotkał podczas jednej ze swoich wizyt w Carmel House, kilka lat temu. Wkrótce potem William wyjechał, chyba do Ameryki.

- Miło mi pana znów widzieć - powiedział Wesley i potrząsnął jego dłonią.

- Mój statek przyплыł z Kanady w zeszłym tygodniu, zaraz więc pojechałem do Carmel, ale tam wszystko się zmieniło. Gdzie pańska siostra, Young? Czy bawi teraz w Londynie?

Wesley z miejsca zrobił się nieufny.

- Lepiej zostawić ją w spokoju. Nie zabiła pańskiego ojca. Niczego jej nie dowiedziono ani nie wniesiono przeciw niej żadnego oskarżenia, bo też nie było o co jej oskarżać. Próbuje rozpocząć nowe życie, a ja czuwam, żeby jej się to powiodło i by nikt jej nie niepokoił.

Tak właśnie powinno być, gdy tylko przyjechała do Londynu. A teraz broni jej naprawdę. Każdy, kto zechce mieć do czynienia z Cassie, musi się najpierw natknąć na niego. I choć poczuł się nieswojo na widok barów Belmonta, nie pozwolił się zastraszyć!

Belmont jednak machnął tylko ręką.

- Oczywiście, że go nie zabiła. Przecież byłem przy tym, na miłość boską! Nie przyjechałem tu po to, żeby ją niepokoić, tylko żeby odnaleźć Mary. Czy wciąż jeszcze mieszka z Cassandrą?

- Mary? - Wesley patrzył na Belmonta, nic nie rozumiejąc.

- Opuściła Carmel House razem z nią, myślę zatem, że wciąż u niej jest. No i Belinda. W każdym razie mam taką nadzieję.

Wesley wciąż nic nie rozumiał.

- Panna Haytor ma na imię Alice, nie Mary.

- Pytam o Mary - odparł niecierpliwie Belmont. - O moją żonę.

Ubierając się, Cassandra czuła się zupełnie inaczej niż w zeszłym tygodniu przed bale u lady Sheringford. Tym razem otrzymała zaproszenie i miała towarzysza, a prócz tego partnerów do dwóch pierwszych tańców.

Wyczekiwała na taniec ze Stephenem o wiele niecierpliwiej, niż powinna to robić.

Sprawdziła w lustrze fryzurę, chcąc się upewnić, że upięła włosy tak mocno, by nie rozsypały się na ramiona, kiedy zacznie tańczyć. To byłaby po prostu katastrofa! Przez ostatnich dziesięć lat przyzwyczała się do pomocy pokojówki.

Naciągnęła długie rękawiczki i wygładzała je, dopóki nie zniknęło najmniejsze załamanie.

Adwokat uważał, że sprawa jest prosta, i twierdził, że Cassandra dostanie wszystko w ciągu dwóch tygodni, choć ona zadowoliliby się zupełnie miesiącem. Wtedy odda pieniądze Stephenowi i zapomni, że kiedykolwiek zrobiła coś tak plugawego, jak narzucanie mu się w roli utrzymanki.

Nie żałowała jednak spędzonych z nim dwóch nocy. Ani pikniku, który na zawsze zostanie w jej wspomnieniach.

Trudno jej będzie zapomnieć o Stephenie.

W jakimś sensie przywrócił jej zaufanie do mężczyzn. Istnieli przecież i tacy, na których można było polegać. Nie wszyscy okazali się wstrętami.

Zapamięta go jako złotowłosego anioła.

Rozłożyła wachlarz z kości słoniowej, chcąc się przekonać, czy jest w dobrym stanie.

Golding zaprosił Alice na parę dni do hrabstwa Kent, na siedemdziesiąte urodziny swego ojca. Miała się tam również zjawić reszta jego rodziny. Było to z pewnością znaczące zaproszenie.

Alice nie odpowiedziała mu ani tak, ani nie. Chciała najpierw wiedzieć, czy Cassandra będzie się mogła bez niej obyć, widać jednak było, że aż drży od powstrzymanego podniecenia i niepokoju. Dziesięć minut po powrocie Cassandry i pięć minut po wyjściu Wesleya siadła do biurka w bawialni i napisała do Goldinga, że przyjmuje zaproszenie.

Teraz w pokoiku na piętrze usiłowała wybrać stroje, które chciała wziąć ze sobą.

Cassandra wsunęła stopy w pantofelki do tańca i zeszła na dół, żeby tam poczekać na Wesleya. Brat zapukał do drzwi, gdy schodziła z ostatnich stopni, zdołała więc odesłać Mary do kuchni i otworzyć mu sama.

- Cassie - Wesley spojrzał na nią z podziwem. - Zaćmisz wszystkie inne damy.

- Dziękuję! - odparła i ze śmiechem obróciła się przed nim dokoła w nagłym przyplywie dobrego humoru. - Ty też wyglądasz bardzo dobrze. Jestem gotowa. Niech powóz nie czeka.

Wesley wszedł jednak do holu i zamknął drzwi za sobą.

- Żałuję, że nie masz swoich klejnotów. Dama nie powinna się pokazywać na balu bez nich. Przyniosłem ci to.

Poznała nieco wytarte puzderko z brązowej skóry, gdy tylko je ujrzała. Jako dziewczynka ogromnie lubiła wyjmować je z oj-

cowskiego kufra, podnosić ostrożnie wieczko i zaglądać do środka, a czasem dotykać zawartości końcem paluszka. Raz czy dwa przymierzyła klejnot do siebie i podziwiała w lustrze, cały czas nękana wyrzutami sumienia.

Wzięła puderko od Wesleya i otworzyła je. Leżał tam srebrny łańcuszek, dokładnie taki, jak go zapamiętała, choć teraz wyczyszczony do połysku, a na nim wisiało serduszko z małych brylancików. Ojciec podarował je matce jako prezent ślubny. Była to jedyna wartościowa rzecz, której nie sprzedali ani nie zastawili w czasach, gdy brakowało im pieniędzy.

Drobiazg zapewne nie miał wielkiej wartości, a brylanty, jak podejrzewała, mogły się nawet okazać szkłem. Może zresztą dlatego nigdy tej błyskotki nie sprzedano. Miał jednak ogromną wartość uczuciową.

Wesley wyjął klejnocik z pudranka i zawiesił jej na szyi.

- To bardzo miło z twojej strony, Wes - powiedziała, dotykając ozdoby palcami. - Będę dzisiaj nosić to serduszko, ale potem musisz je zabrać i zachować dla swojej żony.

- Nie doceniłaby go. Nikt by tego nie docenił prócz nas, Cassie. Wolałbym, żebyś je zatrzymała jako prezent ode mnie. Choć przecież należy ono zarówno do ciebie, jak i do mnie. Do licha, chyba nie płaczesz?

- Chyba płaczę - odparła, ocierając oczy palcami i śmiejąc się jednocześnie. A potem uściskała go mocno.

Poklepał ją nieśmiało po plecach.

- Czy twoja służąca ma na imię Mary?

- Tak. - Cassandra wciąż obracała łańcuszek w palcach i patrzyła na serduszko. - Czemu o to pytasz?

- Ot, tak sobie.

Chwilę później pomógł jej wsiąść do powozu, który wynajął na ten wieczór, i ruszyli w drogę do rezydencji Compton-Haigów.

Tym razem jej przybycie na bal wyglądało całkiem inaczej. Lokaj w liberii pomógł jej wysiąść wprost na czerwony chodnik, a ona weszła do środka wsparta na ramieniu brata. Nie musiała się rozglądać wokoło ani podziwiać marmurowego westybulu, żyrandoli, służby w liberjach i wystrojonych gości.

Kilkoro gości spojrzało na nią i skinęło jej głowami. Jedna czy dwie osoby się do niej uśmiechnęły. Mogła spokojnie zignorować te, które tego nie zrobiły.

Wesley poprowadził ją ku gospodarzom, witającym przybyłych, a ona spokojnie patrzyła im w oczy, bo została zaproszona, a jej nazwisko nie wywoływało już takiego poruszenia, jak w zeszłym tygodniu.

W sali balowej podziwiała białe i purpurowe kwiaty w wazach oraz zielone paprocie. Lord Graham i lady Carling podeszli, żeby z nią porozmawiać. Przedstawiła im Wesleya, którego jeszcze nie znali. Potem lord i lady Sheringfordowie życzyli im miłego wieczoru, a Huxtable poprosił ją o taniec. Kilku znajomych Wesleya przyszło z nim porozmawiać, a jeden z nich, niejaki pan Bonnard, zarezerwował sobie u niej jeden z późniejszych tańców.

- Niech mnie licho porwie, Wes - powiedział, trzymając lorgnon w pewnej odległości od oka, częściowo z powodu sztywno wyprostowanej szyi, którą nie mógł poruszyć w wysokim, wykrochmalonym kołnierzyku - nie wiedziałem, że lady Paget jest twoją siostrą. Zagarnęła dla siebie urodę całej rodziny, a tobie zostały tylko resztki, co?

A potem on i inny znajomy brata, którego nazwiska Cassandra zdążyła już zapomnieć, zaśmiali się głośno z tego żartu.

Podszedł Stephen, z ukłonem, uśmiechem, błyskiem w oczach i pytaniem, czy lady Paget pamięta o zarezerwowanym tańcu.

Poruszyła wachlarzem, chłodząc policzki.

- Pierwszy i drugi już komuś obiecałam, a także taniec po kolacji.

- Mam nadzieję, że żaden z nich nie jest walcem, bo bardzo bym się tym zmartwił. Czy mogę z panią zatańczyć pierwszego walca, a także taniec przed kolacją, jeśli nie chodzi o jeden i ten sam? W przeciwnym razie prosiłbym też o drugi.

Otwarcie ją wyróżniał. Zatańczenie dwa razy z tą samą partnerką nie było czymś zwykłym i każdy musiał to zauważyć. Na ogół oznaczało to, że dżentelmen wyraźnie zalecał się do damy.

Właściwie powinna się więc zgodzić tylko na jeden taniec, ale jego błękitne oczy były tak pogodne, a prawnik mówił, że dwa tygodnie mu wystarczą - choć zaraz dodał, że może jednak chodzić o miesiąc. Później zaś ona opuści Londyn na zawsze, znajdzie sobie ładny, mały domek w odległej angielskiej wiosce i nigdy już nie ujrzy Stephena ani nie będzie uważać na londyńskie towarzystwo.

- Dziękuję panu - odparła i uśmiechnęła się do niego.

A potem przypomniała sobie, jak tydzień temu stała osamotniona w podobnej sali balowej, spoglądając uważnie na wszystkich mężczyzn, nim upatrzyła go sobie jako zdobycz.

Jakiś zakątek jej serca zawsze będzie do niego należał. Ależ jest głupia.

- Chodźmy - powiedział Wesley i zobaczyła, że pary już się ustawiają do pierwszego tańca.

Nie obeszło się jednak bez nieprzyjemności.

Huxtable zgłosił się po swój taniec bardzo wcześnie i wyprowadził Cassandrę na posadzkę dużo wcześniej, niż zrobiły to inne pary. Stało się dla niej jasne, że chciał z nią pomówić tak, by nikt inny tego nie słyszał.

Cóż za przystojny mężczyzna, pomyślała, gdy zatrzymali się pośrodku posadzki i stanęli naprzeciwko siebie. Przystojny mimo

lekką skrzywioną nosa. Mnóstwo kobiet musiało go uważać za niesłychanie pociągającego. Nie należała do nich. Nie lubiła chmurnych brunetów o ciemnej karnacji, którzy roztaczali wokół siebie aurę niebezpieczeństwa. Cieszyła się wręcz, że to nie jego wybrała w zeszłym tygodniu. Czy zdołałaby tego dokonać? Czy uwiodłaby go i skłoniła do płacenia jej jako kochance?

- Chyba mogę coś pani powiedzieć otwarcie?

O tak, doprawdy był kimś bardzo niebezpiecznym! Przestraszyła się, ale nie chciała, żeby to zauważył. Poruszyła z wolna wachlarzem.

- Absolutnie nie. Wołałabym zwyczajną rozmowę. Z pewnością chce mnie pan odstraszyć od swojego kuzyna. Potrzebuje on niewątpliwie, by ktoś taki jak pan strzegł go i odstręczał od niego niebezpieczne kobiety podobne do mnie. Zawsze jednak uważałam, że diabeł niszczy niewinność, a nie ochrania ją.

- Doprawdy, cóż to za „zwyczajna” rozmowa - odparł najwyraźniej rozbawiony. - Merton nie jest słabeuszem, lady Paget, choć wiele osób tak uważa. W przeciwieństwie do innych mężczyzn nie pręży ostentacyjnie mięśni, żeby zademonstrować swoją krzepę i męskość. Czy wybrała go pani, myśląc, że jest słaby?

- Wybrała? - powtórzyła wyniośle.

- Widziałem, jak się z nim pani zderzyła na balu Margaret.

- Przypadkowo.

- Nie, całkiem świadomie. Znowu poruszyła wachlarzem.

- Doprawdy, to nie pańska sprawa.

- Kiedy się przegrywa w dyskusji, dobrą, a może jedyną strategią jest użycie wyświechtanego frazesu.

Czy muzykanci nigdy nie skończą stroić instrumentów? Czy tancerze bez końca będą gawędzić? Ile osób patrzy teraz na nich? Uśmiechnęła się.

- Skądże się pan wziął w rodzinie lorda Mertona?
- Nie powiedział pani? Jestem bardzo dalekim, złym i niebezpiecznym kuzynem, lady Paget. I to takim, który musi szczerze nienawidzić reszty krewnych i zawsze gotów im wyrządzić jakąś krzywdę. Moim ojcem był hrabia Merton, a ja - jego najstarszym synem. Niestety, matka uciekła do Grecji, odkąd stało się dla niej jasne, że mam przyjść na świat, a gdy jej rozjuszony ojciec - czyli mój dziadek - zmusił ją do powrotu i zażądał, by mój ojciec zachował się wobec niej honorowo lub też poniósł konsekwencje, ja straciłem cierpliwość i postanowiłem się urodzić na dwa dni przed zawarciem przez szczęśliwą parę związku małżeńskiego. Byłem więc bezsprzecznie dzieckiem nieślubnym. Pech jednak sprawił, że wszyscy moi młodszy bracia i siostry umierali albo przy urodzeniu, albo wkrótce po nim. Przeżył jedynie najmłodszy potomek, który okazał się - by użyć wyrażenia mego ojca - skończonym idiotą. Jonathan został hrabią po śmierci naszego ojca, lecz zmarł w dniu szesnastu urodzin i tytuł przypadł w udziale Stephenowi.

Cassandra zrozumiała cały ból i gorycz zawarte w tej pozornie nonszalanckiej opowieści. Nie miała ona jednak na celu wzbudzenia w niej współczucia, toteż nie poczuła go wcale.

- Dziwi mnie zatem, że go pan nie nienawidzi. Dostało mu się to, co powinno być pańskim udziałem. Ma pana tytuł, dom i fortunę.

- Inne pary zaczęły ustawiać się do tańca.

- Tak - powiedział - to zaskakujące.

- Dlaczego więc nie darzy go pan nienawiścią?

- Z bardzo prostej przyczyny. Znam kogoś, kto by go kochał, a ja kocham tego kogoś.

Nie wyjaśnił jej, o kogo chodzi, choć na to czekała.

- Czy ma pani nadzieję, że Stephen się z panią ożeni?

Zaśmiała się cicho.

- Może pan być spokojny. Nie mam zamiaru pozbawić go wolności. Wiem aż za dobrze, czego kobieta może zaznać w małżeństwie. Jeden raz mi wystarczy.

Zamilkli, bo muzycy szykowali się już do pierwszego kontredansa i wkrótce inni tancerze mogliby usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Może pomówimy o pogodzie?

Zaśmiał się gardłowo.

- O burzach, trzęsieniach ziemi i huraganach? To takie bezpieczne tematy!

17

Stephen nie umiał zdecydować, czy suknia Cassandry jest czerwona, czy pomarańczowa. W końcu uznał, że to jakiś pośredni odcień. Połyskiwała w blasku świec i wydawała się absolutnie wspaniała. Głęboki dekolt podkreślał bujne piersi. Tkanina opadała w miękkich fałdach spod wysokiego stanu, przylegała do ciała i podkreślała długie kształtne nogi. Włosy, zebrane w wysoki węzeł, spływały na kark w długich krętych pasmach.

Jak zawsze, nosiła się dumnie, a tego wieczoru wyglądała na szczęśliwą. Nie przypominała tajemniczej damy o skandalicznej reputacji, jaką była, gdy wdarła się na bal Meg i Sherry'ego w zeszłym tygodniu i patrzyła na wszystkich tak, jakby nimi gardziła.

Nie opuściła żadnego z tańców przed walcem, ostatnim tańcem przed kolacją. Zatańczyła jeszcze raz z Conem, uśmiechała się do niego i gawędziła z nim, gdy pozwalały na to figury taneczne.

Stephen również nie ustawał w tańcu. Tańczył z młodymi debiutantkami tego sezonu, które niejedną raz dawały mu

do zrozumienia, że się nim interesują. Nie dziwiło go to wcale. W końcu był jedną z najlepszych partii w całej Anglii. Rozmawiał swobodnie z każdą, do każdej też miło się uśmiechał i otaczał względami, lecz przez cały czas czujnie obserwował Cassandrę.

Zaczął się zastanawiać, czy jego życie kiedykolwiek stanie się normalne, niezależnie od tego, co przez to rozumiał.

Czekał niecierpliwie na ostatni taniec przed kolacją i wydawało mu się, że bal trwa już całą wieczność.

Musiał być ostrożny. Nie wolno mu zachować się impulsywnie, bo mógłby potem żałować tego przez resztę życia.

Nie był gotów do małżeństwa. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat i postanowił sobie, że nie pomyśli na serio o ślubie przed trzydziestką. A nawet wtedy nie będzie się spieszył i wybierze kobietę, która nie będzie patrzeć tylko na jego tytuł i fortunę. Kobietę, która może nawet go pokocha. On także szczerze będzie ją lubił, podziwiał, a może kochał.

Taniec przed kolacją wreszcie się rozpoczął, podszedł więc do Cassandry. Stała wraz z bratem w grupie bliżej mu nieznanym gości. Odwróciła się, gdy go zobaczyła.

- Lady Paget, to chyba mój taniec.

- Istotnie, lordzie Merton - odparła i wyciągnęła ku niemu dłoń, kładąc mu ją na rękawie.

Cóż to za sztywna etykieta. Piknik wydawał mu się wręcz snem. Dziwne, że lepiej go pamięta niż dwie noce spędzone w jej łóżku.

- Taniec przed kolacją to walc - powiedział, odchodząc razem z nią. - Czy mogę zatańczyć z tobą również ostatni taniec wieczoru?

- Możesz.

Spojrzeni na siebie, inne pary już się ustawiały.

- Czy w rozkwitającym romansie panny Haytor wydarzyło się coś nowego? - spytał z uśmiechem.

- Och, jak najbardziej. - Opowiedziała mu o popołudniowym spacerze do muzeum i urodzinowym przyjęciu na prowincji.

- U rodziny Goldinga? Czyżby szykowały się oświadczyzny?

- Myślę, że nastąpi to niedługo. Być może nawet w hrabstwie Kent. Wierzę, że będzie szczęśliwa. Od dawna, biedactwo, wyrzekła się wszelkich nadziei na małżeństwo, a troska o mnie sprawiła, że utknęła na wsi.

- Niepotrzebnie się obwiniasz.

- Racja. Ty nie chcesz, żebym czuła się winna?

- Za nic.

Zauważył brylantowe serduszko. Po raz pierwszy zdarzyło się, że włożyła jakąś ozdobę.

- Jakie ładne - powiedział. Szpic serduszka dotykał niemal końca dekoltu.

- Należało do mojej matki. - Cassandra dotknęła błyskotki palcami obciążonej rękawiczką dłoni. - Dostała je od ojca, kiedy się pobierali. Wesley dał mi je dziś wieczór.

W jej oczach coś podejrzanie błysnęło.

- A więc pogodziłaś się z bratem?

- Myślę, że miał wyrzuty sumienia z powodu tego, co wydarzyło się w parku. Przyszedł do mnie wczoraj.

- Nie masz do niego żalu?

- Nie. To mój brat i kocham go. Szczerze żałował swojego postępu. Gdybym nie umiała mu wybaczyć, które z nas bardziej by cierpiało? Nie ma chyba zresztą prostej odpowiedzi na to pytanie. Może oboje? No i po co? Żeby zadośćuczynić urażonej dumie? Najważniejsze, że poczuł wyrzuty sumienia i przyszedł się ze mną pogodzić. A teraz sam ryzykuje utratę reputacji, pokazując się ze mną publicznie i otwarcie przedstawiając mnie jako swoją siostrę.

Young nie powiedział jej o wizycie Stephena. Merton był mu za to wdzięczny. Wszystko skończyło się dobrze, ale nie miał prawa ingerować w jej życie. Mogłaby poczuć do niego niechęć. Nie żałował jednak, że to zrobił. Rodzinne kłótnie to coś najgorszego.

Orkiestra zaczęła grać. Stephen skłonił się przed Cassandrą, a ona dygnęła. Objął ją w pasie i ujął jej prawą dłoń, drugą położyła mu na ramieniu.

- Walc to najpiękniejszy z tańców. Czekałam na niego przez cały wieczór, a ty tańczysz go tak dobrze. Masz takie mocne dło nie i pachniesz po prostu bosko.

Zaśmiała się, bo spojrzał na nią oniemiały.

- Wiesz przecież, jaka jestem. Zachowuję się zuchwale, tak jak na balu twojej siostry, a powinnam udawać nieśmiałą. I robić wrażenie, że dałam ci się niemal przemocą namówić na taniec.

Roześmiał się. W jej oczach widniała szczerą wesołość. Okręcił ją wkoło i powtórzył to kilkakrotnie, aż wszystko wokół nich stało się wirem kolorów i światła, z nimi pośrodku.

Cassandra. Cass.

Wciąż się uśmiechała, policzki pokrył jej rumieniec, wargi lekko się rozchyliły. Odchyliła się od niego, tak by powstał niezbędny dystans między nimi, ale czuł jej ciało tuż przy sobie. Chłonał zapach tego ciała i woń perfum.

Zatrzymali się na chwilę podczas krótkiej pauzy, nic nie mówiąc i nie odwracając od siebie wzroku, a potem znów tańczyli w takt wolniejszej teraz, zachwycającej melodii.

Lubił ją, tak powiedział Vanessie, ale nie było właściwe słowo.

Rumieniec Cassandry pogłębił się, jemu zaczęło być za gorąco. Ciężki zapach kwiatów stał się męczący. Nawet muzyka brzmiała jakby za głośno.

Zbliżył się z nią w tańcu do dwóch francuskich okien, które pozostawiono uchylone, żeby wpuścić do sali chłodne, nocne

powietrze. Druga para takich samych drzwi znajdowała się po przeciwnej stronie. Stephen wprowadził ją na rozległy balkon, teraz pusty.

A także chłodny.

Nadal tańczyli, ale już bez szaleńczego wirowania. Zwolnili, a on przyciągnął jej dłoń do serca. Drugą ręką objęła go za szyję. Przygarnął ją tak blisko siebie, że jej piersi otarły się o jego pierś, a policzek o jego twarz.

W tej chwili nie myślał o rzeczywistości, o przyzwoitości czy dobrych obyczajach, co zwykle było jego drugą naturą.

Gdy muzyka ucichła, przestali tańczyć, ale stali objęci przez dłuższą chwilę w milczeniu, z zamkniętymi oczami. W każdym razie jej oczy były zamknięte.

A potem zajrzeli sobie głęboko w oczy przy świetle lamp, migoczących na balkonie.

I pocałowali się.

Ten pocałunek nie był głęboki ani namiętny, ale znacznie gorętszy niż te na pikniku. A także mówił wiele, choć bez słów.

Nie chciał go kończyć, a kiedy tak się stało, słowa stały się potrzebne, on zaś nie wiedział, co ma powiedzieć. Ani też co powinna powiedzieć Cassandra.

W końcu uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. A ona do niego.

I chyba w tym momencie zrozumieli, że patrzą na nich inni. Kilka osób musiało wymknąć się na świeże powietrze po tańcu. Inni patrzyli przez francuskie okno i dostrzegli ich w świetle balkonowej lampy. A pozostali zapewne pragnęli się przekonać, co też przyciągnęło tak powszechną uwagę.

Jakkolwiek było, pojęli, że wszyscy już zauważyli ich pocałunek. Nie był on co prawda bezwstydnym, ale każdy publiczny pocałunek ma w sobie coś nieprzyzwoitego, zwłaszcza gdy wymie-

nia go dwoje ludzi, którzy nie powinni się całować w żadnych okolicznościach.

Nie byli bowiem małżeństwem.

Ani parą narzeczonych.

Stephen spostrzegł trzy rzeczy - a właściwie cztery, jeśli wliczyć w to gwałtowne zaczerpnięcie tchu przez Cassandrę. Gdzieś pośrodku sali balowej Elliott utkwił w nim wzrok, uniósł brwi z groźną miną. Mina Cona była nieodgadniona. Wesley Young torował sobie drogę przez ciżbę ze spojrzeniem wręcz morderczym.

W ułamku sekundy pojął, że zniszczył reputację Cassandry, i to po tylu staraniach, które miały przywrócić jej szacunek dobrego towarzystwa, do którego przecież należała.

- O Boże - powiedział, ujmując ją kurczowo za rękę, drugą dłonią przejeżdżając sobie po włosach. - Nie w ten sposób chcieliśmy to ogłosić, ale zmusza nas do tego mój własny postępek. Panie i panowie, czy mogę wam przedstawić moją narzeczoną, lady Paget? Właśnie przed chwilą zgodziła się ofiarować mi swoją rękę i, jak się obawiam, moja radość wzięła górę nad dobrym wychowaniem.

Znowu znacząco ścisnął jej dłoń.

A ona zdobyła się na najbardziej czarujący z uśmiechów.

Cassandra czuła tylko straszliwą konsternację.

Właśnie miała przybrać najbardziej wyniosłą z min i przejść koło wszystkich, kierując się ku jadalni. Miała na sumieniu coś znacznie gorszego niż ten pocałunek. Mogła go nawet powtórzyć.

Istnieją jednak takie rzeczy jak ostatnia kropla przepełniająca czarę i chyba to się zdarzyło.

Nim zdążyła się ruszyć, Stephen wygłosił swoje oświadczenie.

Puścił jej dłoń tylko po to, by ująć ją pod ramię i przyciągnąć do siebie.

Kiedy wszystko inne zawiedzie, trzeba się uśmiechać.

I Cassandra uśmiechała się.

Wesley dotarł do balkonu, przepychając się przez wszystkich, i stanął przed nimi z miną tak wściekłą, że wyglądał wręcz komicznie.

- Cassie - spytał - czy to prawda?

Cóż innego mogła zrobić? Skłamała.

- Tak, to prawda, Wes - odparła i nagle zrozumiała, że nie może już uniknąć skutków publicznego pocałunku i zapobiec katastrofie. Wesley dopiero co się z nią pogodził. Odpokutował za swoje tchórzostwo w Hyde Parku, okazane w chwili, gdy go potrzebowała, a teraz brał na siebie rolę samozwańczego opiekuna. Gdyby Stephen nie zabrał głosu, nastąpiłaby gorsząca publiczna scena. Wesley prawdopodobnie uderzyłby Mertona lub wyzwiał go na pojedynek. A może i jedno, i drugie.

Wolała o tym nie myśleć.

Nagle Young uśmiechnął się. Może i on uświadomił sobie, że trzeba jakoś wybrnąć z tej kabały. Uścisnął ją mocno.

- Przyznam, Merton, że z początku źle to zrozumiałem, ale jestem szczerze uradowany, choć wydaje mi się, że mógłby mnie pan wcześniej spytać o zgodę. Ale co tam, Cassie jest w końcu dorosłą osobą.

Wyciągnął ku niemu prawicę, a Stephen mocno nią potrząsnął.

Widzowie jednak nie rozeszli się szybko, chociaż czekała na nich kolacja. Rozległ się szmer głośnych rozmów, słychać było, że większość zebranych przyjęła nowinę zjadliwie - tak się przynajmniej zdawało Cassandrze - aczkolwiek nie wątpiła w zgorzienie mnóstwa z tych ludzi. No cóż, piękny lord Merton, jedna

z najbardziej pożądanym partii, zaręczył się z morderczynią, która zabiła męża siekierą.

Na pewno młode damy będą dzisiejszego wieczoru niepokieszone.

Siostry Stephena podeszły do nich i wszystkie uściskały najpierw jego, a potem Cassandrę ze szczerym zadowoleniem. Mężowie ich uścisnęli Stephenowi dłoń i skłonili się przed nią. To samo zrobił Huxtable, choć Cassandrze wydało się, że spojrzenie jego czarnych oczu przenika ją na wskroś.

Nie umiała ocenić, czy jego rodzina istotnie była zadowolona. Mogło być inaczej, lecz jako ludzie dobrze wychowani musieli ukryć zaskoczenie słowami Stephena przed niemal połową eleganckiego świata Londynu.

Nie mieli wyboru, ale sprawiali wrażenie uradowanych.

- Moja droga - Stephen uśmiechnął się do niej i znów ujął ją pod ramię - musimy pomówić z lordem i lady Compton-Haig.

- Oczywiście.

Dlaczego musieli? W tej chwili nie mogła sobie nawet przypomnieć, kim właściwie są ci ludzie.

Większość gości albo straciła zainteresowanie nimi, albo, co bardziej prawdopodobne, uznała, że pomówi o tym incydencie po kolacji. Tłum się przeredził. Lady Compton-Haig stała wraz z mężem przy drzwiach sali balowej i Cassandra przypomniawsza sobie, kim byli. Gospodarzami balu!

- Tak, oczywiście - powtórzyła.

Byli na tyle uprzejmi, by jej przysłać zaproszenie - pierwsze, jakie otrzymała od czasu wizyty na wieczorku towarzyskim lady Carling.

- Madame... - Stephen pochylił się nisko, ujął dłoń lady Compton-Haig i uniół ją do ust. - Przepraszam za to, że uczyniłem

pani bal miejscem ogłoszenia mych zaręczyn bez uprzedniego porozumienia. Nie zamierzałem robić tego dzisiaj, lecz piękno sali balowej i zachwycająca muzyka przyspieszyły moją decyzję. Gdy zaś lady Paget wyraziła zgodę, no cóż, straciłem głowę, a potem nie miałem już wyboru i musiałem dokładnie wyjaśnić każdemu, dlaczego pocałowałem ją na pani balkonie.

Wicehrabia Compton-Haig zasnurował wargi, ale jego żona roześmiała się z całego serca.

- Nie musi pan przeproszać, lordzie Merton, za ogłoszenie zaręczyn. Jestem szczerze zadowolona i czuję się zaszczycona tym, że pan to uczynił. Nie mamy niestety dzieci, choć Alastair ma dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Nigdy więc się nie spodziewałam, że dojdzie do oficjalnych zaręczyn w moim własnym domu. Zamierzam to spożytkować, lady Paget.

A potem ujęła Cassandrę pod ramię i poprowadziła ku jadalni, kłaniając się i uśmiechając do gości. Posadziła lady Paget przy głównym stole, tuż przy sobie. Stephen, który siedł za nią u boku wicehrabiego, usiadł po jej drugiej stronie.

Większość gości pochłonięta była własnymi rozmowami, co Cassandra stwierdziła z pewną ulgą. Wydawało się jej jednak, że rozmowy brzmią głośniejsz i są bardziej ożywione niż zwykle. Niektórzy spoglądali ku nim i uśmiechali się lub kiwali głowami albo po prostu się na nich gapili. Opinia publiczna da o sobie znać nazajutrz, kiedy wszyscy przetrawią wieść i zrozumieją, że wdowa o nadszarpniętej reputacji - w końcu otrzymała tylko jedno zaproszenie - złapała na męża jednego z najbardziej pożądanym kawalerów w całej Anglii.

Najzabawniejsze zaś było to, że od czasu pocałunku Stephen i ona niemal na siebie nie patrzyli, nie zamienili też ani jednego słowa. Choć siedzieli razem przy kolacji, każde z nich rozmawiało z innym sąsiadem. No i uśmiechali się - przez cały czas.

Stephen przeżyje gorzkie rozczarowanie, gdy wiadomość o ich zaręczynach nie ukaże się w gazetach i kiedy dla wszystkich stanie się jasne, że wcale nie są narzeczonymi.

Mężczyźni szybko przestaną sobie tym zawracać głowę, kobiety będą uradowane i też im wybaczą.

Boże broń, lepiej byłoby, gdyby tu dziś nie przyszła i nie zgodziła się zatańczyć z nim walca. I gdyby nie wirowała z nim aż do samego balkonu. No i gdyby nie pozwoliła mu na pocałunek.

Choć nie - nie jest sprawiedliwa. Nie musiała wcale na nic pozwalać, bo sama chętnie brała w tym udział.

Ale nie w ogłoszeniu zaręczyn.

Uczciwość kazała jej jednak przyznać, że właściwie nie miał wyboru i musiał zrobić to, co zrobił.

Oby tylko adwokat miał rację, kiedy mówił o dwóch tygodniach.

Lord Compton-Haig, przynaglony przez żonę, wstał i zaproponował toast na cześć świeżo zaręczonej pary, a wtedy powstali wszyscy, kieliszki zadzwoniły i wypito ich zdrowie przed powrotem do sali balowej. Stephen poprowadził do tańca księżnę Moreland, swoją siostrę, Cassandra tańczyła z księciem. Jego poważna mina świadczyła o tym, że miałby jej sporo do powiedzenia, gdyby tylko zyskał ku temu sposobność.

Przypomniała sobie, że książe był kiedyś prawnym opiekunem Stephena.

Powiedział tylko jedno, co w jakiś osobliwy sposób sprawiło, że ciarki jej przeszły po plecach.

- Musi pani wkrótce przyjść do nas na obiad, lady Paget. Księżna jakoś to urządzi. Powie nam pani wtedy w dogodnej chwili, w jaki sposób zamierza pani dać szczęście Mertonowi.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Nie musi się pan o to martwić, wasza wysokość - odparła i spostrzegła, że ma błękitne oczy, jedyny rys, który różnił go

od Huxtable'a. - Moje marzenia dotyczące jego osoby są bardzo zbliżone do pańskich.

Sklonił się i zaczął tańczyć następną figurę z inną damą.

Gdy muzyka ucichła, Cassandra pragnęła jedynie poprosić Wesleya, żeby zabrał ją do domu. Było to jednak niewykonalne. Nie mogła opuścić mężczyzny, którego ofertę małżeńską przyjęła ponoć dziś wieczór.

Znalazła jednak inne, lepsze rozwiązanie. Księżę odprowadził ją do Wesleya, lecz brat rozprawiał akurat o czymś z ożywieniem w grupie przyjaciół i ledwie się do niej uśmiechnął. Rozłożyła wachlarz i rozejrzała się po sali. Bez trudu dostrzegła Stephena - szedł akurat w jej stronę z rozjaśnioną twarzą.

Och, jakże się musi teraz czuć dotknięty!

A jak się ona czuła! Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji, choć Bóg jeden wie jakie.

- Właśnie się zaczyna ostatni taniec, a on chyba należy do mnie.

- Stephenie - powiedziała - zabierz mnie stąd do domu.

Spoważniał i skinął głową.

- Doskonale. Unikniemy w ten sposób tłoku po ostatnim tańcu. Przyjechałaś tu z bratem? Powiem mu, że ja cię odprowadzę. Jest tu gdzieś niedaleko.

- Wesleyu - powiedziała, odrywając brata na chwilę. - Stephen odwiezie mnie do domu swoim powozem. Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie - odparł i uściśnął rękę Stephenowi.

- Mam nadzieję, że będziesz dobrze ją traktował, Merton. Miałbyś ze mną do czynienia, gdyby było inaczej.

Ci mężczyźni! Cóż z nich za komiczne, zaborcze istoty! Czasem im się chyba zdaje, że kobiety nie umiałyby samodzielnie oddychać bez ich pomocy.

Spodobało jej się jednak, że Wesley powiedział Stephenowi to, czego nie powiedział nikt Nigelowi, nim za niego wyszła. Jej ojciec był na to zbyt dobroduszny i zanadto dbał o siebie samego.

Pocałowała brata w policzek.

- I ja się spodziewam, Young - odparł Stephen - że nigdy do tego nie dojdzie. Twoja siostra ma teraz godnego obrońcę.

Przeprosili Compton-Haigów za to, że nie wezmą udziału w ostatnim tańcu. Lady Compton-Haig wyglądała raczej na wzruszoną niż urażoną, oboje też odprowadzili ich do holu i machali na pożegnanie, gdy powóz Stephena podjechał pod wejście.

Kareta ruszyła, a Cassandra wsparła głowę o miękkie poduszki i przymknęła oczy.

Stephen odszukał jej dłoni w ciemności. Była zbyt znużona, by ją cofnąć.

- Cassandro, moja miła, tak mi przykro. Powinienem starać się ciebie w dyskretniejszy sposób, mniej natarczywie. I poprosić cię o rękę, nim oznajmię o zaręczynach wszystkim. Ale tak się złożyło, że mogłem zrobić tylko to jedno.

- Wiem. Przez jedną krótką chwilę byłam po prostu szalona. Zachowaliśmy się oboje nadzwyczaj nierozważnie. Nie oskarżam cię o nic i przecież nie dałam się uwieść. To tylko chwila nierozwagi. Na nieszczęście twój postępek sprawi, że jutro i przez następne dni wszyscy będą szukać w gazetach oficjalnego ogłoszenia zaręczyn, które się tam nie pojawi. A ludzie, jak zawsze, w końcu zapomną. Przecież zaledwie po tygodniu wysłali zaproszenie morderczynie, która zabiła męża siekierą.

- Cass, ogłoszenie się ukáže. Owszem, nie jutro. Już na to za późno. Ale pojutrze. A my musimy zdecydować, gdzie i kiedy odbędzie się ślub - czy w kościele Świętego Jerzego, w asyście połowy dobrego towarzystwa Londynu, czy też bardziej prywatnie. Może w Warren Hall. Ludzie i tak zasypią nas pytaniami.

No tak, mogła się spodziewać, że do końca będzie rycerski.

- Ależ ty mi się przecież wcale nie oświadczyłeś, prawda? - spytała, otwierając oczy. - A ja nie przyjęłam żadnych oświadczeń. I nie chcę ich wcale przyjąć, nawet gdybyś teraz mnie o to poprosił. Ani dziś, ani później. Ani twoich, ani nikogo innego. Jedyną rzeczą, której nigdy nie zrobię, jest ponowne wyjście za mąż.

Słyszała, jak nabierał już tchu, żeby jej odpowiedzieć, ale nie powiedział nic.

Przejechali resztę drogi bez słowa.

Gdy tylko powóz stanął, wyskoczył, spuścił schodki i pomógł jej wysiąść. A potem zatrzasnął drzwi, i właśnie miał wydać polecenie woźnicy, gdy powstrzymała go ostro:

- Nie wejdiesz ze mną. Nie zaprosiłam cię.

Powóz odjechał.

- Wejdę.

Tak jak tydzień temu, kiedy jej wybór padł na niego, stwierdziła, że Stephen Huxtable, hrabia Merton, ma żelazną wolę i w pewnych sprawach będzie nieugięty. A to była właśnie jedna z takich spraw. Mogła się z nim spierać, lecz w końcu i tak postawiłby na swoim. Szkoda czasu. Spadło kilka kropel deszczu, na niebie nie widać ani jednej gwiazdki. Za chwilę zacznie się ulewa.

- Och, dobrze - odparła z rozdrażnieniem i poszła wyjąć klucz z donicy przy schodach.

Wziął go od niej, otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i zamknął drzwi za nimi.

Alice, Mary i Belinda już pewnie od dawna leżały w łóżkach. Nikt jej nie wspomógł. Zresztą i tak nie mogłyby nic zrobić. Jeden rzut oka na twarz Stephena w mdłym świetle świecy przekonał ją, że jest rozgniewany, zawzięty i zamierza przeprowadzić z nią niełatwą rozmowę.

Wszedł do bawialni, wyniósł stamtąd długą świecę, zapalił ją od świecy w holu, którą zgasił, i znów wrócił do bawialni. Jakby ten dom należał do niego. Bo też i tak było. Przecież to jego pieniędzmi zapłaciła czynsz.

18

Co za nieznośna sytuacja.

Musi go poślubić i z pewnością o tym wie. Jej pozycja towarzyska była, delikatnie mówiąc, niepewna. Jeśli wycofa się z zaręczyn, nigdy już jej nie odzyska.

- Wiesz przecież, że cię kocham - powiedział i wstawił świecę do lichtarza na gzymsie kominka.

I naraz zrobiło mu się słabo, gdy to powiedział głośno. Wręcz zdziwił się, że w ogóle był do tego zdolny. Gdy rozmawiał dziś z Nessie, użył słów „lubię ją”, ale czy to oznaczało, że rzeczywiście ją kocha, na śmierć i życie?

Myślał, że tak, ale wszystko stało się potem zbyt szybko. Nie miał czasu, by się naprawdę w niej zakochać.

Tyle że teraz nic się już nie liczyło.

Dobry Boże, nigdy dotąd nie całował się z kobietą publicznie. Dziś postąpił w sposób niewybaczalny. Zwłaszcza wobec Cassandry.

- Nie. Nie kochasz mnie - odparła. Usiadła w swoim fotelu, założyła nogę na nogę i kołysała pantofelkiem. Oparła wygodnie dłonie na poręczach fotela i wyglądała na zupełnie spokojną. Przybrała też swoją lekko wzdorliwą minę. Starą maskę.

- Uważam, że mnie lubisz i z sobie tylko wiadomych powodów postanowiłeś się ze mną zaprzyjaźnić, wprowadzić mnie na salony, a także wspierać finansowo, póki nie stanę na własnych

nogach. Bez wątpienia też pragniesz mnie, gdyż dwa razy spędziłeś ze mną noc, co ci się podobało tak, że chętnie byś to znowu zrobił. Ale mnie nie kochasz.

- Uważasz więc - spytał zirytowany - że znasz mnie lepiej, niż ja znam samego siebie?

W tym, co mówiła, było sporo prawdy. Nawet teraz jej pragnął. Czerwonopomarańczowa suknia i rude włosy połyskiwały w blasku świecy, była piękna, nawet z tą wzgardliwą miną. Znów był w jej domu nocą i nie mógł się pozbyć wrażenia, że wspaniale byłoby jeszcze raz się z nią kochać.

- Chyba tak- odparła, a jej twarz złagodniała, gdy tak patrzyła na niego. - Urodziłeś się współczujący i szlachetny, Stephenie. Tytuł i bogactwo nie zniszczyły w tobie tych cech, jak to się dzieje w wypadku wielu innych mężczyzn. Stało się tak jednak również dlatego, że starasz się okazać wart tej fortuny. Szlachetnie złożyłeś mi dziś małżeńską ofertę czy raczej ogłosiłeś nasze zaręczyny. A teraz równie szlachetnie przekonujesz samego siebie, że na prawdę chcesz mnie poślubić. Myślisz, że to miłość, nawet w to wierzysz. A tymczasem wcale mnie nie kochasz.

Stephen czuł gniew, lecz czy Cassandra nie miała racji? Jakże mógłby się w niej tak nagle zakochać? I to w kobiecie tak różnej od jego ideału przyszłej żony? Jakże mógł nawet rozważać możliwość tego małżeństwa, w które sam wątpił?

A jednak...

- Mylisz się - powiedział - i z czasem się o tym przekonasz, ale to nieważne, czy ty masz rację, czy ja. W zeszłym tygodniu zbyt często widywano nas razem, by nie wzbudziło to zainteresowania i domysłów, a dziś zaskoczono nas na balkonie, kiedy się całowaliśmy. Możemy zrobić już tylko jedną rzecz, pobrać się.

- Czy z powodu jednej nieostrożnej chwili - wyznała powoli, postukując palcami po poręczu fotela - musimy poświęcić całą

resztę naszego życia? O tak, towarzystwo właśnie tego się od nas spodziewa i tego żąda. Czy nie widzisz, jakie to groteskowe?

Tak, to było groteskowe, i byłoby takie jeszcze bardziej, gdyby się wzajemnie znienawidzili.

- Jedna nieostrożna chwila - powtórzył. - Czy właśnie tym był nasz pocałunek? Niczym więcej?

Milczała przez chwilę.

- Spędziliśmy razem dwie noce, Stephenie, ale musimy o tym zapomnieć. Jesteś bardzo pociągającym mężczyzną, ja też mam swoje zalety. Tańczyliśmy razem walca, a w sali zrobiło się gorąco. Poszukaliśmy więc ochłody i samotności na balkonie. To, co się potem zdarzyło, było niemal nieuniknione, choć, oczywiście, nieostrożne. A także bezmyślne.

- A więc to tylko pożądanie, nic więcej?

- Nic więcej.

- Chyba sama rozumiesz, że nie. Jeśli któreś z nas się oszukuje, Cass, to ty, a nie ja.

- Jesteś doprawdy bardzo miły.

Zniecierpliwiło go to w końcu i napełniło goryczą. Stał tyłem do kominka, z rękami założonymi za plecy.

- Jeśli zerwiesz zaręczyny, wybuchnie skandal.

Wzruszyła ramionami.

- Ludzie zapomną. Zawsze tak jest. A my dostarczyliśmy im tego, co najbardziej lubią - tematu do dwuznacznych plotek.

- Owszem - zgodził się - w normalnych okolicznościach groziłoby nam co najwyżej parę tygodni żenującego zakłopotania. Ale, wybacz, Cass, to nie są zwykłe okoliczności. Przynajmniej gdy chodzi o ciebie.

Zacisnęła usta i spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Wytworny świat przyjmie cię znów z radością - odparła - jak zbłąkaną owieczkę. Wszystkie damy będą szlochać z radości

i w końcu wybierzesz jedną z nich i będziesz z nią żył szczęśliwie aż do śmierci. Zobaczysz.

Patrzył na nią tak długo, że aż uniosła brwi. Przestała kołysać pantoflem, nie zakładała już nogi na nogę i wygładziła suknię.

- Czasami wpatrujesz się w coś tak intensywnie, Stephenie, że twoje oczy są wymowniejsze od słów. To okropne. Z oczami nie można się spierać.

- Zrzuć sobie życie.

- Czy już tego nie zrobiłam? - spytała ze śmiechem.

- Ale się podźwignęłaś. Jesteś przyjmowana, przysyłają ci zaproszenia. Bywasz u mojej rodziny. Brat się z tobą pogodził. Czy to coś złego? Czy sądzisz, że po ślubie będę cię bił? Ze z mojej winy poronisz? Czy możesz spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, że boisz się mnie?

Pokręciła szybko głową i przymknęła oczy.

- Nie mogę nic wnieść do tego małżeństwa, Stephenie. Ani na dziei, ani marzeń, ani młodości. Tylko te widmowe okowy, które za sobą wlokę. A także perspektywę nowych oków, które małżeństwo narzuci mi zaraz po wyrzeczeniu się wolności. Nie, nie wierzę, że będziesz mnie maltretował. Bylibyśmy obydwójcie nieszczęśliwi.

Serce mu się ścisnęło. Nie nosiła teraz maski, mówiła prawdę. Nie mogła wyjść za mąż. Jeden raz to było zbyt wiele.

Nie miał więcej argumentów, które mogłyby ją przekonać.

On też był teraz wolny, miał wolność, której już nie chciał.

Może jutro będzie myślał inaczej. Może oprzytomnieje.

Po dłuższej ciszy usiadł w fotelu naprzeciwko niej, wsparł łokieć na poręczy i podparł głowę. Nie czuł jednak ulgi, zbyt bolało go rozczarowanie, żal, oszołomienie i rozpacz.

Wkrótce jednak wpadł na pewien pomysł.

- A może postąpimy inaczej? Pozwól mi zamieścić anons o naszych zaręczynach w gazetach. Poczekaj, nie kręć głową,

posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Uroczyście wyprawimy przyjęcie w Merton House. Niech nasze narzeczeństwo potrwa do końca sezonu. A latem zerwiesz je po cichu, kiedy towarzystwo rozproszy się po całej Anglii. Wtedy razem zadecydujemy, co zrobić z naszym życiem, ale przynajmniej...

- Nie potrzebuję takiego wsparcia, Stephenie. Nie byłabym w stanie odplacić ci tym samym. Byłam dziś rano z Wesleyem u adwokata, który ma zupełną pewność, że zdołam odzyskać moją biżuterię i pieniądze, które mi się należą na mocy kontraktu ślubnego i testamentu Nigela. A także prawo do korzystania z londyńskiej rezydencji i prawo pobytu w posiadłości, czego oczywiście nie chcę. Bruce nastraszył mnie i uwierzyłam, że muszę wybierać między wolnością a tym, co mi się należy jako wdowie. Nie zostałam jednak tego wyboru, gdyby był przekonany, że naprawdę mogę zostać skazana za morderstwo. Zrozumiałam to w ostatnich kilku dniach i postanowiłam, że będę walczyć, a nie trząść się ze strachu. Moja sytuacja bardzo się poprawi. Będę niezależna.

Poczuł szczere zadowolenie. Jak to się stało, że wcześniej o tym nie pomyślał? Przecież miała rację. Obecny lord Paget uznał, że łatwo mu będzie zastraszyć kobietę, którą przez dziesięć lat terroryzował jego ojciec.

Dobrze jednak, że ona o tym pomyślała, że sama znalazła sposób, by wziąć przyszłość i życie w swoje ręce, a także, co ważniejsze, uzdrowić własną duszę.

- Co zrobisz, kiedy już tę niezależność uzyskasz?

- Kupię jakiś domek na wsi i będę tam spokojnie żyć, zapomniana przez wszystkich. - Uśmiechnęła się do niego, tym razem całkiem szczerze. - Życz mi powodzenia, Stephenie.

- Wolisz takie życie od małżeństwa ze mną? - spytał niepotrzebnie. Odpowiedź była oczywista. Jednocześnie ucieszyła go i zaskoczyła.

- Tak - powiedziała cicho. - Ale zgadzam się na twój plan, Stephenie. Muszę ci pozwolić na rycerskość. Nie chcę cię upokarzać przed wszystkimi, skoro byłeś dla mnie taki dobry. Daj ten anons o zaręczynach, a ja będę je świętować razem z tobą i gośćmi, których zechcesz zaprosić do Merton House. Będę odgrywać rolę szczęśliwej, zakochanej narzeczonej do końca sezonu. A potem zwrócę ci wolność. Zdaje mi się, że będę też mogła zwrócić ci wszystko, co mi zapłaciłeś. Czy mogę się uważać za uwolnioną z zobowiązań kochanki?

- Oczywiście - odparł, choć z jakiegoś powodu poczuł się tym dotknięty. - Nie żądałem chyba za wiele, Cass. Jeśli ci się narzucałem z moją obecnością, to nie dlatego, że zostałeś moją kochanką. Po prostu chciałem ci pomóc.

- Wiem i jestem ci za to wdzięczna. Ale jestem również wolna, a przynajmniej będę, gdy tylko dostanę z powrotem moje pieniądze i własność. A skoro w zasadzie już tak jest, pozwól, że serdecznie cię tu zaproszę. Czy zostaniesz ze mną?

Przez chwilę poczuł, że jej gorąco pragnie, lecz namyślał się nad odpowiedzią. Czy zrobi mądrze? Czas najwyższy, by o tym pomyśleć teraz, skoro dwukrotnie zrobił to bez zastanowienia.

- Jakież to będzie upokarzające - powiedziała z rozbawieniem - jeśli powiesz: „nie”.

Alice, Mary i Belinda spały na piętrze. Żeby tylko...

- Powinno to być najprostszą rzeczą na świecie, a nie najtrudniejszą.

- Co takiego? - spytał, wstając. Nachylił się nad jej fotelem i wsparł na jego poręczach.

- Uwiedzenie anioła.

Pocałował ją.

Nie, to nie będzie trudne. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi, ale Cassandra zostanie jego żoną.

Uniósł ją nieco, by mogła wstać, a potem objęli się i całowali z wzrastającym pożądaniem.

- Myślę - powiedziała, odchylając głowę do tyłu - myślę, że dalszy ciąg powinien nastąpić na piętrze.

- Bo tutaj ktoś nam może przerwać?

- Tak jak na balkonie? Nie, ale...

Ktoś zastukał cicho do drzwi bawialni.

Co się stało? Przecież jest już co najmniej północ. Ktoś musiał zachorować! Cassandra oderwała się od Stephena i podbiegła do drzwi. Alice? Belinda? Tuż za drzwiami stała Mary, a koło niej...

- William! - Cassandra objęła pasierba, tylko o rok od niej młodszego. - Wróciłeś! Jak nas znalazłeś?

- Przyjechałem w samą porę - powiedział i objął jednym ramieniem Mary. - Zmykałem przedtem tak pośpiesznie, że nie miałem czasu o wszystkim pomyśleć jak należy, po prostu wskoczyłem na statek płynący do Kanady. Dopiero gdy znalazłem się na pełnym morzu, zrozumiałem, że źle zrobiłem. Z początku chciałem zniknąć na jakiś czas, póki wszystko nie ucichnie. Ale za daleko się wybrałem, dosłownie i w przenośni. Wściekle długo trwało, nim się znalazłem w Kanadzie, i nim stamtąd wróciłem. Tym bardziej że nic ze sobą nie wziąłem i musiałem harować, żeby mieć na podróż do domu. I tak miałem szczęście, że nie musiałem czekać do przyszłego roku.

- Wejź, tu jest dużo jaśniej - zachęciła go Cassandra. - A ty, Mary, także, rzecz jasna.

O Boże, w końcu William był ojcem Belindy.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, Cassie - powiedział William, wchodząc do bawialni - co czułem, kiedy przyjechałem do Carmel House tydzień temu i nie znalazłem tam ani Mary, ani Belindy, a potem dowiedziałem się, że ty...

Urwał nagle, widząc, że ktoś jeszcze jest w pokoju.

- Stephenie, to jest William Belmont, drugi syn Nigela. Hrabia Merton, Williamie.

Obydwaj mężczyźni wymienili ukłony.

- Nie miałem dotąd możliwości pana poznać.

- Rzadko bywam w Londynie - wyjaśnił William. - Nigdy go zresztą nie cierpiałem. Przez kilka lat mieszkałem w Ameryce, potem przez parę następnych w Kanadzie. Właśnie wróciłem z drugiego pobytu w tym kraju. Zawsze mnie ciągnęło do szerokich przestrzeni, choć muszę przyznać, że od roku coraz mniej.

Obejrzał się za siebie. Mary wciąż jeszcze stała w drzwiach. Wyciągnął ku niej rękę.

- Zna pan moją żonę, Merton? - spytał. - Czy wiedziałaś, Cassie, że nią została? Mary mówi, że nie, ale trudno mi w to uwierzyć. Przecież z tego powodu wybuchła cała ta piekielna awantura.

- Awantura? Tamtej nocy?

Cassandra ze zdumieniem wodziła wzrokiem od Williama do Mary.

- Wyszłaś za Williama?

- Proszę o wybaczenie, milady - odezwała się Mary, nadal nie wchodząc do pokoju. - Kiedy Billy wrócił z morza do domu i dowiedział się o Belindzie, zaraz poszedł po specjalne zezwolenie. Pobraliśmy się dwadzieścia mil od Carmel House na dzień przedtem, zanim... zanim znowu odjechał. Powiedział mi, że wróci, kiedy tylko będzie mógł, i zrobił tak.

Patrzyła na Williama z bezbrzeżną czułością.

- Chodź tu bliżej, kochanie - powiedział i skinął na nią, póki nie zbliżyła się tak, by mógł ją wziąć za rękę, ona jednak wciąż kryła się za nim.

- Byłaby z niej dzielna pionierka, prawda, Cassie? Ona tylko wygląda na kruchą, ale ani myślę poddawać ją próbie. Chcę teraz osiąść gdzieś w kraju i, na Boga, zatroszczyć się o nią i o Belinę. To znaczy, kiedy już wszystko załatwię z tobą. Jak Bruce mógł być takim głupcem, żeby sobie wbić do łba...

Urwał nagle i spojrzał z ukosa na Stephena, który tak jak przedtem stał przy kominku z rękami za plecami.

- Lepiej jutro z panem o wszystkim pogadam - powiedział. - Ale wolalbym zostać tu na noc, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Przecież to moja żona i dziecko.

Cassandra spojrzała na Stephena. Nie jest tak naprawdę jego narzeczoną i nigdy za niego nie wyjdzie. Był jednak dla niej niezwykle dobry i zawdzięczała mu coś więcej: uczciwość. Choć wypytywał ją o jej życie i małżeństwo, a także o to, czy zabiła Nigela - na co dała twierdzącą odpowiedź - nie pytał o szczegóły, powściągnął ciekawość. A ona go okłamała.

- Mów, Williamie. Hrabia Merton jest moim narzeczonym. Rano ogłosił to w gazetach.

Mary położyła obie dłonie na piersi, gdy William podszedł do Stephena i uścisnął mu rękę.

- Miło mi to słyszeć. Porządny z pana chłop, Merton. Cassie zasłużyła sobie na trochę szczęścia. Nie wierzy pan chyba w to, co o niej plotą, że zabiła mojego ojca siekierą? Też coś! Nawet na Dzikim Zachodzie niewiele kobiet potrafi choćby dźwignąć siekiere, a co dopiero mówić o tym, żeby mogły nią coś złego zrobić.

- Nie, nie wierzę w to - mruknął Stephen i spojrzał na Cassandrę. - A nawet gdyby to była prawda, domyśliłbym się, że zabiła go w obronie własnej, a nie zamordowała z zimną krwią.

- Mój ojciec potrafił być okrutnikiem - ciągnął William. - Kiedy pił, diabeł w niego wstępował, no ale trunek nie zrobiłby

z niego łajdaka, gdyby sam po tę butelkę nie wyciągał ręki. A kiedy już pił, choć nie robił tego często - choć i tak za często - stawał się kimś innym. Cassie pewnie panu o tym mówiła.

- Tak.

- Ale nie powiedziała chyba - William zmrużył nagle oczy - że go zastrzeliła podczas jednego z jego pijaństw? Nie mówiłaś mu tego, Cassie?

Cassandra wzruszyła ramionami.

- Chyba powinniśmy porozmawiać wszyscy razem - odparła i zamiast jak zwykle usiąść w fotelu, wybrała sobie starą, dwuosobową kanapkę, a Stephen usiadł przy niej. Rękaw jego ubrania ocierał się o jej nagie ramię.

William podsunął Mary krzesło używane zazwyczaj przez Alice. Usiadła na samym jego skraju, najwyraźniej nie czując się wygodnie. Mąż trzymał ją za rękę.

- Kłopot z moim ojcem - zaczął, patrząc na Stephena - polegał na tym, że nigdy nie wyglądał na pijanego, prawda, Cassie? Dopiero jak mu się spojrzano w oczy, to człowiek widział wreszcie, co z nim jest. Rzadko pijał w domu i prawie nigdy nie w pojedynkę. Kiedy mu tamtego ranka powiedziałem o moim ożenku, był chyba trzeźwy. Musiał zacząć pić, kiedy odszedłem. Nie spodobało mu się to, co ode mnie usłyszał. A kiedy już zaczął pić, to nie mógł przestać. Wieczorem... Usłyszałem, jak wrzeszczy, i pobiegłem zobaczyć, co się dzieje.

- Posłał mnie po drugą butelkę - odezwała się Mary niemal szeptem, patrząc na Williama z rozpaczą w oczach. - Nigdy tego dotąd nie robiłam, ale pan Quigley sparzył sobie akurat rękę o kociołek, pani Rice ją opatrywała, a było już późno i w kuchni nie zostało dużo służby. Ktoś mi kazał, żebym ja mu ją zaniósła. Nie powinnam była tam iść. Powiedziałeś mi, Billy, że obiecałeś wrócić po mnie przed wieczorem i... A tu pani Rice mi mówi,

żebym się miała na baczności, bo jego lordowska mość znowu pije.

- To nie była twoja wina, kochanie, ani nikogo z nas. Nie powinienem był odchodzić, ale chciałem zamówić nocleg dla nas w oberży, skoro ojciec powiedział, że nie możemy już spać pod jednym dachem. Cassie usłyszała, jak krzyczysz, przybiegła ci z pomocą i oberwała po twarzy. Potem panna Haytor też chciała coś zrobić, a kiedy ja wpadłem do domu, słyszałem tylko, jak ojciec głośno ryczy. Kiedy otworzyłem drzwi do biblioteki, zobaczyłem, że miał w ręce pistolet, i wszyscy się przelękli.

- Myślę - odezwała się Cassandra, ściskając kurczowo dłoń Stephena, z czego dopiero po chwili zdała sobie sprawę - że lepiej już nic więcej nie mówić, Williamie. Śmierć oficjalnie uznano za wypadek. Twój ojciec czyścił pistolet, który nieoczekiwanie wypalił. Niczego innego nie dowiedziono. Nie chcę, żeby...

- Kto wie, co by zrobił, gdybym tam nie wpadł - odparł William. - Może by zastrzelił kogoś z was. Ale kiedy mu go chciałem wydrzeć, walczył ze mną przez chwilę, a potem odwrócił pistolet, całkiem rozmyślnie, i strzelił sobie prosto w serce.

W pokoju zapadła cisza, Cassandra spostrzegła, że w drzwiach stoi Alice.

- Tak było, cały czas ci mówiłam, Cassie. Widziałam to! Ty nie, bo pan Belmont stał między tobą a mężem, Mary zaś zakryła twarz rękami. Ale ja widziałam. Lord Paget sam się zastrzelił.

- On się już zaczął brzydzić samym sobą - ciągnął William. - Pewnie nagle zrozumiał, że może kogoś zabić. Chyba doznał jakiegoś przebłysku trzeźwości, Cassie. W każdym razie to nie był wypadek ani morderstwo. On się sam zastrzelił. Uciekłem, bo gdyby się rozeszło, że poślubiłem Mary, ktoś mógłby uznać, że pokłóciłem się z ojcem i zastrzeliłem go. Oskarżono by mnie o morderstwo, a Mary o to, że była moją współniczką. Uciekłem,

bo miałem zamęt w głowie i zdawało mi się, że lepiej poczekać, aż wszystko za jakiś czas ucichnie. Skoro mnie tam nie będzie i nikt nie dowie się o moim małżeństwie, uzna się jego śmierć za wypadek, i tak też orzeczono. Zabroniłem Mary mówić komukolwiek o naszym ślubie. Powiedziałem, że wrócę do niej za rok. No cóż, trochę się spóźniłem, wybac mi, kochana. Myślałem jednak, że ty, Cassie, wiesz o tym, że on ci to powiedział, albo może Mary. Nie wiedziałem, że ktokolwiek oskarży cię o jego śmierć, w dodatku siekierą, coś podobnego! Czy wszyscy powariowali?

- A ty Cassie, uważałaś, że chcę cię tylko pocieszyć - rzuciła od drzwi Alice. - Nie mogłaś się pogodzić z tym, że William zabił własnego ojca, chociaż sądziłaś, że zrobił tak w obronie twojej i Mary. Myślałaś więc, że cię okłamuję, po to byś się lepiej poczuła.

- Tak myślałam - przyznała Cassandra.

Jeśli jednak prawdą było to, co mówiła Alice i co potwierdził William, Nigel popełnił samobójstwo. Gdyby znano prawdę, odmówiono by mu chrześcijańskiego pogrzebu.

Czyż naprawdę tak uważała i nadal uważa? Mógł kogoś zabić tej nocy, a zabił siebie samego.

Była zbyt odrętwiata, żeby analizować swoje myśli i odczucia.

- Głupi byłem, że uciekłem - powiedział William. - Przepraszam za wyrażenie.

- Tak, to nie było rozsądne, ale wszystkim z nas zdarza się popełniać głupstwo, Belmont - stwierdził Stephen. - Radziłbym ci jednak, żebyś nie zrobił drugiego, rozgłaszając prawdę. Paskudnie to wygląda, można w tę historię nie uwierzyć. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy położycie się spać, a ja wrócę do siebie. Jutro albo pojutrze postanowimy, co zrobić.

- Mądra rada. - Alice spojrzała na niego z aprobatą.

- Nie było cię tu, Alice - odezwała się Cassandra - kiedy powiedziałam Williamowi, że zaręczyliśmy się z lordem Merton.

Alice spojrzała na nią uważnie.

- Tak - odparła tylko i pokiwała głową. - Tak.

A potem odwróciła się i poszła do swojego pokoju na piętrze. William pomógł wstać Mary i wyprowadził żonę z bawialni, obejmując ją ramieniem.

A więc byli mężem i żoną, pomyślała Cassandra. I od roku. Od dnia śmierci Nigela, który zginął z własnej ręki.

Alice nie kłamała.

- Czemuż mi powiedziałaś, że ty go zabiłaś? - spytał Stephen, który wstał i czekał, aż Cassandra podniesie się z fotela.

Ledwie mogła ustać na nogach.

- Przecież wszyscy tak myśleli. A coś we mnie pragnęło, że-
bym to była właśnie ja.

- Chciałaś chronić jego żalosego synalka?

- Nie sądzę Williama zbyt surowo. Nie jest złym człowiekiem. Mary go kocha, no i został ojcem Belindy. Prócz tego poślubił skromną służącą swego ojca, bo urodziła mu dziecko. Wrócił też do niej, choć pewnie nadal się bał, że ktoś go posądzi o zamordowanie Nigela. Chyba ją naprawdę kocha. Nie chciałam, żeby go oskarżono o morderstwo, Stephenie. To ojciec Belindy.

Ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się do niej. A ona właśnie w tym przerażającym momencie zrozumiała, że go bardzo kocha.

- Jeśli tu jest jakiś anioł - powiedział - to z pewnością nie ja.

Pocałował ją delikatnie. W same usta.

- Zostaniesz? - spytała.

- Nie. - Pokręcił głową. - Kiedy indziej tak zrobimy, Cass. W naszą noc poślubną i w małżeńskim łóżu. A będzie to miłość ponad wszystko.

- Ależ z ciebie samochwał.

Nigdy się tak nie stanie, pomyślała z żalem. Nigdy się już z nim nie będzie kochać.

- Rankiem po naszej nocy poślubnej spytam cię, czy na prawdę były to przechwałki.

Objął jej talię i odprowadził do drzwi.

- Dobranoc, Cass - powiedział, całując ją jeszcze raz. - Poślu bisz mnie, bo inaczej byłabyś przeraźliwie samotna. Stracisz zresztą prawie wszystkie bliskie ci osoby, bo szykują się nowe śluby.

- Z wyjątkiem Wesleya.

Zgodził się z tym.

- No i Rogera.

- Tak, i z wyjątkiem Rogera - zgodził się znowu, a potem zamknął za sobą drzwi.

Cassandra wsparła się o nie czołem i zamknęła oczy. Próbowała sobie przypomnieć, czemu właściwie nie może za niego wyjść.

19

Pójdę na spacer - powiedziała Cassandra, ale nie ruszyła z miejsca. Stała w bawialni przy oknie. Dzień najwyraźniej nie mógł się zdecydować, czy ma być deszczowy, czy słoneczny, choć zanościło się raczej na to pierwsze.

Nie spała najlepiej, czemu trudno się było dziwić. A w dodatku nikt tego ranka nie chciał jej słuchać.

Mary odmówiła przerwania pracy w kuchni i nadal uparcie nazywała ją „milady”.

- Przecież jesteś właściwie moją synową - usiłowała ją przekonywać, ale bez skutku.

- Ktoś w końcu musi zrobić śniadanie, zaparzyć herbaty, pomyc statki, milady - obstawała przy swoim Mary. - I słowo daję, lepiej, żebym ja to zrobiła, bo panna Haytor i Billy nie potrafią

nawet patelni wziąć do ręki. A ja jestem taka sama, jak wczoraj, tydzień wcześniej i miesiąc temu!

William pracował gorliwie w bawialni i gdy Cassandra zeszła na dół, jej drzwi zamknęły się bez przeraźliwego skrzypienia. Umocnił też sznur do bielizny i nie trzeba się było dłużej obawiać, że spadnie na ziemię razem z czysto wypraną bielizną, teraz zaś właśnie mył wszystkie okna.

Zawsze rozpiekała go energia i nie mógł długo usiedzieć bez jakiegoś zajęcia. Wolał też prace fizyczne od bardziej stosownej dla dżentelmena bezczynności. Nigel chciał, żeby został duchownym, lecz William zbuntował się przeciw temu otwarcie po zakończeniu nauki w Cambridge.

Alice okazała się najgorsza ze wszystkich. Szyła, wkluwając zawzięcie igłę w prześcieradło, z afektowaną miną, która wyraźnie i w irytujący sposób dawała do zrozumienia: „A nie mówiłam ci, że się sam zastrzelił?”

Postawiła jej też jednoznaczne ultimatum.

Albo Cassandra zgodzi się przyjąć oświadczyzny, które Stephen ogłosił wczoraj na balu u lady Compton-Haig, dzisiaj zaś drukiem w gazetach, albo też ona, Alice, nie będzie mieć więcej do czynienia z panem Goldingiem.

Było to groteskowe i nielogiczne, lecz Alice pozostała nieugięta.

- Założę się - powiedziała - że Golding zaprosił mnie na urodziny swego ojca tylko z przyjaźni i może po powrocie już go więcej nie ujrzę, chyba że przypadkiem. Ale nie chcę o nim nawet myśleć, Cassie, jeśli ty upierasz się przy głupim i całkiem nierealnym planie, by osiąść gdzieś na prowincji w wiejskim domku.

- To byłby dla mnie raj.

- Nonsens. Po dwóch tygodniach znudziłabyś się śmiertelnie. O wiele lepiej zrobisz, wychodząc za Mertona, bo przecież

kochacie się obydwójcie, a ja wierzę, że on się okaże dobrym, porządnym młodym człowiekiem. W dodatku jeśli zerwiesz te zaręczyny, wybuchnie kolejny skandal, a wcale ci nie potrzeba nowego. Powinnaś o tym pomyśleć, nim mu się pozwoliłaś pocałować na oczach wszystkich. Jeśli zaś upierasz się przy swoim pomysłe, to ja pójdę z tobą. Nie patrz tak, jakbyś mnie chciała zabić. W końcu nie będziesz tam miała przy sobie Mary, a choć bez wątpienia będziesz mogła wkrótce wynająć sobie pół tuzina służących, to przecież nie wiesz, jacy się okażą. A sąsiedzi? Co sobie pomyślą, kiedy jakaś dziwna wdowa osiadzie wśród nich w wiosce bez przyzwoitej damy do towarzystwa? Nie, Cassie, jeśli to zrobisz, zostanę z tobą. I nigdy już nie zobaczę Goldinga -dodała, odrywając nitkę.

Wtedy właśnie Cassandra zagroziła, że pójdzie na spacer.

- Wezmę ze sobą Rogera - powiedziała, bębniąc palcami po parapecie.

Ale Roger, kolejny zdrajca, przez cały ranek chodził jak cień za Williamem. To samo robiła Belinda. Kurczowo tuląc do siebie lalkę, wpatrywała się w niego bez przerwy.

- No to idź, Cassie, idź. - Alice nie podniosła nawet głowy znad szycia. - Tylko weź parasol.

Było już jednak za późno. Ulicą nadjeżdżał powóz, który wydał się jej o wiele za duży jak na Portman Street. Na jego drzwiach wymalowano herb książęcy.

Powóz zatrzymał się tuż przed jej domem, a ona poczuła dziwną rezygnację, gdy stangret w liberii otworzył drzwi i pomógł wysiąść księżnej Moreland na bruk. Cassandry nie zaskoczyło nawet to, że później podał rękę hrabinie Sheringford i lady Montford.

No, oczywiście. Cała trójka.

- Mamy gości, Alice.

Panna Haytor odłożyła szycie.

- Zostawiam cię z nimi. Mam mnóstwo roboty przy pakowaniu.

I wyszła, nim jeszcze do drzwi zastukała Mary, anonsując trzy damy.

Zaczyna się, pomyślała Cassie. Wielka narada.

- Lady Paget - powiedziała księżna Moreland, która ominęła Mary i wzięła Cassandrę w objęcia. - Zostanie pani naszą siostrą, jako siostra mam więc prawo mówić do ciebie „Cassandro”. Czy tak? Mów do mnie Vanesso. Nie mogliśmy się doczekać, żeby przyjechać tu o jakiejś odpowiedniejszej porze, musisz nam więc wybaczyć. W każdym razie jesteśmy tu i już! - dodała, uśmiechając się promiennie.

Hrabina Sheringford również ją uściskała.

- Wczoraj wieczorem goście nie pozwolili nam pogratulować ci jak należy. Stephen zachował się co prawda okropnie, całując cię na balkonie, a ja z pewnością powinnam wychować go lepiej, lecz mimo to jesteśmy rade, że tak bardzo się zakochał, wręcz stracił głowę. Stephen prawie nigdy jej nie traci. Ciesz się, że wybrał właśnie ciebie. Zawsze życzyliśmy mu tylko tego, by znalazł miłość i szczęście, Cassandro. Proszę, mów do mnie Margaret.

- A do mnie Katherine - dodała baronowa Montford, trzecia w kolejce do uścisków. - Stephen planuje ślub! Wciąż jeszcze nie mogę się z tym oswoić. Jest tyle pracy, nie wiadomo, od czego zacząć. Wiemy, że nie masz matki ani siostr, choć ucieszyło nas odkrycie, iż sir Wesley Young to twój brat, nie jesteś więc sama na świecie. Meg, Nessie i ja staniemy się twoimi siostrami dopiero po ślubie, ale nie miałyśmy zamiaru czekać aż tak długo. Pomożemy ci uczcić zaręczyny i urządzić wesele.

- Właściwie to się cieszymy z tego, że nie masz żadnej krewnej - dodała Vanessa - choć to, oczywiście, raczej nieładnie. Przez

resztę sezonu będziemy się wspaniale bawić, chyba że zamierzasz wziąć ślub przed jego końcem. A kiedy właściwie...

- Nessie! - upomniała ją ze śmiechem Margaret i objęła Cassandrę ramieniem. - Biedaczka gotowa dostać zawrotu głowy, jeśli nie przestaniemy tyle mówić. Przyjechałyśmy zabrać cię na kawę i ciastka, Cassandro, chyba że masz jakieś inne plany na resztę przedpołudnia. A potem porozmawiamy o twoim balu zaręczynowym w Merton House. Pewnie będzie najtłumniejszy w całym sezonie!

Cassandra przyglądała się im po kolei. Wszystkie były piękne, szykowne, eleganckie i dobrze powychodziły za męż. Czy istotnie tak bardzo się cieszą z zaręczyn brata? Łatwo zauważyć, że go uwielbiają.

Nie, na pewno nie były zachwycone. Odgrywanie komedii przed towarzystwem to co innego niż rozczarowanie sióstr Stephena.

- Dziękuję, z największą przyjemnością pójdę z wami na kawę i z miłą chęcią przyjmę pomoc co do balu. Nie trzeba jednak planować wesela.

Wszystkie trzy spojrzały na nią pytająco.

- Nie będzie wesela.

Milczały. Księżna splotła ręce na piersi.

- Lubię waszego brata, jest chyba najlepszym i najuczciwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Z pewnością też najsympatyczniejszym i... no... bardzo pociągającym. Myślę zresztą, a nawet jestem pewna, że ja też wydaję mu się powabna. Nasz pocałunek był więc jedynie wynikiem wzajemnego pociągu, niczym więcej. Hrabia Merton zachował się bardzo po rycersku, kiedy spostrzegł, że nas zobaczono, i dlatego powiedział to, co powiedział. Żadne z nas jednak nie chce tych zaręczyn i nie możemy pozwolić, by resztę życia podporządkować jednemu

impulsywnemu pocałunkowi. Hrabia, oczywiście, czuje się zobowiązany do dbałości o moją reputację. Nie mogę go upokarzać, odmawiając ogłoszenia i uczczenia zaręczyn, zgodziłam się więc, by potwały do końca sezonu, a potem po cichu położę im kres. Reputacja waszego brata na tym nie ucierpi, zapewniam was. Przeciwnie, wszyscy odetchną z ulgą, łącznie z wami. Wymieniły między sobą spojrzenia.

- Brawo, Cassandro! - powiedziała Vanessa.

- A teraz - dodała pospiesznie Margaret - zdecydujmy, kiedy powiemy o tym Stephenowi. Nie będzie na nas zły?

- Zapewne tak. Jestem pewna, że uważa zaręczyny za prawdziwe. Miałby wówczas nadzieję, że zdoła mnie namówić do zmiany zdania. Oczywiście, on wcale nie chce się ze mną żenić, ale jest wzorem szlachetności.

- Ale także jest nieuleczalnie zakochany, co już od paru dni stało się dla nas oczywiste - powiedziała sucho Vanessa. - Powiedział mi szczerze dwa dni temu, że cię lubi, co ze strony mężczyzny jest niezwykle znamienym oświadczeniem. Coś mi się zdaje, że męskie usta nie są wręcz w stanie wymówić słowa „kocham”.

- Nie możemy się z tobą zgodzić, Cassandro - dodała Meg. - Wydaje się nam całkiem możliwe, że Stephen naprawdę chce cię poślubić.

Cassandra nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi.

- Nie powiemy mu więc o niczym - uznała Katherine, spoglądając na siostry w nadziei, że ją poprą. - Może zresztą nie będzie takiej potrzeby. Musimy cię uprzedzić, że szczęście Stephena bardzo leży nam na sercu, a jeśli może on je osiągnąć jedynie, żeniąc się z tobą, zrobimy co tylko w naszej mocy, żeby do tego doszło.

- Ależ nie możecie pragnąć, żebym została jego żoną! Mam dwadzieścia osiem lat, jestem za stara. Byłam mężatką przez dziewięć lat, mój mąż zmarł w niejasnych okolicznościach,

opinia publiczna oskarżała mnie o jego zamordowanie, a ja i lord Merton znamy się ledwie od tygodnia.

Cassandra wyliczyła to wszystko na palcach jednej ręki.

- Musisz się czegoś o nas dowiedzieć - powiedziała z westchnieniem Margaret. - Pewnie wiąże się to z tym, że nie zostaliśmy wychowane na arystokratki, nie możemy więc myśleć jak one, nawet jeśli przyswoiliśmy sobie ich sposób bycia. Wszystkie nasze małżeństwa z pozoru wyglądały na wręcz fatalne, a jednak w jakiś dziwny sposób okazały się udane. Więcej, wszystkie zawarłyśmy je z miłości. Dlaczego Stephen miałby się od nas różnić? Po cóż mamy go ostrzegać przed jakimś wymagowanym nieszczęściem, skoro może się to okazać nieprawdą?

- Nauczyłyśmy się ufać miłości - dodała z uśmiechem Katherine. - Jesteśmy nieuleczalnymi optymistkami. Za jakiś czas opowiem ci moją historię. Włosy ci się wtedy zjeżą na karku!

- Jeśli jednak nie pójdziemy na kawę z ciastkami teraz, będziemy musiały zjeść je zamiast lunchu.

- Włożę tylko kapelusz - powiedziała Cassandra.

Nie była wcale pewna, czy jej decyzja wyjawienia wszystkiego siostrze Stephena uwolniła ją od kłopotów czy choćby im zapobiegła.

Powiedział przedwczoraj Vanessie, że ją lubi! Poczwała, że łyżką dławia ją w gardle.

W holu William naprawiał rozeschnięte klepki posadzki, które trzeszczały za każdym jej krokiem.

Po wyjściu z Izby Lordów Stephen wolał raczej pójść do domu niż do klubu White'a, jak to robił zazwyczaj. Miał sporo do przemyślenia.

Zresztą klub nie był dziś dla niego najodpowiedniejszym miejscem po tym, co zaszło wczoraj wieczorem. Stałby się ofiarą

bezlitosnych drwin, gdyby tam zaszedł. Już w parlamencie nie czuł się najlepiej, choć nikt tam nie robił jawnych uwag. Dostrzegł jednak kilka porozumiewawczych uśmiezków.

Najgorszą zморą dżentelmena jest drobne, nieopatrne i niepożądane *faux pas* podczas publicznego zgromadzenia.

Jego własne *faux pas* trudno było nazwać drobnym, a tym bardziej nieopatrzonym.

Dobry Boże! Ale czy było również niepożądane?

Przecież zakochał się w Cassandrze. Spędził bezsenną noc, usiłując z całkowitą uczciwością zastanowić się nad tym, czy to prawdziwa miłość, a nie coś zrodzonego z poczucia winy, honoru i pobożnych życzeń. Zresztą prawda się tu nie liczyła. Cassandrę należy przekonać, by zgodziła się wyjść za niego.

Coraz wyraźniej jednak zyskiwał pewność, obojętne jak bardzo starał się jej przeciwstawić. Kochał Cassandrę.

Czy jednak z równą oczywistością pragnął ją poślubić? Czy w ogóle chciałby tak prędko poślubić jakąkolwiek kobietę?

Po cóż się dręczył? Zaszedł zbyt daleko i ożenić się z nią musiał. Zwłaszcza ze względu na jej reputację.

Zje szybko lunch, postanowił, dochodząc do Merton House, a potem znów wyjdzie. Musiał pomówić z Williamem Belmontem. Ucieszył się wczoraj, słysząc o jego panicznej ucieczce, lecz wcale nie był pewien, czy wszyscy powinni znać całą prawdę.

Paget popełnił samobójstwo w ataku pijackiego szału. Z pewnością pozbawiono by go grobu na przykościelnym cmentarzu i pochowano w niepoświęconej ziemi.

A Cassandra była wdową po nim i znów znalazłaby się w centrum niezdrowego zainteresowania.

Jeśli, oczywiście, ktokolwiek uwierzy w to, co mówił Belmont. Wielu ludzi wolałoby nadal dawać ucho dawnym plotkom o zabójstwie siekierą, bo były bardziej sensacyjne.

Może zdoła namówić Belmonta, żeby jedynie potwierdził oficjalny werdykt, że przyczyną śmierci był wypadek. Jego słowa znalazłyby posłuch, wyjąwszy tych, którzy stanowczo woleli wierzyć w najgorsze. W końcu był synem zmarłego.

Po lunchu pójdzie do Cassandry i weźmie ją na spacer, jeśli pogoda okaże się w końcu słoneczna. Zacznie ją wtedy przekonywać. Posłuży się całym swoim urokiem, żeby ją skłonić do pokochania go.

Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy.

Wbiegł na schody i zastukał do drzwi. Nie lubił posługiwać się własnym kluczem. Rzucił kapelusz lokajowi, który mu otworzył, i powitał uśmiechem kamerdynera. Paulson właśnie wynurzył się z głębi domu.

- Nie obawiaj się, chcę tylko zjeść zimny lunch i chleb z masłem. Możesz mi to podać?

Paulson miał jednak coś do powiedzenia.

- Lady Sheringford, księżna Moreland i baronowa Montford czekają na pana, milordzie. Są chyba w sali balowej. Mówią, że nie zostaną na lunchu, ale zjawiły się tutaj już przeszło godzinę temu i bez wątpienia zapomniały, jak już jest późno. Pozwoliłem sobie podać im zimny posiłek. Pański będzie gotów za dziesięć minut.

Jego siostry? W sali balowej?

Nietrudno się domyślić, jaki miały powód. Zająły się wszystkim, nim zdążył je o to poprosić. Planowały bal zaręczynowy.

- Dziękuję, Paulson - powiedział i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Czy należy im mówić, że zaręczyny są fikcyjne? Zanim stanął u szczytu schodów, postanowił, że tego nie zrobi. Nieważne! Pod koniec sezonu obydwójce będą już naprawdę narzeczonymi. A ślub nastąpi latem. Miał nadzieję, że w Warren Hall, choć gdy-

by tylko tego zechciała, mógłby też się odbyć w londyńskim kościele Świętego Jerzego.

Zastał je pośrodku sali balowej, z głowami zadartymi do góry. Z uwagi na rozmiary imponująco wielkiej, choć stosunkowo rzadko używanej sali, wisały tam aż trzy żyrandole. Samotny dżentelmen nie ma zbyt wielu okazji do urządzania tłumnych zabaw we własnym domu, dlatego oczekiwał balu zaręczynowego z prawdziwym podnieceniem.

Stanął w drzwiach, z rękami założonymi za siebie.

- W tym żyrandolu naliczyłam siedemdziesiąt lichtarzyków na świece. W tamtym drugim, na przeciwległym krańcu, powinno być tyle samo. Środkowy jest większy, musi się w nim znaleźć jakieś sto świec lub nawet więcej. Oznacza to co najmniej dwieście pięćdziesiąt świec, nie licząc tych w kinkietach. Co za ekstra wagancja! Same świece będą kosztować fortunę.

Głos dolatywał od strony podium dla orkiestry w najdalszej części sali. Nie zauważył jej, póki nie zaczęła mówić.

Cassandra.

On również zadarł głowę do góry.

Zupełnie jakby Paulson i majordomus nie wiedzieli, ile świec jest potrzebnych do oświetlenia sali, co za pomysł liczyć lichtarzyki ze zdrętwiałym karkiem!

- Już chciałem skrzyknąć posiłki, kiedy usłyszałem, że najechno na mój dom. Widzę jednak, że byłoby to na nic, gdyż zapewne objęłyście go w posiadanie aż do balu zaręczynowego?

- Chyba że sam chcesz wszystko zaplanować - odparła Margaret.

Ucałował ją w policzek, a potem dwie pozostałe siostry.

- Może jednak powinienem skrzyknąć te posiłki, żeby się upewnić, że żadna z was nie ucieknie stąd przed świtem?

Cassandra podeszła bliżej, nieco zaróżowiona.

Wyszedł jej naprzeciw, objął w pasie i lekko ucałował w usta. To niezwykle ujrzyć ją tu, w jego własnym domu.

- Witaj, moja droga.

- Witaj, Stephenie - odparła, a on obrócił się razem z nią tak, by spojrzeć na siostry. Obydwoje mieli jednakowo radosne twarze.

- Wybrałyśmy się razem na kawę z ciastkami. Odebrałam już sporo gratulacji, choć anons ledwie się zdążył ukazać w gazetach. Aż mi się w głowie kręci... ale to dość miłe - dodała po chwili.

- W takim razie dobrze zrobiliśmy, ogłaszając wczoraj na balu nasze zaręczyny.

Zobaczył, że wszystkim czterem damom śmieją się oczy. Ciekaw był, co tak naprawdę czują z powodu zaręczyn jego siostry.

- Na pewno bardzo dobrze - zgodziła się Cassandra. - Chociaż to właściwie ty o nich oznajmiłeś.

- Tak właśnie powinno być - stwierdziła Meg. - Aż się cała wzdrygam na myśl, co by powiedziano, gdybyś ty to zrobiła, Cas-sandro.

Uwaga Meg wywołała istny paroksyzm śmiechu.

- A co by było - dodała Nessie - gdybyś wcale tego nie zrobił, Stephenie? Albo gdyby Cassandra zaprotestowała? Gotowa jestem dostać waporów na samą myśl o tym.

- Nie mogłybyśmy teraz planować wspaniałego balu - zauważyła Kate. - Ani jeszcze wspanialszego wesela latem.

Wydawały się tak rozbawione, jakby uknuły przeciw niemu jakiś spisek.

- Widzę, że znakomicie rozumiesz się z moimi siostrami. Muszę cię tylko ostrzec, że nie będą czekać aż do ślubu, żeby cię wziąć pod swoje skrzydła.

- Zastanawiałyśmy się nad kolorami kwiatów, nim zwróciłyśmy uwagę na żyrandole. Wszystkie jesteśmy zdania, że powinny

być żywe, słoneczne barwy, jak w ogrodzie, ale nie możemy się zdecydować, jakie wybrać, ani ile ich ma być.

- Może biały i żółty z dużą ilością zieleni?

- Znakomicie - rozpromieniła się.

- W takim razie Cassandra powinna nosić jaskrawą żółtą suknię. Doskonale będzie pasować do jej karnacji, choć oczywiście wyglądałaby olśniewająco nawet w szarobrazowej. Zazdroszczę jej tych włosów! - zawołała Nessie.

- Paulson urwie mi głowę, jeśli nie zaprowadzę was do jadalni w ciągu najbliższych pięciu minut. Miał nam podać zimny lunch.

- Och - powiedziała Cassandra - doprawdy, nie...

- ...mogę odmówić - dokończył za nią. - Zgadzam się. Nie możesz. Przez resztę życia żałowałaś tego, Cass. Paulson by ci nie darował.

- Ależ jestem głodna - stwierdziła Kate takim tonem, jakby ją to zaskoczyło. - To dlatego, że nie zjadłam ciastka do kawy. Paulson jest po prostu wspaniały, nie omieszkam mu tego powiedzieć.

Siostry Stephena bez dalszych ceregieli wyszły z sali balowej. Stephen z Cassandrą zatrzymali się tam jeszcze na chwilę.

- Miałem zamiar później cię odwiedzić i nie mogłem się już tego doczekać. Myślałem o tobie przez cały ranek zamiast o tym, o czym debatowano w Izbie Lordów. Pięknie wyglądasz w tym odcieniu różu. Mówią, że ten kolor nie pasuje do rudych włosów, a jednak wcale tak nie jest. Zręcznie potrafiłaś połączyć barwy.

- Wołałabym, żeby wczorajszego wieczoru wcale nie było - powiedziała z westchnieniem. - I ty, i twoje siostry jesteście tak przeraźliwie... przyzwoitymi ludźmi!

- Jeśli nadal będziesz się upierać, że to mają być tylko fikcyjne zaręczyny, przekonasz się, że umiem postępować nieprzyzwoicie,

Cass. Podejmę bezlitosną kampanię przeciw tobie i odwołam się do najbardziej podstępnej taktyki. Potrafię walczyć.

Roześmiała się i pogładziła go po policzku.

Pocałował ją, przedłużając uścisk na tyle, by zabrakło jej tchu.

- Anioł ze zbrukanyimi skrzydłami - szepnęła. - Przecież to sprzeczność sama w sobie.

Ujął jej dłoń i poprowadził ją do jadalni. Jak dobrze, że siostry ją tu przyprowadziły.

Do jego domu.

20

W ciągu następnego tygodnia Cassandra ucieszyła się, że jej fikcyjne zaręczyny i przygotowania do balu zajmują tyle czasu. Z trudem zdobywała się na cierpliwość. Adwokat uprzedził, że choć spodziewa się szybkiego i pomyślnego rozpatrzenia jej skargi, trzeba będzie zapewne poczekać na to dłużej niż dwa tygodnie. Nie powinna się jednak martwić.

Istotnie czekała dłużej niż dwa tygodnie. No i oczywiście martwiła się.

Miała jednak mnóstwo zajęć. Pewnego wieczoru podejmowała obiadem Wesleya. Nie zdradziła mu swego sekretu, tak jak to zrobiła wobec sióstr Stephena. Nie pochwaliby tego pomysłu i z pewnością miałby do Stephena pretensje, co byłoby wielce niesprawiedliwe. Wesley wręcz zachwycił się zaręczynami. Widział w nich rozwiązanie wszystkich problemów Cassandry.

- Jeśli nawet otrzymasz z powrotem pieniądze i klejnoty, nadal byłabyś samotna, a niektórzy ludzie wciąż by o tobie myśleli jak najgorzej. Merton będzie umiał cię ochronić.

Powtórzyła mu jednak to wszystko, co William mówił o śmierci Nigela, i dodała, że ma on nie zdradzać nikomu ani słowa przynajmniej do czasu rozpatrzenia jej skargi. Wesley zgodził się, choć niechętnie, że najlepiej będzie nie odgrzebywać starego skandalu, przynajmniej do czasu, kiedy ludzie w końcu o nim zapomną.

Odbyło się jeszcze jedno przyjęcie i mały wieczorek u lorda Grahama Carlinga, a także prywatny koncert, na który Cassandra otrzymała zaproszenie tego samego dnia, gdy anons o zaręczynach ukazał się w gazetach. Nazajutrz znów wręczono jej kolejne zaproszenia.

Codziennie Stephen zabierał ją na przejażdżkę lub spacer po parku. W dniu przyjęcia ogrodowego wybrali się dla odmiany na poranną jazdą po Rotten Row na wynajętym specjalnie dla niej koniu. Niemal już zapomniała, jak cudownie jest siedzieć w siodle na końskim grzbiecie, odczuwać siłę i energię zwierzęcia i kierować nim.

Przygotowania do balu zabierały jej jednak najwięcej czasu. Pomyślała nawet, że powinna zrezygnować ze snu, póki nie będzie miała okazji, by znów się położyć.

Trzeba było sporządzić bezkresny wręcz wykaz gości, wysłać zaproszenia, zamówić kwiaty, zaangażować orkiestrę, ułożyć menu i program tańców. Obowiązkom nie było wręcz końca. Cassandra wiedziała, że siostry Stephena mogłyby równie dobrze zrobić to wszystko bez niej, ba, nawet jedna z nich też by sobie dała radę. Choć wychowywane na wiejskiej plebanii, teraz przeobraziły się w światowe damy z towarzystwa. Nalegały jednak, by pracować razem, i Cassandra towarzyszyła im we wszystkim.

- Jakież to będzie zabawne - powiedziała Vanessa, ignorując postanowienie Cassandry o tym, że nie wyjdzie za Stephena - mieć jeszcze jedną siostrę! Mam dwie szwagierki z mego

pierwszego małżeństwa i trzy z małżeństwa z Elliottem, ale zawsze znajdzie się miejsce na jeszcze jedną. Nie ma nic wspanialszego niż rodzina!

Cassandra pomyślała ze smutkiem, że nie zawsze. Siostry Stephen'a nie były od nikogo zależne finansowo. Miały własne życie, mieszkały w różnych częściach kraju i tylko na wiosnę Huxtable'owie spotykali się w Londynie podczas sesji parlamentu i sezonu balów. Byli sobie jednak bardzo bliscy, co sprawiało, że czasem czuła dotkliwą zazdrość.

Poznała wicehrabinę Burden i hrabinę Lanting, szwagierki Vanessy i Katherine. Również one wydawały się chętnie ją przyjmować.

O tak, rodzina i siostry były jednak czymś bardzo cennym.

A ona miała wciąż mnóstwo zajęć i nawet w jej domu nie było spokoju.

Okazało się, że William stał się bogatym człowiekiem, nawet bez udziału w spadku po Nigelu byłby zamożny, gdyż dorobił się fortuny na handlu futrami w Ameryce i Kanadzie. Teraz mógł już osiąść w Anglii. Chciał kupić ziemię i uprawiać ją z Mary u boku. Jego rodzina dopiero rozpoczynała swoją historię.

Tymczasem jednak Mary była nieugięta. Błąkałaby się teraz po drogach Anglii albo siedziała w więzieniu za włóczęgostwo, gdyby nie dobroć lady Paget. Choć sama wiele nie miała, zabrała ze sobą i Mary, i Belindę, a nawet Rogera. Mary nie opuści jej za żadne skarby - nawet teraz, kiedy Billy już wrócił - póki lady Paget nie wyjdzie za mąż za hrabiego Mertona, który jest bardzo porządnym dżentelmenem. Nieważne, co tam było na początku, w końcu się w niej zakochał. A jakież mężczyzna by się w niej nie zakochał, skoro jest taka piękna? W każdym razie zmazał tym swój grzech z nawiązką. A gdyby lady Paget nie chciała wyjść za jego lordowską mość, choć zrobiłaby głupio - no cóż, to nie

Mary rzecz sądzić lepszych od siebie albo mówić, że są głupi - wówczas Mary z nią zostanie, póki milady nie odzyska swoich pieniędzy i nie osiadzie gdzieś z porządną służbą. Mary najpierw się będzie chciała dobrze tej służbie przyjrzeć, bo wiadomo, londyńskiej hołocie tylko się zdaje, że potrafi gotować i pracować dla takiej damy. Na razie zatem Mary zostanie u niej, przynajmniej przez jakiś czas, a jeśli się to Billy'emu nie podoba, bo chce sobie gdzieś szukać jakiejś ziemi, nim ona będzie gotowa za nim pójść, proszę bardzo, niech sobie jej szuka!

Za każdym razem, kiedy Mary wygłaszała swoją długą tyradę lub kolejną jej wersję, kończyła ją łzami ocieranymi fartuchem, a William musiał ją tulić w ramionach, żeby się mogła wypłakać, i zapewniać, że nigdzie się nie wybiera, póki Cassie nie osiadzie gdzieś na stałe. A z Mary jest głupia gęś, skoro myśli, że on by sobie od niej poszedł.

Alice wcale nie była lepsza. Wróciła po trzech dniach z Kentu, wyglądając o dziesięć lat młodziej. Oczy jej błyszczały, policzki także i cała była rozpromieniona.

- Wiesz, Cassie - powiedziała już po dziesięciu minutach od przyjazdu - rodzina Allana to wspaniali ludzie. Trzymają się w swoim gronie, ale przyjęli mnie bardziej niż przyjaźnie. Traktują mnie już jak jedną z nich.

A więc Golding został już Allanem?

- Jakże się cieszę - odparła Cassandra. - Czy w takim razie będziesz się jeszcze widywać z panem Goldingiem?

- Ten głupiec chce, żebym za niego wyszła.

- Rzeczywiście, głupiec - zgodziła się Cassandra. - Czy powiedziałaś mu „tak”?

- Nie. - Alice odstawiła filiżankę na spodek tak energicznie, że aż brzęknęła, choć jeszcze nawet nie zamoczyła w niej ust.

- Nie?

- Nie - odparła stanowczo Alice. - Powiedziałam mu, że muszę się zastanowić.

Cassandra również odstawiła filiżankę na stolik.

- Chodzi o mnie?

Alice zasznurowała wargi, ale nie zaprzeczyła.

- Alice - powiedziała Cassandra z surowością, której wcale nie udawała - jeśli ty i Mary zmusicie mnie do poślubienia Stephena, z trudem mi przyjdzie wam wybaczyć.

Alice zacięła się w upartym milczeniu.

- Oczywiście obydwie temu zaprzeczycie. I obydwie opóźnicie lub też zmarnujecie własne szczęście, jeśli za niego nie wyjdę. Nie dam się tyranizować. Obydwie was zwolnię z służby. I to na piśmie!

- Z jakiej służby? Nie płacisz mi od przeszło roku, co znaczy, że już nie jestem u ciebie na służbie, Cassie, tylko się z tobą przyjaźnię. A przyjaciółki nie można zwolnić. Jeśli zaś spróbujesz zwolnić Mary, to ci nawymyśla i wybuchnie takim płaczem, że poczujesz się ostatnią nędznicą. William Belmont zaś nie opuści Mary, bo światu nie widzi za nią i za Belindą. A ty nie odeślesz go, póki nie ponaprawia w domu wszystkiego, jak należy, co jest pracą bez końca, a i tak poczujesz się wtedy jak najgorszy tyran.

Cassandra pokiwała głową i znów sięgnęła po filiżankę.

- Chcę kupić domek z jedną tylko sypialnią. Nie będzie tam miejsca dla nikogo innego prócz mnie.

Po czym dopiła herbatę z niejaką satysfakcją.

Jak to się stało, że Alice i Mary stoją teraz murem za Stephenem, skoro jeszcze dwa tygodnie temu widziały w nim diabła wcielonego? Oczywiście, wtedy go nie znały. Czy jakakolwiek kobieta może się oprzeć jego anielskiemu wyglądowi, jeśli choć raz na niego spojrzy? Albo jego serdeczności i wdziękowi, jeśli tylko zwróci na którąś uwagę? Grał nieczysto, bo za każdym ra-

zem, gdy przychodził do tego domu - a przychodził codziennie - znajdował czas, by zamienić z Alice i Mary parę słów, z uroczym uśmiechem, rzecz jasna.

O tak, grał nieczysto! Ona też musiała patrzeć na niego każdego dnia i także ulegała jego czarowi. A w jej wspomnieniach było coś więcej niż uroda i wdzięk.

Zawsze też gdzieś w zakątkach jej umysłu czaiło się pytanie: czemu nie może wyjść za niego, skoro każdą cząsteczką ciała czuje, że go kocha?

Nie zabiła Nigela i Stephen o tym wiedział. Nie uważała już niemądrze, że każdy mężczyzna jest podły do szpiku kości. Na swoje nieszczęście poślubiła człowieka, który cierpiał na smutną przypadłość, rujnąjącą życie zarówno jego, jak i innych. Nie było jej winy w tym, że przypadłość ta okazała się nieuleczalna. Ani w tym, że przez całe lata małżeństwa cierpiała wskutek ciągłego bicia, choć się o to oskarżała.

Nie było więc żadnego powodu, by nie mogła wyjść za Stephena i zaznać szczęścia po latach cierpień. Czuła się jednak wyczerpana, zhańbiona i zużyta, a Stephen był wręcz przeciwieństwem tych cech. Nie mogła sobie wyperswadować tego, że go skrzywdzi, biorąc z nim ślub. Ze ujmie mu coś z tej jego świetlistości.

A czy on naprawdę ją kochał? Czy szczerze pragnąłby się z nią ożenić, gdyby do narzeczeństwa nie zmusił go nieszczęsny pocałunek na balkonie?

Może kiedyś uda się jej odzyskać szacunek dla siebie samej tak, by wziąć pod uwagę ponowne małżeństwo. Ale nie teraz. Jeszcze nie. I nie ze Stephenem.

Czy jednak znajdzie się ktoś inny poza nim?

Jednej tylko rzeczy była pewna. Kochała go bez pamięci.

Stephen nie był tak zajęty jak Cassandra. Zaofiarował swoją pomoc w przygotowaniach do balu zaręczynowego, siostry spojrzały jednak na niego z takim zniecierpliwieniem, jakiego nie okazywały mu, odkąd miał dziesięć lat i wracał do domu z podartymi spodenkami czy zabłoconymi butami właśnie wtedy, kiedy one były zajęte szykowaniem świątecznej wenty w kościele.

Całkiem jakby mężczyźni na balach nadawali się tylko do tańczenia z damami i pilnowania, by żadna z nich nie podpierała ściany.

Przez cały ten tydzień starał się usilnie skłonić Cassandrę, by wyszła za niego latem - nie mówiąc jednak ani słowa na ten temat. Po prostu postanowił, że musi się w nim zakochać.

To już nie była kwestia rycerskości, lecz jego własnego szczęścia.

Nie powiedział jej tego jednak. Nie chciał od niej litości. Powiedział jej już raz, że ją kocha, teraz należało ją koniecznie przekonać, że mówił prawdę.

Sala balowa wyglądała tak wspaniale, że wprost zapierała dech. Przypominała rozsloneczniony letni ogród, białe i żółte kwiaty oraz zielone paprocie stwarzały iluzję świetlistości. Żyrandole wymyto, wypolerowano i wytarto do połysku tak intensywnie, że trzysta świec wydawało się wręcz zbędnym balastem.

Pachniało w niej również jak w ogrodzie i zdawała się wypełniona po brzegi świeżym powietrzem, co oczywiście nie mogło potrwać długo. Za godzinę mieli przybyć goście, a wtedy nawet przy otwartych oknach nie można już zapewnić chłodu we wnętrzu. Meg przepowiadała, że będzie to najdumniejszy bal w sezonie, a Stephen podzielał jej zdanie. Bale w Merton House były rzadkością, ten zaś miał uświetnić jego zaręczyny z morderczynią, która zabiła męża siekierą. Taka opinia nadal, jak mu mówiono, krążyła w klubach i salonach. Wątpił jednak, czy ktoś jeszcze

bierze ją poważnie. Choć pragnął, by poznano prawdę, uznał, że mądrzej będzie poczekać, póki wszystko nie ucichnie.

Przed balem wydał rodzinny obiad. Siostry z mężami, Con i Wesley Young też na nim byli. Teraz wszyscy krążyli wokół sali balowej, żeby się trochę rozruszać, zanim ją wypełnią goście.

Zobaczył, że muzykanci ustawili już instrumenty na podium, a sami zeszli na dół zjeść obiad.

- Czy wszystko wygląda tak pięknie, jak sobie wyobrażałaś? - spytał Cassandrę, obejmując ją w pól.

- Jeszcze piękniej - odparła pogodnie.

Miała na sobie połyskliwą żółtą suknię, tak jak obiecała, w odcieniu jaśniejszym niż złoto, ale mocniejszym od cytryny. Brzegi krótkich, bufiastych rękawków i głębokiego dekoltu były okolone haftem z małych, białych kwiatusków, podobnie jak przybrany falbaną obrąbek. Jedyłą biżuterię stanowiły brylantowe serduszko, które dostała od brata, i dopasowana do niego bransoletka, również zdobiona serduszkami, prezent zaręczynowy.

Odda mu ją, kiedy zerwą narzeczeństwo. Uprzedziła go o tym tego samego wieczoru, gdy wręczył jej podarunek. Była to zresztą jedyna uwaga na ten temat, jaką wymienili w ciągu całego tygodnia.

- Znosi się na idealny wieczór - powiedział. - Z góry zazdroszczę każdemu mężczyźnie na tym balu.

- Myślę jednak, że niezamężne panny będą w grobowym nastroju, bo każda z nich cię straci.

- Latem? - spytał podchwytliwie, lecz nagle zaczął nadśluchiwać. Głos Paulsona był o wiele głośniejszy niż zwykle i jakby podniecony.

- Gospodarze jeszcze nie ustawili się przy drzwiach, by witac gości! - wołał. - Nikogo się o tej porze nie spodziewano. Niech mi się pan pozwoli zaprowadzić do saloniku dla gości, zaraz przyniosę tam coś do picia.

Stephen uniósł brwi. Jeśli nieproszonemu gościowi udało się przedostać tak daleko w głąb domu mimo całej czujności Paulsona, zaproszenie do saloniku na nic się nie zda. Ruszył ku drzwiom, a Cassandra za nim.

- Niech diabli porwą wszystkie bale, ich gospodarzy i saloniki dla gości, durniu! - wrzeszczał ktoś ochrypłym, zniecierpliwionym głosem, zapewne do Paulsona. - Gdzie ona jest? Muszę ją zobaczyć, nawet gdybym miał przetrząsnąć cały dom! Ach, to sala balowa. Może tutaj?

Stephen dostrzegł, że cała jego zdumiona rodzina tłoczy się przy drzwiach, w których stanął jakiś mężczyzna w długim, czarnym płaszczu i wysokim cylindrze, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Bruce! - powiedziała Cassandra.

W tej samej chwili intruz dostrzegł ją. Stephen ruchem głowy odprawił Paulsona.

- Paget? - spytał, podchodząc do mężczyzny z wyciągniętą ręką.

Lord Paget go zignorował.

- Hej, ty! - wrzasnął grubiańsko do Cassandry, wskazując na nią palcem. - Co sobie, do diabła, wyobrażasz?!

- Bruce - głos Cassandry był cichy i chłodny, choć Stephen wyczuwał w nim lekkie drżenie - pomówmy w cztery oczy. Z pewnością hrabia Merton pozwoli nam usiąść w saloniku dla gości lub bibliotece.

- Ani mi się śni gadać z tobą w cztery oczy! - parsknął mężczyzna i wszedł do sali balowej. - Niech wszyscy się dowiedzą, kim jesteś, i wszyscy o tym usłyszą, poczynając od tych tutaj. Co u licha...

Stephen zrobił krok w jego kierunku. Paget był mężczyzną postawnym, więcej niż średniego wzrostu i bynajmniej nie ułomkiem, mimo to Stephen zdołał schwycić go za płaszcz i ko-

szulę pod szyją, a potem jedną ręką uniósł go w górę, tak że jego przeciwnik musiał stanąć na palcach.

- Nie będziesz z nikim rozmawiał w moim domu, Paget - powiedział, nie podnosząc głosu - bez mojego zezwolenia. A jeśli nawet ci go udzielię, to nie po to, byś obrażał obecne tu damy.

A potem lekko, ale stanowczo zacisnął palce na jego szyi, tak że twarz Pageta spurpurowiała.

- Damy? - wychrypiął. - Ta baba wcale nie jest damą!

Stephen, nie hamując już wściekłości, popchnął go tak, że Paget uderzył o ścianę za sobą, lecz Stephen ani nie myślał puścić jego szyi, a drugą rękę, zaciśniętą w pięść, wparł w jego ramię.

Cylinder Pageta przekrzywił się i spadł na podłogę.

- Może coś źle usłyszałem, Paget, chciałbym więc, żebyś przeprosił.

- Do diabła! - rozległ się głos Wesleya Younga zza pleców Stephena. - Pozwól, niech ja się z nim rozprawię, Merton. Nikt nie będzie bezkarnie mówił w ten sposób o mojej siostrze!

- Lepiej przeproś, Paget - odezwał się lodowatym tonem książe. - A potem zrób to, co ci proponowała lady Paget. Spodziewamy się wkrótce gości i żaden z nich nie chciałby cię tu widzieć z krwawiącym nosem. Ciebie też chyba nie zachwyca taka perspektywa. Porozmawiajcie na osobności. Brat lady Paget i jej narzeczony z chęcią będą tej rozmowie asystować, tak się przynajmniej domyślam.

- Mogę przeprosić za to, co powiedziałem, tylko obecne tu damy - wycedził Paget. Stephen opuścił pięść i rozluźnił chwyt, choć obraźliwa intencja tej wypowiedzi była całkiem jasna. Przeprosiny nie dotyczyły Cassandry.

Paget wygładził płaszcz i przeszył ją spojrzeniem.

- Dawniej spalono by cię na stosie, czarownico, nim zdołała byś zaszkodzić ludziom. Chętnie bym sam podłożył ogień!

To pięść Stephena sprawiła, że Paget odbił się głową od ściany, krew bluznęła mu z nosa.

- Brawo, Stephenie! - stwierdziła Vanessa.

Paget wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza chustkę i przytknął ją do nosa, a potem przyjrzał się szkarłatnej plamie krwi.

- Myślę sobie, Merton, że ona już przekonała i ciebie, i innych mężczyzn w Londynie - a nawet niektóre damy - że nie zamordowała z zimną krwią mojego ojca. Musiała też przekonać ciebie, że nie przytrafi ci się to samo, kiedy już się tobą znudzi i zechce odzyskać wolność, by poszukać nowej ofiary. Spodziewam się, że poparłeś jej zuchwałę roszczenia co do pieniędzy po moim ojcu i do klejnotów, którymi ją obsypywał, nim strzeliła mu prosto w serce. Prawdziwa z niej diablica, i to niepospolicie chytra!

- Stephenie, nie uderz go po raz drugi - zauważyła spokojnie Margaret. - Przemoc daje chwilową satysfakcję, ale nie rozwiązuje żadnej sprawy.

Kobieca logika!

- Zostaw go, Wes - powiedziała Cassandra.

Stephen nie odrywał wzroku od twarzy Pageta.

- A ty, jak przypuszczam - rzucił cicho - przez całe życie usiłowałeś przekonać sam siebie, że twój ojciec nie jest podłym tyranem, kiedy się upije. Widocznie uznajesz za normalne ciągłe bicie własnej żony. Żony należy przecież karcić, a mężowie mają prawo przywoływać je do porządku. Nawet jeśli kobieta utraci przy tym nienarodzone dziecko.

- O Boże - jęknęła Katherine zduszonym ostrym głosem.

- Mój ojciec pił bardzo rzadko. - Paget rozglądał się wokół z gniewem i pogardą. - Rzadziej niż inni. Nie chcę, żeby go oczerniły jej kłamstwa, Merton. Prawda, kiedy pił, mógł być

bezwzględny, ale tylko wtedy, gdy ktoś na to zasługiwał. A ona potrafiła omotać każdego mężczyznę w sąsiedztwie.

- A twoja matka też zasługiwała na karę? - spytał jeszcze ci szej Stephen. - Nawet tym ostatnim razem?

Nie panował już dłużej nad sobą. Targał nim gniew, nie liczył się ze słowami.

Paget zbladł i otarł kilka kropel krwi z nosa.

- Co ci nagadała o mojej matce?

- Jeśli nawet Cassie zabiła męża - odezwał się Wesley Young - stanę po jej stronie i powiem, że zrobiła dobrze. Zasługiwał na śmierć. Przepraszę damy za moje słowa, ale ich nie cofnę. Tyle tylko, że wcale tego nie zrobiła.

- Co ci o niej nagadała? - powtórzył Paget, jakby nie słysząc Younga.

- Tylko to, o czym mówiły różne plotki - westchnął Stephen. - Wszyscy wiemy, że na ich prawdziwości nie można polegać. Ale to, co moja narzeczona musiała wycierpieć z winy twojego ojca przez długich dziewięć lat, nie jest plotką. Co więcej, wiedziałeś o tym, Paget. Wiedziałeś też, że gdyby go zabiła, zrobiłaby to w obronie życia lub życia kogoś innego. Zapewne wiesz nawet o tym, że to nie ona go zabiła. Wygodniej ci jednak było utrzymywać, że wierzysz w jej winę i że w każdej chwili możesz kazać ją aresztować, by została ukarana za tę zbrodnię. Wzbogaciłeś się na tej wierze, a ją zastraszyłeś, bo uznała, że znalazła się w twojej mocy.

- Moja matka zabiła się, bo spadła z konia - powiedział z uporem Paget. - Próbowała przeskoczyć przez zbyt wysoki płot.

Stephen pokiwał głową. Czas uciekał. Która właściwie jest godzina?

- Jeśli masz mi jeszcze coś do powiedzenia, musisz przyjść do mnie jutro. Mieszkam przy Portman Street - odezwała się Cassandra. Stephen patrzył na nią.

- Wiem. Już tam byłem.

- Nie zabiłam twojego ojca, nie mogę jednak tego dowieść, tak samo jak ty nie możesz dowieść, że to zrobiłam. Zginął wskutek tragicznego wypadku, to prawda. Nie mam zamiaru ci się ponownie narzucać. Nie chcę ani prawa do pobytu w posiadłości, ani nawet londyńskiej rezydencji, tylko tego, co jest moją własnością, tak żebym miała z czego żyć. Nie chcę cię już więcej widzieć ani niepokoić, ale mógłbyś przychylić się do bardzo umiarkowanych żądań mojego prawnika. Nie możesz ich odeprzeć.

Bruce znowu wściekle wymierzył w nią palec, nabierając tchu, lecz w tej chwili ktoś jeszcze stanął w drzwiach. Przez jedną przeraźliwą chwilę Stephen sądził, że to zbyt wczesny gość, lecz przybyszem okazał się William Belmont.

- Pół godziny temu wróciłem do domu i Mary powiedziała mi, że byłeś tam, Bruce, a ona zdradziła ci, gdzie jest Cassie. Zazwyczaj Mary ma więcej rozumu, nie powinna czegoś takiego mówić, zwłaszcza komuś, kto wyrzucił ją z domu miesiąc wcześniej. O, widzę, że ci nos krwawi. Dzięki Mertonowi, jak myślę. A może to Young?

- Nie mam ci nic do powiedzenia! - warknął gniewnie Paget.

- Za to ja mam ci wiele do powiedzenia - odparł Belmont, ponownie rozglądając się wokoło. - A skoro nie posłuchałeś głosu rozsądku i nie rozmówiłeś się z Cassie na osobności, mam też coś do powiedzenia wszystkim tu obecnym.

- Nie, Williamie - zaprotestowała Cassandra.

- Muszę to zrobić, Cassie, przecież chodzi o mojego ojca i twojego męża. A także ojca Bruce'a, który powinien znać prawdę, podobnie jak wszyscy ci, co zamierzają cię przyjąć do swojej rodziny jako żonę Mertona. Cassie nie zastrzeliła naszego ojca, Bruce, a ja też tego nie zrobiłem, choć tam byłem i złapałem go za rękę, żeby wyrwać mu broń. Zaczął bić Mary, bo wcześniej

powiedziałem mu, że się z nią ożeniłem i że Belinda jest moją córką. Cassie, a potem panna Haytor, przybiegły na pomoc Mary, a potem ja wróciłem do domu i pobiegłem do biblioteki, skąd dochodziły krzyki. Ojciec trzymał Cassie na muszce, ale kiedy go dopadłem i próbowałem mu odebrać broń, wymierzył ją całkiem świadomie w swoją pierś i pociągnął za cyngiel.

- Kłamca! - wrzasnął Paget. - Łżesz!

- Panna Haytor mówi dokładnie to samo - odparł William. - A jeśli sądzisz, Bruce, że sobie to wszystko wymyśliłem, żeby chronić macochę, to nie masz pojęcia, czym jest rodzinna lojalność. Nasz ojciec zabił się w pijackim szale. Gdybyśmy byli mądrzy, zgodzilibyśmy się z werdyktem, że był to wypadek, i traktowalibyśmy Cassie z należytym respektem, jako wdowę po naszym ojcu.

Paget zwiesił głowę i przymknął oczy.

- Bał zacznie się już za chwilę - powiedział spokojnie Stephen. - Pierwsi goście pojawiają się za jakiś kwadrans. Pozwól, Pa get, żeby któryś z moich szwagrów wskazał ci pokój gościnny, gdzie będziesz mógł obmyć nos i poprawić ubiór. To nieważ ne, że nie jesteś odpowiednio ubrany jak na bal. Uśmiechaj się i mów każdemu, kto cię zechce słuchać, że wprawdzie przypad kowa śmierć twego ojca była tragicznym wypadkiem, lecz cie szysz się bardzo, że twoja macocha rozpocznie nowe życie. Mów, że twój ojciec by sobie tego życzył.

- Czyś ty oszalał, Merton? - syknął nienawistnie Paget. Lecz Con już stanął po jednej jego stronie, a Monty po dru giej, obydwaj uśmiechnięci.

- Świetnie się złożyło, że właśnie teraz przybył pan do Lon- dynu - powiedział Monty.

- Założę się - dodał Con, kładąc mu dłoń na ramieniu - że lady Paget napisała panu o swoich zaręczynach i poprosiła

o błogosławieństwo, a pan przybył tu osobiście. Galopował pan przez całą drogę, aby się tylko nie spóźnić na bal.

- No i jest pan w samą porę - dokończył Monty - choć brakło już czasu, żeby się przebrać we właściwszy strój. Co za wzruszająca historia! Damy gotowe się popłakać z przejęcia, gdy tylko ją usłyszą.

Stephen ujął Cassandrę za rękę. Była bardzo blada, a dłoń miała lodowatą. Spojrzał na Williama Belmonta.

- Pan chyba też zostanie? - Stephen zaprosił go już wcześniej, ale Belmont odmówił, bo Mary stanowczo nie chciała pokazywać się na balu, choć była panią Williamową Belmontową, powinowatą lady Paget.

- Nie mogę - odparł Belmont. - Wracam do domu, żeby zjeść obiad, który na mnie czeka od godziny. Bruce uwielbiał naszą matkę, ale nie chciał nigdy poznać prawdy o jej śmierci. Myślę, że znanadto się jej bał. A potem unikał Carmel House. Ja, oczywiście, też. Powinienem więcej zrobić dla ciebie, Cassie. Przepraszam cię teraz za to, choć przeprosiny niewiele tu pomogą.

A potem odwrócił się i odszedł.

Stephen pochylił się nad Cassie i spojrzał jej w oczy.

- Lepiej się czujesz?

Skinęła głową. Ręka w jego dłoni zaczęła się rozgrzewać.

- Co za melodramat - westchnęła. - Tak mi przykro, Stephenie. Pewnie przeklinasz dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś mnie w parku.

Skwitował jej słowa krótkim pocałunkiem, ze względu na obecność oszołomionej rodziny.

- Błogosławię ten dzień.

- Stephenie - powiedziała pospiesznie Meg - już czas, żebyśmy stanęły przy drzwiach rzędem. Goście mogą pojawić się w każdej chwili.

- A mężczyzna tylko raz może świętować swoje zaręczyny - zauważył jej brat.

Siostry uściślały i jego, i Cassandrę. Stephen usłyszał, jak Vanessa szepnęła do niej:

- Będziesz mieć z nim dzieci. Nie zastąpią tych, które utraciłaś, ale dadzą ci wiele radości. Przysięgam, że tak się stanie. Na prawdę!

21

Cassandra z trudem mogła uwierzyć w to, że zdołała przywitać gości i jeszcze dziękować za gratulacje z okazji jej zaręczyn.

Dała sobie jednak radę.

Zdołała też tańczyć przez resztę wieczoru, uśmiechając się i gawędząc, jakby to był rzeczywiście najszczęśliwszy wieczór w jej życiu, w dodatku zupełnie beztroski.

Właściwie niemal się bawiła, niezależnie od dokuczliwego poczucia winy, że oszukuje absolutnie każdego, rzecz jasna oprócz Stephen'a i jego siostr. Przewidywała też, że opowiedziały one o wszystkim swoim mężom.

Wydawało się więc, że to rzeczywiście wspaniała uroczystość, sala balowa wyglądała pięknie, a Stephen wydawał się szczęśliwy i jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać narzeczony na balu zaręczynowym, pomyślała z pewną melancholią.

Może zresztą ona również robiła takie wrażenie.

Zatańczyli ze sobą pierwszy taniec.

- Paget został - powiedział Stephen, kiedy czekali, aż muzykanci zaczną grać. - Nie dziwi cię to?

Bruce istotnie zjawił się na balu, i to należycie ubrany. Jego bagaże nadal tkwiły przed Merton House w powozie. Chyba naprawdę przyjechał tu prosto z Portman Street, nie zatrzymując się w hotelu.

- Pozory zawsze dla niego wiele znaczyły - odparła. - Przez całe lata trzymał się z dala od ojca na wypadek skandalu i tak zresztą robił do samej jego śmierci. Pewnie wyrzucił mnie tak że dlatego, żeby ukreć łeb plotkom, które zaczęły o mnie krążyć. Może dziś zrozumiał swój błąd i zdał sobie sprawę, że zyska ludzki szacunek tylko wtedy, gdy nie będzie podważał oficjalnego werdyktu co do śmierci ojca. Najłatwiej to osiągnie, opowiadając się po mojej stronie i dając do zrozumienia, że jest w Londynie po to, by pobłogosławić moje zaręczyny. Biedny Bruce.

Stephen uśmiechnął się najpierw do niej, a potem do innych gości. Był to pierwszy taniec balu i większość oczu była zwrócona na nich.

Jest tak, jakby to wszystko była prawda, pomyślała Cassandra, gdy zabrzmiała muzyka i obydwójce zaczęli tańczyć kontredansa.

Cassandra tańczyła też ze wszystkimi trzema szwagrami Stephena, z bratem i z Goldingiem, który przybył na bal wraz z Alice, a także z Huxtable'em.

- Zdaje się, lady Paget - zauważył w tańcu Con - że nie docenialiśmy pani i chyba wszyscy zaczynają to sobie uświadamiać, zwłaszcza gdy widzą, jak życzliwie uśmiecha się do pani Paget. Szkoda, że rozbił sobie nos, ale niebezpiecznie jest wysuwać go z za drzwiczek powozu, kiedy podmuch wiatru grozi nagłym ich zatrzęsnięciem.

- Każdy, kto w to wierzy - odparła ze śmiechem - wciąż pewnie spodziewa się zobaczyć mnie wywijającą nad głową siekierą, zanim to się skończy.

Huxtable uniósł brwi.

- Zanim co się skończy? Bal? Mam nadzieję, że nie robi pani aluzji do niczego innego. Mój młody kuzyn jest z natury beztroski, lecz nie pamiętam, bym go kiedykolwiek widział równie szczęśliwego.

- Czy wierzy pan, że mogę go uszczęśliwić?

- Wydaje się to raczej oczywiste.

- A więc wybacza mi pan moje zderzenie się z nim na balu Margaret.

- Wybaczę - odparł - w dniu pani ślubu. I to po ceremonii.

- W takim razie oczekuję jej jeszcze skwapliwiej niż przedtem, panie Huxtable.

Nie było łatwo go rozszyfrować. Lubił ją czy nie? Lubił Stephena czy nie?

Taniec przed kolacją tańczyła z Bruce'em, bo ją o to poprosił. Trudno było odmówić, ale wielu rzeczy nie mogła zapomnieć: słów, które powiedział, nim wygnał ją z Carmel House, strachu, z jakim podróżowała ze swoją gromadką, nie mając pojęcia, jak zapewnić byt i im, i sobie samej, okropnych plotek, których nie tylko nie starał się uciszyć, lecz może nawet sam je podsycił, sposobu, w jaki ją dziś potraktował, nie bacząc ani trochę, że ktoś może usłyszeć jego szaleńczą tyradę. Co za szczęście, że nie zjawił się godzinę później.

Jedyną rzeczą, jaka sprawiła jej satysfakcję, był jego zaczerwieniony i spuchnięty nos.

Jak wspaniale wyglądał za to Stephen...

Choć nie należy pochwalać przemocy, obojętne, pod jaką postacią, jakoś ją to cieszyło. Po raz pierwszy w całym jej życiu ktoś stanął do walki w jej sprawie, a nie przeciw niej. I ktoś dowiedział się, co to znaczy dostać pięścią w nos.

- Musisz wiedzieć, Cassandro - powiedział Bruce zimno, gdy prowadził ją do tańca - że nigdy cię nie lubiłem. Wyszłaś za

mojego ojca dla pieniędzy, bo nie mogłaś się niczego spodziewać po swoim nic niewartym ojcu. A chciałaś żyć wygodnie i w luksusie. Prawie ci się to udało. Klejnoty, które ci kupił mój ojciec, z pewnością są warte fortunę. Nie opłaciły ci się jednak te sztuczki i dostałaś za swoje. Wątpię, żeby ci to groziło w małżeństwie z Mertonem, słabeuszem i niedołągą. Jeśli można jednak wierzyć Williamowi - a dałbym głowę, że można - nie zabiłaś mego ojca. Zrobię więc, co tylko mogę, żeby powstrzymać plotki, które dopadły cię niczym zemsta losu aż tutaj. Będę rad, jeśli mi się to uda i jeśli wyjdiesz za Mertona. Będę rad, że się ciebie pozbyłem, że mogę o tobie zapomnieć, a może nawet - jeśli szczęście mi dopisze - nigdy więcej cię już nie oglądać.

Przez cały czas tej przemowy uśmiechał się do niej.

Taniec właśnie się zaczynał.

- Nie masz zamiaru sam ożenić, Bruce? - spytała, uśmiechając się również.

- Nie.

- W takim razie cieszę się ze względu na kobietę, która mogłaby zostać twoją żoną.

- Jutro zobaczę się z moim prawnikiem i pójdę z nim do tego twojego adwokata. Możesz się tam z nami spotkać w południe. Dostaniesz z powrotem wszystko, do czego masz prawo, pod warunkiem że przyrzekniesz na piśmie nie zgłaszać nigdy więcej pretensji do mojego majątku.

I uśmiechnął się. A ona też.

- Przyjdę tam z Wesleyem. Adwokat mi doradzi, na co po winnam wyrazić pisemną zgodę, a na co nie.

Tańczyli już potem bez słowa, uśmiechając się w pustkę. Cassandra domyślała się, że wielu gości ciekawi, co też może znaczyć zachowanie lorda Pageta, ale nie znali całej prawdy. Czy przyjechałby tutaj, gdyby wierzył, że zamordowała jego ojca? Gdyby

nie życzył jej dobrze? Gdyby nie chciał pobłogosławić jej drugiego małżeństwa?

Cassandra niemal słyszała to, co oni myślą czy mówią - i to co będą mówić w następnych dniach.

Z pewnością powiedzą, że wszyscy się co do niej pomylili. W końcu plotki były zbyt przesadne. Jaka kobieta uniosłaby siekierę tak wysoko i zamachnęła się nią tak energicznie, by rozłupać męską czaszkę na dwoje? Oczywiście, nigdy w to właściwie nie wierzyli, ale... ona nie zaprzeczała tym pogłoskom, prawda? A kobietę o takim kolorze włosów można uznać za zdolną do wszystkiego. Ale to chyba jednak nieprawda. Przecież jest tu lord Paget, a nawet z nią tańczy, rozmawia i uśmiecha się do niej. Najwyraźniej są ze sobą w najlepszych stosunkach.

Gdy wieczór miał się ku końcowi, Stephen uznał, że Paget zachował się porządnie, on zaś może poprosić Cassandrę o jeszcze jeden taniec.

Nie mógł twierdzić, że uradował go przyjazd Pageta i to, że musiał go zaprosić na bal, zamiast zrobić z niego krwawą miazgę, co sprawiłoby mu dużo większą satysfakcję.

W sumie jednak wszystko się jakoś ułożyło. Choć nadal niektórzy będą myśleli o Cassandrze same złe rzeczy. W końcu jednak - taka już jest ludzka natura - większość uzna, że dała się omamić plotkom. Inni zaś dojdą do wniosku, że nigdy nie brali ich na serio i ani przez chwilę im nie wierzyli. Cassandra odzyska dobrą reputację.

Skoro zaś Paget przybył tu i przez cały wieczór się uśmiechał, a nawet zatańczył z Cassandrą, nie mógł dłużej utrzymywać, że nie ma ona prawa do swojej własności i pieniędzy przypadających jej w udziale na mocy testamentu męża i kontraktu ślubnego.

Stephen nie miał pojęcia, jak bardzo będzie zamożna, lecz przewidywał, że w najgorszym razie będzie żyć w dostatku. Stanie się niezależna i pokieruje losem tak, jak się jej spodoba.

Nie przygnębiło go to wcale, wręcz przeciwnie. Wiedział, że walczyłaby z nim zaciekle, gdyby uznała, że musi go poślubić. W nim zaś budziło wstręt przeświadczenie, że namawia ją do małżeństwa, gdyż ona nie ma innego wyjścia. Przez resztę życia zastanawiałby się, czy naprawdę chciała za niego wyjść, a także czy litość nad nią nie wpłynęła czasem na jego zdanie.

Teraz mógł o nią walczyć bez wyrzutów sumienia. Ona musi powiedzieć „tak”, i to dlatego, że naprawdę będzie tego chciała, bo teraz może swobodnie decydować o sobie. On zaś będzie walczył, bo jej pragnie. Wszelkie inne powody zniknęły.

Wziął ją w ramiona. Uśmiechał się wprawdzie przez cały wieczór, lecz tym razem widział tylko ją i czuł tylko miłość, która go przepęlnia. Nadal trudno mu było uwierzyć, że mu się to wszystko zdarzyło - i to na długo przedtem, nim zaczął szukać, i w zupełnie innym kierunku niż ten, jaki by obrał, gdyby szukał miłości świadomie.

- Wciąż jesteś zdecydowana zerwać nasze narzeczeństwo z nadejściem lata?

- Ależ tak. I tylko ja mogę tego dokonać w sposób honorowy. Nie zrobię ci zawodu ani nie zostawię na ciebie pułapki. Te zaręczyny są tylko tymczasowe.

Czy w ogóle coś do niego czuła? Nie wiedział, był jednak pewien, że ją pociąga. Czy jednak czuła coś choćby zbliżonego do miłości? Romantycznej miłości? Głębokiej miłości na całe życie?

Czy jednak gdyby go kochała, mogłaby mu o tym powiedzieć? Postanowiła przecież, że zerwie zaręczyny.

Były to doprawdy niełatwe zaloty. Zabrnęli w narzeczeństwo, które ona czuła się w obowiązku zerwać, on zaś czuł się w obowiązku zakończyć je małżeństwem.

Miłość nie miała tu wielkiego znaczenia. Chociaż była wszystkim.

Tańczyli walca w milczeniu, w przestrzeni, która zdawała się istnieć tylko dla nich dwojga. Czuł woń kwiatów, zapach jej włosów i ciała. Czuł też jego ciepło, słyszał jej oddech. Mógł widzieć dumny łuk jej szyi, piękno rysów, wspaniałe włosy, słoneczną barwę sukni.

Mrok, który przedtem w niej tkwił, zastąpiło światło. Czy się do tego choć trochę przyczynił? Jeśli tak i jeśli ją utraci, będzie to dla niego pociechą przez długie lata samotności, jakie go czekają, nim zdoła o niej zapomnieć.

Nie, nie chce jej tracić i nic nie będzie mu pociechą.

Wiele rzeczy w życiu przychodziło mu łatwo. Nawet jako chłopiec wiedział, że Meg zachowała część posagu matki, dzięki czemu mógł studiować w Oksfordzie i otrzymać na tyle dobre wykształcenie, by sobie znaleźć solidną, korzystną profesję na resztę życia. Gdy zaś odziedziczył tytuł i wszystko, co się z nim wiązało, jego życie stało się bardzo łatwe. A także bardzo szczęśliwe. Nigdy nie musiał walczyć ciężko o to, czego pragnął.

A teraz chciał walczyć, bo pragnął Cass.

- Masz dziwnie zawziętą minę - zauważyła.
- Bo się istotnie zawzięłem.
- Żeby nie nadepnąć mi na palce w walcu?
- To również, ale nie tylko. Uparłem się cieszyć się tym, co jeszcze zostało do końca sezonu. I chciałbym, żebyś ty się również tym cieszyła.
- Jakże mogę się nie cieszyć z towarzystwa anioła?

Powiedziała to jednak z rozbawieniem, a on nie wiedział, czy ta odpowiedź jest bez znaczenia, czy też płynie z głębi serca, choć zabrzmiało to w sposób nieznośnie sentymentalny.

Walc miał się ku końcowi, wieczór tak samo.

Przez następne pół godziny wszyscy się pożegnali, prócz kilku osób z rodziny. Wynajęty powóz Wesleya Younga zajechał przed Merton House. Young czekał na siostrę. Panna Haytor i Golding siedzieli już w środku.

Stephen stał koło schodów wejściowych, unosząc jedną z dłoni Cass do warg.

- Dobranoc, Stephenie - powiedziała.

- Dobranoc, moja droga.

I rzeczywiście była mu droga. Jak mógł ją o tym przekonać?

Pomachała ku niemu dłonią z wnętrza powozu, a potem zniknęła mu z oczu.

Następny miesiąc upływał, zdaniem Cassandry, i za szybko, i za wolno.

Chciała, żeby już się skończył i pozwolił jej zacząć nowe życie. Wszystko między nią a Bruce'em udało się załatwić bez trudu dzięki adwokatom i Wesleyowi. Nie tylko otrzymała to, co się jej należało z tytułu umowy przedślubnej, lecz miała też dostawać pensję, do której prawo dawał jej testament Nigela, i to łącznie z zaległymi ratami. Biżuterię wysłano już z Carmel House.

Stała się zatem zamożną kobietą, mogła żyć wygodnie, zwłaszcza że zamierzała zamieszkać gdzieś na prowincji, w małym domku oraz w towarzystwie tylko kilkorga służby

Mary, rzecz jasna, odejdzie z Williamem. Kupił właśnie ziemię w Dorsetshire wraz z dworkiem. Mieli zamiar przenieść się tam jesienią. Na razie jednak zostali z Cassandrą, a Mary upie-

rała się, by nadal służyć jej jako gospodyni, pokojówka i kucharka.

Belinda była niesłychanie podniecona perspektywą przeprowadzki gdzieś daleko do dużego domu razem z mamą i papą.

Alice zamierzała wyjść za Goldinga w ciągu miesiąca. Cassandra bezwstydnie oświadczyła, że poślubi Stephena, w co Alice uwierzyła, i poradziła przyjaciółce pójść za głosem serca. Cała wprost promieniowała szczęściem, dlatego Cassandra nie czuła wyrzutów sumienia z powodu swego kłamstwa. Pozostawało jej tylko przekonać w odpowiednim czasie Alice, że nagle zmieniła zamiar i nie może wyjść za Stephena. Alice musiałaby się z tym jakoś pogodzić.

Cassandra pragnęła szczęścia dla Alice, bo tylko wtedy wybaczyłaby sobie egoizm, z jakim zatrzymywała ją przez wszystkie te lata.

Czas płynął zbyt wolno, choć była teraz zadowolona, a nawet szczęśliwa. Miała sporo powodów do tego. Agent, który pomógł Williamowi znaleźć posiadłość z dworkiem, szukał teraz odpowiedniego domku dla niej.

Każdy dzień jednak pogłębiał jej przywiązanie do Stephena. Widywała go codziennie, czasem więcej niż jeden raz. Jeździła z nim jeździć konno rankiem, a czasem wieczorem wybierali się do Vauxhallu.

Lubiła go. Naprawdę. Mogłaby się z nim przyjaźnić przez całe życie i była pewna, że tak będzie. Poza Alice nigdy nie miała nikogo, z kim mogłaby swobodnie pogawędzić, nie siląc się na podtrzymywanie konwersacji. Nikogo, z kim mogłaby swobodnie milczeć, nie usiłując przy tym myśleć o niczym.

Oczywiście kochała go i pragnęła. Pamiętała o ich dwóch wspólnych nocach. Było to jednak coś więcej niż tylko fizyczne pożądanie. Zależało jej na nim w sposób dużo głębszy i bardziej

złożony, niż można to wyrazić słowami. Jeśli zaś istniały takie słowa, z pewnością ich nie znała. Słowo „miłość” było, jej zdaniem, tylko małymi drzwiami wiodącymi do wielkiego pałacu.

Czasami zastanawiała się, czemu nie może po prostu wyjść za niego i być szczęśliwą przez resztę życia. Powiedział przecież, że ją kocha. Zawsze też wydawał się szczęśliwy, kiedy byli razem.

Jaki jednak miał być, skoro od tego zależał jego honor? I jakże mogłaby zmusić go do małżeństwa?

Spróbowała sporządzić listę takich powodów. Świadomie go wybrała, żeby go uwieść. Sprawiała, że stał się jej opiekunem. Wzięła od niego pieniądze, których, nawiasem mówiąc, jeszcze mu do końca nie zwróciła. Nie powstrzymała go przed pocałunkiem na balkonie podczas balu u lady Compton-Haig. Pozwoliła mu ogłosić zaręczyny. Nie położyła stanowczo kresu tej farsie następnego dnia. No i... Zazwyczaj zatrzymywała się jednak w tym właśnie miejscu. Po co wyliczać dalej? Lista i tak była zatrważająco długa.

Nie, nigdy za niego nie wyjdzie.

Niekiedy lista wydłużała się właśnie wtedy, gdy próbowała o niej nie myśleć. Była o trzy lata starsza i miała już przedtem męża. Jej ojciec był nałogowym graczem, mąż - pijakiem. Kobieta tego pokroju nie była odpowiednią żoną dla młodego hrabiego.

Choć więc ostatni miesiąc sezonu dłużył się jej niezwykle, to jednocześnie galopował z zatrważającą prędkością. Kiedy będzie po wszystkim, Stephen powróci sam do Warren Hall na lato, a ona - do nowego domu, w nieznanym jeszcze kierunku.

I nigdy więcej się nie zobaczą.

Nigdy.

Nadszedł lipiec. Ludzie zaczęli już wyjeżdżać z Londynu, powracając do swoich włości lub szukając chłodniejszego

i świeższego powietrza nad morzem. Sesja parlamentu miała się ku końcowi. Rozrywki towarzyskie uległy zawieszeniu aż do następnego roku.

Cassandra też opuściła Londyn, ale tylko na parę dni. Pojechała do Kentu na ślub panny Haytor z Goldingiem, potem miała wrócić do stolicy. Stephen zaczął się denerwować albo dokładniej nadal był zdenerwowany. Zabiegał o nią nieustępliwie przez cały miesiąc, a wciąż nie miał pewności, czy ona czuje do niego coś więcej niż czułość i przyjaźń.

Nie wystarczyło mu zaś ani jedno, ani drugie.

Teraz, kiedy już było na to za późno, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien każdego dnia powtarzać jej, że ją kocha. No cóż, gdyby jednak tak zrobił, pewnie by się teraz zastanawiał, czy nie należało się raczej powstrzymać od jawnego wyrażania uczuć.

Widocznie miłość nie zna reguł. Nie ma też gwarancji, że nawet najbardziej wytrwali osiągają swój cel.

Nie mógł już czekać na ostateczny wynik starań, odkładał jednak wyjaśnienia na później, bo -jak sobie zdał sprawę - lękał się odpowiedzi. Gdyby wyraźnie poprosił ją o rękę i został odrzucony, nie miałby już żadnej nadziei.

Od kiedy stał się takim pesymistą?

Cassandra miała wrócić do Londynu we wtorek, po ślubie Alice, Stephen jednak w poniedziałek spotkał przypadkiem Williama Belmonta i dowiedział się, że już wróciła.

Nie tracił czasu i złożył jej wizytę.

Nie spodziewała się go. A Mary, która widywała go prawie każdego dnia przez ostatnie półtora miesiąca, nie zajrzała do bawialni, żeby się upewnić, czy Cassandra przyjmuje. Powitała go uśmiechem przy drzwiach, gdzie polerowała do połysku mosiężną kołatkę, a potem zastukała lekko do drzwi bawialni, otworzyła je bez czekania na odpowiedź i pozwoliła mu wejść.

Cassandra stała przed pustym kominkiem, z jedną ręką wspartą o jego gzyms. Drugą przyciskała do ust i szlochała.

Odwróciła się ku niemu z przerażoną twarzą i z zaczerwienionymi oczami, a potem gwałtownie się odwróciła.

- Zaskoczyłeś mnie. Wyglądam okropnie. Wróciłam ledwie godzinę temu i przebrałam się w coś wygodnego, ale zgoła nie eleganckiego.

A potem siadła w fotelu przy kominku, plecami do niego.

- Cass. - Przeszedł pospiesznie przez pokój i położył jej ręce na ramionach. Drgnęła. - Co ci się stało?

- Mnie? - spytała żywo. Wyprostowała się i uchyliła przed jego uściskiem, a potem przestawiła wazon z miejsca, gdzie stał poprzednio, na stolik przy fotelu. - Nic takiego. Coś mi wpadło do oka.

- Tak - powiedział. - Płaczesz. O co chodzi?

Podał jej chusteczkę. Wzięła ją i otarła oczy, ale na niego nie patrzyła.

- Nic - powtórzyła - prócz tego, że Alice wyszła za mąż i będzie teraz żyła długo i szczęśliwie z Goldingiem, a Mary i Belinda odjadą z Williamem i też będą tak żyć. Zaczęłam się nad sobą użalać. Ale płakałam też, bo cieszy mnie ich szczęście.

- Z pewnością. A ty nie chcesz żyć długo i szczęśliwie, Cass? Nie zechciałabyś wyjść za mnie? Wiesz przecież, że cię kocham, a nie mówię tego tylko po to, żeby ci poprawić humor. Tak, kocham cię i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, całkiem tak samo jak bez powietrza. Czy mogę mieć nadzieję, że też mnie kochasz? Że zapomnisz o zrywaniu zaręczyn i poślubisz mnie tego lata w Warren Hall?

No, w końcu wyrzucił to z siebie. Miał cały miesiąc na przygotowanie przemowy, ale gdy przyszło co do czego, nie był wcale gotów. Te słowa nie złagodziły żalu Cassandry. Nim jeszcze skończył mówić, wstała z fotela i wyjrzała przez okno.

Nie powiedziała jednak „nie”. Czekał z zapartym tchem, lecz ona milczała.

Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że znów zaczęła płakać, nadaremnie usiłując ukryć łkanie.

- Cass. - Stephen podszedł do niej, choć tym razem już jej nie dotykał. - Ty nie tylko płaczesz nad sobą. Czy próbujesz znaleźć sposób, żeby się mnie w dyskretny sposób pozbyć? Nie możesz za mnie wyjść?

Po dłuższej chwili zdołała opanować się na tyle, żeby mu odpowiedzieć.

- Chyba będę musiała, bo zdaje mi się, że będę miała dziecko. Nie, wcale mi się nie zdaje. Przez kilka tygodni usiłowałam sobie wmówić, że tak nie jest, ale... już drugi raz... Musiałam zająć w ciążę.

A potem zaczęła płakać tak rozpaczliwie, że mógł tylko objąć ją i przytulić do siebie.

Poczuł, że nogi się pod nim uginają, a serce podjeżdża do gardła.

- I to ma być takie okropne? - spytał, gdy szloch nieco przy cichł. - Że będziesz miała dziecko i że musisz za mnie wyjść?

Uniosła głowę i spojrzała na niego zarumieniona od łez.

- Nie chciałam cię do niczego zmuszać. Myślałam, że po ostatnim poronieniu, ponad dwa lata przed śmiercią Nigela, stałam się bezpłodna. Jak to się mogło stać? Przecież to niemożliwe!

Łzy płynęły strumieniami po policzkach, a on wszystko nagle zrozumiał.

- Nie mogę ci niczego obiecać, Cass - szepnął, osuszając jej łzy. - Chciałbym, ale nie mogę. Zajmą się tobą najlepsi lekarze. Będziemy mieli to dziecko, jeśli miłość i nasze pragnienia mogą tego dokonać.

On też miał oczy pełne łez.

Cass oczekiwała jego dziecka. I bała się straszliwie, że je straci.

On również.

- Poradzę sobie sama - zaczęła. - Nie potrzebujesz...

Pocałował ją. Mocno.

- Zrobię tak, bo to moje dziecko, a także dlatego, że cię kocham. Nieważne teraz, czy ty mnie kochasz, czy nie, ale nadal będę zabiegać o twoje względy w nadziei, że pewnego dnia mnie zechcesz. A ja uczynię cię szczęśliwą. Przysięgam.

- Kochałam cię niemal od pierwszej chwili. Ale wygląda to tak nieuczciwie...

Znowu ją mocno pocałował, a potem uśmiechnął się do niej, ona zaś, choć trochę niepewnie, do niego.

- Byłaś u medyka?

- Nie.

- Jutro pošlę cię tam razem z Meg.

- Będzie zgorzozona.

- Chyba nie znasz moich sióstr.

Przytuliła się do niego.

- Cass. - Strach znów go ogarnął. - Będiesz ze mną bez pieczna. Przysięgam.

Jakież głupie są słowa. Przecież ona ma przed sobą kilka miesięcy brzemienności i poród.

Nic dziwnego, że zdaniem wielu kobiet mężczyźni są bezna-dziejnymi i bezużytecznymi istotami.

- Wiem - odparła, obejmując go za szyję. - Stephen, nie chciałam, żeby to się stało właśnie z tego powodu, ale kocham cię. Kocham. Postaram się, żebyś nigdy niczego nie żałował.

Pocałował ją znowu.

Czuł się oszołomiony. A więc klamka zapadła. Wcale nie tak, jak sobie to zaplanował, i nie dzięki jego zaletom, tylko dlatego,

że przeszło miesiąc temu pozwolił się jej uwieść, a potem zgodził się zostać jej opiekunem.

Ten zły początek w jakiś dziwny sposób zrodził jednak wzajemną miłość i namiętność.

Cass zostanie jego żoną, bo nosi jego dziecko. Ale też dlatego, że go kocha.

Pobiorą się.

Stephen objął ją wpół i ze śmiechem zakręcił nią wkoło, póki ona też nie zaczęła się śmiać.

22

Cassandra przybyła do Warren Hall, siedziby Stephena w Hampshire, pewnego pełnego słońca i świeżości lipcowego dnia. Aż do ślubu miała przebywać w Finchley Park, posiadłości księcia Moreland, leżącej o kilka mil dalej, ale Stephen najpierw przywiózł ją właśnie tu. Chciał jej pokazać przyszły dom.

W chwili, gdy powóz wjechał między dwa wysokie kamienne słupy bramy parkowej, Cassandra zachwyciła się tym miejscem. Droga wiodła wzdłuż gęstych kęp drzew, które dawały wrażenie odosobnienia i spokoju, a także, o dziwo, sprawiły, że poczuła się u siebie. Może dlatego, że trzymała Stephena za rękę, a on był najwyraźniej szczęśliwy, że się tu znów znalazł.

- Mieszkałem w Warren Hall tylko osiem lat - mówił, patrząc to na nią, to na przesuwające się za oknami powozu widoki. - Wychowałem się gdzie indziej. Kiedy jednak po raz pierwszy zobaczyłem dom, natychmiast poczułem się... na właściwym miejscu. Jakby czekał na mnie przez całe życie.

Odwróciła z uśmiechem głowę od okna.

- Mam nadzieję, że czekał również na mnie. Przedtem chciałam, żeby moje życie wreszcie się zaczęło, a dopiero dziś, chociaż mam już dwadzieścia osiem lat, doznaję dziwnego wrażenia, że tak się właśnie dzieje. Teraz, nie w przyszłości. Czy nigdy cię nie uderzyło, że myśląc ciągle o życiu w przyszłości, w gruncie rzeczy nie żyjemy wcale?

Tylko do niego mogła tak mówić, mając pewność, że zostanie zrozumiana. Przyszłość zawsze była tą częścią jej życia, która wydawała się możliwa do zniesienia. Czasami traciła wszelką nadzieję pogrążona w rozpacz. Dłużej już tak nie będzie. Po raz pierwszy żyła terazniejszością i radowała się każdą jej chwilą.

Ścisnął jej rękę.

- Szkoda, że gdy nas spotyka coś dobrego, dzieje się to zawsze czymś kosztem. Jonathan Huxtable musiał umrzeć w wieku szesnastu lat, żebym mógł po nim dziedziczyć, a Con musiał być nieślubnym potomkiem.

- Czy Jonathan był jego bratem?

- Tak, Jonathan był... w pewnym sensie chory. Con powiedział mi niegdyś, że jego ojciec nazywał go zawsze idiotą. Ale również od niego dowiedziałem się, że Jonathan był istnym wcieleniem miłości. Szkoda, że go nie znałem.

- Ja też tego żałuję. Jak umarł?

- We śnie. W noc po swoich szesnastych urodzinach. Najwyraźniej miał już tyle lat, ile był w stanie przeżyć. Con mówił, że Jonathan by mnie kochał, a przecież zajmę jego miejsce. Czy to nie dziwne?

- Zaczynam nabierać przekonania, że miłość zawsze jest czymś dziwnym.

Nie było im jednak dane dalej rozmawiać, bo powóz wyjechał z za drzew i Cassandra mogła już dostrzec przez okno dużą,

kanciastą budowlę z jasnoszarego kamienia, wsparty na kolumnach portyk i marmurowe stopnie. Kamienna balustrada okalała rozległy taras przed domem, w jednym miejscu przerywały ją schody wiodące ku ogrodowi, alejkom i niskim krzewom.

- Jak tu pięknie!

Czy możliwe, że to jej dom? Pomyślała o imponującym splendorze Carmel House, który zawsze ją przytłaczał i przygnębiał - nawet przez pierwsze pół roku małżeństwa. Odepchnęła jednak od siebie te wspomnienia. Dotyczyły przeszłości. Tu była jej teraźniejszość.

- Prawda? - powiedział Stephen z zadowoleniem i ożywie niem. - A za dwa tygodnie zamieszka w nim nowa hrabina.

Uzyskał specjalne zezwolenie na ślub, żeby uniknąć zapowiedzi. zaproponował jednak, by odczekać dwa tygodnie. Być może powinni pobrać się bez zwłoki, Stephen chciał jednak, żeby wesele stało się pamiętnym wydarzeniem oraz by je świętowali w otoczeniu najbliższej rodziny i przyjaciół. Pragnął też wziąć ślub raczej w małej kaplicy na gruntach Warren Hall niż w Londynie czy nawet w wiejskim kościele.

Cassandrze nie przeszkadzała zwłoka, choć brak jej było bliskich i przyjaciół. Co prawda niezupełnie, bo Wesley przyjechał z księciem i Vanessą do Finchley Park, gdzie miał się z nią spotkać jeszcze tego wieczoru. Alice, Golding, Mary, William i Belinda mieli przybyć na dzień przed ślubem.

Oczekiwano też całej rodziny Stephena, a także matki księcia i jego młodszej siostry z mężem, sir Grahama i lady Carling, siostry lorda Montford, również z mężem, no i oczywiście Constantine'a Huxtable'a. Sir Humphrey i lady Dew przyjeżdżali z Rundle Park koło Throckbridge w Shropshire, z córkami i zięciami. Miał też przybyć proboszcz Throckbridge, który uczył Stephena do siedemnastego roku życia.

Państwo Dew, jak się dowiedziała Cassandra, byli niemal uważani za krewnych rodziny Huxtable'ów, gdy mieszkali jeszcze w Throckbridge. Pozwalali Stephenowi jeździć na koniach ze swojej stajni. Vanessa wyszła niegdyś za ich młodszego syna, lecz ten rok później zmarł na suchoty. Dewowie traktowali jej dzieci jak własne wnuczeta.

- Zostanę teraz nową hrabiną Merton. Z chęcią pozbędę się miana lady Paget. Właściwie tylko dlatego chciałam za ciebie wyjść.

Spojrzała mu w oczy i wybuchnęła śmiechem. Stephen uśmiechnął się też, ale nieznacznie.

- Jakież to miły dźwięk - powiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

- Twój śmiech. Śmiejesz się nie tylko ustami, ale też oczami. Cenny jest ten twój szczerzy śmiech, Cass. Jeśli ja go wywołałem, ma on o wiele większą wartość niż moje nazwisko i tytuł.

Cassandra zaśmiała się znowu, przymykając oczy, i dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

- A może - zaczęła, gdy powóz okrążył taras i mogła już widzieć kamienną fontannę, przedtem zasłoniętą przed jej wzrokiem - właśnie twój młody zmarły kuzyn daje temu miejsce aurę spokoju i miłości, a nastrój szczęścia zawdzięcza ono tobie? Może jakiś dobry duch lub anioł kazał mi czekać przez wszystkie te lata, tak bym była gotowa przybyć tu i zostać uzdrowiona? A także zapewnił zdrowie każdemu, kto zechce kiedykolwiek zamieszkać tu razem z nami? Chciałabym dać trochę tego szczęścia i miłości każdemu, kto tu zawita. I naszym dzieciom.

Niemal pożałowała, że wymówiła te ostatnie słowa na głos. Znów poczuła strach. Nigdy do końca jej nie opuszczał. Stephen objął ją i pocałował. Ośmieliła się zaufać miłości. Ośmieliła się ufać czemukolwiek.

Roger, rozciągnięty na siedzeniu, parsknął przez sen, gdy powóz zwolnił, a potem przeciągnął się i uniósł łeb.

Powóz zatrzymał się przed domem, Stephen pomógł jej wysiąść. Karetą, która wiozła Margaret, hrabiego Sheringforda, ich dzieci oraz Katherine z lordem Montford i ich syna, nadjeżdżała tuż za nim.

Była w domu, wkrótce otoczą ją bliscy i ma przy sobie Stephena, swego anioła. Trudno jej było w to wszystko uwierzyć. Wierzyła jednak, że nauczyła się już ufać.

Roger wygramolił się z powozu, uniósł łeb i podszedł do niej. Podrapała go pod brodą.

Kaplica w parku Warren Hall była niewielka. Rzadko z niej korzystano, skoro we wsi stał obszerny, wygodny i malowniczy kościół, zaledwie godzinę drogi od domu.

Tradycyjnie odbywały się w niej jednak rodzinne chrzciny, śluby i pogrzeby, a tradycja ta była dla Stephena czymś ważnym, choć dość późno pojawiła się w jego życiu. Przez ostatnich osiem lat wiele godzin spędzał na graniczącym z nią cmentarzu, odczytując napisy na nagrobkach pochowanych tam przodków, czując, że łączy go z nimi jakaś więź. Niegdyś nie budził w nim zbyt wielkiej życzliwości jego pradziadek, który wygnał swego syna, dziadka Stephena, bo poślubił on kobietę niższego stanu. Ochłodzenie stosunków trwało aż do wygaśnięcia starszej gałęzi rodu wraz ze śmiercią Jonathana, a skończyło odnalezieniem Stephena.

Rodzinne kłótnie to przykra rzecz. Po cóż jednak ciągnąć dłużej niesnaski i wadzić się ze zmarłymi? Głównego ogrodnika pouczono więc, by dbał regularnie o groby rodzinne.

Stephen zawsze marzył, że weźmie ślub właśnie w tej kaplicy, choć rozumiał, że jego narzeczona - obojętne, kto nią zostanie - może pragnąć czegoś innego.

Vanessa poślubiła Elliotta właśnie tutaj. A on chciał tu poślubić Cassandrę.

Kaplica pełna była purpurowych i białych kwiatów. Na ołtarzu płonęły świece. W ławkach bliscy i przyjaciele szeptali między sobą. Ktoś odezwał się głośniejszym głosem - to syn Nessie i Elliotta, Sam - lecz szybko został uciszony. Ktoś się zaśmiał - to Sally, córka Meg i Sherry'ego - i ona też została energicznie przywołana do porządku, choć półgłosem.

Stephen patrzył na płomień świecy i oddychał z pewnym trudem. Był zdenerwowany, co go zupełnie zaskoczyło dziś rano, bo ostatnie dwa tygodnie dłużyły mu się nieznośnie i sądził, że dzień ślubu chyba w ogóle nie nadejdzie. Nos go swędziało, lecz nie chciał się w niego podrapać, bo przypomniało mu się, że zrobił tak już minutę czy dwie wcześniej. Ktoś to z pewnością zauważył - chyba Sherry lub Monty - i potem będzie z niego kpił. Pstryknął palcami i skrzywił się, bo odniósł wrażenie, że słychać to w całej kaplicy. Elliott, który siedział za nim, spojrzał na niego spod oka. Stephen wyczytał w jego wzroku rozbawienie.

Dobrze im się śmiać, od tylu już lat byli mężami!

Rozległ się tętent kopyt. Nadjeżdżał powóz, a skoro wszyscy goście znajdowali się w środku i większość z nich przyszła pieszo, mogła to być tylko Cassandra, która miała tu przyjechać z Finchley Park. Wkrótce dał się też słyszeć odgłos kroków na ścieżce. Czyjś głos mówił, że trzeba się zatrzymać na chwilę i poprawić jej strój.

Stała w drzwiach, a Stephen zerwał się bezwiednie na nogi. Wszyscy inni także wstali, a on usłyszał, jak pastor poucza go, co ma mówić.

Miała na sobie suknię ze śliwkowego atłasu, z wysokim stanem, krótkimi rękawkami i długim falującym trenem. Była bez

kapelusza, wplotła tylko w rude włosy kilka kwiatów tej samej barwy, co suknia.

Stephen usiłował znaleźć w myślach słowa oddające jej urodę, ale mu się to nie udało.

Na chwilę wstrzymał oddech. A potem przyszło mu na myśl, żeby się uśmiechnąć, póki nie zrozumiał, że już to robi.

Czemu nikt go nie uprzedził, jaką udawką jest ślub?

Choć prawdę mówiąc, Sherry i Monty nic innego nie robili podczas śniadania, którego niemal nie tknął. Meg nawet pogniewała się na męża. Czy nie widzi, że Stephen jest już i tak zielony na twarzy i czy naprawdę chce, żeby nieborak zwymiotował?

Wiedział, że Cassandra na niego patrzy, że brat idzie tuż przy niej - zapewne udało mu się w końcu wygładzić tren. Jej zielone, uroczo skośne oczy wydawały się większe niż zwykle. Przygryzała dolną wargę. Zrozumiał, że jest równie zdenerwowana, jak on.

A potem uśmiechnęła się. On zaś poczuł takie szczęście, że ledwie zdołał się powstrzymać od głośnego śmiechu, co byłoby naprawdę dziwaczne.

Mignęło mu w pamięci wspomnienie tego dnia, kiedy ujrzał ją w parku, w ciężkiej żałobie, a potem balu u Meg dzień później, gdzie okazała się kusicielką w szmaragdowozielonej sukni i z maską dumnej pogardy na twarzy.

A przecież z pewnością już wtedy wiedział, że rozpoznałby ją wszędzie na świecie. Tę swoją miłość.

Bo miłości - tej zagadkowej, potężnej, wszechogarniającej siły - nie da się zawrzeć w jednym jedynym słowie.

Stała już przy nim i oboje zwrócili się do pastora, brat oddawał jej rękę mężczyźnie, który miał ją kochać przez całe życie, a nawet i później, jeśli to w ogóle możliwe. Pastor zwrócił się do jej ukochanego głosem, który zdołałby wypełnić katedrę, i Stephen

ślubował, że ją będzie kochać, szanować i chronić, a ona przyrzekała mu miłość, cześć i posłuszeństwo. Stephen wstrzymał dech, sięgając po pierścionek leżący na dłoni Elliotta, która jakoś ani trochę nie drżała, z nadzieją, że zdoła go wsunąć na palec Cassandry. A potem, kiedy rzeczywiście mu się to udało, pastor oznajmił, że są już mężem i żoną.

Zdawało mu się, że nic nie zapamiętał ze ślubnej ceremonii, która ni stąd, ni zowąd nagle się zakończyła. Cass była już jego żoną, gdyby zaś nie poprowadził jej teraz ku ołtarzowi, zrobiłby z siebie głupca i stał się powszechnym pośmiewiskiem albo czymś jeszcze gorszym.

Cass była jego żoną. Ożenił się.

Później, gdy było już po wszystkim i złożono podpisy w księgach, wyszli z kaplicy, uśmiechając się na prawo i lewo, a goście tłoczyli się przed wejściem, ściskając i całując ich oboje. Posypały się na nich płatki róż.

A on się nareszcie roześmiał.

Świat był cudownym miejscem i choć nie istniało na nim coś takiego jak szczęśliwe życie aż do samej śmierci, to jednak czyste, niczym niezmacone szczęście mogło nadejść, a wtedy należało je chwycić i zachować na przyszłość, żeby trochę łatwiej było znieść ciężkie czasy.

Dziś był szczęśliwy i Cass także.

Przyjęcie weselne, na którym prócz rodziny było także kilku sąsiadów, przeciągnęło się do późna, w końcu wszyscy opuścili Warren Hall. Nawet ci, którzy mieli tu zostać, odjechali do Finchley Park, by nowożeńcy mogli zostać sami.

Cassandra odkryła, że jej sypialnia jest przestronna, z dużą gotowalnią obok i wygodną bawialnią za nią. Drzwi po przeciwnej stronie prowadziły zapewne do gotowalni i sypialni Stephena.

Do obydwójga należał długi ciąg pokoiów z oknami wychodzącymi na fontannę i ogród przed domem.

Cassandra, szcزتkując włosy, mimo że zrobiła to już jej nowa pokojówka, spojrzła w mrok za otwartym oknem, skąd dobiegał kojący szmer fontanny. Czekala na Stephena.

Wkrótce nadszedł. Odwróciła się, by móc go powitać uśmiechem, gdy zastukał do drzwi gotowalni i wszedł.

- Cass - powiedział, zbliżając się do niej z wyciągniętymi rękami - nareszcie jesteście sami. Kocham ich wszystkich, ale myślałem, że nigdy sobie nie pójda.

- Twoja służba śmiałaby się po kątach przez cały miesiąc, gdybyśmy poszli do łózka jeszcze za dnia.

- Masz rację - odparł rozbawiony. - Ale robi tak samo, gdy następnego dnia nie wstaniemy na śniadanie do południa.

- A więc zamierzasz spać do późna?

- Kto tu mówi o spaniu?

Wysunęła się z objęć Stephena i rozwiązała pas jego szlafroka. Był nagi. Rozchyliła poły i przylgnęła do ciepłego i mocnego ciała, które czuła przez cienki jedwab koszuli.

- Nie żałujesz? - spytała z ustami tuż przy jego szyi.

Wsunął palce między jej włosy, a potem ujął jej twarz w dłoń i uniósł ku sobie.

- A ty?

- O nie, ja spytałam pierwsza.

- Myślę, że życie się składa z nieustannych okazji do podejmowania decyzji. Gdzie mam dziś pójść? Co mam zjeść? Co teraz powinienem zrobić? A każda decyzja, mała czy duża, wiedzie nas nieuchronnie w wybranym kierunku, nawet jeśli był to wybór nieświadomy. Gdy spotkaliśmy się w Hyde Parku, a potem na balu Meg, dokonaliśmy wyboru, choć nie wiedzieliśmy, dokąd nas on zaprowadzi. Myśleliśmy, że biegł w innym kierunku,

a jednak doprowadził nas tutaj, dzięki wielu innym wyborom i decyzjom, jakie potem podejmowaliśmy. Nie żałuję niczego, Cass.

- A więc to los nas tu zawiódł?

- Nie. Los jedynie ukazuje nam możliwość wyboru. Czyny zależą już od nas. Mogłaś przecież wybrać kogoś innego na balu Meg, a ja mogłem odmówić zatańczenia z tobą.

- O nie, nie mogłabyś tak postąpić. Zbyt ci się spodobałam.

- Istotnie.

- Ale ja mogłam ci pokazać drzwi, kiedy zrozumiałam, że wprawdzie przyjmiesz moją propozycję, ale na własnych warunkach.

- O nie, nie mogłabyś tego zrobić, Cass. Zbyt ci się spodobałem.

- A co mi się w tobie podoba teraz? - spytała, zniżając głos i przymykając oczy. - Tylko gadanie przez całą poślubną noc?

- No cóż, skoro słowa ci najwyraźniej nie wystarczają, przejdę do działania.

Uśmiechnęli się do siebie, a potem ich uśmiechy zniknęły i Stephen pocałował ją.

Znała jego ciało. Wiedziała, co potrafi. Wiedziała, co czuje wewnątrz niej. Znała jego spojrzenie, zapach, dotyk.

Po półgodzinie i przez całą resztę nocy przekonała się jednak, że nie wiedziała nic. Znała tylko jego pożądanie i poczucie winy, czuła jedynie fizyczną satysfakcję, jego i swoją. Połowiczną.

Nie znała jego miłości.

Powtórzyło się wszystko to, co już jej było znane, ale tym razem doznała czegoś o wiele większego. Tej nocy należała do niego, on do niej, a cztery kolejne razy - oboje do siebie. I nie oznaczało to podwojenia, okazało się jednością. Stali się nią,

gdy wzniesli się ponad szczyt namiętności i dotarli gdzieś wyżej, osiagając stan, którego nie można opisać słowami ani nawet dokładnie go sobie potem przypomnieć, póki nie nadejdzie ponownie.

- Cass - stwierdził sennie, kiedy zrobiło się już jasno i ptaki zaczęły świergotać gdzieś w pobliżu - chciałbym powiedzieć: „kocham cię” na tysiąc różnych sposobów. Albo nawet na milion.

- Czy chcesz próbować wszystkich? Zasnę na długo przed końcem.

Zaśmiał się cicho.

- Nigdy się nie znużę słuchaniem tych dwóch prostych słów - dodała.

- Kocham cię - powiedział i wsparł się na łokciu, a potem potarł o jej nos swoim.

- Wiem - odparła, nim nakrył ją sobą i udowodnił to bez pomocy słów.

- Kocham cię - powiedziała później.

On jednak mruknął tylko coś niewyraźnie i zasnął.

Inne ptaki, choć może i te same, śpiewały dla kogoś innego, kto wstał o świcie. Ów ktoś nie spędził nocy w Warren Hall, nie pojechał też do Finchley Park z resztą rodziny. Jakże mógłby to zrobić, skoro od wielu lat on i Elliott nie rozmawiali ze sobą.

Elliott oskarżył go, że okradał Jonathana, który był łatwą zdobyczą. Obwinał go też o rozpustę, spółczenie kilkorga bękartów, o to, że za wiele kobiet kręciło się wokół niego.

Elliott, który niegdyś był jego bliskim przyjacielem.

Constantine nigdy nie zaprzeczył tym oskarżeniom. Nie mógł tego zrobić.

Spędził noc w domu Phillipa Graingera, starego przyjaciela z sąsiedztwa.

Stał teraz na cmentarzu przy kaplicy, w której poprzedniego dnia Stephen poślubił lady Paget. Na ścieżce i na trawie leżały jeszcze płatki róż, którymi dzieci obsypały nowożeńców.

Zatrzymał się przed jednym z grobów i patrzył na niego w zadumie. W długim czarnym płaszczu i wysokim cylindrze, któremu nie służył wilgotny chłód świtu, wyglądał wręcz upiornie.

- Jon - odezwał się cicho - chyba w rodzinie wkrótce pojawi się kolejne pokolenie. Nikt jeszcze o tym nie mówi, ale coś mi się zdaje, że lady Merton jest przy nadziei. To porządna kobieta. A on na pewno taki jest, choć niegdyś chciałem, żeby było inaczej. Lubiłbyś ich oboje.

Kilka różanych płatków o pociemniałych już brzegach spadło na grób. Con nachylił się, żeby je podnieść.

- Nie, ty byś ich kochał. Zawsze kochałeś ludzi, serdecznie i bez żadnej różnicy. Nawet mnie.

Rzadko bywał teraz w Warren Hall, gdyż widok domu sprawiał mu ból. Czasami jednak tęsknił za Jonem, nawet za tym, co jedyne zostało mu po bracie: niewielką mogiłą i nagrobkiem, nieco już poczerniałym i omszałym.

Jon miałby teraz dwadzieścia cztery lata.

- Już pójdę - powiedział. - Do następnego razu, Jon. Śpij spokojnie.

A potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

Epilog

Świat ograniczył się do bólu i krótkich chwil wytchnienia, kiedy mogła zaczerpnąć tchu, ale nie czuła wtedy prawdziwej ulgi.

To był długi, ciężki poród, lecz Margaret zapewniała ją, że wydawanie na świat dziecka zawsze jest bolesne.

- Mężczyźni nie wiedzą niczego - powiedziała, gdy Stephen zajrzał po raz któryś, ale bez wielkich oporów dał się wyprosić za drzwi. - Nie potrafią nawet znieść widoku bólu.

Być może dlatego, pomyślała Cassandra, że trudno jest patrzeć na ból, którego się było przyczyną, ból, którego nie można z nikim dzielić ani go powstrzymać. Nadszedł kolejny spazm i znów przysięgała, że przenigdy już nie pozwoli Stephenowi nawet zbliżyć się do siebie.

Błagam, błagam, błagam, myślała, usiłując wstrzymać dech po kolejnych atakach bólu, które przeszywały jej łono.

O co tak błagała? Żeby ból ustał? Żeby dziecko mogło się urodzić? Żeby przyszło na świat żywe i zdrowe?

Błagam, błagam...

Siedem miesięcy jej małżeństwa było jednym pasmem niewiarygodnego szczęścia, ale także niepokoju. Jej niepokoju.

A także strachu Stephena, choć maskował go, udając wesołość.

- Wszystko toczy się jak należy - Lekarz był mężczyzną, nie miał zatem pojęcia o niczym.

- Przecież ona ledwie żyje! - odpowiedział mu głos Margaret.

- Już wkrótce urodzi.

Jeszcze jeden głęboki wdech...

Błagam. Błagam...

Nieprzeparta potrzeba, żeby przeć, przeć i przeć, póki jakiś głos nie kazał jej przestać, żeby mogła zachować siły do czasu następnego skurczu. A potem...

Och, błagam, błagam...

Szaleńcze, niedające się powstrzymać parcie. Aż do utraty tchu. Cały świat był bólem i parciem.

I w końcu nagła ulga, możliwość zaczerpnięcia powietrza, a potem...

Krzyk dziecka.

- Ma pani syna - powiedział wesoło lekarz. - I to najwyraźniej z dziesięcioma palcami u rąk i nóg, z nosem, dwojgiem oczu i ustami, które od czasu do czasu będą wołać jeść.

Margaret wybiegła z pokoju, żeby powiadomić Stephena, któremu jednak nie pozwolono jeszcze wejść, póki dziecko nie zostało przez nią umyte, zawinięte w ciepły pled i ułożone w ramionach matki. Doprowadziła do porządku Cassandrę, poprawiła łóżko, a potem cofnęła się i uśmiechnęła do matki i dziecka, dumna z siebie i radosna.

Margaret i lekarz wyszli z pokoju, Cassandra z zachwytem patrzyła na czerwoną, szkaradną i zarazem przepiękną twarzyczkę syna. Jej syna.

Gdzie jest Stephen?

Wszedł błądy, z podkrążonymi oczami, jakby to on rodził przez tyle godzin. W jakimś sensie tak było. Biedak! Podszedł do

łóżka ostrożnie, nie spuszczać z niej wzroku. Jakby się bał spojrzeć na białe zawiniątko.

- Cass, dobrze się czujesz?

- Jestem tak zmęczona, że będę spać chyba cały miesiąc.

Spójrz, to twój syn.

Podszedł bliżej pełny zachwytu.

- Czy może być coś piękniejszego? - spytał po chwili trwożnego milczenia.

Patrzył na niego oczami ojca, a ona wzrokiem matki. Margaret i lekarz zapewnili ją przedtem, że lekkie zniekształcenie główki samo ustąpi po paru godzinach lub najwyżej po jednym czy dwóch dniach.

- Nie. Nie ma nic piękniejszego - odparła.

- On płacze - zaniepokoił się. - Czy nie powinnaś jakoś temu zaradzić, Cass?

- Chyba chce, żebyś go potrzymał.

Albo żeby matka go nakarmiła.

- Naprawdę mogę go wziąć na ręce? - spytał. Wyglądał na przerażonego.

Ona jednak podała mu zawiniątko lekkie jak piórko. Stephen wziął na ręce synka, który natychmiast przestał płakać.

- No cóż - westchnęła - mimo to sporo zawdzięcza swojej mamie.

Stephen zaśmiał się cicho, a Cassandra - odprężona, wyczerpana i wsparta na poduszkach - patrzyła na swoich dwóch mężczyzn. Swoje dwie miłości.

Może jednak po długim, porządnym wypoczynku pozwoli Stephenowi znów się do siebie zbliżyć.

Może nawet będzie tego bardzo pragnęła.

Patrzył na nią z oczami rozjaśnionymi miłością.

- Dziękuję ci - powiedział. - Dziękuję, najdroższa.

Pomyślała tylko: Mam dziecko. Znów spojrzała na synka, zbyt wyczerpana, żeby się uśmiechnąć.

Urodziła zdrowe dziecko.

Jej życie pełne jest miłości. I nadziei.

Miała Stephena.

Czegóż mogłaby jeszcze chcieć, skoro ma wreszcie własnego anioła?